HENRYK RZEWUSKI

LISTOPAD

Tom II.

DILECTA. LITERATURA POLSKA T. II.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA : POZNAŃ

Printed in Poland

III, I, 3, 40

DILECTA

WYBÓR NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW LITERATURY POWSZECHNEJ

:: :: LITERATURA POLSKA T. II. :: ::

HENRYK RZEWUSKI

LISTOPAD

ROMANS HISTORYCZNY
Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII
WIEKU Z PRZEDMOWĄ ZYG-
MUNTA SZWEYKOWSKIEGO

TOM II.

Ex Libris
Fr. H. Bigosiński O.M.C.

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA, POZNAŃ

Printed in Poland

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

I.

Przedwstęp do konfederacji.

Od godziny piątej zrana ruch był wielki w zamku nieświeskim. Liczny dwór, liczniejszy jeszcze orszak przybyłych przyjaciół radziwiłłowskich, wszystko to się snuło po obszernych salach zamczyska, czekając kiedy ich książę przywoła, bo wszystko to się zebrało na wielkie łowy przygotowane w Nalibockiej puszczy. W sali dotykającej sypialni księcia był komin olbrzymi, gdzie jak w hucie, w jaskrawych płomieniach niknęły sążniste kłody; wokoło gościnnego komina szlachta rozmawiała, posilając się piwem grzanem ze śmietaną i twarogiem, które dworska usługa roznosiła kuflami. Wszyscy się dziwowali, że tuż tuż szósta dochodziła, a książę, tak ranny zwykle, dotąd się nie pokazywał. Zastanawiali się nad tem w milczeniu, kiedy pan Karol Ryś, postawiwszy na kominowym gzymsie wypróżniony kufel, pierwszy się odezwał: — Cóż to, u stu par djabłów! książę jegomość nas obwieścił, że dziś na nas czekają niedźwiedzie w Nalibockich lasach, a wczasu nad swój obyczaj zażywa. Szósta dochodzi, a nas nie wołają; ja słucham a podsłuchuję pode drzwiami, a niczego podsłuchać nie mogę. Wiecie, panowie

bracia, że cóś jak gdyby im szeptało, że wkrótce zrobi się cóś nadzwyczajnego.

— Chyba pan strażnik nie wiesz — rzekł pan Bonifacy Sołohub — że przed północą przybył umyślny z Warszawy do księcia z jakąś ważną ekspedycją, i bardzo ważną, kiedy aż księcia obudzono. Jakiś to koroniarz nam nieznajomy, a który papiery wręczywszy księciu, znikł jak kamfora. A książę pan zaraz posłał po pana Bohusza, który odtąd z nim siedzi zamknięty.

— Tak się rzeczy ale mają? — mieszając się do dyskursu ozwał się pan Szabański. — No kiedy ale tam siedzi pan Bohusz, ale, to będą nie przelewki. Kiedy książę ale z panem Bohuszem godzinę pokonferuje, to to, co się z tej godziny ale wywiąże, mało roku żeby to tylko opowiedzieć ale — —

— Kiedy tak — odparł pan Ryś — może książę nas poprowadzi na polowanie innego rodzaju.

— A niech nas Pan BÓG broni od nowej włóczęgi — bęknął pan Płaskowicki, stary podczaszy nowogrodzki.

— A to znowu co takiego, mości podczaszy? — odrzekł pan Jan Wazgird. — Pluń na to, coś powiedział, ażebyś tego drugi raz nie wymówił. Aż przykro nam siedzieć w bezczynności. Dałby BÓG, żeby się nowa konfederacja podniosła, tylko nie taka jak radomska, co wiele gada, a nic nie robi, ale prawdziwa konfederacja, gdzieby się bić można. Pamiętasz, panie strażniku, jak to my się dobrze bawili zaraz po sejmie elekcyjnym; aż miło, bo co w oczy, to nieprzyjaciel.

— At, pleciesz zwyczajnie jak młody — odpowiedział pan Płaskowicki. — Albo Wpanu w głowie, co to jest wojna domowa? Ja, chwała BOGU, chociaż mógłbym być dziadem Wpana, nigdy nie byłem ostatni do siadania na koń i nie odmieniłem mojej natury, a jednak, lubo jestem karmazynowym szlachcicem, pozwoliłbym siebie do szubienicy przyczepić, byle mi zaręczono, że po mojej śmierci święta zgoda na zawsze utwierdzi się w narodzie.

— Daj pokój, panie podczaszy — przerwał pan Ryś — tego my się nigdy nie doczekamy: jak nie będziemy się konfederować legalnie i porządnie, to będziemy napadać na siebie o grunta, o polowania, o emulacje sejmikowe. Taka nasza natura, a dalibóg że dobra. Naco daleko szukać? Macie przed wami naszego Wazgirda; wszakże teraz jest pokój w narodzie, a czy mu to przeszkodziło polecieć z Nieświeża do Niewodowa jakby z procy, podstrzelić nielada gracza, i potem powrócić jakby po odbytym odpuście? Mój Jasiu, tęgoś się nam popisał; niechże ciebie za to uściskam. Opowiedz nam po szczegółach, jak tam było; wszak jesteś między swoimi.

— Proszę pana strażnika w tem mnie zaniechać, bo do niczego się nie przyznam: jest to dla mnie materja tak drażniąca, że o niej i słuchać nie chcę. Wolemy zgadywać, co też nasz książę odebrał z Warszawy, i co on uradza z panem Bohuszem.

Na te słowa pan Tadeusz Rejtan, który dotąd chodził zamyślony po sali, przybliżył się do nich i rzekł: — A naco ta ciekawość, panie Janie?

wszak nas uczono, że ciekawość jest pierwszy gradus do piekła. Czyż dla nas nie dość, że możemy być pewni, że to co uradzą, będzie poczciwem? Nasza rzecz słuchać, co starsi każą, i oddać siebie BOGU. Wiem, że my się zebrali, by uderzyć na nalibockie niedźwiedzie, i to mnie mocno zadziwia, że nam niedostaje kilku znakomitych myśliwych, co zawsze pierwszymi byli do podobnej zabawy.

— Naprzykład? — odezwał się jeden głos.

— Pierwszy pan porucznik Korsak, co nigdy nie spudłował do źwierza.

— Albo nie wiesz — na to pan Czeczott — że trzeci dzień jak go wyprawił JW. strażnik wielki litewski aż na Ukrainę za kupnem koni dla swojej chorągwi? Wczoraj do mnie wstąpił po drodze na obiad, i wam wszystkim kazał się kłaniać.

— A nierozerwani przyjaciele Węcławowicz i Koryzna — przedłużył pan Rejtan — co to nigdy żadnego polowania nie opuścili; co to jest, że ich dotąd nie widać?

— A chyba nie słyszeliście o ich przypadku — odezwał się z żałością pan Leon Borowski, który do zbytku zawsze wesoły, teraz siedział ponury i zamyślony.

Wszyscy Albeńczycy powstawszy go otoczyli, prosząc by im to opowiedział.

— Oni, jak wam wiadomo, z łaski księcia trzymają Nikorowicze nad wielkim traktem: onegdaj o świcie Koryzna, wracając z browaru, spotkał dwa powozy kryte na płozach; okna były zasłonięte, że nie można było widzieć siedzących w po-

jazdach, a przy nich był liczny poczet uzbrojonych żołnierzy. Koryzna zatrzymał dowódcę pocztu, zapytując go, kogo on wiezie, a ten za odpowiedź kazał go natychmiast związać, wsadzić na telegę i zabrał go ze sobą: tyle tylko pozostało czasu Koryznie, że kazał chłopcu za nim idącemu dać wiedzieć we dworze, co się z nim stało. Jak się opowiedział chłopiec, Węcławowicz, niewiele myśląc, zebrawszy swoich z dziesięcioro dworskich, a u nich każdy dworski strzelec zawołany, z nimi konno na ratunek przyjaciela. Ale cóż się było porywać na tak przewyższającą siłę? Dwóch swoich stracił, sam pokłutym zostawszy, żywcem się dostał, i jego wywieźli z tamtymi. Jednak Węcławowicz djabelnie musiał nacierać, bo nikorowiccy chłopi kilku trupów, od tamtej strony zostawionych, pogrzebali obok wiejskiego cmentarza. Byłem wczorajszego dnia w Nikorowiczach — mój BOŻE! żebyście widzieli ich żony, a dzieci jak bobu....

— I kogoż to oni w tych pojazdach wywieźli? — zapytał pan Płaskowicki.

— Zapewne że cóś bardzo ważnego — odpowiedział pan Leon — ale niewiadomo kogo. Wszakże to się długo utaić nie może.

Wtem podwoje książęcej sypialni się otwarły i Bukowski szatny wszystkich zaprosił do księcia.

Sypialnia księcia była salą obszerną, z podłogą marmurową, wszystkie ściany były w niej gołe, wyjąwszy tej, przy której stało waziutkie łóżko księcia; bo ta była wybita karmazynową makatą.

Sprzętów nie było innych, tylko mnóstwo stołków dębowych, a przy łóżku stał duży stół orzechowy, okrągły, na którym książę składał, idąc do wczasu, rozmaite rzeczy, co je zwykł przy sobie nosić, jako: dwie pary krócic nabitych, krzesiwko, kilka zegarków, sznaber do puszczania krwi, tabakierka, paciórki kokosowe, sygnet herbowy, szpinka, pugilares, kieska, szkło do zapalania, nóż składany z kilku klingami, szabla, i t. d.; bez tych wszystkich rupieci kroku nie zrobił. Zastali księcia siedzącego w krześle przy stole, a obok niego siedział pan Bohusz i z natężoną uwagą przezierał jakieś papiery, jedne paląc, a drugie składając w pugilaresie. Dwie żółte świece mdłem światłem oświecały i stół i przy nim siedzących mężów; reszta sali oświeconą była kominem. Książę miał na sobie długi kaftan z łosiej skóry; na nim ładownica, zapewne dobrze opatrzona, ryngraf z wizerunkiem N. Panny Ostrobramskiej, i pas rzemienny, klamrą stalową zamknięty, z poza którego wyglądały kolby dwóch par pistoletów podróżnych. Zdawał się być pogrążonym w smutnych myślach, bo ciężko sapał, wąsa do dołu nakręcał, i często zażywał tabaki, z tabakierki co mu ją Bukowski co moment otwierał. Przybycie ulubionych Albeńczyków nie odrazu było zdolne ocucić go z zadumania; wszakże gdy w milczeniu się przybliżyli, gdy otoczyli stół przy którym siedział, książę po chwilach kilku powstał i powiedział: — Rozgośćcie się, panowie bracia, i siadajcie! Albeńczycy się skłonili, ale żaden z nich nie usiadł. Książę, wziąwszy głowę w obie ręce, głęboko westchnął i powiedział: —

Niema końca naszym utrapieniom; zaprosiłem was na polowanie, a tu na innego zwierza pójść trzeba. Mój BOŻE! czyż już nigdy pokojem nie będziemy się cieszyć? Zdawało się, że gdy konfederacja radomska w sejm zamieniła się, już oddychać będziemy swobodnie, a teraz sprawa dysydentów wszystko do góry przewróciła. Dysydenci ze wszystkiemi dworami nas pokłócili; umiano im wmówić, że chcemy wojny religijnej, że myślimy o jakiejś krucjacie: BÓG wie jakiemi kalumnjami nas opaskudzili; i nie przekonawszy się o żadnym występku, kilku członków sejmujących stanów porwano, i BÓG wie gdzie wywieziono; dostało się tam i mojemu teściowi, starcowi, który BOGU duszę winien. A wszakże król elekcyjny nie to co dziedziczny, bo to gatunek umowy; nasz król nie ze krwi panującej, której sam BÓG daje władzę. — A cała ich wina, że nie chcieli nadać dysydentom przywilejów, których oni nigdy u nas nie mieli, i o których nasza konstytucja bynajmniej nigdzie nie wspomina. A sejm złotem pisał, a nie wiedzieć czem zapieczętował! Nic rozumniejszego nie umiały wymyślić stany, dopuściwszy takiej krzywdy, jak szumny manifest napisać i rozjechać się. Koryzna i Węcławowicz dość że spostrzegli gwałt; nie wchodząc na kim, oparli się jemu jak mogli, ale nie udało się im. A to wszystko przez tego biskupa krakowskiego... Ja, jakbym przeczuwał, co z tego będzie, nie chciałem przenosić sejmu z Radomia do tej utrapionej Warszawy; dowodziłem mu, że u nas bezpieczniej ufać braciom szlachcie, niż szewcom i rzeźnikom; mówiłem mu,

że w tej opętanej stolicy my ludzie prostoduszni nie oprzem się intrygom babskim. — BÓG i ludzie słyszeli te słowa moje; ale jak zaczął książę biskup pleść mi androny o stosunkach swoich w Warszawie, a o dyplomacji, a o dobrym duchu mieszczan, powiadam wam, że z rozumu mnie wyprowadził, uległem jego namowom, żeby mnie za zarozumiałego nie mieli. Zgrzeszyłem, panie kochanku; przebacz BOŻE księciu biskupowi, bo on srodze pokutuje teraz za swój błąd. Ale ja od niego winniejszy; poco mi było dać zdeptać mój stary instynkt litewski przez tę nowomodną mądrość? I jak można było podejrzywać starców, którzy doczekali się zgrzybiałości, zawsze wiernie służąc królowi i krajowi? Oni spiskowi, oni, co się dali wziąść bez oporu! I na mnie była pułapka; teraz skrobią sobie głowę w Warszawie, żem wprzód wyjechał, a może tego nie powinni żałować; jabym nie dał wziąć siebie jak barana panie kochanku, jabym się bronił. Zapewne, że martwym lub żywym możeby mnie nakoniec i dostano, ale że trzaskiby latały i to pewna. No, no! naprożno chcieć tego, czego Pan BÓG nie chce; mamy cierpieć, niech będzie święta wola Jego — a jak będziemy przeciw Niemu szemrali, to zginiemy ze wszystkiem. Dość smutku! Smutek niczemu nie zaradzi, a tylko serce we flaki zamienia — trzeba nam o czemś innem pomyśleć. — Nie mam nic tajnego przed wami. — Mojego teścia zdradził dziedziczny sługa i przyjaciel jego domu, ale ja moich Albeńczyków się nie boję — nie litewska to rzecz zdradzać. Panie kochanku, wy-

pada nam na nowo nasze dawne rozpoczynać włóczęgi.

— Zgoda! — odezwali się wszyscy — my z księciem panem pójdziemy, chociażby i pod ziemię. Podnieśmy konfederację: księcia pana zapraszamy na marszałka, a prosiemy pana Bohusza, żeby sporządził akt konfederacji, upraszający pana stolnika litewskiego, żeby sobie na wojaż pojechał, bo on bardzo lubi zagranicę.

— Hola, hola — odrzekł książę — a jakże w gorącej wodzie Alba kąpana! Akt trzeba sporządzić, ale o tem co mówicie ani słówka! Przed niewodem ryby nie łapaj. Powtóre, panie kochanku, znacie mnie dobrze, bić się będę do upadłego, i poradzę jak umiem, może niedobrze, ale przynajmniej szczerze; wszakże marszałkostwa za nic nie przyjmę. Już konfederacja radomska otworzyła mnie oczy; nie mam szczęścia.

— A książę panie! — odezwała się cała drużyna — nie godzi się nam odmawiać swojego dowództwa, wszak my księcia pana przyjaciele.

— Ale, moi bracia, czy z wami, czy przed wami, zawsze będę waszym sługą, i póki chcecie, z wami chodzić będę gdzie gorąco; ale wytłumaczę się, dlaczego marszałkostwa przyjąć nie mogę. Oto ja do tego niezdatny; nie umiałem się oprzeć księciu biskupowi krakowskiemu, a potem panie kochanku, marszałek nietylko bić się, ale jeszcze powinien dobrze radzić; to dla mnie za wiele, wolę jednego się trzymać. Naco mnie po dwa naboje kłaść w rurę? Do mnie piszą, że wedle wszelkiego podobieństwa Krasiński, podko-

morzy różański, będzie marszałkiem od Korony. At sobie zwyczajnie poczciwy szlachcic; jemu z rozjazdem na przepiórki chodzić, a nie z oszczepem na niedźwiedzia. Prędzej się zdrzymie na piernacie, niż osadzi tureckiego bachmata; ale mąż de moribus antiquis, i koligat domu saskiego. Trzeba mu więc dobrać z Litwy człowieka tęgiego, jak to mówią de hajda, któryby miał to właśnie, czego tamtemu niedostaje; naprzykład naszego Paca, starostę ziołowskiego. Wszak prawda, że przeciwko niemu niema nic do powiedzenia? Wy go znacie; wszakże to nasz Albeńczyk! Już on o tej porze musi być gdzieś blisko Wołoszczyzny; ogłośmy jego marszałkiem, akcedując do konfederacji koronnej, a jeżeli wasza łaska, podejmuję się pod nim regimentarstwa, żeby przed wami iść tam, gdzie generalność rozkaże.

— Zgoda, zgoda — krzyknęli wszyscy — niech żyje Pac, marszałek konfederacji litewskiej, i książę Karol Radziwiłł, regimentarz generalny naszej prowincji! Prosiemy pana Bohusza, żeby akt raczył zapisać, a my na siebie gotowi jesteśmy dać sponsję, że to co tu postanowiemy, cała Litwa tego nie zaprze.

— Panie kochanku — odrzekł książę, obracając się do pana Bohusza — napisz waść co potrzeba, ale tak jak umiesz, krótko i węzłowato. — A do zgromadzonej szlachty: — Wiem, że żaden poczciwy Litwin nas się nie zaprze; zapytuję więc was, czy w imieniu waszem i braci waszej, rozsypanych po domach swoich, szlubujecie mi ufność i posłuszeństwo?

— Jeżeli na to przysięgi potrzeba, prosiemy o krucyfiks — odpowiedziała jednomyślnie szlachta.

— Nie, aż nadto dostateczne słowo wasze.

— Mości książę — odezwał się pan Bazyli Czeczott — gdy już tak rzeczy zaszły daleko, a nas nie garstka przecie, proszę nam oświadczyć, gdzie na gorącym razie uderzyć mamy; bo te kunktowania na nic się nie przydadzą. Ja mam jakieś przeczucie, że niepodobne rzeczy nam się udadzą, jeżeli uderzym nie tracąc czasu, a że nic z tego nie będzie, jak rzecz pójdzie na delatę.

— Nie, panie kochanku, napróżno tu powstawać. Przeciwnicy nasi zalewają Litwę; jak się porwiemy, zgniotą nas jak rude myszy; nam trzeba przedrzeć się na Ukrainę. Porta Otomańska obiecuje nam posiłki. Jak słońce zejdzie, stąd wyruszę ku Ukrainie, żeby się przedrzeć do pana Joachima Potockiego, podczaszego litewskiego, który na mnie czeka. W trzydzieści koni co najwięcej wyruszę, żeby nie dać podejrzenia o sobie nieprzyjacielskim czatom. Ze mną będzie pan Bohusz, sekretarz generalny konfederacji, pan Michał Rejtan, pan Bonifacy Sołohub, pan Leon Borowski, pan Seweryn Soplica, a oprócz nich kilkunastu sług moich, którzy zawsze i wszędzie mnie towarzyszą. Szabansiu, oni do twojego departamentu należą; ich więc za mną poprowadzisz. Żywności ani dla siebie, ani dla koni nie potrzebuję, bo my przecie iść nie będziemy per Arabiam desertam. Od komina do komina zajeżdżać będziemy, i każdy nam da chleba i owsa. A wiem, że każdy

ma broń opatrzoną i ładunki w zapasie, bo to u mnie tak z dawien dawna we zwyczaju. Wy, panowie bracia, starajcie się każdy z tem, co zbrojnego za sobą poprowadzić może, ściągać się do Baru, tylko małemi kupkami, bo tam zebrać się mamy. Wybuchnie swojego czasu i na Litwie konfederacja, ale nie teraz; jeno jak za sobą w Ukrainę wojska przywabiemy, wtedy będzie dla niej pora. Waszeć, panie Tadeuszu Rejtanie, ruszaj sobie do swojego Berezdowa; masz jakąś nadzieję na swoich Witebszczanach, probujże z nimi szczęścia, panie kochanku. Może tam BÓG da co dobrego, a moi komisarze z Newla, Siebieża i Kopysia będą na twoje zawołanie. Waszeć, mości Antoni Rupejko, ruszaj sobie do Żmudzi, cywunuj sobie w swojej Eyragole, i tam cicho siedzieć, nie dając siebie w podejrzenie, póki się o mnie nie dowiecie; święta teraz cierpliwość, a swojej pory będzie i na męstwo czas. Waszeć, mości Bazyli Czeczott, zaraz jedź do Luszek, i tę ekspedycją wręcz panu Żabie, kasztelanowi połockiemu, ale żeby ona koniecznie jego rąk doszła; w tem na waszeci się spuszczam, bo wiem, panie kochanku, żeś zręczny jak lis, a pan kasztelan już ci powie co masz robić. A waść, mości chorąży Starodubowski, zostaniesz w Nieświeżu, będziesz administrował mojemi dobrami, jakeś dotąd administrował, i co będziesz mógł, dosyłaj mnie pieniędzy, żeby ja i moi nie pomarli z głodu. A żeby w niebytności mojej żonom Węcławowicza i Koryzny na niczem nie zbywało. Pamiętaj o moich starych sługach, którzyby radzi iść ze mną, tylko że ani siła, ani wiek po temu.

A proszę cię, mój Radziszesiu, żeby moja psiarnia nie sparszywiała; przynajmniej dwa razy na tydzień każ dodawać mięsa do osypki. Opuszczam teraz Litwę, ale mam w Bogu nadzieję, że do niej wrócę, a może prędzej, niż się spodziewają. Żegnam was, bo za godzinę p l u s m i n u s, już mnie stąd wyruszyć trzeba.

Tu się przybliżył do księcia pan Wazgird: — Ach! mości książę — rzekł — czyż ja tego niewart, bym księciu panu teraz służył? jestem we wszelkiej gotowości. Szabla dobra u boku mojego, druga w zapasie, sztuciec garłacz, gdzie pół tuzina kul oprócz lotek wsadzić można; pistolety ponabijane, pas pełen ładunków, koń pode mną doświadczony, takiż i pod moim luzakiem. Niech książę będzie pewny, że w potrzebie nie będę zawadzał.

— Poczekaj, panie kochanku, mam ja co innego dla waszeci, a jak moje zlecenie spełnisz, to jakoś się złączysz ze mną. Świat choć bardzo szeroki, ja jeszcze z niego wynosić się nie myślę, więc mnie na nim znajdziesz. Teraz powiedz-no mnie, co to miałeś za przeprawę z bratem naszego wojskiego, co to w Nieświeżu was wszystkich swoim tańcem tak oczarował?

— Nic, książę panie, pojechałem do Niewodowa z atencją dla wuja generała; tam zastawszy pana starostę wdałem się z nim zwyczajnie w dyskurs, aż mnie cóś przemówił, a przynajmniej tak mi się wydało, a że mi się z tego nie chciał usprawiedliwiać, zaprosiłem go w taniec. A wie książę pan, że starosta, lubo kuso się nosi, jest gracz. Tak

mnie brał na cel, że aż gorzko było w gębie, ale na moje szczęście pistolet jego pstryknął; mój wystrzał był szczęśliwszy, bo go powalił. Żałuję, że mi nie przyszło do myśli przed rozprawą wymówić, że kto zwycięży, zostawi przy sobie broń przeciwnika na pamiątkę, bo jego pistolety prześliczne.

— Waść nie bałamuć, panie Janie; to nie poszło z przymówki, było tam coś innego. Wyspowiadaj się Wpan głośno; między nami święta szczerość, wszakże my wszyscy Albeńczycy.

— Ot ja powiem waszej książęcej mości całą prawdę, choć mi wstyd o tem mówić. Przyjaciele mnie ostrzegli, że ludzie gadają, jakoby pan starosta zalecał się mojej siostrze, a narzeczonej swojego brata, i że te rzeczy już daleko zaszły. Ja, troskliwy o sławę mojej krwi, nic nie chcąc czynić naoślep, pojechałem do Niewodowa, żeby się przekonać, czy ludzie mylą się, czy nie, — czy prawda, czy potwarz. Cóż książę pan powiesz? W samej rzeczy tak było: okiem tylko rzuciłem i poznałem całą rzecz; a pan Michał jaki rozumny, a tak ślepy, tak zawojowany od tego franta, że jakby nic o niego nie chodziło. Ja po odbytej sprawie ze starostą, a trzeba wiedzieć że w Niewodowie dotąd nikt się nie domyśla, że on leżał z mojej łaski, otóż opuszczając Niewodów, poszedłem pożegnać Zosię i jej się przyznałem, że to była moja robota, a przytem bez ogródki powiedziałem: — Pfe siostro! gniazdo swoje hańbisz! Zmusiłaś mnie ujmować się za twoją sławę. Jeszcze drga ten gach oberwawszy za swoje, ale ty powinnabyś

BOGA prosić, żeby go djabli wzięli. Ja z mojej strony robiłem co mogłem, żeby w związku twoim z panem Michałem nikt nie kładł palca między młotem a kowadłem, bo jeżeli szczerze do mnie mierzono, to też i jam nie żartował. Alboż to moja mowa pomogła! stała blada jak trup, aż złości brały na to patrzeć. A słyszałem że panicz już się wylizał, o swojej sile przechadza się po izbie. Ale ja się poprawię, ta bieda jeszcze się nie skończyła, na infamją mojej krwi pozwolić nie mogę. Jak przyjdzie do zupełnego zdrowia, zaproszę go, żeby się odegrał; ja zawsze gotów, ale i on nie od tego, bo za cóżbym nie miał oddać jemu sprawiedliwości — on ma serce.

— Nie, nie, panie kochanku, tu czego innego potrzeba. Mój BOŻE! co też to za ladaco, do narzeczonej brata, jeszcze tak dobrego, się palić; jak gdyby innej już nie mógł znaleźć; a Zosia, Zosia, ktoby temu uwierzył, że do podobnego paskudztwa się skłania? Taka dobra dziewczyna, tak przywiązana do ojca, cośmy ją uważali jako wzór dziewcząt; ale cóż się dziwić, że tak szczwany lis niedoświadczoną dziewkę zbałamucił? Otóż to szkoła wielkiego świata, przebrzydłe wychowanie za górami. Nasze stare generalisko, nasz wojski śmiały jak lew, pokorny jak zakonnik, a dobry, że go do rany przyłożyć można, kapłani którzy tego domu staropolskiego nigdy nie opuszczają, wszystko to poodrwiwał ten niecnota; i potem na czwartkowych obiadach będzie bawił swojego pana naszą łatwowiernością. To prawda, że my

łatwowierni; tymeśmy zawsze grzeszyli. My nadto poczciwi na teraźniejsze czasy, dlatego też nam nic się nie wiedzie.

Tu wstał książę i mocniej zaczął sapać, szerokiemi krokami mierząc komnatę swoją, a pan Wazgird szedł za nim. Nakoniec książę przerwał milczenie: — Panie kochanku, gdzie djabeł sam przez siebie nie da rady, tam zaraz jakąś babę zrobi swoim plenipotentem; wszak kasztelanowa inflancka siedzi w Niewodowie; oj to nielada główka do łotrostwa. Opuściła naszego Wejhera, poczciwego z kościami, który jej takie rzeczy odpuszczał, że aż zgroza o tem mówić, a teraz wychodzi za jakiegoś podpiska pana stolnika litewskiego. Nie na promowaniu swojej rozwodowej sprawy kończy się cel jej podróży do Litwy; nasz słabizna umie używać tych ministrów w fartuchach. Żeby u nas baby pilnowały grzędy i kądzieli, nie byłoby tyle złego w Rzeczypospolitej. Panie Janie, posłuchaj mnie z uwagą — trzeba żebyś Wpan w kilka, lub w kilkanaście koni natychmiast ruszał do Niewodowa, i tak rzecz poprowadził, żeby nam koniecznie żywcem dostać tego milutkiego starostę; a jak go porwiesz, nie tracąc czasu, zawieź go do Łachwy, tam mój Trzciński będzie wiedział jak ma z nim postąpić. Będziemy mieli z niego nielada zakładnika. Jego pan ma tyle do niego przywiązania, że kto wie, może odda naszych dostojnych brańców; tylko spraw mi się gracko i roztropnie. Oj! żebyś mógł dwie pieczenie na jednym rożnie upiec, i tę kasztelanowę porządnie rózgami ćwiczyć, zyskałbyś wielkie odpusty. Lecz z tem

mniejsza, a starostę wieluńskiego staraj się koniecznie uchwycić.

— Nigdy żadnego rozkazu waszej książęcej mości z większą radością nie spełniałem; jednak nie dość tu na sile, trzeba tę rzecz prowadzić ministerjalnie. Książę pan zna mojego wuja, jakim on jest wyznawcą prawa gościnności; jemu się zwierzyć, gotów będzie bronić swojego gościa, żeby mu obelgi nie wyrządzono na jego gruncie, boby to poczytał za największą hańbę dla siebie; a jak go porwę bez niego, to już do śmierci mi się nie pokazywać w Niewodowie. Ale i jego gniew mimo siebie puszczam; wszak BÓG widzi, że tu nie idzie o żadną prywatę, ale o dobro pospolite. Niech książę pan na mnie się spuści, wyproszę jakoś tego lisa z jadźwiny. Panu Michałowi oczy otworzę, dam mu takie dowody, że jeżeli mnie nie uwierzy, to niechże w niego piorun trzaśnie. Podejmuję się tej wyprawy; jakoś to będzie.

— Mocno mnie to dziwi, panie kochanku, że pan Michał tu nie zjechał, a miałbym potrzebę z nim pomówić; ale to darmo, czekać nie mogę. Jak go obaczysz, powiedz mu coś słyszał ode mnie, i że go oczekiwać będę w Barze. Ale starosta, starosta! to to ostrzę zęby na niego. Ale już pokazują się pierwsze brzaski dzienne! bywajcie zdrowi panowie bracia! Mnie może dziś jeszcze będą szukać w Nalibockiej puszczy, a ja tymczasem wielkim gościńcem dążyć będę ku wołyńskiemu Polesiu.

Po tych słowach w jednej chwili wypróżniły się nieświeskie sale; jednak nie rozjechano się bez podpisania aktu konfederacji litewskiej, który to akt pan Bohusz w krótkości sporządził i zabrał go z sobą, by go swojego czasu złożyć przed generalnością.

II.

Objawienie.

Podczas kiedy książę wojewoda, w dwadzieścia koni, żadnym nieobciążony pojazdem ciągnął ku kijowskiemu Polesiu, a pozostali Albeńczycy rozpraszali się po swoich majątkach, pan Jan Wazgird w szerokich otwartych saniach, ciągniętych przez czwórkę koni dzielnych, przy których luzem szły dwa wierzchowce w całkowitym moderunku, posuwał się traktem mińskim. Siedział zawinięty w delji lisiej, zdobycz jego myśliwskich popisów, a obok niego wierny Achates, Skołuba, syn czynszowego szlachcica z jego dziedzicznego majątku, który kilka laty od niego starszy wiekiem, od szkół jeszcze był jego nieodstępnym sługą. Wykonywacz woli pańskiej, najczęściej w żywe oczy ganił swojego pana, ząb za ząb z nim się sprzeczając, a pan Wazgird był tak wezwyczajony do jego gdyrania, że gdyby po otrzymanym od niego rozkazie milczał, na samym wstępie zwątpiłby o jego wykonaniu. W czasie ośmioletniego pobytu z panem swoim w konwikcie nieświeskim, pokilkakrotnie rozpoczynał zawód szkolny w proformie, ale zawsze go przerywał, gdyż pomimo przyrodzonego sprytu, widać

że wedle systematu Galla, któremu nasz Jan Głogowczyk może dał pierwszy początek, nie musiał mieć na czaszce protuberencji literackiej, kiedy pomimo niemałych usilności nigdy się nie mógł dobrzę obeznać z abecadłem; aż przekonawszy się o swojej nieudolności, zupełnie go zaniechał, chwaląc BOGA z pamięci, a nie z książki. Rozwinął on później inne zalety, aż nadto przeciwważące tę niedołężność naukową. Był nadzwyczaj odważny, rębacz niepospolity, strzelec zawołany, miłośnik gorzałki, której do zbytku mógł używać bez tracenia przytomności, a nadewszystko jedyny do wywiadów. Po wszystkich domach obywatelskich, które ugęszczał z panem swoim, tak ścisłe stosunki pozawiązywał z czeladzią, że nigdzie dla niego nic tajnego nie było. Królował po sieniach i piekarniach szlacheckich, i to powołanie władztwa tak silnie było w nim rozwinięte, że ile razy mu się zdarzy zawitać chociażby do nieznajomej szynkowni, kwadrans nie pozostanie z biesiadnikami, a już, że tak powiem, ich wszystkich zawojuje. Wezwyczajony od dzieciństwa do najniższych obowiązków służebnictwa, przy panu miernego majątku, z czego się nawet chełpił, nie był on pospolitą figurą, bo wpływy jakie uzyskał po czeladziach dworskich, szynkowniach, szlachcie czynszowej, okolicznej, bojarach, były tak wielkie, że w potrzebie mógłby nawet wygrywać jakąś rolę polityczną. W części przynajmniej jego pan to poznawał, bo chociaż go często łajał, niekiedy nawet poszturchał, wszelako w nim pokładał ufność i wiele mu poufałości z sobą pozwalał.

Najczęściej szedł za jego zdaniem, a chociaż je czasem i odrzucał, wszakże bez niego był jakby nieswoim.

Skołuba był to pierwotwór zaufanego sługi owych czasów: buty pańskie czyścił, izbę zamiatał, konie wierzchowe chędożył, tam śpieszył gdzie go pan poszle, wydatki jego utrzymywał, cierpliwie znosił jego wybryki w chwilach gwałtownego uniesienia, a jednak wyobrażenie równości szlacheckiej silnie było napiętnowane na jego duszy. O prawodawstwie tyle tylko wiedział, że nemi-nem captivabimus nisi jure victum, i że szlachcic do korony się rodzi; o historji, że Piast był zaściankowym szlachcicem z Kruświcy, bawiącym się kołodziejką, i że się dobrze działo za króla Sasa. A z tem wszystkiem pojmował praktycznie konstytucję swojego kraju: stąd w opinjach a postępkach swoich okazywał te pozorne sprzeczności, które zawsze były dla cudzoziemców, nawiedzających naszą ziemię, niedocieczoną zagadką. I tak, jeżeli magnat, lub nawet urzędnik powiatowy powita go łaskawem słowem, padnie mu do nóg; nie wzdrygnie się przyjąć z ręki swojego pana chłosty na kobiercu; a jednak gdyby jego pan czy największy pan usiłował równość szlachecką zastąpić jakąś hierarchją kastową, zacierając święte wyznanie, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", bez wahania byłby go rozsiekał. Czuł, że jest candidatus natus do wszystkich dostojeństw, nawet do korony, a chociaż wiedział, że ta kandydacja idealna nigdy do rzeczywistości zbliżoną być nie może, ani tego-

by pragnął, za nic w świecie od niejby nie odstąpił. Rzecz dziwna, a która tylko u nas widzieć się dawała: służący był rzeczywiście członkiem ciała politycznego. Podzielał on naturalnie, ale z wewnętrznego przekonania, opinje swojego pana. które uosabia książę Panie Kochanku, i obok niego zdrowie przynosił im w ofierze; do konfederacji po sejmie elekcyjnym zawiązanej zrobił akces znakiem krzyża świętego, gdyż, jak się powiedziało, ani czytać, ani pisać nie umiał. W zawodzie cywilnym niemniej bywał czynnym, bo żadnego sejmiku nie opuszczał. Miał on kontusz i żupan w zapasie, które tylko podczas sejmiku brał na siebie, i tak odziany, gardłem i szablą popierał stronę, której pan jego był poplecznikiem, a po rozwiązaniu sejmiku składał tę odzież między szaty pańskiemi, i powracał do skromnej kapoty i do skromniejszych jeszcze obowiązków służebnictwa.

Pan Wazgird nie w różanym humorze opuszczając Nieśwież, bo szczerze pragnął księciu wojewodzie towarzyszyć w podróży, ciężar swojego nieukontentowania zwalił był na sługę. Upatrzywszy jakiś nieporządek rzeczywisty czy mniemany w uprzęży, tak niemiłosiernie złajał Skołubę na wyjezdnem z Nieświeża, i to przy świadkach, że ten siedział na saniach rozdąsany, i w zaciętem milczeniu słuchał pana, kiedy ochłonąwszy z chimer, probował wejść ze sługą w rozmowę. Naprożno pan Wazgird, rozwijając plany, jakieby wykonać pragnął dla uwiezienia pana starosty wieluńskiego, zukosa dawał do poznania, ile w podobnych razach zręczność doświadczonego sługi

bywała mu zawsze pomocną. Skołuba, mając na sercu impetyczne wyrazy, któremi pan dotknął jego osobę w Nieświeżu, wszystkie te zwierzenia pańskie zdawał się przyjmować obojętnie, nic nie odpowiadając oprócz słucham, albo jak pan każe. Nakoniec pan Wazgird przestał mówić, i tylko przemyśliwał, jakby uczynić zgodę ze sługą, bez poniżenia wprost swojej własnej godności, bo nudno mu było milczeć, a jeszcze nudniej mówić bez doświadczenia ze strony słuchacza jakichś dowodów współczucia; ale Skołubie potrzeba było jakich parę godzin przynajmniej do oddąsania się, poczem dopiero wracał do zwykłego humoru.

Lecz to, czego nie dokazały pracowite zabiegi pana, okoliczność trafunkowa w jednej chwili zdołała uskutecznić; widać, że to była chwila przesilenia, że już gniew omdlewał, a dobry humor czekał lada hasła do powrotu. Jakieś sanie rozminęły się z naszymi podróżnymi, a na nich siedział stary człowiek, w prostym baranim tułubie. Pan Wazgird nie miał czasu go zauważyć, ale Skołuba ledwo okiem nań rzucił, poznał go, i parsknął od śmiechu na cały głos.

— Czego ty się śmiejesz? — zapytał uradowany pan, że przecie się odmarszczył sługa.

— Bo poznałem księdza kanonika Zahorę, proboszcza cyryńskiego, bogacza, a skępca jakiego świat i Korona polska dotąd nie widziały, i przypomniałem sobie, jak nie chcąc zażartował z niego wychowaniec, sierota, głodem od lat kilkunastu morzony, a składający cały jego dwór.

— Jakże to było? — zapytał pan Wazgird, nie z ciekawości, bo mu to zdarzenie było dobrze wiadome, ale to był gatunek koncesji dla Skołuby, jakiś krok do zgody, który sam z siebie jemu się nasuwał.

— Oto kolatorka księdza, JW. Szczyttowa, instygatorowa wielka litewska, wracając z dóbr co je ma na Rusi, przywiozła mu gościńca, kilka słojów konfitur kijowskich. Ksiądz, powierzając je chłopcu, w obawie by się do nich nie przypytał, wyperswadował mu, że to trucizna na szczury. Aż w kilka dni potem, kiedy ksiądz po obiedzie spoczywał, chłopiec myjąc talerze, przez nieostrożność kilka sztuk z kredensu potłukł, a bojąc się kary, w taką wpadł aprensją, że chciał sobie życie odebrać, i objadł się trucizny na szczury...

Na tem skończył Skołuba, bo silny paroksyzm śmiechu mowę mu zamknął.

I pan śmiać się zaczął, żeby utwierdzić przymierze zawiązujące się ze sługą, a potem odezwał się: — Dobrze, że się śmiejesz; tobie tak do twarzy, nie jak dopiero, co siedziałeś zasępiony jak smarkacz, którego do szkół odwożą; i czego tobie było się smucić? żem ciebie połajał za niedbalstwo — i byłoż czego stracić fantazją?

— Ej to powszedni chleb u pana, żeby to tylko mieć w głowie! Mnie było markotno, że nas książę pan nie zabrał z sobą na Ukrainę.

— A ty tam na co potrzebny?

— Możeby się człowiek na cóś zdał; wszak mnie nie pierwszy raz wojować, a kto od tego,

żeby najwięcej świata widzieć? Już ta Ukraina, o której słychać, że to ma być raj, raz mnie ominęła. Mieliśmy tam iść, wszystko było w pogotowiu, ale jak pan oberwałeś pod Swojatyczami, żeś potem kilkanaście tygodni musiał słuchać rekolekcjów doktorskich w Nowogródku, trudno mi było pana opuścić. Na cóś podobnego i teraz się zanosi; a to nielada rzecz poznać się z nowym krajem, i to służąc w dobrej sprawie.

— Wszędzie można służyć dobrej sprawie, byle wesoło spełniać co starsi każą. Jak się dostanie w nasze ręce ten pan starosta, com go przywitał w Niewodowie, to nas tak pochwalą, jakbyśmy we dwóch całą chorągiew przełamali, a mam w BOGU nadzieję, że to jakoś nam się uda.

— A ja niewielką.

— Głupiś Wpan, mości panie Skołubo. Ciekawy jestem, dlaczego nie miałoby się udać; ja osiadam milkę od Niewodowa w Szykutowiczach, u pana Mateusza Gieczewicza, tam doczekam się w jednej dobie kilkunastu bojarów z Kojdanowa, a wiesz jakich, bo to i konni i zbrojni, a w potrzebie pan Mateusz z całym dworem na moje zawołanie. Ty, Skołubciu, dojedziesz do Niewodowa na wywiady, a jak upatrzysz porę, my w nocy naprzód w łóżku go capnięm, i zaraz knebel w gębę i na sanie. Ani się panicz spostrzeże, jak my go do Łachwy dostawiemy; a potem Ukraina nam nie ucieknie, ona się z miejsca na miejsce nie przenosi, trafiemy do niej.

— Piękna to myśl; już ją pan przede mną rozbierałeś, ale o to rzecz chodzi, żeby ją można do

skutku doprowadzić, o czem bardzo wątpi kościół boży.

— Jaki z ciebie ślamazarnik! Anim się tego spodziewał po moim Skołubie, pfe! a wszystko dlatego, żeby się mnie sprzeciwiać. Co to za filozofja, żeby we dwudziestu, albo więcej, jednego powalić, zwłaszcza jeżeli się ty gracko sprawisz, że w twierdzy nie będą go bronić. Twoja rzecz, żeby wujaszka czeladź twardo spała, kiedy my zaplondrujem w domu.

— Nie tu sęk, panie. Ludzie JW. generała spać będą jak ja zechcę, i póki ja zechcę, o to pokój. Nawet na sanie położymy pana starostę, albo na konia, — ja to biorę na siebie; ale potem?

— Potem do Łachwy; cóż ci mam jedno a jedno powtarzać!

— Tak to panu się zdaje, że już wszystko pójdzie jak z kłębka; muszę więc panu swoje opowiedzieć. Kiedyśmy to byli z panem chorążym w Niewodowie, to ja obeznany i pokumany z całym dworem, zacząłem szukać znajomości i z gościnnemi sługami. Świętej pamięci ojciec pański, wielmożny cześnik miński, bywało mawiał: im kto więcej ludzi zna, tem rozumniejszy. Już to nie było sposobu poznać się z fryzjerem pana starosty, bo z Niemcem ani mowy, ani rozmowy, a jego kamerdyner, więcej niż jego pan nosa do góry zadziera. Na mnie patrzał, jakby z wieży świętej Anny w Wilnie, a nie wie, że może ja lepszy od niego szlachcic. Zaniechałem warszawczyka; z jego strzelcem i lokajem poszło mi siako tako; ale

kiedy później pan mnie tam cichaczem posyłałeś, żeby się dowiadywać, czy pan starosta jeszcze dysze, albo czy już po nim, to ja sobie nie do dworu, broń Boże, ale na wsi rzecz swoją robię. Otoż tam przybyła JW. kasztelanowa, siostrzenica naszego generała, żeby pilnować swojego rozwodu. U mojego kuma, pana Błażeja, stelmacha niewodowskiego, poznałem się z jej ludźmi, bo pan Błażej jej karetę moderował nieco obszarpaną podróżą, a jej słudzy niby dla pilnowania roboty od niego nie wyłazili; ale ja poznałem, że to dlatego, że pani Błażejowa kobieta gładka, a pan wiesz jacy to skrupulaty warszawskie lokaje. Otoż zaprzyjaźniłem się z nimi, i zaprosiłem ich do szynku na miodek, a z miodku przyszło i do krupniczku, a tak się dobrze ukartowało, że jeszcze sami zapłacili za mój traktament. Otoż poszła między nami gawędka, że aż miło; niby z niechcenia, bo siebie nie przedawałem za ciekawego, ale jakoś samo z siebie wyszło, że ich pani po drodze wstąpiła w Kojdanowie do jakiegoś księcia, z którym miała dawną przyjaźń w Warszawie, a że ten książę tam stoi z pułkiem dobrze podszytym, któremu rozkazy daje. To wszystko, myślę sobie, nie bez przyczyny; aż tu uważam, że dwóch jakichś podróżnych w siermięgach nie najnowszych przybyło do szynku. Ledwo okiem rzuciłem, zaraz poznałem, że to bywalce, nie tem są, czem się wydają, bo chociaż to niby tylko gorzałeczką się zajmowali, poznałem, że całkiem siedzieli w uszach, a jak jeden z nich parę słów powiedział Żydkowi szynkarzowi, mnie panie w ciemię nie bito, wyszedłem

z karczmy, bo już dla mnie było dość. My się pilnujemy, ale i oni się pilnują.

— Ty bo chcesz zawsze mądrego udawać: dziś dopiero otrzymałem rozkaz od księcia pana, i projekt ex abrupto wyszedł z ust jego, a już o tem przed kilkunastu dniami miała wiedzieć przeciwna strona; opamiętaj się waść, panie Skołubo.

— Racja fizyka, że Kaśka nie ma butów; a cóż to? albo nie wiedzą, że pan starosta między nami jak błędna owca? My trzymali z księciem panem, a on z panem stolnikiem litewskim, któremu nie raz, i nie dwa my się dali we znaki; a choć to była między nami łyczana zgoda, my nigdy w nią bardzo nie wierzyli, a oniby się mieli na nią spuszczać! A wszakże już dziś ta zgoda się urwała, kiedy książę pan aż pod granice tureckie rusza, żeby piwa nawarzyć; wszak to panie nie z laikami robota. Obaczysz pan, że my rady nie damy, chyba, że pan wojski jego wywiezie pod jakimś pozorem, bo brat z bratem to nikogo w oczy nie ukole.

— Tać to bez pana Michała się nie obejdzie; trzeba będzie przed nim siebie otworzyć, żeby nam nie przeszkadzał. Ale jak ci się zdaje? czy on będzie z nami działał?

— Czemużby nie miał działać, jak się dowie, jakiego to ma braciszka w panu staroście, i jakiego węzełka on mu nawiązuje w Niewodowie?

— Co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Daj pan pokój, ja choć gębę tulę, oczy i uszy mam otworzone; chociaż mnie pan o tem ani

słówka nie pisnął, a jednak jam dobrze wiedział, że pod karczmą szlakową nie o same przymówki poszła panów sprawa. To co się dzieje w Niewodowie, o tem nietylko czeladź, ale cała wieś gada, aż uszy bolą słuchać. Tylko pan generał, pan wojski i księża ślepi; ale jak prawdę wykryjemy panu wojskiemu, to może nastąpić wielka burza. On rzadko kiedy się gniewa; zdaje się, że wszystko po nim idzie płazem, ale jak mu dopiecze, brón Chryste Jezu, jaki zły! Wszakże my tego byli świadkami; dobrze to ludzie mówią, że jak cicha woda się wzbierze, to groble rwie.

— Nieźle waść mówisz, panie Skołubo! I ktoby waści powiedział, że masz głowę nie do rady, a cóś innego nie do krzesła, śmiało mu powiedz, że łże. Moje zdanie kubek w kubek jest takie jak twoje, i z niem się głośno oświadczyłem w Nieświeżu. Muszę koniecznie widzieć się z panem Michałem; trzeba nam dziś jeszcze na parę godzin zawadzić o dom wujaszka.

— Oj panie! zaniechaj tego! Niechaj się pan w Niewodowie nie pokazuje.

— Dlaczego? a cóż to, ja tam się znaleźć nie potrafię?

— Dalibóg, pan wszystko popsujesz: pańska twarz zaraz wyda to, co się w pańskiem sercu dziać będzie. Pan abyś wziął na siebie kontusz, i poczuł szablę u boku, to zaraz się jemu zdaje, że szeroki ten świat jest jego dziedzictwem, że na zawołanie góry z miejsca przed nim ustąpić muszą. A ta kasztelanowa z warszawskim rozumem, a mająca z panem swojactwo, zaraz się czegoś

domyśli, i ani się pan spostrzeżesz, jak go weźmie na konfesatę i z rozumu wyprowadzi. A pan starosta, choć dworak, pan wiesz z doświadczenia, że zuchwały; on się skrzywi jak tylko pana obaczy, a jak pan to spostrzeżesz, to chociażbyś na rany Chrystusowe poprzysiągł, że będziesz dysymulować, nieprawda! burdę zrobisz i utopisz cały interes. Ot wiesz panie, jaki mi koncept do głowy przychodzi? najbezpieczniejszy, a który niezawodnie się uda. Niech pan do niego napiszę, że ponieważ on zdrów, więc go pan na nowo zapraszasz do tańca, na tem i na tem miejscu. On niezawodnie stanie, tam niech znajdzie pana, ale z dobrą zasadzką, żeby go wziąć na pewniaczka.

— Schowaj się z taką radą, hultaju! plunę sto razy na własny mój herb, wprzód niż do podobnej podłości dam się namówić. O! to mnie znasz! jak komu dam słowo, to go pewnie dotrzymam, a cóż dopiero wdawszy się jeszcze w pisma.

— A ktoby tam farmazonowi dotrzymywał słowa!

— Dość o tem, Skołubo, co innego wymyśl, a to zaniechaj, jeżeli ci buchańca oberwać niemiło. Gwałt zrobię, nie jestem od tego; ale zdrada, to nie moja rzecz.

— Pan bo chce razem i chytrować i być szczerym, a tu jednego trzeba się trzymać: kiedy pan taki szkrupulat, wróćmy do pierwszego. Tylko co nie widać sasanowieckiej karczmy traktowej; wszakci to piąta godzina jak jednym tchem kłusujem, — wartoby popaść koniaki. Z tej karczmy do Niewodowa mil pięć, do Szykutowicz półpiątej;

popasłszy w karczmie, trzeba nam zajechać na noc do Szykutowicz, i tam ściągnąć pana wojskiego.

— Co tak to ale Skołubusiu, jak tylko staniemy w karczmie, najmę konia jakiego u arendarza, i ciebie na nim wyprawię do Niewodowa z listem do pana Michała, a sam będę na was czekał u pana Mateusza.

— Co się panu dzieje? mnie się teraz ani pokazywać w Niewodowie. Znają mnie tam jak złego szeląga, zaraz się czegoś domyślą. Icko Wołoszyn arendarz nam dobrze znany, a do tego minister: pan napiszesz kilka słów, a Icko wyprawi posłańca, że interes ważny, on zięcia swojego wyprawi, a to taki sprytny, że djabła samego przeda, odkupi, i drugi raz przeda. Obaczy pan, że będziemy mieli tej nocy rezolucją w Szykutowiczach.

— Niech i tak będzie, napiszę parę słów do pana Michała. Jak przeczyta, że z rozkazu księcia wojewody czekam na niego u pana Mateusza, a na liście z góry wyczyta te słowa: — t i b i s o l i — wielkiemi literami, to natychmiast s u b s e c r e t o do nas się wysunie, a jak się obaczym, będzie rozprawa niepospolita.

Po tej wojenno-dyplomatycznej konferencji między panem a sługą, obaj utonęli w morzu zadumań nad jednym i tymże samym przedmiotem, kiedy przed ich oczyma stanęła karczma zapowiedziana od Skołuby, a niecierpliwie wyglądana od woźnicy i od koni dobrze potem oblanych, pomimo mrozu żwawego, zaprawionego kolącym wiatrem. Wtem Skołuba krzyknął raptownie:

— Wszelki duch pana BOGA chwali! mowa o wilku, a otoż i wilk. Wszak to sanie pana wojskiego stoją przed karczmą, oto jego siwosrokate konie i Grzesio z niemi; nieinaczej, pan wojski musi być w gospodzie, więc niema potrzeby listu do niego posyłać. Zajeżdżaj prosto w sieni. — Pan Wazgird skoczywszy z sani jakby z procy, wszedł do izby, i tam zastawszy siedzącego na zydlu pana wojskiego, rzucił się w jego objęcia. Może ktoby myślał, że był wielce uradowany z tego spotkania, i bez wątpienia był rad; ale to pewna, że czuł jakąś niespokojność w sercu, gdy tuż zbliżała się pora ważnych objawień, a pan Wazgird nie wiedział od czego zacząć, i jak zaczynać; bo chociaż przez cały dzień do tego się gotował, jak go obaczył, pokazało się, że wcale nie był przygotowany. Po przywitaniu zaczął z nim dyskurs, ale tak przerywany, wyrazy tak się z sobą nie kleiły, że wojski z zadziwieniem widząc jakby pomieszanie w człowieku niełatwym do zmieszania się, nie mógł mu nie powiedzieć:

— A co się Wpanu stało, panie Janie? Pleciesz jakieś koszałki opałki, że jedno drugiego się nie trzyma; prawdziwie Wpana nie pojmuję.

Pan Wazgird pogłaskawszy sobie czuprynę, i nakręciwszy wąsa, na taki się zdobył koncept: — Takem zziąbł i zmęczył się podróżą, że do siebie przyjść nie mogę, a mam ci do komunikowania niesłychanie ważne rzeczy. Panie Michale, przenocujmy tu, a jak się ogrzeję i rozgoszczę, z wszystkiego gładko się objaśnię.

— Cóż to za nowy koncept, panie Janie? Ja mam w karczmie nocować, kiedy jeszcze wieczór się nie zaczął, a przez całą noc prawie księżyc świeci? Ja choć późną nocą muszę stanąć w Nieświeżu, wytłumaczyć się przed księciem panem z mojego opóźnienia, a może mi wypadnie szukać go w Nalibokach.

— Ba, ba, ba! Wpan widzę siedziałeś za górami, że nie wiesz co się dziś święci w Nieświeżu. Książę o świcie wyruszył wierzchem aż na Ukrainę, gdzie pod powagą turecką ma stanąć konfederacja, a na samem odjezdnem do Wpana mnie wyprawił, a z czem, o tem się wkrótce dowiesz.

— Jezus Marja! co Wpan mówisz?

— A ha! czy na tem koniec? Senatorów porwano w Warszawie i wywieziono BÓG święty wie dokąd; na swoją biedę spotkali ich Koryzna i Węcławowicz. Konfederacja radomska w łeb wzięła, jakby jej nie było; na wołowej skórze nie napisać tego wszystkiego co ci powiem. No, no, bez ceremonji, każ wnieść swój tłumok: jak nam pościelą, s e m o t i s a r b i t r i s zabiorę głos. Nie mamy czasu do tracenia! Hola Icku! żeby sanie pana wojskiego do sieni wciągnąć, a usługa niech piorunem porządek zrobi w izbie; naszym koniom owsa dosypuj, ile w gardło wlezie; siana dla nas dwóch do izby każ wnieść, a na niem niech nam pościelą.

Pan wojski siedział zdumiony, a pan Wazgird, przybrawszy rolę gospodarza, krzyczał to na Żyda, to na sług, a to wszystko dla zobojętnienia niespokojności, która go trapiła. Jeżeli użyć można tego

wyrazu, nastrajał siebie do tych objawień, któremi wkrótce miał rozedrzeć serce przyjaciela; a pan wojski, obojętnie patrząc na rozporządzenia pana Wazgirda, czekał tylko z upragnieniem chwili, w której się z nim doczeka porządniejszej rozmowy: ten zaś bez przestanku się szwędał po izbie gościnnej, szynkowni i stajni, póki słudzy nie roztaszowali się w izbie i pościeli nie przygotowali. Zapalono na kominie, pan Wazgird usiadł koło wojskiego, ale znowu powstał raptownie, i drzwi otworzywszy: — Skołubo! — krzyknął — odegrzej-no bigos co go z sobą mamy, i powiedz Ickowi, żeby nam półgarca miodu wytoczył. Wszak prawda, panie Michale? na sucho źle się rozprawia, a miodek b i b i l i s.

— Dobrze, dobrze, ja Wpanu placu dotrzymam; ale dla miłości BOGA zaczynaj, bo mnie trzymasz jak na szpilkach.

— Poczekaj, n e m o s a p i e n s n i s i p a t i e n s, jako mawiał nasz regens w konwikcie, ojciec Haraburda; pamiętasz, panie Michale? Ja zacznę mówić i jeszcze e x p u b l i c i s, a tu arendarz zacznie dzwonić lampeczkami; otoż przerwa, znowu zaczynaj a capite! Ale jak wszystko będzie gotowe, buty nam pościągają, a kurtki podróżne ustąpią miejsca chałatom, obaczysz, że mój język jednym tchem dójdzie do mety.

— Święta z tobą cierpliwość, panie Janie. Niechże i tak będzie, azaliż nie doczekam się jakiegoś końca. — Przyszedł Icko z miodem, Skołuba zastawił stół bigosem, któremu niepospolite świadectwo przyniosły zgłodniałe żołądki naszych po-

dróżnych, a potem obaj przyjaciele rozebrawszy się, i zasiadłszy przy gościnnym miodku, wzięli się do dyskursu, ile że pan Wazgird nie zaniedbał obwarować izby zasunięciem rygla. Nim się miodek wypróżnił, już pan wojski był świadom o wszystkich szczegółach, tyczących się dostojnych jeńców wywiezionych, o zamiarach księcia wojewody i panów rady z nim wspólnie działających, a nakoniec dodał pan Wazgird:

— Z Wpana łaski, panie Michale, nie towarzyszę księciu panu w jego podróży. Mojego Skołubę ledwo djabli nie biorą ze złości, że to mi się nie udało, bo szczerze tego się napierałem, ale książę wiedząc o naszych związkach i że się wkrótce spokrewnić mamy, wyprawił mnie do Wpana z rozkazem, a wiesz, że on jest regimentarzem generalnym konfederacji obojga narodów; to nie piechotą chodzi. Otoż rozkaz jest, żebyś pana starostę wieluńskiego porwał i sub secreto zawiózł do Łachwy, a ja Wpanu asystuję ze wszystkiem, co do tego może być potrzebnem; ale zrób to chytrze, mądrze, niby go do Warszawy chcesz odprowadzić, żeby się nie domyślił, że na Łachwę jedzie, a mu tam źle nie będzie, dalibóg! Rzecz o to tylko chodzi, żeby było z czem potargować się z panem stolnikiem litewskim, azaliż za niego nie odda naszych senatorów. Co na to powiesz, panie Michale?

— Panie Janie, mój brat wybierał się przed kilku tygodniami do Warszawy, i tylko na usilne prośby i moje i generała dzień jeden jeszcze miał się zatrzymać w Niewodowie; jeżeli swój pobyt prze-

dłużył, to z wypadku, co go omal życiem nie przypłacił, wypadku o którym tyle tylko wiem dotąd, żem widział bez przytomności, krwią własną oblanego. Do ciebie się odwołuję, czy mi się godzi, sromocąc dom przyszłego teścia, taką zdradę wyrządzać starszemu bratu? zapytuję ciebie, panie Janie, czy to jest rzecz godziwa?

— Przeciw temu nic nie powiem, panie Michale. Ale jakkolwiek bądź, regimentarz generalny tobie tak każe; rozkaz spełnić trzeba, a choćby i było w nim cóś niedobrego, o czem nie jestem przekonany, ale pozwólmy, że tak jest, to niech się wstydzi ten co rozkazuje, a nie ten co rozkaz spełnia; bo jakażby to była konfederacja bez posłuszeństwa?

— Powiedzże, panie Janie, jak uczciwy człowiek, czy na to wyraźny książę mnie dał rozkaz? mnie samemu?

— A jużci nieinaczej.

— Dajże mi na to słowo szlacheckie.

— Tać to Bogiem a prawdą, rozkaz nie był tobie dany w całej rozciągłości tego wyrazu. Rozkaz mnie był dany, ale kiedy księciu oświadczyłem, że się tobie zwierzę, on mi nie powiedział nie rób tego; jeżeli więc nie zganił, tem samem rachuje na ciebie. Pomówmy po ludzku! Pan starosta jest pierwszym zausznikiem tego, coby rad Rzeczpospolitę w łyżce wody utopić; kraj, to wielka rzecz, tyś bratem, ale i obywatelem. Wszak nas uczono w konwikcie, jakto w świętem państwie rzymskiem i syn i ojciec na bok, kiedy o Rzym chodziło;

ty to lepiej wiesz ode mnie, bo jam się tego uczył pod batogiem, a ty z ochoty. A tu nie ojciec, jeno brat — nie puginał, ale koza. Opamiętaj się, panie Michale, a te dziecinne szkrupuły połóż pod piętę. W zwyczajnych czasach jużby one były przesadzone, a cóż dopiero w czasach konfederacji. Panie wojski! powiedz mi, jeżeli BOGA miłujesz, że mam słuszność.

— Próżne słowa, panie Janie, nietylko że w tej zdradzie działać nie będę, ale o mil kilka go przeprowadzę, i będę go bronił na wypadek napadu więcej niż samego siebie, chociażbym go miał bronić przeciw Wpanu samemu; potem zostawię go, a gdzie, tego się ode mnie nie dowiecie, i pójdę krajowi służyć, ale nie takim sposobem. A wy, jeżeli go beze mnie gdzie znajdziecie, róbcie co chcecie, bylem ja do tego nie należał. Ja miałbym podstępem imać brata, polegającego na mojej poczciwości! Ja miałbym zdradzać, być Kaimem, i jeszcze z własnego domysłu, bo Wpan sam przyznajesz, że na to nie mam wyraźnego rozkazu. A przez rany Chrystusa, jak Wpan śmiesz do tego mnie nakłaniać! Wpan BOGA się nie boisz! To nie chrześcijańska, nie szlachecka rzecz; jeżeli mam cokolwiek łaski, proszę mi o tem więcej nie mówić.

— Otoż masz! za moje dobro jeszcze mnie zburczał, a to osobliwszy człowiek! No, panie Michale, kiedy widzę waszeci tak zaciętym, to jak ci powiem jedną rzecz, spodziewam się, że będziesz łatwiejszym do interesu.

— Nigdy!

— Obaczemy!

— Słucham, bo wiem, że nic gorszego mi nie powiesz nad to, com dopiero słyszał.

Tu się zerwał z miejsca pan Wazgird, drzwi otworzył i krzyknął: — Icko! jeszcze kwartę miodu.

— Co Wpanu się dzieje? — odezwał się pan wojski. — Czy mnie nie chcesz czasem upoić, panie Janie, żeby pijanego na słowo wyciągnąć? Już ja więcej pić nie będę.

— Będziesz pił, będziesz. Cóś mnie burczy w żołądku po kapuście, a ty wiesz, że omnetrinum perfectum; jakem sodalis, sam powiem, że będzie z nas. A ja ci odkryję cóś takiego, że jeżeli masz rozum, o czem nie wątpię, to mnie za to podziękujesz. — Przyniesiono miód, pan Jan powtórnie drzwi zarygiował, nalał dwie szklanki i powiedział: — No, panie Michale, zdrowie twojej bogdanki, a my kochajmy się! A widzisz, że przed tem zdrowiem się nie cofasz? Co tak, to ale! — Poczem zbliżywszy się do wojskiego, wyciągnął ramię swoje, i oparłszy się na jego ramieniu, te słowa powiedział: — Michale, kolego szkolny, obozowy i sejmikowy, przyjacielu omal nie trzydziestoletni, ty wiesz, że ciebie kocham. W imię naszej starej przyjaźni zaklinam ciebie, byś mnie słuchał cierpliwie; tylko nie zżymaj się. Dopiero zadrasnąłeś mnie, a ja, że ciebie kocham, to puściłem mimo siebie; a jak mnie znowu ofukniesz, cóż ci z tego przybędzie, że mnie zniecierpliwisz? czyż już nie mamy z kim innym, żebyśmy aż z sobą zwady szukali? Michale, ty z przyrodzenia jesteś cunctator; dajże mi na to rękę,

że będziesz bezstronnym, jakim być powinien sędzia, chociażby we własnej sprawie; że się nie będziesz uprzedzał ani za jedną, ani za drugą stroną; że się nie będziesz zżymał, ani mnie ofukiwał, ale że cierpliwie mnie do końca wysłuchasz. Dajże mi na to rękę.

— Oto masz ją, Jasiu drogi! BÓG widzi, że polegam na twojej przyjaźni, na twojej uczciwości, wszakżeśmy nie dziś i nie wczoraj się poznali; mów, wyprowadź mnie z niespokojności, słucham.

— Mam twoją rękę, śmiało więc mówić będę. Słuchaj! wiesz, kto pana starostę skaleczył?

— Kto? !

— Ja, ja, i nietylko że się tego nie wstydzę, ale tego żałuję, żem go nie zabił. Nie zrywaj się, Michale! Mam twoje słowo, że spokojnie słuchać będziesz. Pan starosta wieluński sam wyzna, że wszystko się odbyło uczciwie i prawie, a że wygrana była przy mnie, to ani mojej odwadze, ani mojej zręczności nie przypisuję. Zostałem zwycięzcą, bo stanąłem w dobrej sprawie, bo tak byłem czystym na sumieniu, że na armaty poszedłbym spokojnie; ale pan starosta tego o sobie nie powie. Wie o tem twoja narzeczona, bo ja na odjezdnem z Niewodowa jej się przyznałem, i nie bez przyczyny.

— Ach, panie Janie, czemże się tobie Ludwik naraził? jakiż miałeś powód nastawać na życie rodzonego brata, twojego najgorliwszego przyjaciela?

— Jaki powód?! oto ten, że on ciebie zdradza, że zapomniawszy o BOGU, że niepamiętny na twoje dobrodziejstwa, gotuje ci hańbę; ty jego

zaufania nie chcesz zawodzić dla ojczyzny, a on twoje sromotnie depce dla miłostki. On twoją Zosię kocha, a co więcej, już ją zbałamucił; teraz rozumiesz, dlaczego szukałem z nim zaczepki?

— To być nie może, panie Janie! to jest potwarz rzucona na mojego brata i na twoją siostrę; temu wierzyć nie mogę! Panie Janie, na BOGA ciebie zaklinam, nie rób sobie igraszki z mojej duszy, ze sławy mojej przyszłej żony; to nie jest, to być nie może, ja z nimi ciągle byłem w Niewodowie, nic takiego przede mnąby się nie ukryło.

— Panie Michale, ty, mój wuj i może księża są ślepi, ale cały Niewodów wie o tem, i o tem mówi. Ale czy tylko Niewodów? cała Alba, cała Litwa to widzi. Twoi przyjaciele od pierwszego do ostatniego to wiedzą i ubolewają nad tobą, a żaden z nich oczu tobie otworzyć nie śmie. Ja śmielszy od innych; bo nareście, sława mojej siostry jest moją sławą; odważyłem się prawdę odkryć przed tobą.

— Wam tak się zdaje, ale to być nie może! Jakże brat podobną myśl mógłby przypuścić? Przekonaj mnie, panie Janie, skąd ty to wiesz? kto ci o tem pierwszy powiedział?

— Ach, panie Michale, co ci mam mówić kto powiedział? Pytaj, kto nie powiedział; ja staję przed tobą jako delator, a ty przekonaj się, czy jestem prawym, czy potwarcą. Byleś chciał, nic łatwiejszego. W Niewodowie bawi pani kasztelanowa Wejherowa, oddawna z panem starostą pokumana; dziś ona wszystko prowadzi, kto wie, jak daleko rzeczy już zaszły. Nie pierwszy raz

tobie inkwizycje ciągnąć; nie wierz mi, zapytaj ludzi; co to ludzi? oprócz generała, kto żyw ściśnij go, a usłyszysz co śpiewać będzie. Panie Michale, czy możesz przypuścić, żebym ciebie baśnią chciał turbować, dla BOGA żywego! rzucić podejrzenie na cioteczno-rodzoną siostrę, brata narażać na impet brata? To nie to co powiedzieć, że u niedźwiedzia długi ogon; to nie żarty, panie Michale. Wszak ja katolik panie; jeżeli ci to mówię, to nie bez fundamentu.

— Panie Janie, ty mówisz szczerze, bo mówisz co wierzysz, bo to ci powiedziano; ale któż się ustrzeże od złośliwych języków? Małoż mój brat ma nieprzyjaciół? Jednak jak sobie niektóre okoliczności przypominam... ale nie, to być nie może, temu nie uwierzę, aż własnemi oczyma się przekonam.

— Zgoda, panie Michale. Ja chociaż to co ci mówię, gotów jestem juramentem ewinkować, nie domagam się u ciebie ślepej wiary. Przekonaj się; ale jak się przekonasz, spodziewam się, że nam dopiszesz, i że nam pomożesz zabrać winowajcę. Jutro przed świtem pojedziemy do pana Mateusza Gieczewicza; stamtąd, upatrzywszy porę, cichaczem puść się do Niewodowa, byle tylko ciebie kasztelanowa nie spodjazdowała. Ty masz doświadczenie, wiesz jak nici w kłębek się zwijają, a ja ci dodam Skołubę; ty go znasz, wiesz jaki z niego majster.

— Zrobię co każesz, ale nie w innym celu, tylko żeby ciebie przekonać o niewinności dwóch istot tak dla mnie drogich. Bo to być nie może, to

jest piekielna potwarz, w którą daliście siebie uwikłać; dobranoc, panie Janie, takiego klina w głowę mnie zabiłeś, że aż poty zimne na mnie uderzają. Daj mi odpocząć, niech Panu BOGU się pomodlę, żeby mnie natchnął i oświecił, a jutro jadę z tobą gdzie każesz. Ale słuchaj, panie Janie! jeżeli przez zapał obywatelski, na to tylko pobudzasz podejrzenia moje, ażebym ci pomagał w zamiarze, jaki masz przeciw mojemu bratu, sumienie swoje nadwerężając, chociażby dla dobra kraju, BÓG ciebie za to ciężko skarze; pamiętaj!

— I owszem, i owszem, jeżeli nieprawdę mówię, niech mnie ukarze, sam tego żądam. Wiesz dobrze, panie Michale, że nigdy nie byłem łapczywym do pióra; dlatego też do palestry nie poszedłem, i z prawa tyle tylko się wie, ile to tu, to tam się nachwytało, a jednak własną ręką napiszę na siebie sponsją taką, że jeżeli to co ci powiedziałem nie jest prawdą, to domagam się u Pana BOGA żeby na sądnym dniu postawił mnie między kozłami, a póki żyję, żeby mnie mieli za podłego; i to dopiszę, że moja wola, jak umrę a położą mnie na katafalku, żeby zamiast obrazka to własnoręczne moje pismo włożono mnie w ręce. Już ci więcej nic powiedzieć nie mogę; masz rozum, módl się i ruminuj, a ja krótko się pomodliwszy, bo nie uwierzysz, jak mnie ta rozmowa nasza zmęczyła, położę się, ile że jutro przed świtem wyruszyć nam trzeba. Dobrej nocy życzę Wpanu, panie Michale, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

III.

Katastrofa.

Obaczmy co się dnia następnego działo w Niewodowie. Już pan starosta był odzyskał zdrowie, jakkolwiek bladość pozostała zachowywała jeszcze ślady odbytych cierpień; nietylko, że się przechadzał po dziedzińcu, ale już nawet od kilku dni po godzinie i więcej śpiewał z Zosią, i napawał się pochwałami kasztelanowej i domowych niewodowskich, a jeszcze więcej postępami pojętnej uczennicy. Czuł dobrze, że trzeba mu było oddawna wracać do Warszawy, ale przykuty sercem do ścian szlacheckiego domu, nie miał dość odwagi, żeby myśl swoją nad tą potrzebą zatrzymywać, ile że ani gospodarz, ani żaden z gości i domowników tego mu nie przypominali. Wszakże w smutnych zamyśleniach, niezbędność wyjazdu często przelotnie przed nim się nasuwała: kasztelanowa odebrała była listy, między niemi był jeden do starosty, więcej niż wszystkie te, które dotąd był odebrał, naglący jego powrót; ale hart jego duszy już tak był zardzewiał, że go dość obojętnie przeczytał. Gdy po obiedzie zebrało się towarzystwo w bawialnym pokoju, pan Buńczukiewicz zbliżył się do generała, i wręczył mu list przez umyślnego

dopiero przywieziony; od kogo, nikt tego nie wiedział, ale można było poznać, że w nim musiało być coś ważnego, bo generał nałożywszy okulary, ledwo jedną stronnicę wyczytał, zerwał się z oznakami wielkiej niespokojności, i mrugnąwszy na Buńczukiewicza, z nim razem wyniósł się do swojej kancelarji.

Po odejściu generała, łowczanka zagaiła rozmowę: — Uważałeś ojcze Kleofasie, że braciszek cóś nadzwyczajnego musiał odebrać, bo jak oparzony zerwał się z krzesła.

— Uważałem to bardzo dobrze — odpowiedział bernach — ale będziemy o tem wiedzieli, bo nic się długo nie utai. Żyjemy w takich czasach, że co chwila to cóś nowego; a na głowie JW generała wszystko się opiera. Wszelako, jak mi się zdaje, musi to być cóś ex publicis, bo widzę jak na dłoni, że lada dzień będzie jakieś zamieszanie w kraju.

— Skądże ta smutna wieszczba? — rzekł ksiądz Prosper, mieszając się do dyskursu.

— Skąd — odparł ojciec Kleofas — oto śmiejcie się państwo ze mnie; tej nocy śniło mi się, że zabierając się do mszy świętej, mszału nie mogłem znaleźć na ołtarzu. Wtem się ocknąłem, ale tak zatrwożony, że aż poty na mnie biły: wykrzesałem ognia, zapaliłem stoczek, była druga po północy, nie mogłem wody się napić, bo za kilka godzin trzeba mi było wyjść ze mszą, ale wziąłem mój brewjarz, otworzywszy go na los szczęścia. Pierwsza rzecz com napotkał był ten psalm: Quare fremuerunt gentes? Powiedzia-

łem sobie: Oj! to cóś niedobrego zwiastuje! — i zacząłem się modlić.

— To jak widzę — na to ksiądz Prosper — ojciec Kleofas w sny wierzy, i używa brewjarza jak to niegdyś sortes virgilianae do badania przyszłości; winszuję, ale nie zazdroszczę.

— Sen mara, a BÓG wiara — odparł ojciec Kleofas — któż o tem wątpi, księże kanoniku? Jednak i temu trudno zaprzeczyć, że czasem BÓG z miłosierdzia swojego niegodnym sługom we śnie zsyła przestrogi; mamy na to powagę Pisma świętego.

— O tak, przestroga była bardzo jasna, że mszał zniknął z ołtarza.

— A jużci, to dowodzi jakieś zamieszanie; wszakże i to co brewjarz powiedział, tego w kąt rzucić nie można.

— Ach, ojcze Kleofasie — odezwała się znowu łowczanka — przypominam sobie, że onegdaj we śnie widziałem cały nasz dom w ogniu. Nazajutrz chciałam to waszeci opowiedzieć, ale przy rozmaitych turbacjach, to mi jakoś wyszło z głowy. Buńczukiewiczowa mówi, że ogień znaczy gości, ale jak mnie się widzi, że to cóś gorszego.

— Otoż to skutek waszych dykteryjek, ojcze Kleofasie — odrzekł ksiądz Prosper — że waszeć na wróżbitę kieruja.

— Ja to co mówię — odparł bernardyn — nie daję za artykuł wiary, broń BOŻE! Mówię, że mój sen może być przestrogą, lub może nią nie być. Wszakże ksiądz kanonik dobrodziej mówisz, że kiedy ma nastąpić zmiana aury, to o tem zgóry

wiesz, bo go nerwy ciągną; jeżeli więc ciało przeczuwa przyszłość w fizycznym porządku, dlaczegożby dusza nie miała przeczuwać rzeczy do niej stosowne?

— Nic łatwiejszego, jak zabobon utwierdzić jakiemś pozornem rozumowaniem, zwłaszcza tam, gdzie do zabobonów już i tak wiele skłonności. Szkoda, ojcze Kleofasie, że jak się wziąłeś do brewjarza, dalej się w nim nie rozczytałeś; możebyś doszedł do słów świętego Piotra: A veritate avertunt, ad fabulas autem convertuntur.

— Gratias tibi, illustre domine, za przytoczenie tak pięknej sentencji; choć stary, będę się starał korzystać z nauki; ale nie żebym się kwitował, tylko żeby i swoje trzy grosze dodać, przytoczę aksjomat w Kościele Bożym powtarzany: In dubium libertas, in fide veritas, in omni charitas.

— Dubium, dubium — odparł ksiądz Prosper — cała rzecz w tem, czy tu jest dubium.

Tu przerwał rozmowę generał, który, co mu się nigdy nie zdarzało, wszedł ledwo że nie z trzaskiem, i tak był poruszony, że wszyscy się zdziwili.

— Straszne rzeczy — odezwał się — straszne rzeczy. Pięknie się popisał Wpana dobrodzieja król, mości starosto; odbieram właśnie wiadomość o godnej jego sprawie. Oto kazał porwać dwóch biskupów, hetmana i posła, i pod strażą ich wywieźć. Nie godziło się królowi elekcyjnemu tak postąpić, mości starosto dobrodzieju, bo w kon-

stytucji dotrzymanie przez obranego króla obowiązków w Pactach Conventach objętych, jest nam wyraźnie zabezpieczone, a tam stoi, że bez sądu szlachcica nie można imać, i że immunitates ecclesiae, jakie są w statucie Aleksandra, będą dochowane.

— Mości generale — odezwał się starosta — tu cóś się innego pokaże; nie mogę przypuścić, by król był winnym. Wszystko mu prędzej wyrzucić można, niż gwałtowność.

A kasztelanowa: — Ja trzymam z starostą; wszakże ja znam króla, tak jak siebie samą; on miękkiego serca jak kobieta, on w życiu nikomu przykrego słowa nie powiedział, a dopiero taką krzywdę miałby godnym ludziom wyrządzać! obaczy wujaszek, że tu się pokaże egzageracja.

— A co mnie Wpaństwo chcecie z rozumu wyprowadzić! Cóż to, ja chłystek, żebym lada czemu wierzył; jak wół stoi w tem co do mnie piszą, że bezprawie nad bezprawiami zrobiło się w Warszawie, i że zaraz po jego spełnieniu sejmujące stany się rozjechały; ten co to pisze, w życiu swojem dla żartu nie skłamał, i nie skłamie choćby mu za to pieczęć litewską dawano, taki z niego twardy katolik. A tu się rozwodzą nad miękkością serca pana stolnika; mówią, że on łagodny jak baba! Niby to baba złego napłatać nie potrafi! Mości starosto dobrodzieju, BÓG świadek, że mam za szczęście i za zaszczyt jego pobyt w moim domu, ale już go teraz zatrzymywać nie śmiem. Wokoło nas wszystko kipi, gotowi na mój domek napaść, żeby panu staroście, jako przyja-

cielowi tamtej strony krzywdę wyrządzić; i to co mówię, nie mówię bez fundamentu; chociaż na wszelki wypadek ja stanę w obronie mego szanownego gościa, jego krzywda jest moją krzywdą, a ja, póki stanie siły, nie dam siebie pokrzywdzić, chociażby mi dom mieli spalić!

— Niech pan generał będzie spokojny — odezwał się starosta — dom jego będzie cały, a niech tylko nie myśli o mojej obronie. Jeżeli kto przybędzie żeby mnie szukać, postaram się sam, żeby mnie znalazł; ani przed przyjacielem, ani przed wrogiem nie mam zwyczaju się skrywać.

— Nie, nie, tak nie będzie! — na to generał — Mój Buńczukiewicz późną nocą wywiezie pana starostę manowcami; tylko na każdy wypadek niech pan starosta weźmie na siebie moją lisiurę, i dobrze moją czapkę nasunie na uszy.

— A ja — odezwał się bernardyn — co innego poradzę. Ofiaruję Jaśnie Wielmożnemu panu mój habit bernardyński, s c i e n d u m tedy, że u nas wszędzie i zawsze pod kapturem bezpiecznie.

— Bardzo państwu dziękuję — odrzekł starosta z dumnym uśmiechem — za te dowody ich życzliwości, ale ja kłamać nie umiem. Jakim jestem, takim się pokazuję, i ani mową, ani odzieżą nie przybiorę obcej dla mnie postaci.

— Tać toby nie było zupełnem kłamstwem, JW. panie, gdybyś raczył użyć mojego habitu; wszakże zakon, którego JW pan jesteś komadorem, trzyma się naszej reguły.

— To napróżno — odezwała się kasztelanowa — do tego nie namówicie starostę; znam

starostę i hardość jego duszy. Ale ja wszystko na siebie biorę. Widzisz, wujaszku drogi, że i mnie tu dłużej nie siedzieć; dziś jeszcze pana starostę wyprawię, a w kilka godzin po nim i ja pojadę — spodziewam się, że z kobietą Albeńczycy wojować nie będą. Niech się wujaszek na mnie spuści; i starostę i siebie wywiozę bez szkody, a dom wujaszka i od niebezpieczeństwa i od hańby uchowam. Tylko proszę wujaszka, żeby nam żadnej straży nie dodawać; taby nam nie pomogła, a tylko podejrzenieby ściągnęła, ale żeby mi nikt się nie sprzeciwiał.

— A któżby ci się sprzeciwiał, siostrzanko kasztelanowo? Wierny, że kiedy sobie co uroisz, musisz tego dokonać; rób co chcesz, nikt ci słówka nie wtrąci; rozkazuj, a wszędzie posłuszeństwo znajdziesz. Jeszcze takiego trzeba nieszczęścia, że pan Michał właśnie wyjechał wczoraj; ale kto się tego mógł spodziewać?

Starosta na to wszystko zdawał się być obojętnym, siedział zamyślony, nie mieszając się do dyskursu. A Zosia! Zosia?! — trzeba było tak być zaślepionym jak generał i księża, żeby nie wyczytać z jej twarzy, co się w jej duszy działo.

Kasztelanowa ułożywszy plan, wykonała go z przezornością kobiety wprawnej do intryg wszelkiego rodzaju, i wykonała go tem łatwiej, że i generał i starosta we wszystkiem byli jej posłuszni — pierwszy powodowany wiarą w jej rozum, drugi obojętnością dla wszystkiego, co się do jego osoby odnosiło.

Wkrótce po tej rozmowie ekwipaż starosty zajechał przed ganek. Starosta ze wszystkimi czule się pożegnawszy, siadł do karety, ale wedle umówionego planu zajechawszy przed chałupę ogrodnika, z niej się wysunął i przez furtę ogrodową przeprowadzonym został do tej części domu, gdzie mieszkały kobiety. I kiedy na wsi i we dworze myślano, że już pan starosta na wielkim gościńcu, jego ludzie dążyli ku Lidzie, a on sam w pokoju kobiecym oczekiwał chwili, kiedy się miał po raz ostatni żegnać z osobą którą kochał, i której wzajemności był pewnym. Dopiero o samej północy miał razem z kasztelanową wyjechać.

Kto kochał i był kochanym, ten łatwo pojmie, co się z nim dziać musiało, kiedy w samotności oglądał sprzęty, napiętnowane pamięcią Zosi. Siedział zatopiony w marzeniach, lub chodził kroki szybkiemi po siedlisku istoty, która już owładała wszystkie zdolności jego duszy. Czasem łzy kipiące wylewał, czasem jakiś promyk nadziei przed nim zabłysnął; skołatany namiętnością, o jakiej dotąd wyobrażenia nie miał, cóż go oprócz Zosi obchodzić mogło? — Brat, obowiązki, sumienie, nic już do niego nie przemawiało, a niebezpieczeństwa które go otaczały, ani przelotnie nawet jego uwagi ku sobie nie zwracały. Oczekiwał z niecierpliwością gorączkową chwili, w której jeszcze raz miał oglądać Zosię. Całkowite jego jestestwo było uwiązane do tej chwili, poza którą nie umiał, nie chciał nic przewidywać.

Już dziesiąta uderzyła, kiedy weszła kasztelanowa z Zosią i łowczanką; jeszcze więc pozo-

stawało dwie godzin, w których Ludwik mógł oglądać, mógł rozmawiać z władczynią myśli swoich.

— Przyznaj, Ludwiku — odezwała się kasztelanowa — że umiem chodzić koło interesów. Oświadczyłam, że jutro o piątej zrana wyjeżdżam; uprosiłam nawet ojca Kleofasa, żeby o czwartej wyszedł ze mszą, bo z BOGIEM pragnę każde moje przedsiewzięcie rozpoczynać. Będzie jutro czekał ksiądz wiatra w polu, bo za furtą ogrodową przed samą północą, będzie moja kareta we wszelkiej gotowości, a my przez ogród do niej trafiemy. Teraz odprowadzę ciocię łowczankę do jej łóżka, bo ciocia zmęczona twoim frasunkiem, Zosiu, i przyporuczę jej żeby po naszym wyjeździe ciebie jak może pocieszała. Jak tylko ciocię uśpię, powracam do was, by dowiedzieć się o czem wy z sobą mówili.

Zofja i Ludwik zostawszy sami:

— Zofjo! — zaczął Ludwik — czyż już nic do ciebie nie przemawia? Czy w chwili rozstania się ze mną na zawsze nie masz mi nic do powiedzenia?

— Cóż ci powiem, Ludwiku, o czembyś już dawno nie wiedział? Cóż ci mogę innego powiedzieć, jak tylko, że jestem nieszczęśliwa.

— Nie, Zofjo, to co cierpisz jest niczem; ty się litujesz nade mną, dusza twoja anielska nie może patrzeć na moje katusze bez jakiegoś udziału w moich cierpieniach. Ale cóż za porównanie z tem, co się dzieje we mnie? Czemże jest litość obok miłości, i takiej miłości?

— Ludwiku, cóż ci przyjdzie z tego, że ci powtórzę to, cobym życiem rada okupić, a co ci jednak tyle razy powtarzałam: — kocham ciebie nad wszystko, ty wiesz o tem — przy naszem rozstaniu, po raz ostatni jeszcze ci to powtarzam, ale to wyznanie w niczem nie odmieni mojego przeznaczenia. Nie myśl, bym nie czuła, że tem wyznaniem okrywam się hańbą przed tobą samym, ale jednak w niej się nie zanurzę tak, żebym aż miała zapomnieć com winna BOGU, ojcu, samej sobie. Bądź szczęśliwym Ludwiku, zapomnij o mnie.

— Ja miałbym ciebie zapomnieć, kiedy twój obraz w mojem sercu wyryty już został najszlachetniejszą cześcią mojego jestestwa! jabym się oddalał, kiedy ty mnie żadnej nadziei nie zostawujesz! jabym się oddalał, wiedząc, że jesteś nieszczęśliwą, że wkrótce będziesz we władzy tego, którego nienawidzisz, wiedząc, że każdą myśl o mnie, nawet przelotną wyrzucać sobie będziesz jako zbrodnię! Ach! tysiąc śmierci wolałbym ponieść! Zofjo, zaklinam ciebie, miej litość i nade mną i nad sobą! Powiedz mi, że twoje połączenie z Michałem nie jest pewne, zostaw mi jakąkolwiek nadzieję!

— Bądź szlachetnym, Ludwiku, bierz przykład z biednej dziewczyny! Wszystko poświęcam powinności, ale BÓG na mnie patrzy; czy myślisz, że wyzucie siebie ze szczęścia, ze swojego jestestwa dla ocalenia sumienia, nie zasługuje na jego nagrodę? Pośrzód nocy bezsennych we łzach przepędzonych, czasem takie marzenie kołysze duszę moją — myślę, że BÓG wymaga ode mnie

tej ciężkiej, tej krwawej ofiary, ale po jej spełnieniu, albo jakimś cudem uspokoi duszę moją, albo ją zabierze do chwały swojej; tę myśl przyjmuję za natchnienie.

— Więc po moim wyjeździe zostaniesz żoną Michała, i ty to możesz przede mną wyrzec?

— Nie inaczej; żebym się sprzeciwiła woli ojca, żebym się zaparła słowa przez niego danego, ojciecby tego nie przeżył, a jego przekleństwo ścigałoby mnie nawet poza grobem; nie Ludwiku, siebie samą poświęcę, ale nie powinność moją.

— Zofjo! powiedz, że będziesz moją, że dobrowolnie nie chcesz być dla mnie na zawsze straconą, a wszystko da się przerobić. Króla, prawa, gwałtu, wszystkiego użyję, żeby ciebie otrzymać; ale nie! tyś mnie nigdy nie kochała! — gdybyś nie była obojętną na to wszystko co cierpię, nie odbierałabyś mi nadziei.

— Jakąż nadzieję dać ci mogę?

— Słuchaj, Zofjo, ty mnie jeszcze nie znasz! Daj mi tylko nadzieję, że twoje serce mnie się nie zaprze, a będziemy razem jeden dla drugiego żyli; ja się wydalę, lecz za dni kilka powrócę — wpadnę, ciebie porwę, a wszyscy wasi Albeńczyki nie zdołają wydrzeć ciebie z rąk moich: ojciec tobie przebaczy jako ofiarze gwałtu, a ja wszystkich sprężyn użyję, żeby potem twój ojciec nas pobłogosławił.

— Ach, Ludwiku, cóż śmiałeś wyrzec! żebym uległa twojej woli, do czego skołatane serce moje aż nadto jest skłonne, żebym siebie dała wykraść, czyżby się nie znalazła kara gotowa? tybyś mnie

wydarł ojcu i bratu, wywiózłbyś w dalekie strony, niczegobyś nie zaniedbał, żeby przygłuszyć wyrzuty sumienia, uśpiłbyś mnie tem wszystkiem co wielkość, bogactwo, znaczenie, życie wielkiego świata mieć mogą powabnego; ale jakież potem nastąpiłoby okropne przebudzenie? Miłość twoja, nie oparta na szacunku, jakąż rękojmię trwałego szczęściaby mi dała? przestałbyś mnie kochać, a twoja wzgarda byłaby następstwem koniecznem mojej zbrodni. Ludwiku, żegnam cię, odejdź; błagam ciebie broń mię ode mnie samej, weź w opiekę sławę moją.

— Zofjo! jedno słowo tylko; poprzysięgam ci na ten honor, który jest BOGIEM moim, że chyba na moim trupie oddasz rękę bratu mojemu.

— Okrutny! wzdrygnąłbyś się życie mi odebrać, a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić! Czyż w obliczu tego honoru, do którego się odwołujesz, nie jestem twoją siostrą? czyż nie zdradzasz twojego brata? czyż mnie nie nakłaniasz do wspólnictwa zbrodni?

— Ach, Zofjo, utapiasz puginał w serce moje, a zostawujesz mi życie nato tylko, bym piekielne cierpiał męczarnie: nie mów tego, że będziesz żoną Michała! W imię honoru zapytuję ciebie, czy możesz mu zaprzysiąc miłość, którą dla innego czujesz? — Czy taka przysięga nie jest zdradą?

— Nie, Ludwiku, nikt nie jest obowiązany działać nad możność; po moim nieszczęśliwym szlubie z bratem twoim wszystko mu wyznam; oddam mu w straż moją sławę, moje zbawienie, a to wyznanie wynagrodzę mu poświęceniem nie-

ograniczonem; przymuszę go, by mnie szacował, a jeżeli ta walka rychłą śmiercią się zakończy, jeżeli umrę, to przynajmniej umrę siebie godną.

— Piękna myśl — przerwała kasztelanowa wchodząc do izby. — Wszystko słyszałam. Jakże ty nieznośna, Zosiu, z swojemi romansowemi myślami; kochasz Ludwika, a chcesz być żoną Michała dlatego tylko, że twój ojciec jemu ciebie przyobiecał. A wszakże ksiądz Prosper, chociaż jaki szkrupulat, przecie sam wyznał, że układy rodzicielskie bynajmniej dzieci nie obowiązują: co do ich osoby. A ta spowiedź, którą masz po szlubie zrobić Michałowi, jest także myślą piękną: i swoje i Ludwika szczęście na zawsze zabijesz, a do tego wzniecisz wieczną niezgodę między braćmi. Czy wojski odpuści kiedykolwiek staroście, że go wyrugował z twojego serca? wszak on jest przekonany, że szalałaś za nim, wprzód nim Ludwika poznałaś; tym kontuszowym na dobrej opinji o sobie nie zbywa. Zrobisz z siebie ofiarę, ale jaką? Ty tego nie pojmujesz; tą ofiarą nawet zgody familijnej nie utrzymasz, chyba że, o czem nie wątpię, Ludwik do grobu będzie złożony, bo on tego nie przeżyje. Ty wiesz siostruniu, ile jestem do ciebie przywiązaną; czyżbym mogła dać tobie złą radę?... Prawdziwie ja twojego sumienia nie rozumiem. Odwlekać od dnia do dnia twoje zaślubiny pod różnemi pozorami, aż przyjazna dla kochanków gwiazda zabłyśnie, to wedle ciebie nie jest rzeczą uczciwą, a szlubować w obliczu BOGA miłość temu, do którego wstręt nieprzełomny się czuje, to ma być rzecz godziwa... Oddać komu

serce napiętnowane cudzym obrazem, to ma być rzecz szlachetna, bogobojna, zasługująca na jakieś nadzwyczajne względy u BOGA. Zosiu droga, nie odbieraj wszelkiej nadziei temu, co umiera z miłości ku tobie. Patrz, jakie gorzkie łzy wylewa ten sam, który prawie w obecności twojej strzał śmiertelny przyjął bez zmrużenia oka — i tak to ty jego miłość odpłacasz — daj tylko słowo, że zwlekać będziesz, że nie pójdziesz za Michała, że chcesz siebie powierzyć czasowi i nam; nie odbieraj wszelkiej nadziei Ludwikowi, a obaczysz, że to co ludzie robią, to ludzie i przerobią.

— Ach siostro, do czego ty mnie nakłaniasz? i ty, i Ludwik, i ja sama, wszyscy przeciwko mnie.

– Zofjo! — wykrzyknął Ludwik w największem uniesieniu — nie zabijaj mojego szczęścia, mojego jestestwa, zostaw mi choć małą iskierkę nadziei, a pozwól czasowi i miłości mojej ją rozżarzyć. Czy chcesz, bym w przytomności twojej życie sobie odebrał?

— Zosiu — dodała kasztelanowa — daj się ubłagać. Czyż okrucieństwo, którem przerażasz serca tak szlachetne, tak do ciebie przywiązane, jest cnotą? Czyż opór woli Najwyższego jest pobożnością?

— Ach okrutni! czegoż po mnie żądacie?

Tu Ludwik padł do nóg Zosi, ich oczy wzajemnie wlepiły się wejrzeniem; Zosia pozbawiona przytomności przychyliła się do Ludwika; ich usta się spotkały, a na tych ustach zdało się, że ich dusze z sobą się zlały...

Wtem drzwi się rozwarły i wojski stanął przed nimi. — Starosta zerwał się, ale stanął jak wryty. Zosia wrzasnęła głosem przygłuszonym, chciała coś wymówić, ale słowa zlodowaciały w jej ustach. Kasztelanowa śmiało się odezwała:

— Czemu mamy przypisać te nawiedziny pana wojskiego o tak późnej porze?

Wojski ją przeszył spojrzeniem tak pełnem pogardy, że go znieść nie mogła, i poniewolnie oczy spuściła. Po chwilach kilku wojski przerwał okropną ciszę: — Jestem gościem niespodzianym, nieprawda, mości starosto?

Starosta stał osłupiały.

— Michale! — odezwała się Zosia — słuchaj!

— Milcz, nikczemna! wyrodne plemię najcnotliwszego starca. Między nami już odtąd niema nic wspólnego; ale Wpan, który nikczemną zdradą, nadużywając mojej ufności, odważyłeś się potargać najświętsze obowiązki, Wpan, który mnie w jednej chwili wyzułeś ze wszystkiego, co mnie do życia przywiązywać mogło....

— Bracie! — przerwał starosta — wiem, ile się winnym okazuję przed tobą; jednak posłuchaj, jeszcze się odwołać mogę do twojej sprawiedliwości...

Przerwał mu mowę Michał: — Przestałeś być moim bratem, żegnam cię na zawsze, może gdzieś się spotkamy, odchodzę, bo znieść dłużej nie mogę widoku wiarołomstwa i podłości — żegnam cię, jednak wyrzekając się wszystkich związków, które mnie łączyły z tobą i z tą nieszczęśliwą ofiarą twoją i tej podłej kobiety, którą widzę między wami, jeszcze ci ostatnią daję przestrogę: uciekaj!

oczyść to siedlisko starodawnej cnoty z twojej niecnej obecności! — uciekaj najśpieszniej, po godzinie już może być za późno — za godzinę możebyś opłacił wszystkie twoje zdrady. Łatwoby mi było pomścić się we krwi twojej, ale wolę ciebie zostawić zgryzotom sumienia, zapewne, że z nich teraz żartujesz, ale kiedyś brzemię ich przywali ciebie. — To rzekłszy oddalił się z pośpiechem.

Już Michał był zniknął, a pozostali jeszcze czas jakiś do siebie przyjść nie mogli. Potok łez wytrysnął z oczu Zosi, i w tem jakiejś ulgi doświadczyła.

— Ludwiku! — odezwała się — uciekaj z siostrą, słyszałeś groźną przestrogę twojego brata, zaklinam cię, uciekaj!

— Co? jabym miał uciekać, ja miałbym ciebie zostawić na pastwę zemście ojca, prześladowaniu brata? Nie, nie, czekam śmiało rozwiązania mojego przeznaczenia; nic już mojej niedoli powiększyć nie może. Odejdź, kasztelanowo, a mnie tu zostaw.

— Ludwiku! — przerwała Zosia — czy pragniesz, bym do nóg twoich upadła, błagając cię, abyś siebie ratował? Na mnie się spuść; może przyszłość jeszcze nas połączy, zachowaj siebie dla tej przyszłości.

— Nie, nie, już rzeczy zaszły nadto daleko! Zosiu! masz tylko dwie drogi przed sobą: nie pozostaje ci, jak albo razem ze mną uciekać, albo być świadkiem haniebnej śmierci dla mnie przygotowanej, a którą jednak za największą łaskę przyjmę.

— Ludwiku! cóż powiedziałeś?

— Powiedziałem to, co się stać musi; poprzysięgam na honor szlachecki, że bez ciebie ani pół kroku wstecznego nie zrobię.

Milcząca dotąd kasztelanowa odezwała się: — Ani chwili nie mamy do stracenia. Zosiu, ruszaj z nami przez ogród do chałupy ogrodnika, tam już moja kareta musi czekać, inaczej twój Ludwik będzie wisiał na tym dziedzińcu; będziesz mogła napawać wzrok twój jego haniebną śmiercią, i powiedzieć sobie, żeś go zabiła, bo ja ciebie ręczę, że żadna potęga ludzka nie skłoni go do tego, by to miejsce opuścił bez ciebie. — I nie dawszy Zosi czasu opamiętania się, rzuciła na nią salopę futrem podszytą, wzięła pod rękę, Ludwik wziął ją z drugiej strony, i drżącą, nieprzytomną, więcej martwą niż żywą, powlekli przez ogród do chałupy ogrodnika, gdzie już zastali karetę kasztelanowej. Tam z największą szybkością do niej wsiedli, usadowili Zosię, i cwałem puścili się w drogę.

Około pół godziny już leciała kareta ku Kojdanowu, a Zosia jeszcze nie przyszła do siebie. Strach, wstyd, czułość, wyrzuty sumienia, wszystko razem tak nią miotało, że nie mogła przed sobą zdać sprawy ze swoich uczuć, nie wiedziała nawet co się z nią dzieje. Napróżno towarzysze podróży usiłowali balsam słów pociechy wlewać do jej ran serdecznych, by jakąś ulgę im przynieść; ona słyszała słowa, ale na najmniejszą odpowiedź zdobyć się nie mogła. Ile razy zdawała się odzyskiwać zdolność rozpoznania i siebie i swojego położenia, łzy obfite zraszały jej jagody, i to niby jej jakąś

chwilową ulgę przynosiło, ale ledwo oczy wysychały, zaraz wracała do tego stanu biernego, gdzie przy jestestwie traci się samopoznanie tegoż jestestwa. To milczenie, niekiedy przerywane łkaniem, więcej trapiło podróżnych, niżeli niebezpieczeństwa, które ich otaczały. Kasztelanowa i starosta zatapiali się w marzenia o środkach, jakieby obmyśleć trzeba było dla jakiegoć jej uspokojenia, kiedy tętent koni i przeraźliwe krzyki raptownie ich przebudziły. Wkrótce ujrzeli się otoczonymi od hufca zbrojnego. Dowódca tego pocztu krzyknął: — stój! — i przybliżył się do karety. Po głosie i po postawie kasztelanowa poznała Wazgirda; nie tracąc przytomności, spuściła okno od karety, a zakrywając osobą swoją towarzyszów podróży, głowę wychyliła i rzekła:

— Co za niespodzianka, kochany kuzynku, i czemu mam przypisać twoje nawiedziny na wielkim trakcie?

— O tem się Wpani zaraz dowiesz, bo i do niej mam osobny interes. Ale niech-no jejmość tak nie zasłania swoich kompanów; wiemy co się święci. Nie chowaj tak swojej głowy, mości starosto, a i pannie generałównie się kłaniam; w dobrem i uczciwem Wpanna towarzystwie, z ludźmi bogobojnemi; bardzo się ucieszy pan generał, jak się o tem dowie. Z przeproszeniem państwa, ich plan musi być nieco odmieniony.

— Cóż to! — na to kasztelanowa — Wpan z kobietami wojujesz?

— Moja poczciwa pani, ode mnie zaraz weźmiesz rózgami na niezabud, i zostaniesz z panną

generałówną w karecie, póki ze dworu po was nie przyjadą, bo ja konie zabieram bez ceremonji; zdadzą się one do czegoś lepszego, niż do wykradania panienek, a pana starostę mam honor prosić z sobą, jest dla niego koń przygotowany — no, no, niema gadania, zaraz mnie konie odprzęgać.

Ludzie kasztelanowej, jak łagodne baranki, wszystko zrobili co im rozkazał.

— Panie starosto — dalej rzekł Wazgird — proszę wysiąść, jeżeli nie życzysz sobie być ściągniętym.

— Pan widzę ludzi bezbronnych na wielkim trakcie napadasz — rzekł starosta — winszuję szlachetnej zabawy.

— Panowie umiecie — odparł Wazgird — we własnych domach imać i więzić większych panów, niż my obadwa. Pan umiesz wykradać panienki z rodzicielskiego domu, i tem odpłacać gościnność, którejś od nich doznał; a więc godzi mi się z panem pokwitować. Będziesz panie świadkiem kary, przeznaczonej dla pani kasztelanowej, a co się z panem stanie, o tem się później dowiemy — a obracając się do swoich: — Kubusiu, Gerwazeńku i ty Jalutku, zsiąść mi z koni, i wyciągać z karety, co tam znajdziecie żywego.

Piorunem skoczyli bojary, i już zabierali się gospodarować około karety, kiedy Skołuba zbliżywszy się do swego pana, rzekł: — A niechno pan obejrzy się w prawo od siebie, ta to chmura jakiegoś wojska pędzi ku nam.

— Ach do kroć djabłów, prawda — krzyknął Wazgird — na koń bracia, szykuj się do boju!

— Co panu do głowy przystąpiło? — odrzekł Skołuba — czy pan oszalał? nas piętnastu, a tamtego ćma. Noga nasza nie ujdzie, wolemy rzecz na poczekawszy odłożyć; wygodniej na koniu niż w trumnie, a w lesie niż w dybach; niech pan na drogę pistoletem poczęstuje pana starostę, a potem w las, za nami się nie puszczą.

— Masz słuszność, Skołubusiu. — Ciąg się w lewo, marsz! — a dobywszy pistolet i odwiodłszy kurka — jeżeli ciebie żywcem porwać nie mogę łotrze — krzyknął na starostę — to przynajmniej łeb ci roztrzaskam — i przez okno wyrychtował rurę na starostę. Ale Zosia, odzyskawszy przytomność, rzuciła się na starostę, robiąc mu tarczę ze swojego ciała. Napróżno chciał ją starosta powoli odepchnąć, ona go tak ramionami zacisnęła, że nie mógł się z nich oswobodzić; kasztelanowa gwałtu wrzeszczała.

— Panno Zofjo! — krzyczał Wazgird — Wpanna do tego się nie mieszaj, puśćże pana starostę, bo ja do Wpanny gotów wypalić; ustąp się! — A to djabeł nie dziewczyna — już ci dziewczyny zabić nie mogę — niechże was trojga wszyscy djabli porwą! — do obaczyska mości starosto, a gałganie! a psie podły! Pan BÓG sam wyrzekł, że na Wpana szkoda ładunku; zda się on na nieprzyjaciela, a na zdrajcę stryczek — nie tracę nadziei Wpana do niego uczepić.

To rzekłszy, znikł ze swoimi jak błyskawica.

IV.

Sługa dawnych czasów.

Już od lat trzech konfederacja barska walczyła ze stronnictwem królewskiem. Były czyny wielkie, czyny znakomite odwagi; ale w rzeczy samej ścieśniona w kilku województwach Małej Polski, wszystkie jej usilności, by rozprzestrzenić się po całym kraju, zawiedzione zostały. Litwa, która stanowiła największą siłę Rzeczypospolitej, lubo dzieci swoje wysyłała ku Karpackim górom dla podsycania hufców konfederackich, ogołocona z swoich naczelników, była nieczynną. Nakoniec Ogiński, hetman wielki litewski, po długiem wahaniu się podniósł zbutwiałą chorągiew. Władza hetmańska jeszcze nie była wyzutą z swoich przywilejów: Ogiński swoim akcesem niemałą siłę przynosił konfederacji, zwłaszcza w tem, że pierwszy w osobie swojej okazywał władzę legalną, niezaprzeczoną; a Litwa była właśnie prowincją, która największą wagę przywiązywała do form legalnych. Przybył więc Ogiński, porozsyłał wszędzie wici hetmańskie, powołujące do pospolitego ruszenia rycerstwo litewskie, i wkrótce stanął obozem pod Stołowiczami na czele kilku tysięcy szlachty. Wielu Litwinów przedarło się było z Małej Polski,

by jemu ułatwić powstanie; i bez wątpienia, gdyby jeszcze przynajmniej kilka tygodni mu pozostało czasu, ogromne wojsko mogłoby się zebrać na rozkaz hetmański. Lecz sam hetman, człowiek dowcipny, ogładzony wychowaniem zagranicznem, nawet odważny osobiście, z drugiej strony lekkomyślny, zarozumiały jak każdy człowiek miernych zdolności, otoczony pochlebcami, pasibrzuchami z bruku warszawskiego, był jak najmniej sposobny do kierowania obszernem poruszeniem. Licząc na nieomylne zwycięstwo, wszystko zaniedbał co mu je zjednać mogło; a na większe nieszczęście swoje, kiedy lada wódz doświadczony jużby był zdolnym do pokonania jego, miał do czynienia z największym bohaterem owego czasu. Suworow, dowódca wojsk posiłkowych króla Stanisława, stał natenczas w Lublinie, skąd miał wyruszyć ku Podgórzowi, by zadać cios ostatni konfederacji barskiej, gdy nagle uwiadomiony o powstaniu Litwy postanowił przemienić plan kampanji. Wyruszył z Lublina ku Litwie, i z tą nadzwyczajną chyżością, która zawsze cechowała jego poruszenia, w dwóch dobach stanął blisko Stołowicz. Siły jego co do liczby nie mogły się równać z temi, któremi dowodził Ogiński, ale z niemałem zadziwieniem przekonawszy się, że niedołężny jego współzawodnik ani czat, ani placówek nie porozstawiał, chwili nie traci, znużonemu żołnierzowi nie pozwala odpocząć, i o samej północy uderza na obóz. Nie była to bitwa, bo nie było prawie krwi rozlewu: porozbieranych, sennych, w niewolą zabrał, z całego wojska litewskiego niespełna czte-

rysta koni, pod dowództwem generała Bielaka, Tatara, zdołał się uratować; reszta wpadła w ręce zwycięzców, lub rozsypała się pojedyńczo po okolicznych lasach. Sam hetman winien był swoje ocalenie poświęceniu się Michała Strawińskiego, który mu podał własnego konia, a nawet oddał swoją alfę i omegę, a sam bezbronny i śpieszony schwytanym został. Kasa, ogromne zapasy, bogate sprzęty hetmana i panów pod jego rozkazem będących, wszystko to zostało własnością zwycięzców. Tak konfederacja rozpoczęta na Litwie, na samym wstępie stłumioną została.

Po tak świetnem i stanowczem zwycięstwie, Suworow czasu nie marnował; pokrzepiwszy dotąd słabe stronnictwo Stanisława Augusta, kilkaset żołnierzy zostawił dla utrzymania Litwy w spokojności, a sam trzy dni odpocząwszy, wrócił do Lublina, żeby stamtąd ścigać Pułaskiego, najdzielniejszego z wodzów konfederacji, gdyż on jeden umiał utworzyć jakąś karność w tłumie złożonym ze szlachty i ich sług domowych. W Litwie, po stołowickiej klęsce, taki był popłoch, że natychmiast cała prowincja uległa królowi. Jak to zawsze bywa w podobnych okolicznościach, każdy się oświadczał za królem, każdy się zapierał postępków, jakich się przeciw niemu dopuszczał, a jeżeli ich nie mógł zataić, składał je na bojaźń, na mus, głośno potępiając tych, nad których losem w skrytości duszy ubolewał. Tymczasem jeńcy zalegali gościńce; wielu udawało się ratować ucieczką, gdyż poczty co je prowadziły, były słabe. Czasem dwóch kozaków kilkudziesiąt brańców

prowadziło, a po większej części ich straż chłopom była powierzoną. Często rozbity, błąkające się po lasach oskrzydlających gościńce, zbierały się w większe kupy, i małemi drogami z przodu im zabiegali. Chłopi, za lada napadem, odrzekali się swoich niewolników, i sami uciekali do wsi swoich; nieład był wielki, ile że posiłkowi królewscy nie będąc w sile, a już nieodzownie zniszczywszy działalność przeciwników, mało dbali o pojedyńcze ucieczki. Jednak ci, którym jakąś przewagę w działaniach przyznawano, jako otaczający hetmana, lub dowodzący oddziałami, byli pod ściślejszą eskortą trzymani; i takich kilkudziesiąt, między którymi znajdował się i pan wojski, pod eskortą dwudziestu kozaków królewskich było prowadzonych.

Kiedy generał Bielak zdołał zebrać swój oddział, pan Jan Wazgird i jego Skołuba byli z liczby jego podwładnych; ledwo kilkaset kroków zrobili, a prawdę powiedziawszy nikt ich nie ścigał, pan Wazgird opatrzył się, że jego drogi przyjaciel pan wojski nie był z nimi.

— Skołubo! — powiedział słudze — pan wojski na kwaterze hetmańskiej nocował, pewnie musiał wpaść w niewolą; ruszajże sobie pod Bożą opieką, żeby go odszukać.

Ani mi się bez niego pokazuj.

A jak go wykradniesz, razem będziecie wiedzieli, gdzie mnie znaleźć. —

Skołuba posłuszny na rozkaz pański, rzucił broń, rozsiodłał konia, i oklep odłączył się od pana, jak zwyczajnie masztalerz, a nie konfederat. A miarkując, że jakiś czas upłynie, nim jeńców wyprawią,

bo potrzeba było nie jednego, ani dwóch wozów pod tylu ludzi, co się w jednej chwili nie przygotuje, puścił się do Nieborowszczyzny, do domu pana swojego o mil cztery od Stołowicz. Tam stanąwszy o świcie, przez kilka godzin gospodarował; wszystkie sreberka pańskie upakował w łubianem pudle, opatrzył się w szpiżarni chlebem i wędliną, dwugarncową flaszę skórzaną napełnił starą gorzałką; z piwnicy kazał wynieść beczkę stoletniego miodu spadkowego, którą pan Wazgird strzegł jak oka w głowie, a wybrawszy dwie najlepsze szkapy, jakie mógł wynaleźć w stadninie folwarcznej, zaprzągł je do wózka niepokaźnego, ale dobrze okutego; na nim ułożył beczkę, pudło, i zapas żywności, do tego rydel i siekierę; i wziął w imieniu pańskiem kilkaset złotych należnych za ratę od arendarza. Jeszcze na waletę kilka butelek wina wypróżnił z podstarościm, i czule się z nim uściskawszy, siadł na obładowany wózek i puścił się w podróż c o r d e l a c t o e t a n i m a i m p a v i d a. Wkrótce zanurzył się w puszczę Świteską, łączącą się z Kołdyczowską i Korelicką, puszczę, której od niepamiętnych czasów siekiera nie tknęła, a która rozciągała się ponad wielkim gościńcem. Jak się dostał do puszczy, gdzie tyle lat polując znał każdą drożynę, lepiej może niż niedźwiedzie, których była ojczyzną, był spokojnym, bo wiedział dobrze, że żadna potęga ludzka tam go nie wytropi. Ruszał sobie blisko wielkiego traktu, by niewidziany mógł swoje strategiczne kombinacje do skutku doprowadzić; miał żywność i dla siebie i dla koni, miał zapas gorzałeczki, nadewszystko

czyste sumienie, któremu zawsze ufność w BOGU towarzyszy; czegoż mu więcej było potrzeba? Pierwszy jego nocleg był w borze, pod rozłożystą lipą, a przy pierwszych brzaskach jutrzenki, posiliwszy się wódeczką i wędliną, puścił się w drogę. Pod wieczór ukrywszy wózek w gęstwinie, i spętawszy konie, odziany w chłopską siermięgę z chodakami na nogach, wyszedł piechotą na wielki gościniec, i zaszedł do szlakowej karczmy; tam nabrawszy wiadomości, z których umiał korzystać, wcześnie wrócił do swojego wózka, i w swojej głównej kwaterze przenocował, a dopiero po wschodzie słońca dogodnym marszem, bo stępą, posunął się dalej, zawsze nie więcej jak o kroków kilkaset od gościńca.

Ujechawszy parę mil litewskich, jakieś widowisko zatrzymało go raptownie: leżał koń zdechły, a przy nim śpieszony jeździec, porządnie ubrany, który załamywał ręce, głośno płakał, i tak był zatopiony w swoim frasunku, że nie spostrzegł zbliżającego się wózka. Skołuba zawsze przezorny, wstrzymał konie, ale pomyśliwszy sobie, że to być musi jakiś rozbit stołowickiej porażki, tej samej barwy co i on sam, odezwał się głośno: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mości płakso!

Młodzieniec zadrżał na głos ludzki, odpowiedział jednak: — Na wieki wieków — i obrócił głowę ku Skołubie.

Skołuba parsknął ze śmiechem: — Kłaniam waszeci, mości panie szatny; a co Wpan tu porabiasz?

— Co porabiam, mości panie Skołubo? co porabiam? oto trzeci dzień już w gębie kawałka chleba nie miałem: a oto koń mniej ode mnie wytrzymały padł, jak Wpan widzisz; koń pański, na którym z bitwy uszedłem.

— No, no, mości Cesławie Buńczukiewiczu, Pan BÓG nas sprowadził jednego dla drugiego; twój pan wzięty, a ja nato posłany, by go odszukać. Cztery oczy lepiej widzą niż dwa; a że Wpan głodny, napij się tymczasem wodki; nie żałuj zęba, mamy chleb i szynkę; a jak się posilemy, trzeba skórę zdjąć z waścinego konia. W pierwszej karczmie możemy za nią dostać przynajmniej sześć tynfów, i tego szkoda; ja odkąd żyję, jeszcze szeląga nie znalazłem na drodze. Do Wpana, panie Cesławie! — i nadchyliwszy flaszę do gardła, oddał mu ją; a pan Cesław trochę wypiwszy, przypytał się do szynki.

Jak się najedli: — A co? — odezwał się Skołuba — przyznaj się, mój Cesławeńku, że jak mnie poznałeś, stanąłem tobie jak anioł przy śmierci. Teraz trzeba nam się wziąć do roboty. Myślałem że panu mojemu dowiozę to pudło ze srebrem; ale nie, rozmyśliłem się, że bezpieczniej je zakopać, a w swojej porze odszukać. Wpan masz rydel, kopże mi jamę pod tym jesionem, a ja się wezmę do zdjęcia skóry, bo ja na to majster.

Zaczęła się robota, i trzeba wyznać, że Cesław, choć szatny, wziął się do niej rzesko; jama się wykopała, skóra się zdjęła. Skołuba rzucił skórę na wózek, a lubiane pudło spuścili w jamę, którą ziemią zasypali, a kobylinę ze skóry obdartą

zawlekli na zasypaną świeżo ziemię; poczem odezwał się Skołuba, rzucając rydel opodal od siebie: — Teraz on nam niepotrzebny. Daj BOŻE żeby poczciwy człowiek go znalazł; a ty Cesławeńku, zrzuć z siebie swoją kapotę nieco za wykwintną i szablę, bo nam tu nie bronią wojować, i buty swoje zzuj bez ceremonji, a nałóż na nogi chodaki; nie wstydź się, bo to dla ciebie nie nowalja. Czy raz w nich chodziłeś na bekasy z panem wojskim, i z księdzem Nowochackim, i brnąłeś po naszych błotach? Oto masz i drugą siermięgę; bez czapki się obejdziesz, bo u mnie drugiéj niema. A wszystkie swoje ubiory trzeba gdzie w gęstwinie zrzucić, na szczęście komu dobremu; bo nam nie kiermaszować między panienkami. Mój pan z JW. Bielakiem poszli w świat, a twój gdzieś w sieci; ale ja go z niej wyplączę, chyba że się nie nazywam Skołubą. Srebra mojego pana cudzemu się nie dostaną. A beczka miodu wiele nam pomoże; ona króla Jana Kazimierza pamięta. Byleś jej szklankę wypił, a kto ci powie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, zaręczam, że niewyraźnie odpowiesz: „na wieki wieków.“ Teraz dążmy tam, gdzie nam nocleg wypada, a jak staniemy na nim, na Wpana zdam konie, a sam wysunę się piechotą na wielki trakt, z dwóma uszami i jednym językiem. Jutro zaś przed zachodem słońca, da BÓG doczekać, staniemy na nocleg w Bortnicach, i zajedziemy prosto do karczmy; a wkrótce po nas do dworu zajadą nasi pod dobrą strażą: pamiętaj, Cesławeńku, że to o twojego pana chodzi, o twoją skórę. Czy będziemy się smucić,

czy weselić, to nam w niczem położenia nie odmieni; nam myśleć tylko o tem trzeba, jakby twojego pana wybawić.

— Myśl sobie Wpan, panie Skołubo, bo już ja myśleć nie umiem; a czy mnie powiesz ksobie, czy od siebie, zrobię jak każesz.

— Pamiętajże, odprzągłem konie, żeby je napoić; teraz Wpan je zaprzęgnij. O tak dobrze się bierzesz, aż miło; widzę że chociażeś szatnym, do furmaństwa masz zdatność; będziesz tedy powoził, a ja siądę na wózku. Waszeci oddam lice, a waszeć mi oddasz język. Żebyś nic nie gadał, jak kogo spotkasz, bo słuckiego pasa sobie nie wygadasz, a stryczka jak najprędzej; bo jak nas broń BOŻE poznają, bez ceremonji powieszą, do tego wcześnie się przygotuj.

— Ja mam się odzywać przed ludźmi? Ja ich się teraz tak obawiam, że trzy dni nie jadłem, żeby się z nimi nie spotkać. Żeby nie Wpana łaska, to umarłbym z głodu; a wolę umrzeć z głodu, niż na szubienicy.

— Starajmy się żyć; ruszaj, a powoli.

I tak pod sterem bacznego Skołuby młody Buńczukiewicz powoził wózek, ale takiemi krętaninami, że to były wytwory woźniczego kunsztu.

Wędrowali w milczeniu przerywanem niekiedy wyrazami: ksobie! od siebie! a batem-że nareczncgo! — które często wychodziły z ust Skołuby. Czasem spotykali węglarzów lub siabrów; każde takowe spotkanie na chwilę przynajmniej przerażało szatnego, ale Skołuba z każdym choć parę słów zamienił. Częstował ich tabaką, i ofiarował

targ na kobylą skórę; a najczęściej pytał o drogę do miejsc, do których ani myślał dążyć, lubo lepiej znał drogę od nichże samych; a że się ciągle tłumaczył narzeczem rusko-litewskiem, nikt się domyślić nie mógł, że mówi z szlachcicem. Tak tedy przybyli na jedno miejsce, gdzie były jeszcze szczątki pieca, gdzie przed laty kora brzozowa w gęsty płyn się destylowała. Skołuba kazał się zatrzymać, wokoło się obejrzał, i wyskoczywszy z wózka: — Cesławeńku — powiedział — jestem w domu; chociaż wcześnie, jednak tu nocować będziemy; ja pójdę przed końmi, a waść za mną noga za nogą, bo tu mamy przebyć gęstwiny niepospolite.

I w samej rzeczy, chociaż z niemałym trudem, przeprowadził jednak ekwipaż aż na miejsce odkryte, mające kilkadziesiąt łokci wzdłuż, tyleż wszerz, a zewsząd otoczone gęstwiną ledwo że nie nieprzebytą.

— O tu będzie nasz nocleg — przedłużył Skołuba. — Piąty rok temu, jak na tem samem miejscu jednym wystrzałem dwie sarny położyłem i dostałem za to od pana Rejtana Tadeusza, podkomorzyca nowogródzkiego, sześć tynfów na piwo. Widzisz, że całe życie umiem pamiętać, gdzie raz byłem; tu trawa dobra, nikt niepotrzebny nie zajdzie, a choć komory trochę dokuczają, nato okurzelisko. Do wielkiego gościńca niema nad pół mili, tam jest karczma traktowa, nazywa się Wygnanka; zaraz muszę pójść do niej, a za godzin parę mniej więcej powrócę. Wpan, jak konie się napasą, napoisz ich w tej rudzie, a potem parę

garncy owsa im zasypiesz. Czekajże na mnie w wesołej myśli; trzeba mnie i tę skórę zanieść, i tytuniku dostać w karczmie, bo mój się wysypał, a niezdrowo zasypiać, nie trzymając fajki w zębach. Jakbyś ty się popisał, gdybyś mój kapszuk przedziurawiony załatał! Masz kłębek, igłę i łatkę do przyszycia.

Potem wyrąbał gruby kij z dzikiej jabłoni, skórę włożył na plecy, i stroną przeciwnoległą drożynie którą wjechali, znikł w zaroślach; a pan Cesław spętawszy konie, wziął siekierę i zajął się przygotowaniem ogniska, którem pod wieczór miał odstraszyć roje natrętnych komorów.

Dobrze się zmęczywszy rąbaniem i rozłożeniem polan, podszywszy jak umiał kapszuk i nie zaniedbawszy opatrzyć konie, a sądząc, że zasłużył na posiłek, łyknął haust starki ze skórzanej flaszy, i z apetytem młodzieńczym nadziawszy się półbochenkiem chleba i porządnym zrazem wędzonej słoniny, nie tknąwszy miodu powierzonego jego wierności, razem ze swojemi końmi w rudzie pragnienie ugasił. Póki słońce zsyłało rozweselające promienie, póty Cesław był dość spokojny, ale gdy się już znacznie pochyliło, samotność coraz więcej dla niego traciła powabów. Nie można powiedzieć, żeby pan Cesław był tchórzem; owszem, w rozmaitych potyczkach przy boku pana swojego szlachectwa nie skaził; ale nie był on z liczby tych, co umieją wziąć incjatywę odwagi: przy Skołubie naprzykład, dziesięć uzbrojonych przeciwników nie zdołaliby go zastraszyć, ale lada baba samego jednego mogłaby zmieszać; był on

jak godzinnik, który idzie kiedy kto go nakręci: sam sobie oddany, żadna siła moralna poruszać nim nie umiała. Stąd okazywał w sobie dwa sprzeczne żywioły: szlachetnej odwagi, obok najnikczemniejszej bojaźliwości. Zatopiony w ponurych marzeniach, probował we śnie szukać ratunku, ale sen uciekał z jego powiek, ile że roje komorów wypowiedziały mu były wojnę; zerwał się, wziął się do krzesiwa, wykrzesał ognia, i zapomocą płuc rozdymał płomień; nieco spokojniejszy ze strony komorów, napróżno jednak szukał spoczynku. Nieszczęście pana, niepewność własnego losu, bojaźń szubienicy na wypadek wpadnięcia w nieprzyjazne ręce, to wszystko tak go zaczęło trapić, że rzewnie płakał, a chociaż dla ulgi udawał się kilkakrotnie do skórzanej flaszy, ta nietylko że nie zmniejszała, ale powiększała owszem jego frasunek. Kiedy Skołuba powrócił do towarzysza podróży, z niemałem zadziwieniem zastał go siedzącym przy ognisku, a płaczącym jak bóbr.

— Dobry wieczór Wpanu mospanie szatny; dobre nowiny, skóra się sprzedała, oto dostaliśmy za nią spory woreczek miedziaków. Jest i tytunik, i nawet gościńca przynoszę dla Wpana, luleczkę; jutro będziemy w Bortnicach, i tam zjedziemy się z komendą prowadzącą jeńców. Wszystko o czem wczoraj wiedziałem, dziś się potwierdza; a jutro albo kapucyn, albo starosta, czy, żeby się jaśniej wytłumaczyć: albo uwolniemy pana wojskiego, albo będziemy wisieć.

— Najprędzej będziemy wisieć.

— Jeżeli tak się stanie, to przynajmniej w dobrej kompanji. Wszak ludzie mówią, że Cygan dla kompanji dał się powiesić; a Wpan płaczesz; at! wstydziłbyś się takiego babstwa, panie Cesławie! Co łzy komu dobrego poradzą?

— Co poradzą? ani łzy, ani nic nam nie poradzi. Obaczysz Wpan, że wcześniej, czy później nie wykręcimy się od szubienicy.

— Co się z Wpanem stało? pfe! opamiętaj się, Cesławeńku! Tać to do szubienicy jeszcze daleko, a gdyby mnie nawet do niej ciągniono, i w takim razie wstydziłbym się płakać.

— Jaki Wpan szczęśliwy, panie Skołubo, że ci bieda dopiec nie może; a ja ją tak czuję, tak czuję, że tego opowiedzieć nie mogę, tylko płaczę nad sobą z żalu! Ach! czemuto ja w żywocie macierzyńskim nie zaśniedział!

— Nie bluźń, Cesławeńku, nie narzekaj, że cię BÓG jeszcze przy życiu zachowuje, a jeżeli ci źle z niem, przeżegnaj się, i proś go żeby było lepiej.

— Ale już ja nigdy modlić się nie będę; wszakże to ja w stołowickiej farze przed wielkim ołtarzem leżałem krzyżem, i spowiadałem się na intencją nas wszystkich; a patrz Wpan, w co to my się nazajutrz obrócili.

— Oto mi gracz! Teraz pretensja do Pana BOGA, że nie stanął na zawołanie. Że się odrobinkę pomodlił, już wszystko ma iść jak z kłębka; a święci Pańscy i dłużej i lepiej się od nas modlili, a jednak czy to takie biedy jak nasze Pan BÓG na nich dopuszczał? Obacz Wpan w Stoupcach

obraz świętego Onufrego, to był królewic przecie, a kilkadziesiąt lat na puszczy się męczył, i takich jak my wędzonek nie zajadał; albo Jozafat, pan całą gębą, bo któż u nas Kuncewiczów nie zna, a jednak jak go kijmi okładano. To Pan BÓG ich dotykał, a takich durniów jak my miałby żałować! Wstydziłbyś się narzekać!

— Czy to każdy taki jak Wpan, panie Skołubo; Wpanu czy dobrze czy źle, to wszystko jedno.

— Jużci nie jedno: wolę w Nieborowszczyznie na mojej pościałce się wyspać, niż pod lipą w asystencji komorów; wolę zające gonić, niż samemu być gonionym; ale co BÓG daje, to przyjmuję bez szemrania, a nigdy mu się nie naprzykrzam, żeby ode mnie biedę oddalał, ale żeby mnie nie odbierał siły i męstwa do jej znoszenia; bo nam koniecznie biedować trzeba. Chłop, jak pańszczyznę odbędzie, ma święty pokój; Żyd, choć cały tydzień szwęda się jak czart w wodzie święconej, ale w szabas wylega się; toż i Niemiec; ale szlachcic ciągle bieduje — a dlaczego? — bo szlachcic. Jednak za wszystkie maślacze i piernaty całego świata, mojego szlachectwa nie oddam; wszakże to my chudopachołki, a czyby nam przystało leżeć do góry brzuchem? Ej! nie ciągnij mnie za język, żebym czasem Wpanu nie powiedział, żeś głupi; jemu się bieda już naprzykrzyła; a książę Panie Kochanku, jaki pan, a czy on siedzi spokojnie w Nieświeżu! Tłucze się jak Cygan po całem Podgórzu; jemu świst kul muzyką, a szablą spisę wytrącać, tańce; toż samo i innym magnatom. Nie wymyślaj, Cesławeńku, bo to niepięk-

nie, nie po szlachecku; wszak waszeć nie z neofitów, żeby tchórzyć; a potem wiesz co? jak bieda dokuczy, to tem się pocieszyć można, że zkolei przyjdzie i dobre; ale nuż się dobre naprzykrzy, jak sobie wtenczas poradzić?

— Niby to się kiedy naprzykrzy dobre!

— I bardzo, i bardzo, Cesławeńku; a Jan Kazimierz, o którym starzy rozprawiają, co o nim nasłuchali się od ojców swoich: on królował w Litwie, w Koronie i w Szwecji; możesz miarkować, jakie z tego wszystkiego płynęły bogactwa. Otoż to wszystko tak mu nakoniec obrzydło, że aż bernardynem został, i gdzieś tam za górami po kweście chodził. Wyśpim się mości panie, teraz pomodlmy się BOGU, żeby nam się udało uchwycić pana wojskiego.

— Aj panie Skołubo, żeby nam to BÓG dał; ja nad sobą często płaczę, ale częściej jeszcze nad moim panem; co bo to za kochany pan! Wszak ja z małego u niego służę; on mnie kazał wyuczyć czytać i pisać, on o niczem tyle nie myślał, ile żeby ze mnie zrobić człowieka; jabym wszystką krew moją dał z siebie dla niego wytoczyć. On wart tego; co to za rzadkie serce! Żeby jeszcze takiego Pan BÓG nie ratował, to chybaby w nim nie było sprawiedliwości.

— A Wpan ostróżnie z językiem, panie Cesławie! Jak BÓG zechce, tak będzie, a my swoje róbmy; już to prawdę powiedziawszy, z samego pana wojskiego niewiele będziemy mieli pomocy; on na to wszystko obojętny, od lat trzech jak przy-

bity. On nigdy nie był nadto wesołym, ale teraz tak tetryczny, że nie do poznania.

— Co to tetryczny! Czy uważałeś panie Skołubo, jak osiwiał, a przecie jemu dopiero rok trzydziesty trzeci; serce się kraje, patrząc na niego. Nie można powiedzieć inaczej: i na Podolu, i na Podgórzu, po swojemu się popisywał; ale na naszej Litwie co dokazywał, i Wpan i ja patrzaliśmy na to; wyraźnie szukał śmierci, a ona od niego uciekała. Kiedy z ludźmi, bawi się niby z nimi, z każdym rozmawia uprzejmie, ledwo nie wesoło; ale zato kiedy sam, to albo się modli, albo godzinę i dwie siedzi nieruchomy, głowę oburącz trzymając. Ale to też i doświadczył nieszczęść, nie pod wagą i miarą: co to panie, zdradzony od narzeczonej i od własnego brata, on co ich obu tyle miłował. A czy na tem koniec! Pan generał po wykradzeniu córki umarł ze wstydu i zgryzoty; za nim wkrótce poszła i panna łowczanka; a panna generałówna, poszedłszy za pana starostę, przysłali umocowanego z Warszawy dla objęcia majątku. Chcieli oni nadal utrzymać mojego ojca, ale on nie chciał służyć tym, co zamęczyli nieboszczyka pana. To jeszcze szczęście, że przed śmiercią pan generał dał naszemu ojcu porządne dożywocie, boby nie miał gdzie starych kości położyć. Ojciec Kleofas odrzekł się swojej ulubionej oficyny i osiadł w klasztorze mińskim; nawet ksiądz Nowochacki słyszę już przestał polować; słudzy się porozbiegali, wszystko jak wymieciono, a gdzie dopiero był dom zamożny i ludny, teraz same pu-

stki. A cóż ma robić pan wojski? On się gryzie, drugi możeby już dawno oszalał.

— Cesławeńku, ja twojego pana pewnie niemniej od ciebie kocham, a szanuję go, jakbym więcej biskupa nie szanował, ale nie pojmuję, żeby rozumny człowiek tak żywo brał to na serce. Prawda, że szkaradnie zdradzonym został, ale żebym był na jego miejscu, plunąłbym na to wszystko. Mój pan naprzykład, choć ani głową ani mową, z twoim równać się nie może, i samby się obraził, żeby ktoś ich na jednym szczeblu chciał postawić, w tem jednak roztropniejszy: jak mu się przytrafi jakie nieszczęście, podrapie sobie trochę głowę i zaraz do mnie: — Skołubo, kiepsko z nami! — i zaraz albo do kniei z gończemi, albo z chartami dawaj dławić zające, a jeżeli pole zupełnie niezdatne, każe mnie bić się z nim w palcaty. Wymacha się godzinę, potem się wyśpi, i jak się przebudzi, już mu ani w głowie.

— To prawda, że pan Wazgird zawsze wesoły, ale też i wielkiej biedy nigdy dotąd nie doświadczał.

— At gadasz; ta to on za mojej pamięci razy dziesiątek się kochał, a zawsze dostał rekuzę; czy myślisz, że to przyjemnie? A długo tem się kłopoce? rekuza zrana, a po obiedzie już co innego w myśli. Albo w gospodarce mało doświadczał biedy? pomorek na bydło, gradobicie, pożar, zalew wody, rabunek domu, ale doszczętu; przez wszystkośmy to przechodzili, a zaręczam, że ja sługa więcej tem się troszczyłem, niż on pan. Jeszcze bywało ze mnie żartuje, że tak to biorę na

serce. A w interesach jaki niedbały! Dlatego też, choć wszyscy mu przyjaciele, żaden mu nie chce oddać córki. Nieboszczyk cześnik jemu i jego starszemu bratu zostawił piękny majątek Raszkiewicze, wieś jakich niewiele na Litwie; ta to ja tam się rodziłem. Otoż pan Aleksy, starszy brat, że wyszedłszy ze szkół zaraz się ożenił, do tego z kobietą rodzajną, powiedział mu: — Wiesz co, panie Janie? Wpan kawaler, a ja żonaty; naco nam się dzielić? Gładziej pójdzie na jednem gospodarstwie, niżeli drobić ojcowiznę. Ja za nas dwóch będę roli pilnował, a Wpanu intratę powoli opłacać będę, żebyś miał zawsze świeży grosz. — Zgoda — odpowiedział pan Jan. — Tyle też ma pociechy z swojego dziedzictwa; dotąd od brata złamanego halerza nie dostał. To kiedy go potrzeba przyciśnie, zżyma się na pana Aleksego, krzyczy w naszej przytomności, że jak go obaczy, łeb mu rozpłata; i w takich burzach jedziemy do Raszkiewicz. Ja, póki nie poznałem całej hramoty, bywało go mityguję w złości; mówię: nie godzi się na starszego brata napadać; jeszcze sam za to cóś oberwę. Cóż powiesz, Cesławeńku? Pan Aleksy jaki papinka, a mój całą gębą szlachcic, bo i lwie serce i lwia siła; otóż jak stanie przed starszym bratem, trzech nie umie przeliczyć, zająkając się prosi o swoje, jakby o jałmużnę; a pan Aleksy na niego zgóry: — U mnie dzieci jak bobu; mnie w głowie jakby to okryć i nakarmić, a ten mnie w uszach trąbi swoje głupie rachunki. — I dobrze zburczany, pan Jan jeszcze go przeprasza, i jak niepyszny

z kwitkiem nazad. Aż mię brał śmiech na to patrząc; i tego dobrego po kilka razy bywało na rok.

— Ale dlatego pan Jan nie bez funduszu; trzyma on z łaski księcia pana Nieborowszczyznę, to dobry kawał.

— Co to dobry kawał? to złote jabłko! Łączka, mączka, ryby i grzyby, wszystkiego znajdziesz po pas, to też żeby nie łaska księcia, nie mielibyśmy koszuli na grzbiecie. Ale cóż, kiedy BÓG wie po jakiemu idzie gospodarka: jak pan przybędzie niby gospodarować, to i gospodaruje po swojemu. Podstarości z nim ciągle musi polować, a chłopi pańszczyznę odbywają chodząc na obławę; kiedy pan w Nieświeżu, to wtedy siako tako idzie w domu. Jak kapnie jaki grosz, to chyba ja z niego cóś urwę na opędzenie niezbędnych potrzeb, bo z tego co wpadnie w kieszeń pańską niedługa pociecha; pierwszemu, którego spotka, zaraz i wysypie.

— Kto ma wielu przyjaciół, trudno temu mieć zaszytą kieszeń.

— Czy myślisz, że mój pan tylko dla przyjaciół jest uczynnym? Żeby ci dać o nim wyobrażenie, to ci jedno zdarzenie opowiem. Raz pojechaliśmy do Nowogródka. Zajeżdżamy wedle naszego zwyczaju do Mordka Rabinowicza: zacząłem pana przebierać, aż on widzi na drzwiach kredą napisane te słowa: „Ja szlachcic Grzegorz Sampławski z województwa chełmińskiego, przybywszy do Nowogródka na sprawę, a sprawy nie skończywszy, tak się wyniszczyłem, że dwieście złotych zostałem dłużny Mordkowi Rabinowi-

czowi; jeżeli to przeczyta jaki możny a poczciwy szlachcic, w imię Zbawiciela go proszę, żeby za mnie zapłacił.“ — Mordko — krzyknął mój pan — powiedz mi, co to ma znaczyć ten napis? — Jaśny panie — odpowiedział Żyd — tej wiosny zajechał do mnie jakiś szlachcic porządną bryką i czterma końmi, i tu u mnie mieszkał, jadł i koni i ludzi karmił, a to wszystko na kredkę przez dziesięć tygodni, całą kadencją. Jak odjeżdżał, ja widzę że mnie nie płaci, chciałem jemu parę koni wyprząc, ale on jak zaczął mnie prosić, i to napisał na drzwiach, obiecując że ktoś za niego zapłaci, mnie żal się zrobiło i puściłem go; wszyscy się teraz śmieją, bo moje dwieście złotych przepadło. — Otóż nie przepadło — odrzekł mój pan. — A któż zapłaci? — na to Żyd — czy jeden to czytał? — Ja zapłacę. — A na biedę kilkaset złotych był wziął dnia wczorajszego zadatku na gorzałkę. Ja na to: — Bój się BOGA, panie, to musi być jakiś filut. — A zaraz filut, dlaczego? każdemu z nas nieszczęście może się przytrafić. Żyd miałby być uczynniejszym dla szlachcica, niż ja sam brat szlachcic? — i niewiele myśląc, zatarł co było napisano na drzwiach, i dwieście złotych odliczył Żydowi; tak że my dwie doby przesiedziawszy w Nowogródku, i rozpłaciwszy się gospodarzowi, o dwóch tynfach w kieszeni pojechaliśmy do domu. Taki to kalkulator z mojego pana; a żeby się pieniądz jego trzymał, to mógłby być bogaczem świata; bo to pół wsi ojcowizny, a druga wieś całkowita z łaski księcia, a teraz pula nieświeska, to dobra wieś, ale wszystko to się rozchodzi kaduk wie gdzie.

— Jakaż to pula?

— Ot pytasz się; abo twój pan raz grał w nią z księciem panem i z Albeńczykami, szczególnie w czasie wiosny? Każdy stawi cóś do płatki, a potem strzela z pistoletu wlot do jaskółek; kto chybi, nietylko że przepadła mu stawka, ale jeszcze do puli musi dodać, a ci co trafią, między siebie rozbierają pieniądze. Czasem mój pan samem złotem obładuje kieszeń, i bardzo wtedy wesoły; ale też nie smuci się kiedy goły, co jeszcze częściej z nami bywa, i tak przystoi szlachcicowi. No, panie Cesławie, już słońce dawno zaszło, odmówmy Godzinki do Niepokalanego Poczęcia na cześć Najświętszej Panny, orędowniczki naszego szlachectwa, a potem fajkę w pysk i spać. Wpan jak widzę już wieczerzał, a jam swoje odbył w karczmie. Przedawszy Żydowi skórę za sześć tynfów, porękawicznego dostałem porządny traktament, kwaterkę wódki, misę jajecznicy i cztery dzwonka szczupaka, po żydowsku nadzianego cebulą i pieprzykiem, nie wspominając o piwie; czegoż więcej potrzeba poczciwemu człowiekowi? No mości szatny: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą“, — „Zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą“ — wtórzył pan Cesław; z łona pustyni podniosły się głosy do Tronu Przewiecznego. Skołuba, który przez zbytnią ostrożność dotąd cicho mówił, na cały głos intonował pieśń do Matki Boskiej; ani mu przez myśl przeszło, by obcując z niebem, jakiejkolwiek ostrożności miał używać przez bojaźń ludzi. Wiara była wtenczas tak silną, że przed jej potęgą wszelka niknęła obawa; stąd po-

mimowolnie u naszych ojców weszło w obyczaj głośno się modlić. Zatopieni w modlitwie, nie oglądali się naokoło; ta modlitwa głośna była, że tak powiem, machinalnem zaproszeniem całego przyrodzenia, by się łączyło do przewodzącego głosu, ażeby chwalić Pana nad Pany. Łatwo to pojmie każdy, kto rozpamiętywał psalm 148, codziennie powtarzany od tych wszystkich, co mają we zwyczaju modlić się z rubryceli. Laudate Dominum de coelis, laudate Eum in excelsis; a dalej: Montes et omnes colles; ligna fructifera et omnes cedri; bestiae et universa pecora, serpentes et volucres pennatae, etc. Półmędrek z politowaniem zapyta, jak można zapraszać do modlitwy istoty bez duszy, a nawet bez czucia, ale prawdziwy chrześcijanin więcej i gruntowniej się ulituje nad tymi nieszczęsnymi, co zdołali zatłumić w sobie zmysł religijny.

V.

Uwolnienie.

Ledwo jutrzenka z nocnych cieni zaczęła wydostawać drzew wierzchołki, już Skołuba był na nogach. Z troskliwością doświadczonego człowieka opatrzył konie i uprząż, nucąc sobie: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“, poczem konie do wody poprowadził, przedłużając pacierze. Dalej, stojąc przy wózku przekładał na nim pakunki, patrząc ze szczerym śmiechem na towarzysza podróży, który po tamtej stronie bryki leżał na ziemi zaspany. Był to widok w samej istocie śmieszny: Cesław spał twardo, a owad latający pokoju mu nie dawał. Wszystkie jego rysy były w ciągłych poruszeniach; najdziwaczniejsze miny wyrabiał, czasem ręką odganiał nieprzyjaciół swojego spoczynku, ręka jakby martwa opadała z łoskotem o ziemię, a z tem wszystkiem przebudzić się nie mógł. Aż nakoniec Skołuba, naśmiawszy się dowoli, porwał go za rękę i potrząsnąwszy nim całym, jak gruszą dla dostania owoców, rzekł: — Dzieńdobry Wpanu, panie szatny; wstawaj Wpan: dziś wszystko dobrze nam pójść powinno, bo na piękny dzień się zanosi; patrz jak mgła osiada.

Cesław wytrzeszczył wielkie oczy, ziewnął, porządnie, obie ręce wyciągnął, a z takiem wyprężeniem, że aż stawy odezwały się z trzaskiem, i zerwał się równemi nogami. Przeżegnał się cóś mrucząc pod nosem, i boso pobiegł do rudy, przy której się umył; czem orzeźwiony, wrócił do wózka, przywitał się ze Skołubą, wdział chodaki, płócienne szarawary zaciągnął oskurem, włożył na siebie siermięgę, i przyklęknąwszy zaczął się modlić, nawet z podniesieniem ducha; bo jeżeli wieczorne modlitwy najczęściej klepał nawpół zaspany, albo myśląc o czem innem, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że co się tycze porannych, te mu rzadko kiedy służyły za materjał do spowiedzi. Modlił się gorliwie z dwóch przyczyn, raz że po obmyciu się, już go sen przestał był trapić, powtóre, że się nieco obawiał, bo pierwsza myśl która po obudzeniu nasunęła mu się, była śmierć na szubienicy, haniebna dla szlachcica, na przypadek wpadnienia w nieprzyjazne ręce, ile że w dniu tym, wedle słów Skołuby, miało nastąpić rozwiązanie ostateczne ich dramatu.

Skołuba nie przeszkadzał mu w modlitwie, zaczął zgromadzać szczątki zgasłego okurzeliska, okrył tlejące ognisko świeżemi polanami, i połą od siermięgi jakby miechem kowalskim, rozdmuchał ogień. Już przez wszystkie szczeliny płomień się dobywał, kiedy pan Cesław we wszelkiej gotowości stanął przed Skołubą, i z twarzą wypogodzoną, jakiej dotąd nie miał, odezwał się: — A co panie Skołubo, czy mam już konie zakładać?

— Poczekaj mości szatny, na wszystko pora: do Bortnicy nie mamy nad mil cztery, a nam nie potrzeba tam być aż dobrze po południu. Ale cieszę się, że przecię Wpana widzę w dobrym humorze; a to dlatego, że rano wstałeś. Nigdy czekać nie trzeba, póki aż słońce nam nie powie dzień-dobry, ale wyskoczyć z pościeli na jego spotkanie, by je z życzeniem dnia dobrego uprzedzić; tym sposobem dzień przejdzie wesoło, bo słońce gniewać się nie będzie. Teraz napijemy się kawy, przynieś-no Wpan naszą flaszę skórzaną i chleba na zakąskę.

Cesław przyniósł i wódkę i chleb.

— Wypij do mnie.

Łyknął młodzieniec i oddał flaszę Skołubie. Skołuba splunął, przeżegnał się i dobrą porcją zakropiwszy wnętrzności: — Teraz Cesławeńku, trzeba pomyśleć, żeby czemś ciepłem ogrzać żołądek: mamy kociołek i baniak, Wpan w króbeczce znajdziesz worek z jagłami, wykroisz szynki kawał i słoniny wędzonej, mamy wodę w rudzie, a kiedy Wpan jeszcze spałeś, ja uzbierałem trochę borowików. Obaczysz, że będziemy mieli krupnik, któryby się nie powstydził pokazać na stole nieświeskim.

— Ani wątpię o tem — odpowiedział Cesław, i wszystko co potrzeba wydobywszy z wózka, majster i czeladnik wzięli się do kuchmarzenia. Wkrótce potem, pilnie śledząc oczyma kipiącą sperandę porządnego śniadania, rozpoczęli z sobą gawędę.

Cesław pierwszy zagaił. — Wiesz co, panie Skołubo, jak zacznie się bać, to nakoniec się przeboi. Przyznam się Wpanu, że dziś jeszcze przebudziwszy się, byłem w wielkim strachu na wspomnienie stryczka — aż mrowie po mnie przechodziło, a teraz już się człowiek z tą myślą oswoił; wcześniej czy później, siak czy owak, a umrzeć trzeba. Jak to pięknie napisano w Słonimie na marmurowym grobowcu świętej pamięci pana strażnika, ojca mojego pana: Quod mihi hodie, tibi cras; on te słowa często w ostatniej swojej chorobie powtarzał. To się ma tak rozumieć: co mnie dziś, tobie jutro. Chociaż tego jeden drugiemu tu powiedzieć nie możemy, bo broń BOŻE nieszczęścia, dziś od jutra nas nie przegrodzi, gdyż wedle wszelkiego podobieństwa, będziemy razem wisieli. Dla Wpana to nic, a dla mnie jakem rozpatrzył, pół biedy.

— A to czemu?

— Temu, że sam sobie nie dowierzam, gotów jestem stchórzyć; ale przy Wpanu, wiem, że mnie dobrem słowem pokrzepisz, i nie pozwolisz, żebym przed cudzymi na duchu upadł; nieprawda?

— At, młodyś Cesławeńku! czyż to już zaraz i wisieć! Kiedy wielkie złe, to bieda musi się przesilić, a kiedy nadto dobrze, to bieda grozi. Przypomnij-no sobie, jakto w Stołowiczach jeszcze we wtorek wieczór ziemia się trzęsła pod kopytami naszych koni; nam się zdawało, że cały świat podbijemy, a we środę zrana już to wszystko było albo w kozie, albo w lesie; a czy kto mógł tego się spodziewać? Teraz, chociaż miną nadrabiam,

czuję dobrze, że nas okulbaczyła ostatnia nędza, więc z tego wnioskuję, że wkrótce cóś dobrego nastąpi; bo widzisz, Cesławeńku, szczęście i nieszczęście są przy nas, jak skrzydła przy wiatraku: to jedno, to drugie na wierzchu, a tymczasem zboże się miele.

— Jaki Wpan mądry, panie Skołubo.

— Ba, a dlaczego djabeł rozumny? bo stary. Wpanu rok dopiero dwudziesty, pożyj-no prawie lat tyle, jak ja, to także o wielu rzeczach się dowiesz, o których ci jeszcze dotąd ani się śniło. Nie zdaje mi się, żeby nasza wyprawa na szubienicy skończyć się miała, tak być nie powinno; ale dajmy na to, żebyśmy się od niej i nie wykręcili, czyż zaraz rozpaczać? oddać się BOGU i być spokojnym. Wszakże to nie za rozbój, ani za złodziejstwo, Pan BÓG dobry i sprawiedliwy; jeżeli tu źle, zato tam będzie lepiej. Mnie to cieszy, żeś i Wpan się uspokoił: mam przeczucie, że nam dobrze pójdzie, a broń BOŻE noga się pośliznie, spuść się na mnie, ja Wpanu nie dam stchórzyć.

— Ja się nie spodziewam przy Wpanu takiego wstydu, ale pomówmy-no z sobą: jakże weźmiemy się do tego, by mojego pana uwolnić? bo musi być dobra straż przy nim.

— Albo ja wiem? tak się zrobi, jak Pan BÓG zrządzi. Wpan zwyczajnie młody, wszystko chciałbyś z kopyta, a na świecie nie tak rzeczy idą; wiem, że pan wojski pod strażą, że dziś mieć będzie nocleg w Bortnicy na komisarji, że Bortnica należy do księcia biskupa Massalskiego, że tam ekonomem generalnym jest pan Oskierko. Ale jaka

tam straż, czy ostróżna, czy niedbała, czy z hulaków, czy z postników, czy straż dziedzińca zdana będzie na kozaków, czy chłopów, o tem nie wiem, a dopiero jak się dowiem, wedle tego i postąpię; i to jeszcze zostaje do odgadnienia, czy dowódca komendy, stojąc w przyjacielskich dobrach, spuści się na ekonoma z pełną ufnością, czy nie? bo i na tem wiele zależy.

— Ja tu nie widzę różnicy, jaki pan taki kram; czy kozak, czy ekonom księcia biskupa, to dla nas na jedno.

— At, powiedział co wiedział! Na dwoje babka wróżyła; co to zgóry stanowić, i z zawiązanemi oczami szukać czarnej owcy między białemi. Jak godzinę pobędę w Bortnicy, będę wiedział o wszystkiem; a teraz tyle tylko wiem, że w dobrach pana, co z królem trzyma, kozaki króla nie będą tak ostróżni, jak w dobrach tych, co się przeciwko niemu oświadczyli. Zresztą co mam gadać, o czem jeszcze nie wiem; ale ty Cesławeńku pamiętaj, byś zasznurował sobie usta, jak staniemy w Bortnicy. Pilnuj koni, leż przy nich, a choć pójdziesz do szynku, nie odzywaj się; pamiętaj, że człowiek rozsądny najlepiej wychodzi, kiedy go cudzy mają za gapia.

— Albo ja głupi z kimkolwiek wdawać się w rozmowy? tylko z Wpanem mówić będę.

— I ze mną niebardzo. Jak się kto waszeci o co zapyta, odpowiedz: — Ha? — to on głośniej się odezwie z pytaniem; Wpan i drugi i trzeci raz powiedz: — Ha? — wezmą ciebie za głuchego, dadzą ci pokój, a tymczasem cóś dobrego może

ci wpaść do ucha. Ja sam będę do ciebie krzyczał co tchu stanie; uważasz? Ale oto i krupnik gotowy; bądź co bądź, a najeść się trzeba. — Przelali krupnik z baniaka w ostudzony kociołek; Skołuba wyjął z zanadrza dwie łyżek drewnianych, obaj siedli na ziemi postawiwszy między sobą kociołek, i pierwszy raz od dni kilku posilili się ciepłą strawą.

Po skończonem śniadaniu, po upakowaniu wózka, Cesław zaprzągłszy konie siadł na miejscu woźnicy, a Skołuba zajął zaszczytną posadę właściciela. Wędrowali w milczeniu, bo pan szatny już się wprawiał do roli głuchego, co ją miał wygrywać w Bortnicy, a Skołuba niczem się nie chciał odrywać od rozwagi niezbędnej dla sternika: ciągle tylko się oglądał wokoło, żeby między tylu krętemi manowcami nie zbłądzić. Wózek szedł jak okręt pośród wichrów nieprzyjaznych: czasem się zbliżał do wielkiego gościńca, czasem się od niego oddalał; dążył ci wprawdzie do zamierzonego celu, jednak nie prostą linją, ale te wszystkie obroty nie były zrządzeniem ślepego trafu; każde poruszenie bądź uboczne, bądź nawet wsteczne, Skołuba mógłby w potrzebie usprawiedliwić logicznym wywodem. Palił lulkę, myślał i uważał. Cesław był jak w rogu; nie wiedział gdzie się znajduje, czy się zbliża, czy się oddala od celu podróży; tylko przy krzyżujących się drożynach, wedle komenderówki Skołuby, zwracał lejce w prawo lub lewo, zacinał tę lub ową szkapę. Tak się posuwając, już byli odbyli jeden popas, i od dwóch godzin po południowym obroku przedłużali swój po-

chód, kiedy od strony gościńca usłyszeli głosy głuche, a między niemi jeden głos donośny, rozkazujący, jednem słowem szlachecki.

Skołuba kazał stanąć, zlazł z wózka, podsłuchał czas niejaki, nakoniec obrócił się do Cesława mówiąc: — Nic to, jednak trzeba się dowiedzieć dokładnie, czy to jest, czego się domyślam, czy co innego.

Kilkanaście kroków gęstwiną przeszedłszy, a zawsze kierując się głosem słyszanym, obaczył tabor z kilku ludzi, a z nimi konie juczne i wierzchowe. Między temi ludźmi stał Żyd, a jakiś pan czy podpanek w łosim kaftanie, z szablą w jaszczur oprawną u boku, z ładownicą srebrną na plecach, na niego krzyczał:

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, przeklęty Żydzie, gdzież ta lasowa karczma, o której od południa mnie pleciesz? Umieram z głodu; ktoby mi dał kieliszek wódki, byłby moim największym dobrodziejem, czy długo Żydzie, myślisz mnie morzyć?

— Jaśnie panie — odezwał się Żyd — za pół godziny przeprowadzę państwa do Korelicz, tylko co ich nie widać, o tu! — pokazując ręką od strony wielkiego gościńca.

Po dumnej postawie, po ogromnych wąsach, a szczególnie po przysłowiu, Skołuba poznał pana Chłusowicza, chorążego wołkowyskiego, który był do Stołowicz przyprowadził z sobą do kilkudziesiąt szlachty i ludzi dworskich, uzbrojonych i na dzielnych koniach. Wysunął się gładko z gęstwiny do swojego wózka; tam w jedną rękę

wziąwszy pudło z wiktuałami, w drugą flaszę skórzaną, z tem stanął pośród dworu pana chorążego.

— Wszelki duch Pana BOGA chwali! — krzyknął chorąży na jego widok — a co waść za jeden?

— I ja go chwalę, wielmożny chorąży, panie i dobrodzieju.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, waść mnie znasz? i mnie się zdaje, żem waści gdzieś widział; kto waść taki?

— Jestem gajowym z Korelickiej puszczy, i strzelcem JO. księcia pana.

— Rozstąp się ziemio, teraz rozumiem, skąd data naszej znajomości. Czy to ja raz z księciem wojewodą polowałem w waszej puszczy? Witam waści, mocium panie; ja przyjaciel, a waść sługa radziwiłłowski. My z jednego sklepu; a co to masz waść w ręku?

— Słyszałem, jak wielmożny pan skarżył się, że mu głód dokucza. Niechże wielmożny pan pozwoli służyć sobie tem, co BÓG dał.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, waść poczciwy człowiek jak widzę. Bylebym się spotkał z księciem panem, moja głowa w tem, żeby waści na podłowczego postąpił. I gorzałkę masz? o toś mi brat. Powiedz-no waść szczerze, czyś szlachcic, czy nie?

— Szlachcic, wielmożny panie, choć ubogi, ale tak zacny, jak pan stolnik litewski.

— Niewielka to filozofja, mocium panie, być tak dobrym szlachcicem jak on. Pijże waść do

mnie, bo na waszecine sumienie się spuszczam, żeś szlachcic.

Skołuba, trochę łyknąwszy, podał flaszę; chorąży dobry haust połknąwszy: — Rozstąp się ziemio, mocium panie, wódeczka kapitalna, ażem się orzeźwił! — i zaczął zajadać wędzonki, unosząc się nad ich zaletami.

— Niech wielmożnemu chorążemu ta króbka i ta flasza służą; jest kilka bochnów chleba, słonina, szynka, kilka łokci kiełbasy z czosnkiem; pan leśniczy wyprawił mnie z Korelicz do Słucka, wziąłem z sobą zapas, właśnie jakbym przeczuwał, że się nim przysłużę tak znakomitemu panu.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, nie wiem jak się waść nazywasz i o to nie pytam; — a zdjąwszy sygnet z palca: — Słuchaj waść, panie bracie, oto masz mój sygnet herbowny; przyjedź do Dziewiątkowicz, żebym mógł waści odwdzięczyć za traktament traktamentem, a jak mnie zwrócisz ten sygnet, przez całe życie tego żałować nie będziesz.

Skołuba ucałowawszy kolano chorążego, zapytał go, z jakiego wypadku zbił się z wielkiej drogi aż w bezdrożе leśne?

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, a co to waść za górami siedział, że mnie o to pytasz? Pięćdziesiąt chłopców na koniach zaprowadziłem do Stołowicz; ale mocium panie, co poradzisz, na zdradę? rozbili nasz obóz, ja ledwo z tem co waść widzisz umknąłem w lasy, i piąty dzień w nich się błąkam, i to wszystko przez Ogińskiego. Ja przybywszy radziłem, żeby od tego zacząć, by go po-

wiesić. Jak mu wierzyć, kiedy jego żona jest cioteczną siostrą pana stolnika litewskiego? on się niby z nią rozstał, ale to tylko na oko. Zdrada, mocium panie! Abym się dostał do domu, w nim kąta nie zagrzeję, rozstąp się ziemio, a muszę znaleźć Ogińskiego, żeby go powiesić, i tem skończę sprawę graniczną, co z nim toczę od lat dwudziestu; a jak po nim buława litewska dostanie się księciu wojewodzie, dopiero będzie dobrze na Litwie. Żebym to ja był prowadził konfederacją pod Stołowiczami, toby nieprzyjaciel błądził teraz po lasach, a nie swoi; ale władza hetmańska wszystkim głowy była pozawracała. Każdy mówił: Pan hetman! pan hetman! a pan hetman zdrajca; co to z męstwem zrobisz naprzeciwko zdrady! Musiałem uciekać, i tak nakoniec zbłądziłem, że ani ja, ani ta garstka moich ludzi nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Na szczęście spotkaliśmy tego Żyda, który ma nas do samych Korelicz przeprowadzić, a ja mu za to obiecałem sto tynfów, jeżeli mnie tam całego doprowadzi. No, moje dzieci! wiem, że wasze żołądki próżne, obdzielcie się tym bochenkiem jak możecie; a wódki wam nie dam, bo już jej niewiele.

Skołuba przybliżył się do chorążego i skłoniwszy się:

— Oj! wielmożny panie, cóś temu Żydowi z oka niedobrze patrzy! Wielmożnego pana ma przeprowadzić do Korelicz, a dąży zupełnie w przeciwną stronę ku wielkiemu traktowi; on wielmożnego pana chce wprowadzić między nieprzyjacielskie komendy.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, znowu zdrada! Żydzie, a to waść jesteś szpiegiem jak widzę?

— Nie, jaśnie panie, ja poczciwy Żydek, mnie wszyscy znają, bo ja wszystkim obiwatelom służe.

— A Skołuba na to: — A gałganie, ty niby pana prowadzisz do Korelicz, a czy tam Korelicze? Ty go prosto wabisz do Bortnicy, gdzie dziś jeszcze nieprzyjaciół silny oddział ma stanąć.

— Rozstąp się ziemio, damże ja tobie niecnoto! Moje dzieci, weźcie tego hultaja, i przyczepcie go szyją do gałęzi.

— Co, jaśnie pan żartuje?

— A to się wkrótce dowiesz, mocium panie, czy to są żarty, czy prawda. Waść szpieg, a szubienica jest choroba, na której szpiegi kończą, jak hulaki z dobrej szlachty na podagrze.

— Gwałtu, jaśnie panie, to on sam szpieg, co w prostej siermiędze chodzi, a wozi jedzenie pańskie.

— Mocium panie, próżne słowa, waść wisieć będziesz! Moje dzieci, oddajcie mu zgrabnie tę ostatnią posługę.

— Gwałtu! ja wszystko powiem, ja nie wiem gdzie droga do Korelicz, ale jak jaśnie pan chciał dać sto tynfów, ja bidny Żid chciałem zarobić; u mnie żona i dzieci.

— Mocium panie, nie naprzykrzaj się.

Zaczął wrzeszczeć Żyd tak przeraźliwie, że aż Cesław przybiegł na ten głos, i miał czas przypatrzyć się, jak ludzie chorążego, brzozę pochyliwszy, na jej wierzchołku uczepili Żyda za szyję.

ztyłu mu ręce związawszy, i brzozę puścili. Żyd się jeszcze długo trzepotał, nim się nakoniec uspokoił, a ludzie aż się kładli od śmiechu.

— No, mocium panie gajowy — rzekł p. Chłusowicz — dzień szczęśliwy; z łaski waści nakarmiłem się, zdradęśmy wykryli i ukarali, dotąd wszystko dobrze; ale s u n t b o n a m i x t a m a l i s. Żyda zdrajcę powiesiliśmy, ale żaden z nas drogi nie wie, a jak waść nas odjedziesz, gdzie my się podziejem?

— Wielmożny pan niech tak zrobi: ja koniecznie muszę zaraz jechać do Bortnicy, ale choć późną nocą to jeszcze wrócę. Niech wielmożny pan tu na mnie czeka, a jak będzie zmrok, niech każe dobry stos zapalić, bo noc ciemna, trzeba żebym miał się do czego kierować, a jak powrócę, to potem sam wielmożnego pana doprowadzę do Korelicz.

— A na jaką godzinę mam się waści spodziewać?

— Wkrótce po północy.

— A jak nie przybędziesz?

— To wtedy niech wielmożny pan za mną i za tym moim woźnicą, który tu stoi, każe zmówić Anioł Pański, a jeżeli łaska da co na mszę: bo już oba nie będziemy żywi.

— Rozstąp się ziemio, mocium panie, z waści desperat jak widzę. No, ruszaj sobie waść zdrów, a powracaj jeszcze zdrówszy, a jak mnie przeprowadzisz do Korelicz, możesz być spokojnym o swój los, bo już ja o nim pamiętać będę. Czy waść gajowy, czy strzelec, czy kto inny, mnie nic do tego;

wiem tylko, żeś dobry człowiek i kwita; zdaje mi się, że waści gdzieś widziałem, ale mniejsza o to. Ruszajże sobie z BOGIEM panie bracie, a jak się tylko zmierzchnie, ogień będzie rozpalony. Oj! żeby ten Ogiński dyndał obok Żyda, nie takbym tęsknił za waścią! Ale co się odwlecze to nie ucieczе. — Skołuba pożegnał chorążego ściśnieniem za kolano, i siadłszy na swój wózek, puścił się dalej w drogę.

Godzina w zupełności nie upłynęła, a już nietylko Skołuba z Cesławem dostali się do wielkiego traktu, ale nawet do wsi wjeżdżali. W jej środku stała karczma obszerna murowana, a pod karczmą siedziały baby przedające mięsiwa, nabiał i inne wiktuały. Niemało fornalek stało przed karczmą, bo chociaż Bortnica nie była miasteczkiem, ale na wielkim gościńcu położona, częste miewała kiermasze, i właśnie nasi podróżni na takowy trafili. Był to dzień świetny dla arendarza, gdyż nietylko że do większej połowy był wypróżnił zapas gorzałczany, ale pokupował za bezcen mnóstwo drogocennych rzeczy, co je ludzie przynosili ze stołowickiego popłochu. Niejeden ratujący się ucieczką, zarwawszy naprędce pas lity, lub jaką inną sztukę z odzienia swego pana, za kilka tynfów go sprzedawał pierwszemu Żydowi, co go napotkał. I arendarzowi Bortnicy kilka podobnych facjend udało się zrobić; stąd ręce założywszy za pas, przechadzał się około swojej karczmy z oznaką największego zadowolenia. Kiedy Skołuba wjechał do sieni, arendarz zaczął pytać woźnicy, wedle kategoryj Arystotelesa: skąd? dokąd? z kim? za czyją pomocą? Ale Cesław choćby samo z siebie nie pamiętał

o roli głuchego, na niego nałożonej od Skołuby, widok dyndającego Żyda na gałęzi tak mu był utkwił w pamięci, że bez trudności okazał się jakby rzeczywiście głuchym. Skołuba za niego odpowiedział, że jest gajowym w puszczy księcia wojewody, i że wiezie od leśniczego korelickiego beczkę sytego miodu do komisarza słuckiego. Arendarz radby może był szukał z nim napaści, żeby prawem kaduka do tej beczki się zaintromitować; ale imię Radziwiłła było tak straszne, że chociaż książę tułał się po Podgórzu, każdy Żyd bał się jego sług zaczepiać, żeby, jak już to bywało, na przypadek powrotu książęcego na okropną zemstę nie być narażonym. Nietylko tedy że mu przykrości nie wyrządził, ale go nawet potraktował kwartą piwa, i wziąwszy na stronę, oświadczył przed nim swoje przywiązanie do księcia pana, na którego gruncie się rodził w Lubczu, i że po wszystkich kahałach modlą się za najrychlejszy jego powrót do Nieświeża. A tymczasem zabierał się pójść do ekonoma generalnego, by go uwiadomić, że do karczmy zajechał jakiś obszarpaniec radziwiłłowski i że beczkę miodu z sobą wiezie, kiedy sam ekonom kolebką parokonną zajechał przed karczmę.

Pan Oskierko, ekonom generalny księcia biskupa w kluczu bortnickim, nie był zupełnie złym człowiekiem, choć służąc księciu biskupowi, tem samem musiał popierać jego stronnictwo; jednak ile razy to mógł uczynić bez narażenia siebie na podejrzenie, przez szpary patrzał na zabiegi strony przeciwnej. Chciał zachować ufność swojego pana, ale obok tego nie życzył sobie wywołać naprzeciw

siebie nienawiści zażartych, w czasach, które pokilkakrotnie okazywały przykłady, że tułacz i wywołaniec wczorajszy wracał nazajutrz i do majątku i do dawnego położenia towarzyskiego. Bogaty jak każdy, który się dotknął interesów księcia biskupa, pragnął jeszcze mieć wziętość jakąś w obywatelstwie: a trudno było ją otrzymać, nie wchodząc przynajmniej w tajne kompromisa z partją radziwiłłowską. I tak, ile razy pan Oskierko wyprawiał jeńców konfederackich, krzyczał na nich, odgrażał się prawie z wściekłością; ale im dodawał straż złożoną z największych gapiów jakich mógł wynaleźć, tak że jeńcy bez wielkiej trudności ratowali się ucieczką. Prawda, że potem włosy rwał sobie niby ze złości, że katował rózgami nieroztropnych strażników, że dla okazania gorliwości sam wyjeżdżał dla odszukania zbiegów, ale zawsze udawał się w stronę przeciwnoległą tej, którą jeńce uciekali. Jednem słowem, święcie się trzymał aksjomatu, żeby tak postępować, by i wilk był syty i koza cała. Zajechawszy przed karczmę, rozkazał dyspozytorowi, którego ujrzał, kręcącego się na koniu świeżo nabytym podczas kiermaszu, żeby czterdzieści podwód wiejskich stanęło o świcie na komisarji dla przewiezienia jeńców, gdyż co chwila oczekuje komendy wojsk królewskich z jeńcami; a spostrzegłszy Skołubę, zaczął go wybadywać skąd i dokąd jedzie? Skołuba odpowiedział rusko-litewskiem naiżeczem zwyczajną antyfonę, że jest gajowym Korelickiej puszczy, i że wiezie beczkę miodu komisarzowi słuckiemu.

— No mój kochanku — powiedział pan Oskierko — cieszę się mocno z tego; lada moment będę miał gości, kozaków królewskich, pana komisarza słuckiego przeproszę, a moich gości jego miodkiem potraktuję.

— Budzie kryuda, panoczku.

— Co nie twoje bratku, o to nie dbaj; a potem, prosić nie będę—a obracając się do dyspozytora:— Mospanie Kluskiewicz, miej waść na oku beczkę, którą znajdziesz na wozie tego franta, żeby w szkodę nie poszła; a jak goście przybędą, to ją zaprosić do mnie. — Ledwo wymówił te słowa, a już beczka przeniosła się na fornalkę dworską. Skołuba zaczął kolana całować ekonomowi.

— Ach, panoczku, dajcież-że liściec, kaby nie było kanfuzji w Słucku.

— Bądź spokojny, dobry człowiecze; wasz komisarz dobry mój przyjaciel, porozumiemy się z sobą, a jak powrócę do domu, każę mojemu manualiście list dla waści napisać, a ja go podpiszę, jeszcze waści zrobię wygodę u siebie. — Gdy to mówił, przyleciał jego pisarczyk, od kołowrotu wiejskiego, ale co koń mógł wyskoczyć, z oznajmieniem, że już transport jeńców czołem dotyka do wioski. Pan Oskierko wyprawił pisarczyka nazad do komendy, żeby ją przeprowadził na komisarję, a sam w swojej kolebce kazał siebie do domu odwieźć, dla przyjęcia gości, i pożegnał Skołubę, mówiąc mu: — Bratku, przyjdź na komisarją, tam ciebie w piekarni napoją i nakarmią.

W jednej chwili wszystkich jakby wymieciono z karczmy, bo wszystko to hurmem tłoczyło się ku

kołowrotowi, dla spotkania kozaków. Zostali tylko: stara Żydówka przy drobnych dzieciach w swym szynku, a w sieniach Skołuba z młodym Buńczukiewiczem. Pierwszy drugiego na bok odprowadziwszy, rzekł:

— Patrz-no, Cesławeńku, jak wszystko dobrze się kartuje, obaczysz że i kozacy, i sam pan ekonom tak się popiją miodem, że będą leżeć jak zabici. Ty dosypuj koniom owsa, a jak się zrobi noc, ty z drugimi idź na komisarją, nic nie gadaj, a na mnie uważaj: jak tobie dam znak, zaraz konie zaprzęgaj i stań za bramą; poczem przyjdziesz na dziedziniec, żebym wiedział, że gotowe: wtedy z tobą pójdę za bramę i powiem ci co masz robić. Pójdź teraz wraz ze mną na komisarją, żebyśmy się z miejscem obeznali. — Poszli i zobaczyli na dziedzińcu kilka wozów obładowanych szlachtą, otoczoną od kilkunastu kozaków; poznali zdaleka i pana wojskiego, ale przez myśl im nie przyszło do niego się zbliżyć. Szlachtę zaprowadzono do furdygi, a dwudziestu pięciu chłopów z drągami postawiono przy bramie dziedzińca. Dziedziniec był wkoło opasany głębokim rowem, nad którym gęsto sterczały ostrokoły, nie było sposobu wejść do dziedzińca jak przez wrota, ale obok rezydencji ekonoma rowem przedzielone było gumno, napełnione zbożem w snopie, pośród którego stała obszerna stodoła, a dalej trochę śpichrz. Między gumnem a komisarją był most zwodowy dla ułatwienia komunikacji, ale ten most od dawnego czasu się nie podnosił, bo łańcuchy były znacznie uszkodzone. Komisarja, jak wszystkie rezydencje

owych czasów, była prawdziwą forteczką; nawet na jej wałach pokazywało się kilka armatek żelaznych bez lawetów.

Pan ekonom u drzwi mieszkania swojego przyjął gości ze wszelkiemi powierzchownemi oznakami i uszanowania i radości; co chwila im się kłaniał, dziękując, że przecie kraj oswobodzili od swawoli i rabunków konfederatów, i zapytywał czem może im służyć. Że noc była piękna, a zrazy, kasze i pieczenie gotowe, kazał na podwórzu pozastawiać stoły, żonę swoją przedstawił oficerowi dowodzącemu oddziałem, i po uczęstowaniu ich gorzałką, zaprosił do stołu, za którym wedle obyczaju kozackiego i starszyzna i szeregowi razem usiedli. Między dworską czeladzią wcisnął się i Skołuba, a pan Oskierko okiem nań rzuciwszy, roześmiał się serdecznie, i odezwał: — Ale, ale! oto i gajowy mojego serca! zapomniałem o jego miodzie. To on przecie nas częstuje, mości panowie. — Dyspozytor przybliżył się do ekonoma, i powiedział mu do ucha: — Oto panie na dziedzińcu stoi mój wózek, a na nim beczka.

— No, no, pogospodarujże Wpan koło niej, każ zaraz na początek garniec jeden wytoczyć, pokosztujemy go. — Przyniesiono garniec, nalano szklanki. — Zdrowie króla jmci! — krzyknął pan Oskierko, — i wychyliwszy szklankę do dna: — Ach — odezwał się — przedni miód! — Kozacy także nie mogli się nachwalić. — Wypij waść, mości panie Kluskiewiczu! — Niknęły szklanki jedna po drugiej ze zdradliwym trunkiem, tak, że godzina nie upłynęła, a już wszyscy byli bez przytomności; nawet

pani komisarzowa była zadrzemała. Aż Skołuba widzi zdaleka snującego się Cesława; i jak się tylko przekonał, że starszyzna dworska i kozactwo leżą bez przytomności, odezwał się do chłopstwa stojącego na warcie.

— A sztoż, kali moj miod wsi pijuć, paprabujmy i my; a bo my nie takije ludzie jak i ani?

Chłopstwo się natychmiast rzuciło do beczki. Skołuba ani kropli nie liznął, bo wiedział co się dzieje z tym, który szklankę odważy się wypić: ale udawał, że pije, a chłopstwo piło do upadłego. Zostawiwszy więc ich przy zabawie, przybliżył się do szatnego, i wyszedłszy z nim poza bramę, przy której już nie zastali nikogo:

— A co, czy wózek zaprzężony?

— Oto go Wpan widzisz.

— Słuchajże, Cesławeńku! Widzisz to gumno za rowem? Oto masz siarkę, krzesiwo i kłaki: wszyscy z gumna przyszli tu gawronić i pić, więc nikogo w gumnie nie zastaniesz. Idź-że tam i podpal snopki, wietrzyk idzie z gumna prosto na komisarją. Jak płomień buchnie, kto żywy na wsi pobiegnie do gumna; a ty swoje zrobiwszy, zaraz do mnie powracaj. — Cesław oddalił się, a Skołuba dopajał strażników furdygi. Chociaż pan Oskierko dał rozkaz, żeby przed dziesiątą podnieść most zwodowy, ale ten rozkaz utonął w miodzie. Już ostatki przytomności były zniknęły w garnizonie, kiedy Cesław przybiegł zadyszany, a wkrótce taki blask uderzył, że chociaż noc była ciemna, na dziedzińcu komisarji szpilki można było zbierać. Skołuba ani chwili nie tracąc, siekierą odbił

drzwi od furdygi, rozbudził szlachtę krzycząc: — Panowie! panie wojski! BÓG z nami, uciekajcie! — Wszystko piorunem wyszło na dziedziniec, a tu dzwony wiejskiej cerkwi słyszeć się dały. — Niema czasu do tracenia — przedłużył Skołuba — za mną panowie do stajni! tam są konie ekonomskie i kozackie, a oto szable niepotrzebnie uczepione do tych sennych ptaków. — Szlachta rzuciła się do szabel i zaczęli się opasywać, i nad nadzieję Skołuby wojski nie był ostatnim do uzbrojenia siebie. Jak piorun wpadli do stajni; było tam kilku stajennych, ale ci obudziwszy się, nietylko że oporu nie czynili, ale sami pomagali kiełzać i kulbaczyć. Trzydziestu jeźdźców dzielnych pokazało się na dziedzińcu, dwudziestu pięciu z szablami, a pięciu ze spisami, bo szabel nie dla wszystkich wystarczyło. Jednomyślnością kolegów pan wojski wziął nad nimi dowództwo i przeprowadził ich za bramę, gdzie jego wierny szatny czekał ich, siedząc na swoim wózku.

— W którą stronę iść mamy, Skołubusiu? — zapytał wojski.

— Do karczmy za wózkiem — odpowiedział Skołuba. — Trzeba wózek żywnością naładować, bo ze trzy doby iść może wypadnie lasami, gdzie niczego nie dostać, nim się dobijemy do Korelicz, a w lesie nas czekają nasi.

Zbliżając się do karczmy, spostrzegł z radością wznoszącą się łunę z nad lasu; przed karczmą zastali arendarza, patrzącego na pożar pańskiego gumna.

— Żydzie — rzekł Skołuba — oświadczyłeś mi dopiero swoje przywiązanie dla księcia woje-

wody, teraz możesz go dowieść; zaprzęgaj twoje siwe konie do bryki i naładuj ją owsem.

— Co panowie chcecie? gdzież u mnie tyle owsa? a te konie nie moje.

— A gałganie! — krzyknął Skołuba, przywitawszy go parę razy nahajką, dopiero zdobytą na kozaku — niedawnośmy powiesili do ciebie podobnego Żyda, i tego, jak widzę, tobie się chce. Tymczasem zapalić mu karczmę.

— Aj! panie, gwaltu! bierzcie sobie i brykę i konie.

Na rozkaz wojskiego sześciu szlachty zsiadło z konia, i poszli za Skołubą i Buńczukiewiczem, którzy szli przodem, trzymając między sobą Żyda, żeby im nie uciekł: zaprzęgli, a czterech z nich poszło na górę zrzucać wory z owsem na brykę. Naładowawszy brykę worami, wyprowadzili ją z sieni.

— Już większa się rzecz zrobiła— przedłużył Skołuba — wygoda koni zabezpieczona; teraz o swojej pomyśleć trzeba: — Żydzie! do śpiżarni.

Żyd pokorny jak baranek, poszedł przed nimi do składu: co było chleba, bułek, krup, masła, przeniosło się ze śpiżarni na wózek Skołuby; ale wychodząc ze śpiżarni, Skołuba obaczył wielki kufer zamknięty.

— Żydzie! — krzyknął — otwórz-no kufer!

— Naco panu ten kufer? tam niema nic do jedzenia.

— Jeżeli zaraz nie otworzysz, to nie nahajem, ale siekierą po łbie dostaniesz.

Żyd nawpół umarły otworzył kufer; kilka pasów litych zaraz uderzyło Skołubę. — Aha, Ży-

dzie, to pasy, któreś dziś pokupował od tych, co je ukradli; ale ja je odkupuję, może BÓG da, że znajdę ich właścicieli. — Zabrawszy pasy i baryłkę gorzałki, Skołuba pożegnał Żyda temi słowy:

— Bywaj zdrów i wesół, miły arendarzu, i jutro waszemu ekonomowi kłaniaj się ode mnie: przeproś go, że sam nie służyłem mu z pożegnaniem, ale powiedz, że na wiwat piękną mu sprawiłem iluminacją.

To wyrzekłszy, siadł brykę powozić, jak Cesław wózek, a szlachta otoczywszy swoją amunicję, powolnym krokiem ciągnęła ku łunie dobywającej się z puszczy.

VI.

Spotkanie kolegów.

Waleczny poczet dążący do lasu, spotykał wieśniaków zbiegających się na rażący blask pożaru; spoglądali oni z zadziwieniem na to nowe wojsko. Skołuba ich czasem zatrzymywał, zapytując kędy droga do tej lub owej wsi, o której nazwisku nikt nawet nie słyszał, albo: — Jak ci się zdaje, dobry człowiecze, skąd ta łuna, która się wznosi tam? — pokazując palcem ku stronie lasu. Takowe pytania robił z wesołości, że mu wszystko tak dobrze poszło, a nie z obawy. Gdyż w rzeczy samej nie było czego się obawiać; wojsk prawie nie było w całej okolicy, a chociaż pojawiały się poczty na wielkim gościńcu, nie były one tak silne, żeby trzydziestu szlachty uzbrojonej, i to pod dowództwem naczelnika tak odważnego i tak przezornego, jakim był pan wojski, nie mogło im dać rady. Nawet prawie wszyscy pragnęli podobnego spotkania, żeby zaraz działać zaczepnie. Całemu hufcowi był znanym Skołuba; można więc łatwo wystawić sobie, jak jego imię, przechodząc z ust do ust szlachetnych wyzwoleńców, wzrosło raptownie, jakie oznaki wdzięczności i radości objawiały się po szeregach.

Kiedy już się zbliżali do lasu, wojski kazał jednemu ze szlachty oddać swojego konia Skołubie, a samemu siąść do powożenia bryki; gdyż prowadząc oddział drogami krętemi, i to nocną porą, potrzebował mieć tuż przy sobie przewodnika. Skołuba skoczył na konia, a wojski o kilka kroków naprzód jadąc przed oddziałem, kazał mu się zbliżyć i postępować obok siebie.

— Skołubo — powiedział — dobrze się wysłużyłeś naszej sprawie; niech BÓG i ludzie ciebie za to chwalą. Generalność swojego czasu wiedzieć będzie, żeś tylu poczciwym biedę ukrócił; widać, że BÓG tobie pomagał: wszystko teraz rozumiem, zapoiłeś wartę, odbiłeś nasze więzienie, opatrzyłeś nas końmi i bronią naszych strażników, i to z taką łatwością, że chyba ślepy tu nie pozna palca BOŻEGO. Jednak ci muszę jedną rzecz zganić. Domyślam się, że to sprawa twoja, podpalenie całego gospodarstwa bortnickiego.

— A moja, panie, nieinaczej.

— Otoż to było bez potrzeby; sam widzisz, że ten pożar żadnej rzeczywistej pomocy nam nie przyniósł. Wieśniacy co na ratunek pobiegli i bez tego nie mieli możności nas zatrzymać, aniby się o to pokusili.

— To pan się obawiasz, żeby księciu biskupowi chleba nie zabrakło? Ma on tego jeszcze więcej, niż my wszyscy razem co tu jesteśmy; będzie i dla niego do jedzenia i dla jego oficjalistów do ukradzenia, o to niech pan będzie spokojny.

— Mój kochany, ty to w żart obracasz, a nie godzi się w śmiech puszczać cudzą krzywdę. Przy-

jacielowi nie szkodzić, to i poganin potrafi, ale chrześcijańska rzecz, być i dla nieprzyjaciela umiarkowanym. Żeby w czasie odwrotu gumno przedzielało mnie od ścigającego nas wroga, nie pytałbym kto jego właścicielem; choćby to było moje własne, choćby pana Jana Wazgirda, kazałbym go zapalić; bo żadne gumno tyle nie waży, ile ocalenie choć jednego człowieka. Ale pastwić się nad nieprzyjacielem, — do jego krzywdy niezbędnej, przydawać jeszcze drugą ze swawoli, żeby tylko mieć powód do śmiechu, — wierz, Skołubo, że to jest ciężki grzech.

— Pan mówisz jak kaznodzieja; pan kiedy się jeszcze uczyłeś w konwikcie nieświeskim z moim panem, to już wtedy się zanosiło, że pan będziesz i wielkim obywatelem, i wielkim świętym; a ja sobie zwyczajnie prosty szlachcic, ani pisać, ani czytać, a jednak nigdy nie poszkapiłem się na mojem sumieniu. Ja pana przekonam, że to co mi pan wyrzucasz jako ciężki grzech, z tego nie mam potrzeby prosić księdza o rozgrzeszenie. I ja się na to piszę, że nieprzyjaciela krzywdzić bez potrzeby, tylko żeby się z niego naśmiać, to ciężki grzech; ale kiedy z potrzeby ta mu się krzywda stanie, za cóż dobremu człowiekowi się nie zaśmiać?

— I o tem byłoby do pomówienia; ale powiedz przynajmniej, jakąż miałeś potrzebę pracę ludzką podpalać? co ci ona zawadzała?

— Mógłbym na to tak odpowiedzieć: a czy pamięta pan, jak to my przeszedłszy Zbrucz z panem Pułaskim, stanęliśmy obozem w Jezierzanach; jak to pan pięknie dowodziłeś, że w czasie

konfederacji sądowe juryzdykcje w takich zamieszaniach działają tylko o tyle o ile, co złych ludzi do bezprawia zachęca. A że więc na każdem miejscu, gdzie się znajduje oddział konfederacji, a niema juryzdykcji sądowej przytomnej, tam dowódca jest w prawie założyć swoją, żeby dla sprawiedliwości nie było bezkrólewia; otoż w Bortnicy, nimeśmy panów uwolnili, cała konfederacja była przy mnie i panu Cesławie Buńczukiewiczu, a ja że starszy, władza sądownicza była przy mnie; ile że juryzdykcji sądowej nie było. A widzi pan, że pańska nauka w las nie poszła?

— To dobrze, ale w czemże pan Oskierko zawinił?

— Jakto w czem? a jużci, kto sprzężaje dostarcza, by uwięzić szlachtę, takiego ukarać należy.

— To zła racja, mój kochany; on spełnia rozkazy, jakie mu dają, i nie może ich nie spełniać; jakże karać nieprzekonanego o winę?

— Ja więcej powiem, nawet w potrzebie dam mu na to świadectwo przed generalnością, że on choć spełnia rozkazy mu dane, to jeszcze nie tak, jakby mógł je spełniać, gdyby był takiego samego sposobu myślenia, co jego pan; nawet o to bywał turbowany.

— Sam przeciwko sobie mówisz; za cóż więc tak strasznie pomściłeś się na nim?

— A, panie! czy pan pamiętasz ten stary miód, co go mój pan w spadku po swoim ojcu dostał? Niech-no pan sobie przypomni, jak to w Nieborowszczyznie mój pan przez swawolę pana jedną lam-

peczką tego miodu potraktował, a pan ruszyć nie mogłeś ani ręką, ani nogą, jeszcześ się nazajutrz trochę pogniewał na mojego pana za żart. Oto ja jedyną może beczkę stuletniego miodu na całej Litwie przewoziłem na moim wózku przez Bortnicę, a pan Oskierko gwałtem zabrał mi tę beczkę dla traktowania swoich gości. Chociaż po prawdzie powiedziawszy wielcem się z tego ucieszył w duchu, pomyśliłem sobie: będzie tobie miód! Oj, żeby nie ten gwałt, panowie nigdybyście z furdygi nie wyleźli. Ale gwałt zawsze gwałtem, i choćbym go za to tylko ukarał, już byłbym czysty.

— A mój kochany, zmiłuj się, za beczkę miodu chociażby starego, podpalać szlachcica! a w jakimże naszym statucie to wyczytałeś? Wszakże i juryzdykcje konfederackie nie wedle innych praw sądzić mają, tylko wedle tych, które u nas są w używaniu.

— Zaraz, panie, ze wszystkiego się wytłumaczę; niech-no pan pozwoli parę słów powiedzieć swojemu szatnemu, bo już las, a droga nieosobliwsza. Cesławeńku, wpuść koła w koleje; noga za nogą, blask oświeca, patrzaj na mnie i z oka mnie nie spuszczaj. Panie wojski, niech-no pan każe kilku panom zsiąść, i piechotą iść koło bryki. Bryka żydowska wąsko idzie, żeby się czasem nie wywróciła; byłaby bieda na nowo ją ładować. Broń BOŻE oś się złamie, to i amen, przepadnie owies, a mamy kilkadziesiąt koni do karmienia, a daj BOŻE, żebyśmy za dwa dni stanęli w Koreliczach. — Wojski stosowne zrobił rozporządzenie.

Szlachta, chociaż to wszystko byli dziedzice osiedli, majętni, niektórzy z nich nawet urzędnicy, tak umieli się brać do tego, jakby całe życie byli sługami. I w istocie tryb życia dawnego szlachcica, choć najbogatszego, usposabiał go do wytrzymania wszystkich pocisków biedy: dla niego bogactwa były jakby stanem przypadkowym, do którego trwałości niewiele przykładał wiary. Bogaty nad ubogim nie brał pierwszeństwa, ubóstwo było szanowane, tak dalece, że wyobrażenia nie było o bogaczu, chełpiącym się z swoich dostatków[1]). Było w powszechnym obyczaju, że bogaty, jeżeli nie w trybie życia, to przynajmniej w mowie przybierał wszystkie cechy ubóstwa. Książę Radziwiłł Panie Kochanku nazywał siebie chudym pachołkiem; jakaś dziwna pokora cechowała rozmowy możnych; jakaś dziś już niepojęta delikatność zaprawiała ich obcowanie. Zapewne, że bywały chwile gwałtownego uniesienia, kiedy namiętności były poruszone, ale te były przechodnie[2]). Wszakże nie było zgromadzenia biesiadującego,

[1]) Dotąd widzimy ten obyczaj w części przynajmniej zachowujący się. Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć chełpiącego się z swoich bogactw potomka starożytnego rodu. Jeżeli jaki twój znajomy zacznie szeroko gadać o swoich intratach i swoich dobrach, śmiało idź o zakład, że to jest syn jakiego dorobnika, z niebardzo wonnem szlachectwem.

[2]) Gwałtowność nie wyłącza grzeczności. Ludzie gwałtowni bywają do zbytku grzeczni. Nie trzeba mieszać dwóch rzeczy odrębnych, gwałtowność i grubjaństwo. Dawniej było wielu ludzi gwałtownych, teraz jest wielu grubjanów.

gdzieby się w czemś nie wyrażały zasady chrześcijańskie; a że szlachta uboga oddawała się usługom bogatej, tem samem obowiązki służebnictwa się uszlachetniały. Najmożniejszy obywatel poczytałby sobie za krzywdę, gdyby nie umiał zaprząc do pojazdu, okulbaczyć, otroczyć i objuczyć konie, oczyścić odzież i obuwie; tem się często popisywał. Samego księcia wojewodę nieraz widziano, jak w stajni nieświeskiej sam szczotkował swojego wierzchowca. Pan pomagał słudze w usługach własnych. I to nam tłumaczy całą tajemnicę stosunków między panem a sługą, stosunków, które umiały zachować między nimi zasadę równości szlacheckiej. I kiedy książę Karol Radziwiłł, klecąc swoje genjalne kłamstwa, odwoływał się do epochy mniemanej, kiedy był kuchcikiem u jakiegoś pana Gałeckiego, to kłamstwo było jednak uroczystem wyznaniem tej równości, około której krążą nieroztropne dzisiejsze teorje, a która niegdyś istniała u nas praktycznie[1]). Trudno już dziś zrozumieć tę rzeczpospolitą szlachecką, która była jedynem zjawiskiem w swoim rodzaju, jak ten śpiż

[1]) Równość może być między szlachtą, nigdy między ludźmi, bo szlachta jest c o n c r e t u m, które orzeczyć można. Ludzie są owszem abstrakcją; bo zawsze trzeba zapytać: jacy ludzie? Jakże orzeczyć stosunki między objektami, które same potrzebują jeszcze orzeczenia, i o których zachodzi wątpliwość, czy dadzą się orzeczyć? Stąd w różnych społecznościach równość szlachecka objawiła się w bycie praktycznym. Równość między wszystkimi ludźmi była zawsze tylko hipotezą, prowadzącą do absurdum.

koryncki w czasie pożaru dawnego grodu, przypadkiem z rozmaitych kruszców jednoliwny, a który odtąd przez sztukę nie mógł być nigdy naśladowany. Ta rzeczpospolita nieodzownie zniszczona, jak wszystkie fenomena dziejów ludzkości, żyje jednak w historji. Radziłbym dzisiejszym teorety-kom politycznym nieco ją rozpamiętywać, żeby się przekonać, że to co się tak świetnie odbija w poezji, w bycie rzeczywistym ani trwałości, ani szczęścia niezawsze podaje rękojmię.

Pan wojski, przywoławszy na nowo Skołubę, rzekł: — Słucham końca twojego usprawiedliwienia, Skołubusiu, bo radbym tak poczciwego szlachcica, jakim jesteś, widzieć czystym na sumieniu jak bursztyn.

— I tak jest panie, w samej rzeczy, jestem tu czysty jak bursztyn; to co się mówiło o dostawieniu sprzężai, o gwałcie na naszym miodzie, to się mówiło, at zwyczajnie, żeby się wygadać. Nie było mi w głowie ukarać pana Oskierkę, broń BOŻE, ale zrobiłem mu owszem największą przysługę; on mnie całe życie dziękować powinien, za to, że kazałem podpalić jego gumno.

— Ciekawy jestem, jakże mi tego dowiedziesz?

— Nic łatwiejszego. A czy pijane kozactwo jak się obudzi, a obaczy się i bez koni, i bez broni (a pan wiesz co ich za to czeka), czy pierwsza myśl, mówię, co do nich zawita, nie będzie, że padli ofiarą zdrady? „Tłumacz się no przed nami — powiedzą — mości ekonomie generalny, jak to my w rezydencji obronnej takiego sromu mogli się doczekać; wszakże nie kto inny jak waszeć gos-

podarzem. Co to jest? To waść na dwóch stołkach siedzisz? póki słońce świeci, królewskie komendy częstujesz, a w nocy na nich konfederatów naprowadzasz? A wszakże to szubienicą pachnie!“ Chociażby może siebie nic dał powiesić pan Oskierko od ludzi bezbronnych, mając po sobie wiejskie posłuszeństwo, aleby go oskarżono przed księciem biskupem wileńskim; a pan wiesz, że on tak nas miłuje, jak czart wodę święconą. Aniby mu wyperswadować, tak byłby pewnym, że to zdrada była; takby to wziął na kieł, że koniec końców możeby i wisiał pan Oskierko. Ale podpalenie gumna na wstępie ze wszystkiego go usprawiedliwi; żaden ekonom gumna nie podpali zaraz po żniwach, o tem wszyscy wiedzą; pan Oskierko, jak się obudzi, resztę włosów wyskubie sobie z głowy. — A łajdaki! — krzyczeć będzie — a rozbojniki! a psubraty barskie! Żeby noga wasza nie uszła! Musieli opjum do miodu dosypać. A moja praca, mój dobytek, moja krew w popiół się obróciły! — i niema co powiedzieć, tem przed panem swoim okaże się prawym. A co, panie? prawda że mu się pokazałem życzliwym, że mu po przyjacielsku usłużyłem?

— Prawda, Skołubusiu, niema co mówić; wylegitymowałeś siebie tak, że ani ludzie, ani BÓG ciebie potępić nie mogą.

— A widzi pan, że Skołuba ani zły, ani głupi? Teraz niech-no pan każe zaśpiewać pieśń konfederacką; jakoś weselej nam chodzić przy śpiewie. A potem trzeba pamiętać o panu chorążym wołkowyskim, który bardzo za mną musi tęsknić przy

swojem ognisku. Jak usłyszy naszą pieśń, to mu serce ledwo nie wyskoczy z radości. — Na rozkaz wojskiego wszyscy jednym głosem odezwali się:

„Stawam na placu, z BOGA ordynansu“ i t. d.

Po odśpiewaniu tej pierwszej strofy, zastanowili się nieco wedle zwyczaju, azali ludzie lub aniołowie nie odpowiedzą; jakież było ich zadziwienie, kiedy kilka głosów donośnych, właśnie od strony skąd ogień oświecał las, odpowiedziały:

„Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem“ i t. d.

Zadziwienie było ich tem większe, że oprócz pana wojskiego, któremu dopiero coś o tem był bąknął Skołuba, żaden nie wiedział, że swoich znajdzie przy tem ognisku. Wtem poznali pana chorążego zbliżającego się ku nim, na czele kilku jeźdźców.

I ci i tamci stanęli o kilkanaście kroków od siebie, i razem odśpiewali trzecią zwrotkę.

„Krew z ran wylana, dla mego zbawienia“ i t. d.

Po jej odśpiewaniu, pan chorąży wysunął się naprzód: — A to nasi, rozstąp się ziemio, mocium panie! Pozdrawiam was, bracia moi! Przy kim z was jest władza?

Skołuba zabrał głos:

— Pan Michał Strawiński, wojski słonimski, tu rozkazuje, a wszyscy go słuchają.

— I ja chcę mu być posłusznym — odpowiedział pan chorąży — rozstąp się ziemio! a to waćpan, panie wojski! Jeszcze żyje konfederacja na

Litwie, kiedy my żywi: zapraszam panów braci do mojego ogniska. — Przyczem wszyscy zsiedli z koni i zaczęli się całować; pan chorąży z panem wojskim uścisnąwszy się:

— Mości chorąży — odezwał się wojski — Wpan dobrodziej i wiekiem i zasługami i urzędem ode mnie starszy; pozwól, żebym jemu złożył dowództwo.

— Nic z tego nie będzie, mości wojski, jakem szlachcic, jakem s o d a l i s, na to nigdy nie pozwolę: staję z moimi pod rozkazy pańskie.

— Ale mości chorąży, ja czuję, że mi nie przystoi dawać panu rozkazy.

— V e r b u m n o b i l e d e b e t e s s e s t a b i l e. Słowo się rzekło, mocium panie, kobyłka stoi u płotu; mam sobie za wielki zaszczyt być panu wojskiemu posłusznym. Hetmani zdradzają, ale szlachta zawsze poczciwa. Rozstąp się ziemio, mocium panie, a to i pański adjutant, co nas karmił swoim chlebem: on mnie był w pole wyprowadził. Odrazu przypomniałem sobie, żem go gdzieś widział. Ale gracz! Jak zaczął mnie pleść, że jest gajowym z Korelicz, myślę sobie, może go i spotkałem w puszczy polując z księciem wojewodą; ale jak mnie żegnając do obaczyska, powiedział: — Jak nie wrócę po północy, proszę zmówić za mnie Anioł Pański, — rozstąp się ziemio! mocium panie, pomyśliłem sobie, tak mądrze gajowyby się nie odezwał. I przypomniałem sobie zaraz, że u mnie bywał z panem swoim, panem Janem Wazgirdem; poznawszy całą hramotę, powiedziałem tylko, niech BÓG waści prowadzi, niby go jeszcze nie po-

znałem. Czy to zaraz ogłaszać, co się wie? Ze mną i szlachta, i nie szlachta, a żyjemy w takich czasach, że zdrada, mocium panie, zprzodu i ztyłu, i na prawo i na lewo. No, mocium panie, nie wiem waścinego nazwiska, ale aż nadto mnie przekonałeś, żeś prawdziwy szlachcic.

— Skołuba, do usług pańskich.

— A, mocium panie Skołubo, gdzie się teraz pan Jan Wazgird obraca?

— Udało mu się umknąć z panem generałem Bielakiem, który w kilkaset koni ciągnie ku południowi. I ja byłem przy moim panu; ale jak obaczył, że pana wojskiego niema, kazał żebym go odszukał. A ja z wierności sługi i przy pomocy BOŻEJ, dopełniłem nad moją nadzieję rozkaz pański; bo za szczęściem pana wojskiego tych panów, co ich pan chorąży widzi przed sobą, udało się nam uwolnić.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, łebski z waści szlachcic, panie Skołubo.

— Niechże pan chorąży pozwoli, bym mu oddał ten sygnet, cóś mi go pan powierzył, a który może mi dał szczęście; wszak razem jakiś czas będziemy.

— Nie, mocium panie, dopiero w Dziewiątkowiczach go wykupię. Mości wojski, i wy panowie bracia, proszę panów z sobą; tylko ogniem was poczęstować mogę, bo to co miałem z łaski pana Skołuby, już się zjadło. Cieszę się, jak przy śmierci na widok Anioła Stróża więcej się cieszyć nie będę, że was panowie bracia oglądam; ale czem będziemy żyli? tego nie wiem.

— Skołuba wszystko opatrzył — odpowiedział pan wojski — bo nietylko, że nas żywych wyprowadził, ale jeszcze brykę obładowaną owsem zdobył, a jego wózek aż się ugina pod wiktuałami, które prawem kaduka zabrał ze śpiżarni arendarza bortnickiego.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, z waści złoty człowiek, panie Skołubo! Jak się dostaniemy do Dziewiątkowicz, kolejnym kielichem Wpana zdrowie wypijemy, i to starym węgrzynem.

Po tej rozmowie przy gościnnem ognisku chorążego roztaszowała się szlachta obozem. Chociaż nie można było spodziewać się napadu, jednakże wojski, jako wódz przezorny, nie zaniedbał użyć wszelkiej ostrożności. Z ludzi pana chorążego, jako niezmęczonych pochodem, porozstawiał placówki, ile że oni jedni mieli broń ognistą, czem na każdy wypadek mogli dać ostrzeżenie obozowi. A sam je rozstawiwszy, poźniej po kilkakrotnie sen przerywał, żeby opatrzyć czy robią swoją powinność, i chorąży do tego mu pomagał; bo chociaż to nie był człowiek wielkiego zdania, jednak przyrodzoną zmyślnością i doświadczeniem, jakie nabył w ostatnich wojnach domowych, pojął rzemiosło rycerskie. Ale nim się udali na spoczynek, długo jeszcze rozmawiał chorąży z wojskim, rozwijając przed nim najdziwaczniejsze plany do ożywienia konfederacji na Litwie, plany których słuchał wojski z budującą cierpliwością.

— Mości wojski — mówił — wszystko pójdzie dobrze, tylko bez tego nic; trzeba nam dostać hetmana Ogińskiego i kazać go powiesić, jako

reum criminis status et perduellionis. Od tego nam zacząć koniecznie trzeba.

Wojski niepostrzeżenie się uśmiechnął.

— Widzisz, mości chorąży dobrodzieju, że na wstępie rzecz się rozbiła. Wszakże pan hetman już dziś musi być w Prusiech, jakże go dobyć stamtąd?

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, to sęk; jednak mam znajomość i dobrą z umocowanym pana kurfirsta: on mieszka w Tawroniach, póki skarb radziwiłłowski do ostatniego grosza nie wypłaci tego, co jego panu winien. Otoż czyby nie można przez tego umocowanego jakoś trafić do pana kurfirsta, żeby nam wydał Ogińskiego? Co Wpan na to mówisz, mości wojski? możeby się to nam udało?

— To napróżno, mości chorąży; lepiej to odłożyć ad feliciora tempora. Po stołowickiej porażce już niema co robić na Litwie; niech się pan chorąży zgodzi z wolą Pana BOGA i ulegnie królowi; niech sobie siedzi zdrów w domu, zachowuje swoich przyjaciół, ma w pilnem baczeniu wychowanie dziatek, a w majątku swoim załata te dziury, których mu narobiły jego szlachetne poświęcenie się i nieszczęśliwe ich rozwiązanie. Niech się pan chorąży w niczem nie naraża królowi i czeka cierpliwie, jak nami BÓG rozrządzi.

— A pan wojski co myśli z sobą robić?

— Będę się starał przedrzeć do naszych w Krakowskie.

— Rozstąp się ziemio! mocium panie, ja z Wpanem tam pójdę!

— Nie, mości chorąży, Wpan masz inne obowiązki; masz żonę, dziatki, nie godzi się ich na łos szczęścia puszczać. Co do mnie, moje życie nikomu niepotrzebne, żadna powinność nie każe mi go oszczędzać. Wyjąwszy chwil krótkich, cały żywot mój był pasmem cierpień i wielkich cierpień; własnych myśli, własnych przypomnień więcej się obawiam, niż tych niebezpieczeństw, któreby mi mogły zagrażać utratą majątku, życia, swobody. Takie jest moje przeznaczenie, i chociaż najmniejszej nie mam nadziei cieszenia się kiedyś powodzeniem moich przedsięwzięć, postanowiłem do końca im się poświęcać. Zdaje mi się, że BÓG nato mnie powołał, bym cierpiał, i tak silną w tem mniemaniu pokładam wiarę, że jeżeli nie cierpię, zdaje mi się, że wykraczam.

Zamyślił się chorąży i westchnął kilkakrotnie: poczem zbliżyli się wszyscy dla modlitwy wieczornej. Obóz rozdzielił się na dwa chóry. Jednym przewodniczył wojski, drugim chorąży, i na cześć Najświętszej, Orędowniczki grzeszników, Najjaśniejszej protektorki szlachectwa, zaintonowali pobożnie godzinki Niepokalanego Poczęcia; a po odbytych modłach, z tą ufnością w BOGU, osładzającą wszystkie złe przygody, na nieco zroszonej ziemi rycerstwo udało się do spoczynku.

VII.

Wyjazd do Warszawy.

Obóz z świtem wyruszył do Korelicz, dokąd bez przygód dostał się trzeciego dnia. Tam go spotkało szczęśliwe zdarzenie; pan Paweł Przecławski, cześnik słonimski, sędziwy starzec, a któremu wiek podeszły nie dozwolił czynnie służyć konfederacji, innego rodzaju poświęceniem wysłużył się ziomkom. Zaraz po stołowickiej klęsce osiadł w Koreliczach, i zniósłszy się z panem Mikołajem Ancutą, rządcą generalnym tych dóbr radziwiłłowskich, ułatwiał błąkającym się niedobitkom środki bezpiecznego dostania się do ich domów, zręcznie usuwając przeszkody, jakieby im mogli stawić stronnicy królewscy. Tym sposobem i pan chorąży i towarzysze pana wojskiego wrócili do gniazd swoich. Sam wojski, zawsze stateczny w zamiarze raz powziętym złączenia się z konfederacją, walczącą w województwie krakowskiem, sporządził w Koreliczach testament, który uprawnionym został podpisanem świadectwem pana cześnika i pana Ancuty; a pana chorążego uprosił, iż zezwolił na naznaczenie siebie egzekutorem testamentu. Majątek odziedziczony po ojcu bez żadnych wykrętów prawnych, jako naprzy-

kład obciążania sumami, jego wartość zmniejszającemi, odkazał rodzonemu bratu, przyrodzonemu spadkobiercy, oświadczając, że żadnego przeciw niemu nie zachowuje żalu; że jeżeliby nawet brat względem niego coś przewinił, to mu z całego serca odpuszcza, prosząc go nawzajem o przebaczenie, jeżeliby w czem obraził, czego sobie jednak nie przypomina. A swojemi kapitałami, jako własną pracą przysporzonemi, rozrządził już nie wedle krwi, ale wedle skłonności własnych. I tak: znaczny legat zrobił panu Janowi Wazgirdowi, niemniej zapisał sumy dominikanom i bernardynom słonimskim, żeby mieli staranie o jego duszy, Skołubie zabezpieczył porządny kęs chleba, nie zapominając ani o Buńczukiewiczu, ani o innych sługach. Powracając do swojej ojcowizny na Słonim, w grodzie ten swój testament opieczętowany złożył. Pan wojski, szlachcic zasobny, oprócz kapitałów co je miał w skarbie radziwiłłowskim, a któremi rozrządził testamentem, miał jeszcze kilkadziesiąt tysięcy reponowanych u dominikanów słonimskich; tę sumę podniosłszy, zamienił ją na złoto, dla łatwiejszego przewozu, i nią napchał trzy trzosy, któremi opasał siebie, Buńczukiewicza i Skołubę.

W majątku swoim znalazł u wiernego rządcy kilka tysięcy gotowych, oprócz znacznych remanentów; pieniądze zabrał z sobą, a zbożowym remanentem poobdzielał szlachtę czynszową na jego ziemi osiadłą i poddanych, a swojemu rządcy zapewnił folwarczek dożywota, i zostawił mu najobszerniejsze zakwitowanie, żeby na przypadek śmierci swojego pana od jego spadkobierców o kal-

kulację nie był turbowany, dodając słownie, że go prosi, by i nadal opiekował się jego majątkiem z równą troskliwością. Tak tedy wywiązawszy się z obowiązków, do których się poczuwał jako chrześcijanin, przyjaciel i pan, zaczął się wybierać do podróży.

Wybrał choć niepokaźną, jednak jak najlepiej opatrzoną brykę z swojej wozowni, do niej kazał zaprząc cztery konie także niepokaźne, ale doświadczone, i trzynastego tygodnia po wypadku stołowickim opuścił Litwę. Skołuba i Buńczukiewicz naprzemian powozili, już nie ubocznemi drogami, ale wielkim gościńcem warszawskim, raz, że jadąc wielkim traktem, tem mniej wzbudzał podejrzenia; powtóre, że chciał być w Warszawie, dla zisiągnięcia tam wiadomości, któremiby mógł oświecić generalność. Oszczędzając konie, a do tego bojąc się zbytnim pośpiechem obudzić podejrzenie, po kilka mil tylko robił na dzień, tak, że konie z tuszy nie spadły. Przeciwnie, w czasie podróży zdarzali się na nie kupcy; ale pan wojski tem się składał, że mu koniecznie trzeba być najrychlej w Warszawie, gdzie już naprzód wyprawił kilka fur słoniny na przedaż, że więc koni za nic zbyć nie może. Odziany w kapocie sierakowej, w butach jałowiczych, w czapce z krajowego jagnięcia, łatwo uchodził wszędzie za jednego z tej szlachty handlującej słoniną, co ich spotykano ledwo nie na każdym kiermaszu w Koronie i w Litwie.

Już ich tylko kilka mil oddzielało od Warszawy, kiedy zajechali na nocleg do karczmy ob-

szernej, samopas stojącej przy wielkim trakcie; przy niej było mnóstwo fornalek obładowanych żywnością różnego rodzaju, które nazajutrz miały wyruszyć do Warszawy. Pan wojski w szynkowej izbie zabrał znajomość z podlaskim szlachcicem, który z Warszawą handlował słoniną, i miał właśnie z sobą dwie fornalek z tym towarem; za poradą Skołuby, zaprosiwszy szlachcica na kufel piwa, jak zwyczajnie słoniniarz litewski słoniniarza podlaskiego, z dyskursu taką mu zrobił propozycję:

— Panie bracie, jak uważam jesteśmy z jednego cechu; wyprawiłem przed sobą dziesięć fur słoniny, które na mnie czekają na Pradze; Wpan ich masz z sobą dwie: jeżeli mnie je odstąpisz, będzie tuzin okrągły, liczba szczęśliwsza, a przy hurcie może i łatwiejsza przedaż. Masz Wpan ze mnie kupca.

— Mój mospanie, Wpan co się także tem bawisz, wiesz z doświadczenia, że my handlarze i koszulę z grzbietu zrzucimy, byle za nią nam dobrze zapłacono. Ja otwarcie powiem, mospanie, że mnie zręczniej stąd powracać piechotą do Mordów, gdzie mam kawałek dziedzicznej ziemi, niż z próżną furą iść do domu wyekspensowawszy się w Warszawie i na swoich koni. Bo jużci kupując towar, musisz Wpan zabrać i to co go dostawia, wszak moich dwóch fornalek na swojej bryce Wpan nie zabierzesz.

— I na to zgoda, byle się Wpan nie drożył.

— Wpan mospanie nie fryjer; te rzeczy musisz umieć napamięć. Zapłać mi Wpan za każdą

fornalkę słoniny po złotych ośmset, a za cztery konie po złotych dwieście za każdego: konie cztery lata na piąty, Wpanu wolno w zęby zajrzeć, bo to niedarowane. Suma dwa tysiące czterysta złotych; jeszcze wasągi darmo Wpanu przyjdą, a ja z moim czladnikiem, szlachcicem jak ja z Mordów, z biczem w ręku, do swojej baby powrócę.

Tu się Skołuba wmieszał do dyskursu:

— To Wpan nie potrącasz ekspensy, jakąbyś miał w Warszawie, nie wchodząc w to, że i to jeszcze pytanie, czy się uda przedać słoninę, bo już jej bardzo wiele z Litwy wyruszyło.

— Mój mospanie, jak towar dobry, znajdzie on i kupca; a i waszeci pryncypał u mnieby go nie targował, żeby go się sprzedać nie spodziewał. Co do ekspensy, jam zgóry do tego się przyznał, że bez niej ani opędzić Warszawy; a czyżbym sobie dał gadać o sprzedaniu towaru przed samą Warszawą, gdyby nie to, że człowiek radby sobie umniejszyć ekspensy? Ale z drugiej strony, mospanie, warto przecie porachować biedę, która na mnie czeka w domu, jak swojej babie gościńca nie przywiozę; a i to mospanie cóś warto, że piechotą pielgrzymkę odbędę, za co odpustu nie dostąpię.

Targ w targ, szlachcic sto złotych spuścił, wymawiając sobie porękawicznego traktament od strony kupującej. Na co się pan wojski zgodził, i dwa tysiące trzysta złotych Podlasianinowi wyliczył; a Skołuba, jako pierwszy minister, natychmiast zaintromitował się do koni i fornalek: postawił je koło swoich, dobrze wprzódy opatrzywszy, i dopiero powrócił do szynku.

Wojski kazał postawić na stole kwartę królewską anyżówki, garniec piwa i misę jajecznicy. Podlasianin swojego czeladnika, wojski swoich dwóch przywołali do stołu, i wszyscy pospołu zaczęli się bawić anyżówką. Wszystko szło gładko, jednak pan Cesław, jako młody, gorzałki przy panu swoim nie pił, tylko piwo; a i tego nie użył dowoli, gdyż na znak dany jemu od Skołuby, wysunął się za nim do sieni.

— Cesławeńku — powiedział mu Skołuba na osobności — kładnij się zaraz i wyśpij, bo ze świtem naprzód pójdziesz z temi dwóma fornalkami, a my ciebie napędzim. Dobranoc, ja muszę panu pomagać do traktowania braci Podlasian.

Tak też się stało: Cesław się położył koło koni, a Skołuba i pan wojski uradowali się z Podlasianami jak się należy, tem więcej, że z dyskursu się pokazało, że szlachcic, który się nazywał Lechnicki, był klientem pana Kuczyńskiego, podkomorzego drohiczyńskiego, męża wielce poważanego od księcia wojewody, a tem samem sprzyjał konfederacji barskiej. Nawet powtarzał na króla, że jest podejrzanego szlachectwa, że dziada swojego nie pokaże, jak to mu dowodzili na dworze JW. podkomorzego.

Przy pierwszych blaskach jutrzenki biesiadnicy dobrze podchmieleni zaprzestali zabawy. Skołuba pomógł wojskiemu rozebrać się i położyć na bryce, a sam, pamiętny na wszystko, rozbudził Cesława, założył mu nowo kupione konie do fornalek, i wyprawił na wielki trakt do Pragi. Nako-

niec położył się na tem samem miejscu, które dopiero zajmował pan Cesław.

I wojski i Skołuba aż dobrze po dziesiątej zrana się obudzili; chcieli się jeszcze pożegnać z panem Lechnickim, ale ten już od dwóch godzin z swoim czeladnikiem stępał ku Podlasiowi; puścili się i nasi w podróż. Cesław miał przed nimi kilka godzin, ale szedł noga za nogą, a brykę ciągnęły konie kłusem; stąd przed wieczorem dopędzili fornalki o milę przed Pragą, tam przenocowali, i przed świtem jeszcze wyprawili Cesława, a sami parę godzin wypocząwszy jeszcze, złączyli się z nim przy rogatkach Pragi. Zajechali razem do żydowskiego domostwa, ulokowali konie i powóz; a pan wojski, zdawszy na Skołubę sprzedaż swojego towaru, wziął na siebie kapotę, jak zwyczajnie handlarz, i kilkanaście złotówek w kieszeń, przeszedł piechotą mostem łączącym Warszawę z Pragą, i puścił się Bednarską ulicą do tej stolicy, gdzie lat dwie się uczył, a którą w dzieciństwie opuścił.

Już było po dziesiątej. Wojski nie lękał się żadnego spotkania; w Warszawie nie było nikogo z takich, z którymi był w zażyłości, a co się tyczy tych, co ich znał przed laty, on tak był osiwiał, tak podstarzał, że chyba po wymówieniu swojego nazwiska byłby poznanym.

Gdy wszedł na Krakowskie Przedmieście, mnóstwo pojazdów angielskich, mnóstwo lokai lśniących się złotem, mnóstwo laufrów okrytych sztucznemi kwiatami, nietyle go uderzyło obrazem

przepychu, ile przekształceniem obyczajów narodowych na wzór zagraniczny. Rzucił wzrok pogardy na tę wystawę zbytku, zwiastującą upadek kraju, a pobudzającą nędzę, która zawsze obok zbytku się wylęga: nigdzie na prowincji nie widział podobnego ubóstwa; nietylko że się ono pokazywało w łachmanach, ale nawet co kilka kroków spotykał ludzi niezgorzej odzianych, a jednak wyciągających rękę.

Cywilizacja teraźniejsza, rozprzestrzenieniem świeckiej nauki pobudziła przemysł i zbytki bez żadnej przeciwwagi religijnej; stąd powstała jakaś wyuzdana wolność myślenia przy największej niewoli potrzeb osobistych, których namnożyła. Na tem najgorzej wychodzi klasa uboga lub zbliżona do ubóstwa, to jest masa narodu, której ledwo cząsteczkę składają bogaci. Ta cywilizacja ogłasza teorje demokratyczne, a w rzeczy samej jest arystokratyczną, bo wyłącznie sprzyja jak najmniejszej części narodu. Bogacz ma teraz nierównie więcej wrażeń przyjemnych niż dawniej, ale ubogi jest daleko uboższym, gdyż cywilizacja zwiększyła jego potrzeby, bynajmniej nie powiększywszy środków ku ich zaspokojeniu; nawet odjęła mu wsparcie miłosierdzia chrześcijańskiego, niszcząc jego zakłady, a zastępując ścisłe i obowiązujące do praktyki wierzenia przez jakieś abstrakcje filozoficzne.

Pokąd była w swojej sile arystokracja, oparta na podaniach, a mająca mało potrzeb osobistych, zbytek zasadzał się jedynie na ilości sług, klien-

tów, obowiązanych przyjaciół: takowy zbytek był rzeczywiście opiekuńczym dla klasy uboższej. Teraz arystokracja pieniężna, bez tradycji, bez obowiązków dla bliźnich, bez żadnego wyobrażenia równości z potrzebnymi, tem tylko zwraca ku sobie oczy, że wyczerpuje dla własnego pożytku wszystkie wymysły cywilizacji, a tem samem obojętnie musi patrzeć na cierpienia ludzkości, które owszem sama pomnaża. Ubogi i bogaty, pan i sługa, w wielkiem stowarzyszeniu szlacheckiem byli rzeczywiście członkami jednego ciała: teraz, gdy samolubstwo prawem konieczności zostało stanem normalnym społeczeństwa, czy może być jaki bądź stosunek równości między bogatym i ubogim?[1])

Bez wątpienia podobnych uwag nasz wojski nie robił, bo dusze cnotliwe nie są wiele rozumu-

[1]) Upraszam łaskawego czytelnika, żeby mnie ten ustęp przebaczył; uznałem go potrzebnym w czasie, kiedy wielu pisarzy, upojonych mniemaniami wieku, powstaje na dawną arystokrację, jakby jakakolwiek obawa mogła być z jej strony. Niech raczą się przekonać, że innej równości być nie może, oprócz takiej, która z wyobrażeń arystokratycznych pochodzi. W większej części Europy to tylko dokazano, że arystokracja rodu, pełna podań, udzielająca się dla ziomków, wierna tronowi, świadoma wszystkich tajemnic historji swojego narodu, zastąpiona została przez najohydniejszą, najsamolubniejszą, najpyszniejszą, arystokrację pieniędzy, której przedstawicielami są dorobnicy i syny dorobników.

Wszakże dawna arystokracja nie niszczyła szlacheckiej równości; ale tam, gdzie tylko arystokracja pieniężna panuje, bogacz-dorobnik nigdy nie uzna ubogiego szlachcica być równym.

jące.[1]) On patrzał na każdą rzecz dobrą z zamiłowaniem, odwracał się od tego, co było złem, nie troszcząc się o skutki, jakie się z tego wywiązać mogły. Uczuć swoich nie rozbierał, oddawał się im swobodnie, bo zdrożnem życiem nie był skrzywił nieomylnej zmyślności serca.

Przechodząc mimo kościoła Ś-go Krzyża, przy którym już stało wiele pojazdów, wszedł do kościoła, a sam ubogo odziany, wmieszał się między rzeczywiście ubogich, którzy klęcząc przed wielkim ołtarzem, obojętność i pogardę możnych składali u nóg Tego, który siebie nazywa ojcem ubogich, a który przebywając na ziemi, nie miał gdzie głowy położyć dla spoczynku.

Zatopiwszy się w modlitwie, nic doczesnego nie żądał od BOGA, cała jego modlitwa była ścisłe jednoczenie woli własnej z wolą Stwórcy i Zbawiciela swojego. Rozpamiętywał wielką tajemnicę okupu naszego, a cierpienia swoje zanurzywszy w cierpieniach, które Bóg-człowiek znosił na ziemi, uczuł jakiś pokój serca, jakąś błogość duszy,

[1]) Jest jeden zarzut, z którego filozofja oczyścić się nie może; a ten jest, że ona nigdy nie objawia się w społeczeństwie pełnem tej dziewiczej czerstwości, gdzie cnota jeszcze jest obyczajem. Przebieżmy dzieje świata, a przekonamy się, że systemata filozoficzne mnożą się w społecznościach, które już utraciły wszelką ważność polityczną. I w samej rzeczy, ci co wiele rozumują, są właśnie ci, którzy jak najmniej działać umieją; niech mnie ukażą choć jeden naród potężny, w którymby filozofowie ważną rolę wygrywali.

Cześć dla poetów, a obojętność dla filozofów jest cechą narodów silnych.

któremi BÓG nawet wiernych sług swoich rzadko obdarza, a które gdyby grzesznicy zdołali poznać, obmierziłyby im ten świat, którego zostali niewolnikami; ale wkrótce jakiś szmer go przebudził.

Dwóch lokai sążnistych, bogato ubranych, zaczęli z trzaskiem lud rozpędzać, chociaż zgiełku nie było. Jeden z nich niósł mały kobierzec, drugi składane krzesło: rozłożyli kobierzec, postawili krzesło. Wojski okiem na nich rzuciwszy, poznał barwę Strawińskich i godło swojego rodu.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie, kiedy za nimi obaczył idącą tę niegdyś Zosię, którą ubóstwiał, na którą długo patrzał jak na towarzyszkę żywota daną mu od BOGA, a której obraz dotąd w jego sercu nie był zatartym.

Prowadził ją za rękę widać jakiś pan dworu, bo jeszcze młody, a już gwiazda orła białego błyszczała na jego piersiach i oczy jego dumne rozsiewały pociski na lud ustępujący mu z drogi.

Zosia była piękniejszą niż kiedykolwiek, i powszechny szmer uwielbienia przywitał ją w całym kościele.

Za nimi szedł paź złotem i szkarłatem błyszczący, który wysunąwszy się przodem, podał pani swojej książkę do nabożeństwa. Ona lekkiem skinieniem głowy i uśmiechem pełnym wdzięków podziękowawszy swojemu przewodnikowi, klękła przed wielkim ołtarzem, podniosła w niebo swoje szafirowe oczy, potem usiadła, i z książki wykwintnie oprawnej zaczęła się modlić.

Jej kawaler nie przeżegnawszy się nawet, stanął za nią o parę kroków, i dobywszy z kieszeni

lornetkę, strzelał przez nią roztargnionym wzrokiem po wszystkich kierunkach kościoła, dopóki nie zbliżył się do niego inny młodzieniec, zaszczycony także orderem chociaż niższym, który go powitał ukłonem pełnym uniżoności.

Kawaler orła białego, po zamianie z nim kilku słów, oparł się na jego ramieniu, obaj cofnęli się popod konfesjonał, i zaczęli z sobą rozmawiać, dialog swój zaprawiając częstym, a głośnym śmiechem.

Zosia modliła się szczerze, i czasem łza wydobywała się z jej źrzenicy i sączyła po jagodach.

Wojski przez jakiś urok nie mógł oczu oderwać od tego przedmiotu, który go na zawsze szczęścia pozbawił: westchnąwszy z głębokości serca, tak do siebie przemówił: — Mój BOŻE! brat wszystkie obowiązki potargał, żeby ją ojcu, bratu, sławie odebrać, a teraz jej straż porucza jakiemuś możnemu wiercipięcie, który nieprzyzwoitością swoją gorszy lud korzący się przed BOGIEM. Żeby, jak być miało, była moją, czyżbym wszędzie, a zwłaszcza w domu Bożym nie był jej nieodstępnym towarzyszem? O Zosiu! widzę jednak łzy sączące się po twarzy twojej! Pomimo tego pozoru niezupełnie być musisz szczęśliwą; ale nie! to jakieś ulotne przypomnienie twojego sędziwego ojca, twojego rodzinnego domu. Po tym uśmiechu którymeś podziękowała swojemu przewodnikowi, widzę, że te łzy wspomnienia lada powiew wielkiego świata wysuszy. Bądź jednak szczęśliwą, o Zosiu; jużeś dla mnie stracona na zawsze, już mi nawet myśleć o tobie nie wolno. Oby BÓG ciebie ani za mnie, ani za twojego cnotliwego ojca

nie karał; bądź szczęśliwą, o Zosiu! — I śpiesznie wyszedł z kościoła.

Błąkał się po mieście bez celu, obojętny na gwary zawsze i wszędzie głupiego pospólstwa, na zuchwalstwo liberji, na te stroje zagraniczne, któremi próżniaki stolicy zacierali narodowość swoją. Spotykał często kontuszowych, którzy jak goście wyglądali wśród wynarodowionego grodu. Rozpoznawał jednak z jakąś uwagą rozmaite godła na facjatach pałacowych; ominął szybko pałac, który po orle czarnym na nim wyniesionym poznał być radziwiłłowskim, a to z obawy żeby się nie natknąć przypadkiem na jakiego sługę księcia wojewody, gdyż w Warszawie chciał być dla wszystkich nieznajomym. Ale zastanowił się nieco za Żelazną Bramą, przechodząc popod pałac, jak widać świeżo wyniesiony, poznawszy na jego facjacie połączone herby Strawińskich i Kunickich: — Tu jest — rzekł do siebie — mieszkanie mojego brata i jego żony; żebym wstąpił do niego, dowiódłbym bratu, że przeciw niemu nie piastuję żalu, że zapomniałem o krzywdzie, którą mnie wyrządził. Byłby to z mojej strony krok wielce chrześcijański. Onby mnie dobrze przyjął; ale nie, stanę mu się tylko powodem zgryzoty, on mojego oblicza nie zniesie. Nie jest to człowiek bez sumienia; on zawsze był szlachetnym. Lepiej go ominąć; on może jest nieszczęśliwszym ode mnie. I ciebie bracie żegnam na zawsze - bądź szczęśliwym!

Kilka godzin będąc na nogach, nieborak się zmęczył, i zabierał się szukać miejsca skromnego,

gdzieby się mógł posilić stosownie do swojego powierzchownego ubóstwa, kiedy blisko kapucyńskiego klasztoru obaczył idącego przed sobą jakiegoś szlachcica w mundurowej kontusinie wytartej i z szerpetyną u boku. Zrównawszy się z nim, spostrzegł że miał wielki kitajkowy plaster na czole. Wszakże szlachcic miał głowę odwróconą w stronę przeciwną, więc wojski nie mógł się przypatrzyć jego twarzy; ale coś w ruchach jego przeczuwał jakąś dawną znajomość, aż gdy nakoniec obrócił się ku niemu, zaraz wojskiemu się zdało, że to twarz znajoma i bardzo znajoma. Upatrywał jakieś podobieństwo z Wazgirdem; ale to go wstrzymywało, że Wazgird miał ogromne wąsy, z któremi za nic w świecieby się nie rozstał. Tak tedy się wahał, kiedy nieznajomy przyskoczywszy do niego wziął go pod ramię, i cichym głosem szepnął mu w samo ucho: — Nieprawda, Michasiu, że niełatwo mnie poznać?

— Ach to ty, mój drogi Jasiu!

— O ter beata illa dies, kiedy ciebie oglądam swobodnie przechodzącym po ulicach stolicy. Gdzież stanąłeś?

— Na Pradze, gdzie twój Skołuba, który z łaski twojej mnie oswobodził z utrapienia, przedaje moją słoninę. Bo wiesz, że zostałem handlarzem, nato tylko, żeby do was prędzej trafić.

— Powiedzże mnie, Michasiu, jakież są w tej chwili twoje zamiary?

— Oto cierpię głód, bo obiegłem nogami ledwo nie całą Warszawę; szukam skromnego obiadku, stosownego do mojej odzieży.

— Ja ciebie proszę na obiad.

— A dokąd?

- Do siebie: kwateruję i stołuję się od trzech dni, co tu bawię, u starej wdowy blacharza kapucyńskiego, z której synem teraz koleguję. Jej syn, jest to poczciwy konfederat, szlachcic, a nawet towarzysz chorągwi JW. podczaszego litewskiego; dał on mnie list do swojej matki; a jaka poczciwa babina! jak zabłąkana w tej Sodomie! jejby u nas żyć. Chodź, będziemy mieli obiadek szlachecki, i będziemy go jedli s e m o t i s a r b i t r i s.

Stanąwszy popod kamienicą, poleźli aż pod strych, gdzie otworzywszy drzwi, pan Wazgird pozdrowieniem chrześcijańskiem powitał staruszkę, siedzącą nad pończoszką i dodał: - - Moja jejmość, przedstawuję Wpani mojego dawnego przyjaciela, poczciwego jak ja Litwina, który handlując słoniną, pierwszy raz do waszej Warszawy zawitał. Jemu daleko iść na Pragę; zaprosiłem go na obiad do jejmości. Niechże jejmość się stara, żeby nie wstał głodnym. Oto parę złotych, ale żeby obiad mógł być zaraz, bo obadwa jesteśmy głodni.

- A dobrze, moje państwo - - odpowiedziała staruszka - niech pan ten, którego honoru jeszcze nie wiem, siądzie za stołem na mojem miejscu, a ja jakoś pożywię moje stare kości tem co się zostanie.

— Nazywam się Poraj — odezwał się wojski — który w samej rzeczy tym herbem się pieczętował.

Staruszka nisko się ukłoniwszy, otworzyła szafę, z niej wyjęła sztof gorzałki i talerz szynki, to postawiła na stole okrytym chędogą bielizną, a sama wyszła zastawić obiad już gotowy.

Wojski już przy wódeczce zaczął pytania robić, ale Wazgird mu przerwał temi słowy: — Po obiedzie babeczka nas zostawi; wszystko sobie opowiemy, jak zostaniemy sami.

Staruszka przyszła z obiadem, przyjaciele siedli za stołem, ona im usługiwała, a oni zawsze grzeczni, z nią tylko rozmawiali, bez zdradzania swojej niecierpliwości by samymi zostać: ale kiedy staruszka wyniosła za drzwi obiadu szczątki, obaj goście, siadłszy obok siebie pod okienkiem strychu, zaczęli wzajemnie otwierać sobie swe dusze.

Wojski opowiedział wszystkie szczegóły prawie cudownego swojego oswobodzenia, dalej pochód przez bory, nim się dostał do Korelicz, i nie zapomniał o podróży swojej do Warszawy.

— A co! mój Skołuba czy nie zuch? tęgo mi się popisał; jak go obaczę, upiję się z nim.

— Ja ci go przyszlę tej nocy.

Dobrze, a ja ci go po świcie odeszlę; przyznam ci się, że gdybym nie wiedział, ile on tobie musiał być potrzebnym, byłbym za nim tęsknił. Tu bez sługi się obchodzę, gdyż nie myślę kąta zagrzać; ale w obozie źle mi z luzakiem, bo choć on wiernie służy i ma staranie o moich koniach, ale cudzy; nie mogę jakoś się wdrożyć do jego usługi. Swoje robi to prawda, ale ani mi się sprzeciwia, ani się umie poznać na moich żartach; nie tak jak Skołuba, co to mu się gęba nie zamknie: a nie naprzykrzył się tobie czasem, panie Michale?

— Gdzie tam! ja go pokochałem jak przyjaciela.

— Ale! ten cisawy koń, co go miałem z twojej łaski, a który mnie wyprowadził z pod Stołowicz, podziękował mi za służbę pod Lanckoroną; kartacz mu pierś rozdarł pode mną; my oba padli, tylko żem ja wstał, a on dotąd leży.

— Jakże idą wasze interesa w Małej Polsce?

— Albo ja wiem; rozumni ludzie mówią, że źle, ale ja tego nie widzę. Prawda, że niejednemu bieda musiała się naprzykrzyć: co to, panie Michale, od dwudziestu prawie tygodni, jak my się z tobą rozdzielili, odtrąciwszy ten tydzień co mi go połknęła Warszawa i podróż do niej, a drugi co go zjadł pochód od Stołowicz do Niepołomicy, codzień prawie mogłem się obaczyć z Świętą Trójcą. Kto słabego serca, to mu takie życie dokuczy; zwłaszcza koroniasze, co to z kopyta cudu dokazają, ale aby przeciwność, cierpliwość tracą i stygną. Prawda, że znalazł się taki co nas odstąpił, że nie o jednym mówią, że chociaż z nami chodzi tam gdzie trzeba, cichaczem stara się o zgodę z panem stolnikiem; ale czy to zaraz wierzyć, kiedy ludzie co złego o kim mówią Jest to w naturze koroniaszów na bliźnim czci ni wiary nie zostawić: dość że tych, o których najgorzej mówiono, widziałem na własne oczy tam, gdzie było dość krętо, a przecie żaden nie stchórzył. Prawda, że pan Sawa zginął, że pan Szyc dostał się do niewoli, ale mamy pana Walewskiego, pana Rzewuskiego chorążego litewskiego, pana Dzierżanowskiego, pana Zarębę, pana Demuliera, o którego szlachectwie czart wie, bo to Francuz, ale po szlachecku naciera z pałaszem w ręku, a nad wszyst-

kimi pan Kazimierz Pułaski, przy którym i tchórz musi zostać odważnym. Za cóż więc ręce opuszczać? oto tylko niedobrze, że naszego księcia trzymają w Proszowie; onby chciał bić się, a jemu każą ministrować; a ty wiesz, jak nam Litwinom źle bez niego. Jakkolwiek się dzieje, on zawsze mówi: — ku lepszemu idzie, panie kochanku.

- Pocóżeś tu się dostał, panie Janie?

- Poco! a czemu się nie pytasz, gdzie się podziały moje wąsy, co to ich cała Litwa zazdrościła, którychbym za dygnitarstwo nie oddał? Wszak ty wiesz, panie Michale, że dwa razy niemi uszy okręcałem; kiedyż to się ja ich na nowo dohoduję! A jednak złożyłem te wąsy, ten skarb mój, na ołtarzu ojczyzny.

— Nie uwierzysz w jaką ciekawość mnie wprowadzasz.

- Oto generalność postanowiła wezwać króla do siebie, żeby sam stanął na czele konfederacji, z groźbą, że jeżeli nie stanie, odsądzony będzie od korony za niedotrzymanie paktów konwentów. Najpierwszych prawników wezwano do tego aktu; ale cóż? trzeba mu pozew położyć, i to we własne ręce, jako królowi; tobie o tem nie mówić, bo prawo umiesz napamięć.

- Cóż dalej?

Poczekaj! Pan Pułaski zebrał nas z dziesiątek, ale takich, których odwagi doświadczył, i taką zaśpiewał antyfonę:

- Panowie bracia, kto z was zechce się podjąć ten papier oddać w ręce królowi? ale tego przed wami taić nie mogę, że jeżeli go złapią, nie-

zawodnie podciągną pod prawo de laesa Majestate, i ten swój krok gardłem przypłacić może. — Sami byli koroniasze, ja jeden Litwin między nimi; żaden się nie chciał podjąć; rozumie się, rzecz nienajsmaczniejsza. Mnie ambicja ruszyła o honor prowincji: — Ja biorę to na siebie — odezwałem się. — Pan Pułaski serdecznie mnie uściskał; przyznam się tobie, panie Michale, że później niemałą miałem pokusę od wszystkiego się jakoś wycofać, ale klamka zapadła, szlacheckie słowo; wstyd, pfe! Poszedłem do spowiedzi do księdza Marka, i zaraz pokusa ustała; djabłu nie wojować z księdzem: oto masz pozew, odczytaj go sobie.

Wojski zaczął go czytać z najgłębszą uwagą, poczem odrzekł: — Prześliczny pozew, gruntowny, na prawie oparty, przez całe moje życie nic równie pięknego nie czytałem; poznaję pióro pana Bohusza, on jeden u nas na cóś podobnego zdobyć się może: jaka głęboka praw naszych znajomość! Przedłużaj opowiadanie swoje! jako przyjaciel, jako obywatel nie mogę ciebie nie słuchać z największą uwagą.

— Pan Kazimierz między czterema oczami dał mi instrukcją, a nawet na piśmie inwentarz obywatelów, do których po drodze miałem zajeżdżać, ale pisany tajemniczym językiem, na co dał mi klucz. Oni mój przejazd ułatwili, bo jak się pokazuje, że oprócz Warszawy, której się z nim dobrze dzieje, po wszystkich województwach szlachta nie sprzyja panu stolnikowi: i te same domy co mnie ułatwiły przejazd do stolicy.

ułatwią i odwrót, jeżeli mi się uda z głową na karku zostać. Ale jak widzisz, musiałem wąsy ogolić, bobym niemi wzrok ludzki ściągnął, a moją podwójną kresę na czole zakryłem czarnym plastrem.

— Wszystko to dobrze, panie Janie; tylko cała rzecz idzie o to, żebyś miał trzech świadków szlachty, jak pozew królowi położysz, inaczej mogą zaskarżyć relacją pozwu.

— A to prawda, a mnie to ani przez myśl nie przeszło.

— Panie Janie, trzeba koniecznie, żeby ten pozew był położony królowi, jakibykolwiek los miał spotkać oddawcę. Niema wątpienia, że jak król pozew odczyta, natychmiast rozkaże schwytać zuchwalca; ale tu nie idzie o śmierć oddającego, ale a to, żeby relacja pozwu była zeznaną, a jak pójdziesz na rusztowanie, kto zezna twój pozew?

— Można iść o zakład, że król tego pozwu czytać nie będzie; wczora byłem świadkiem, jak wychodzącemu z fary królowi mnóstwo suplik podano; to on na kilkadziesiąt takich suplik ledwo kilka odczytał, a resztę oddał szambelanowi na służbie będącemu.

— Słuchaj, panie Janie, ty wiesz że jestem prawnikiem, do mnie ta rzecz należy. Woźnemu prawo nie zabrania innemu woźnemu zdać pozew, byle tylko był położony. Ja się lepiej od Wpana sprawię, ja pozew królowi położę, a będę miał was trzech świadków z rodowitej szlachty: ciebie, Skołubę i Buńczukiewicza. Każdemu z was dam kopją pozwu, ażeby, broń BOŻE na mnie nie-

szczęścia, był taki, coby mógł uczynić przed generalnością relacją pozwu. Wmieszany między pospólstwem, wręczę królowi pozew, niby jako suplikę, a wy, jeżeli mnie porwą, uciekajcie co tchu do swoich, żeby relacją zeznać z tego, coście słyszeli i widzieli.

— Ja miałbym ciebie narażać?

— Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, ale o to, żeby wola generalności spełnioną była. Jako obywatel, domagam się tego od Wpana, ażebyś się mnie nie sprzeciwiał.

— Ty masz ode mnie więcej rozumu, panie Michale, winienem tobie ustąpić. Ale pamiętaj, że jeżeli król, odebrawszy twój pozew, a nie przeczytawszy, odda go w ręce swojego szambelana, ty wmieszaj się w pospólstwo i ruszaj piechotą do Falent, o pół mili od rogatek Jerozolimskich, do tamecznego plebana, dokąd i my trafiemy. Ten pleban, który się nazywa Skrzepicki, ułatwia wszystkie porozumienia pana Kazimierza ze stolicą, i miałem list do niego. To człowiek z porządną głową, a jakkolwiek zausznicy dworu go podejrzewają, nie mogą mu nic zrobić, bo ma największą łaskę u pani krajczyny koronnej, teraźniejszej faworyty królewskiej. On nam ułatwi odwrót, w tem jego głowa.

— Niema czasu do tracenia! Dla BOGA, daj mi pióro, kałamarz, i trzy arkusze papieru, żebym dla nas spisał relacją pozwów.

Gdy Wazgird przyniósł mu co było potrzebnem, wojski zasiadł, i z wprawą doświadczonego jurysty w przeciągu godziny na trzy ręce napisał

relację. Jedną z nich wręczył Wazgirdowi, a dwie drugie i sam pozew oryginalny schował w kieszeń swojej kapoty, w tę kieszeń co pokrywała serce. Poczem odezwał się:

— Panie Janie, dziś jeszcze musisz mi zrobić jedną wielką łaskę.

— Rozkaż.

— Dziś w kościele św. Krzyża widziałem moją bratowę.

— Nie mianuj ją tak, panie Michale, bo się wstydzę, że ją ktoś mieć może za moją siostrę; ale przynajmniej nigdy jej widzieć nie będę.

— Dziś jeszcze musisz z nią pomówić.

— Do tego żadna potęga ludzka mnie nie skłoni.

— Potęga nie, ale przyjaźń do tego ciebie zobowiąże: ty dla mnie to musisz zrobić. Ona była ze mną zaręczona, oto jest obrączka, co z jej rąk w przytomności tylu świadków i twojej odebrałem. Nie zwróciwszy mnie znaku mojej obietnicy, nie odebrawszy swojego, innemu wiarę przysięgła i odważyła się przed BOGIEM wyrzec, że nikomu nie ślubowała małżeńskiej wiary.

Idźże więc do niej, oddaj jej ten pierścionek, i poproś o zwrot mojego, żeby już jej nic mnie nie przypominało. Powiedz jej, że ją uwalniam od dotrzymania danego mi słowa i że jej z serca wszystko odpuszczam.

— Trzeba być tak jak ja od ciebie zawojowanym, żeby się podejmować podobnego zlecenia; co chcesz to ze mną robisz: gdzież ona mieszka?

— Mają swój własny pałac za Żelazną Bramą; herby Strawińskich i Kunickich na nim się wznoszą; ale ja przed pałac sam ciebie zaprowadzę i tam pożegnam, bo trzeba mnie śpieszyć na Pragę, ażeby się przygotować do jutrzejszej wyprawy.

To wyrzekłszy, wziął przyjaciela pod rękę i obaj wyszli na ulicę.

VIII.

Wielki świat.

Pan wojski z panem Wazgirdem w milczeniu przeszli Krakowskie Przedmieście; idąc koło Saskiego pałacu, puścili się ogrodem ku Żelaznej Bramie. Było już po drugiej, dzień był prześliczny: wiele osób pierwszego tonu i tłumy narodu przechodziły się pod cieniem kasztanów Saskiego ogrodu. Nic dziwnego, że w tym zgiełku dla nich obcym, nasi Litwini nie napotkali im znajomej twarzy: ale pan wojski spostrzegł na ławie siedzących kilku paniczów, starownie ufryzowanych, a między nimi i tego kawalera orderu św. Stanisława, na którym zrana, w czasie nabożeństwa, opierał się przewodnik pani starościny wieluńskiej w kościele św. Krzyża. Zbliżywszy się ku nim, gdy wymawiane nazwisko Strawińskich kilkakrotnie obiło się o jego uszy, pobudzony ciekawością pan wojski z przyjacielem, wmieszawszy się w gmin otaczający ławkę, następną usłyszał rozmowę.

— M a f o i — odezwał się jeden z tej młodzieży — trzeba przyznać q u e p o u r u n g e n t i l l â t r e[1]), pan starosta wieluński jest nadto

[1]) Szlachciura.

szczęśliwym. Pojechawszy na Litwę, jakby na jakie wygnanie, wywiózł stamtąd une femme délicieuse[1]), która wznieca rozpacz wszystkich szarmantek naszego dworu. Trzeci rok zamężna, et chaque année lui ajoute de nouveaux charmes[2]), a do tego tak zakochana w mężu, że zabiegi naszych ptimetrów są nadaremne.

— Ba! — odezwał się drugi młodzieniec — trudno tak nisko schylać się tej, która widzi u nóg swoich i brata królewskiego i samego króla. Nieprawdaż, szambelanie?

— Król — odpowiedział orderowy — est trop connaisseur du beau sexe[3]), żeby jej wdziękom nie oddawał czci należnej za każdem spotkaniem; jest dla niej grzecznym i nic więcej: ale jego brat, książę podkomorzy koronny, zakochany jak piętnastoletni młodzieniec. Że moja żona jest kuzynką starościny, książę nam pokoju nie daje, błagając naszej pomocy.

— Il est même devenu bigot par amour[4]), odrzekł pierwszy interlokutor. — Co dzień, słyszę, chodzi do kościoła.

— Nic pewniejszego — odparł szambelan. — Dziś jeszcze, mój hrabio, musiałem mu asystować do Ś-go Krzyża: czekał na naszą kuzynkę u drzwi kościoła, żeby jej rękę podać, i nie wyszedł póki

[1]) Kobieta najmilsza.
[2]) Każdy rok jej przydaje nowych wdzięków.
[3]) Nadto jest wielkim znawcą płci pięknej.
[4]) Został nawet bigotem przez miłość.

ona nie wyszła. Więcej dwóch godzin męczyliśmy się między nabożnisiami. Je n'en pouvais plus[1]).

— Jest to cud oczywisty — rzekł hrabia. — J'admire monsieur le grand chambellan[2]), bo nikt jego wprzódy w kościele nie widział. Wszak musicie pamiętać, jaką burzę przeszłego roku wytrzymał od króla, za to że się nie znajdował na konsekracji ich brata Monseigneur de Płock.

— A jakże nie — dalej mówił szambelan — przy mnie królowi przecie się tłumaczył, że śpiew kościelny daje mu spazmy. Z czego nasz prawowierny pan bardzo nie był kontent.

— Mais c'est une conversion tout à fait édifiante[3]) — na to hrabia. — Wasza kuzynka, mój szambelanie, est une thaumaturge[4]). Ale niema czego się dziwować: żeby się jej podobać, jabym codzień krzyżem leżał przed wielkim ołtarzem, pourvu qu'elle m'en récompense[5]).

— A propos nagrody! jakże ci się zdaje, szambelanie, czy w domu Strawińskich krew królewska pomiesza się z krwią szlachecką? tobie najwłaściwiej o tem stanowić, raz że masz więcej niż ktokolwiek wiatr dworski, powtóre, że jesteś krewnym starościny.

---

[1]) Nie mogłem już wytrzymać dłużej.
[2]) Podziwiam podkomorzego koronnego.
[3]) Ale to zupełnie budujące nawrócenie.
[4]) Jest cudotwórczynią.
[5]) Byle ona mnie za to wynagrodziła.

— Mości stolnikowiczu koronny, Saturn wszystko pożera, nawet własne płody. Pourquoi ne dévorerait-il pas la résistance d'une femme vertueuse[1]).

„Czas zdołał lwy uczynić człeku posłusznemi,
Woda przeszywa skały nurtami cichemi."

Jednak myślę że to długo potrwa, car c'est une femme à grands principes[2]).

— Chyba że się źle do tego weźmie — odezwał się hrabia — car elle n'est nullement indifférente aux hommages[3]). W czasie karnawału tańcowałem z nią menueta na balu u księżny strażnikowej mojej ciotki. Przypominam sobie, jaki to był entuzjazm, a trzeba przyznać, że chociaż nigdy nie była w Paryżu, elle danse à ravir[4]). Otoż odprowadziwszy ją po tańcu, siadłem koło niej, et je lui ai conté fleurette[5]). Je ne suis pas fat[6]), ale jak uważałem, mógłbym pusować interes, bo otrzymałem takie spójrzenie, że książę podkomorzy za nie gruboby zapłacił.

— I dlaczegoż nie pusowałeś interesu? — rzekł na to stolnikowicz.

— Albo ja konfederat barski, stawać na drodze mojego pana, lub jego rodzonego brata? Mnie

[1]) Czemużby nie miał pozrzeć oporu kobiety cnotliwej.
[2]) Bo to kobieta surowych zasad.
[3]) Wcale nie jest obojętną na hołdy.
[4]) Tańczy cudnie.
[5]) Umizgałem się do niej.
[6]) Nie chwalę się.

w głowie uchwycić z ich łaski siakie takie starostwo, a nie przeszkadzać im w zamysłach; ile że król nie ma zbytecznego przywiązania do nazwisk historycznych. Nam trzeba być bardzo ostróżnymi, bo tu tylko parwenjuchy popłacają. A muszę rad nierad zasługiwać się królowi: w Paryżu tak się wyszastałem, que quand je songe à mes dettes, je frémis[1]).

— Głos jest powszechny — odrzekł stolnikowicz — że ona adoruje swego męża: a starosta chociaż ma nadto wiele taktu, żeby się z tem wydawać, au fond[2]), jest zazdrośny. Niema dwóch tygodni jak obiadując z nimi u pani starościny opeskiej, miałem po obiedzie une conversation fort animée[3]) z panią starościną wieluńską: utrzymywałem przeciwko niej, że obowiązki kochanki są nierównie większe od obowiązków żony. Stąd dyskusja; a trzeba żebyście wiedzieli, że ta kobieta manie la langue avec autant de grâce que les pieds[4]): my rozprawialiśmy trochę opodal od towarzystwa, które na nas patrzało, ale nie mogło nas słyszeć. Eh bien, j'ai surpris des regards inquiets de la part de son mari[5]).

— Ale mój stolnikowiczu — odrzekł szambelan — to się tobie tak przywidziało. Zaręczam, że staroście więcej w głowie błękitna wstęga i senatorskie krzesło, niż wszystkie zabiegi czy to króla.

---

[1]) Kiedy pomyślę o moich długach, to drżę.
[2]) W gruncie.
[3]) Rozmowę żwawą.
[4]) Włada językiem z równym wdziękiem jak nogami.
[5]) Schwyciłem niespokojne spojrzenie jej męża.

czy jego brata czy czyjekolwiek z dobrego tonu około jego żony; jak możesz myśleć, żeby tak rozumny człowiek mógł dbać o wierność żony, jakby jaki parafjanin?

— Ale, mój szambelanie, wszakże on ją orężem zdobywał, jak nasi Częstochowę: jakiś gbur litewski nawylot go przestrzelił, jak Casanova naszego Branickiego. Kogo zdobycz tyle kosztuje, ten nierad ją sobie da wydrzeć.

— Niby książę podkomorzy chce jemu ją wydrzeć: wszak masz na dziedzińcu swojego pałacu studnię i nie bronisz sąsiadom z niej czerpać; a powiedzże sam, stolnikowiczu, czy tą powolnością osłabiasz własny użytek, lub prawo do własności?

— To doskonale — odezwał się hrabia — le bon sens du maraud quelque fois m'épouvante[1]).

— Merci du compliment[2]) — odpowiedział szambelan. — Ale à propos poezji! ożenienie starosty mogłoby służyć przynajmniej za osnowę romansu: starościna już była zaręczona z jego bratem. Nie mam honoru znać tej facjaty, ale moja żona o nim mnie nagadała: ma to być jakiś melancholik, fanatyk, prawnik, pijak i głupiec. Dość powiedzieć, jeden ze szczekaczy psiarni księcia Panie Kochanku. Trudno było pozwolić, żeby hajdamaka, barbarzyniec albeński, został wyłącznym właścicielem d'une céleste créature[3]). A jak widzicie starostę, on się w niej kocha jak Saint-

[1]) Rozsądek gbura czasem mnie przestrasza.
[2]) Dziękuję za komplement.
[3]) Anielskie stworzenie.

Preux[1]), i jak on był kochany, a jednak pamięć jakichś obligacyj, co je miał względem brata, tak silnie na nim działała, że gdyby nie moja żona, byłby z siebie i z kochanki uczynił ofiarę, chciał uciekać. Ale w imieniu cywilizacji, moja żona tego nie dopuściła. Wszakże ona ich wykradła. Tam wszystko znajdziecie: brat go podchodzi u nóg swojej narzeczonej, pojedynek, wykradzenie, napad, szlub błogosławiony przez księdza pod kurkiem pistoletu. C'est sublime[2])! Muszę namówić kolegę Trembeckiego, żeby z tego ułożył poemat dla króla. Ale w poemacie, w romansie, kiedy się kochankowie pobiorą, już ostatnia kartka się doczytuje, a w życiu rzeczywistem historja się jeszcze nie skończyła. Co to jest miłość w małżeństwie? musi to być rzecz niewiele interesująca, kiedy się jeszcze tego przedmiotu żaden autor dotąd nie chwycił.

— No, no! żartuj sobie jak chcesz, mój szambelanie — odezwał się stolnikowicz — a ja wam powiem otwarcie, że gdyby mi się dostała żona, zupełnie taka jak staroście wieluńskiemu, i żeby mnie kochała, na honor kawalerski poprzysięgam, że na żadną kobietębym nie patrzał.

— Tak to ci się zdaje — przerwał hrabia — codzień kuropatwy przejedzą się nakoniec. Ce qu'on désire, vaut toujours mieux que ce que-l'on possède[3]).

---

[1]) Bohater romansu Russa.

[2]) Jest to szczytne.

[3]) To, czego człowiek pragnie, jest zawsze lepsze od tego, co posiada.

— Chciałbym, mój stolnikowiczu — dalej mówił szambelan — widzieć ciebie z twoją Penelopą, nie w trzecim roku małżeństwa jak starostę, ale w drugim: widzisz, jak jestem mało wymagającym. Co to za bieda, mieć żonę kochającą ex officio i domagającą się miłości równie urzędowej. Od czasu króla Salomona przysłowia są mądrością narodu: a co mówi przysłowie? — „wierna jak Lukrecja i nudna jak Lukrecja".

Tu się wmieszał do dyskursu jeden z paniczów, który dotąd się nie odzywał: — Kiedy tak, to twoja żona, mości szambelanie, nigdy ciebie nie musiała nudzić.

Wszyscy parsknęli od śmiechu, a szambelan niemniej od innych.

— Patrzcie — odezwał się — na jaką się zdobył epigrammę mój małomówny kolega. Ale srodze on to odpokutuje, bo ja ją powtórzę mojej żonie, a ona mu wojnę wypowie. U niej, jak wiecie, strzał po strzale, a szambelan Dunin, jak wystrzeli dowcipem, to czekaj cały tydzień, nim broń na nowo nabije: jednak tą razą ci się udało, niema co mówić. A ja wam powiem, epigramma na bok: nie było małżeństwa szczęśliwszego od naszego: rien ne nous manque, tout nous sourit[1]). Nigdy siebie nie dręczymy, bo prawdziwa i rozumna przyjaźń nas łączy; jestem powiernikiem mojej żony, jej doradcą, ona nic nie ma dla mnie tajnego. Więcej wam powiem; nigdy nie byłem tak szczęśliwy do kobiet, jak odkąd mam sam żonę bogatą,

[1]) Nic nam nie braknie, wszystko się nam uśmiecha.

rozumną i piękną. C'est une position sociale[1]), która zaraz zwraca oczy innych kobiet. Wy kawalerowie jesteście zawsze do wzięcia, żadnej ciekawości nie wzbudzacie, dlatego kobiety o was mniej dbają; ale niech-no ja się pokażę, zaraz między sobą gwarzą: - - A to szambelan Gintowt, cela doit être un homme de grand mérite[2]) kiedy kasztelanowa inflancka, taka konesorka, dla niego porzuciła męża i jego aż sakramentem związała; co to jest? trzeba go zbliska poznać. Opływam w rozkoszach jak pączek w maśle.

— En vérité — odezwał się hrabia — l'eau m'en vient à la bouche[3]). Pogodziłeś mnie, szambelanie, z ciasnym gościńcem zbawienia. Byle się zdarzyła panna bogata i nadobna: je suis capable de glisser sur la naissance[4]).

- - Otoż nie uwierzycie, ile nasz starosta przypiekł gotowych romansów, dlatego tylko, że jego żona w nim dotąd zakochana. Toutes nos dames devant lui sont sous les armes[5]). Sami na to patrzacie, że odkąd żonę przywiózł do Warszawy, niema na dworze damy, coby nie była rada głowy mu zawrócić. Co to za efekt ona zrobiła, kiedy się pierwszy raz pokazała u króla na balu! Pani krajczyna spazmów dostała, z czego królowi zrobiło się markotno. Myśleliśmy, że sta-

---

[1]) Jest to posada towarzyska.

[2]) Musi to być człowiek wysokich zalet.

[3]) Aż ślinka mi idzie do gęby.

[4]) Gotów jestem mniej dbać o urodzenie.

[5]) Wszystkie nasze panie, przed nim stoją pod bronią.

rosta już przepadł, le roi l'a tellement battu froid pendant deux jours[1]). Ale ileż to on triumfów opuścił, dlatego że jego żona, nikim nie będąc zajętą, chciałaby z mężem ciągle gruchać.

- Ale i on ją kocha - rzekł stolnikowicz - bywam u nich często na obiadach i wieczorach: amant kochance czulszych rzeczy nie mówi.

- Ja - - odparł szambelan — codziennie z nim pracując w gabinecie króla, lepiej go znam niż wy wszyscy. On kocha żonę, ale jak? nie sercem, ale miłością własną; on siebie kocha w żonie swojej. Bawi się jej wdziękami, ledwo nie szaleje z radości, kiedy ją widzi tańcującą na balu; bo oznaki uwielbienia, spotykające ją na każdym kroku, upajają jego próżność. Niechby ją świat przestał wynosić, obaczylibyście, jak zaraz byłby dla niej obojętnym. A teraz, choć niby ją kocha, tak mało jest zazdrośnym, że nietylko królowi i księciu podkomorzemu nie przeszkadza, ale w duchu może byłby rad, żeby jeden, albo drugi, albo oba razem zapisali go do bractwa rogalów; i to z dwóch przyczyn: raz, że byłby sam swobodniejszym względem pani krajczyny, pour laquelle il a toujours conservé un faible[2]): powtóre, że prędzejby się doczekał senatorstwa, do czego nie przestaje aspirować. A jak wiecie, rogi na głowie, a nie tam, gdzieby siedzieć w krześle przeszkadzać mogły...

Na to huczne śmiechy z całego grona się odezwały.

[1]) Król był tak dla niego zimnym przez dwa dni
[2]) Dla której zawsze zachował jakąś słabość.

Tu ścisnął wojski swojego towarzysza: — Uciekajmy — szepnął — nie mogę dłużej znieść tego powietrza podłości i bezczelnej rozpusty. — A odszedłszy o kroków kilkanaście. — Patrz, panie Janie, jacy to panicze, którym przeznaczono w tem nowem panowaniu wpływać na nasze losy: otoż to potomkowie naszych dawnych bohaterów!

— Aj, panie Michale, cóż to za bieda nie móc sobą rozrządzić. Wierz mi, że dopiero większą jeszcze zrobiłem ofiarę dla naszej sprawy, niż rozstaniem się z mojemi wąsami w tem, że nie przypłaszczyłem nosa temu orderowemu, którego żona omal ode mnie chłosty nie dostała. Aż pięty mi się trzęsły, taką miałem ochotę dobyć szablę i to wszystko porządnie wypłazować. A uważałeś, jak ten stolnikowicz czy hrabia nazwał mnie gburem litewskim? Oj? żeby rozkazy generalności nie zmuszały mnie być ostróżnym, zapoznałbym ich z tym gburem! Albo ciebie, jak łżył ten szambelan! Może da BÓG, że gdzieś się im przypomniemy: chociaż podobnych wiercipiętów ani pod Lanckoroną, ani pod Częstochową nie spotkać. Jak stanie pokój w Rzeczypospolitej, umyślnie przyjadę do Warszawy, żeby z nimi zabrać znajomość.

— Jakże moja bratowa żyć może w podobnem towarzystwie!

— Co to żyć? czy nie słyszałeś, jak każdy z nich jest z nią poufałym: ten z nią tańcuje, tamten obiaduje, inny na osobności dysputuje, a ten szambelan najpodlejszy z nich, jak widać od niej nie wyłazi, kiedy do niej bratu królewskiemu faktoruje. Kto z kim przestaje, podobnym się staje.

Spodziewam się, Michasiu, że przecie o niej zapomnisz i o drugiej pomyślisz, bo tobie nie żyć w bezżeństwie.

— Ona w położeniu swojem, rada nierada, musi być nimi otoczoną; ale przekonany jestem, że w duszy nimi gardzi.

— A ja inaczej trzymam. Moja niegdyś siostrzyczka, z początku musiała się nimi gorszyć, ale że trzeci rok jak z nimi przestaje, już się opatrzyła. Człowiek póki się nie zanurzy w gorącej łaźni, to go piecze, ale potem sam rad. Poszedłbym o zakład, że bezmała musi być już dziś takim łotrem, jak i oni, mając zwłaszcza do tego tak dobre przygotowanie.

— Niech ją BÓG od wszelkiego szwanku strzeże, bo z ich mowy nawet pokazuje się, że jest cnotliwą; i mój brat nawet, wszak słyszałeś co mówił ten szambelan, że nie chciał mi krzywdy robić. Kasztelanowa do wszystkiego złego ich namówiła; ale widzisz na tym gmachu i mój herb i herb twojego wuja. Jest to pałac mojego braterstwa: idź, staraj się sam na sam widzieć z siostrą, i w imię BOŻE spraw się z mojem zleceniem, a ja ruszam na Pragę, by uradować Skołubę twojem przybyciem.

* * *

Pan Wazgird przed samą bramą pałacu spotkał starca wychodzącego z dziedzińca. Starzec trzymał w ręku zawiniątko; przechodząc koło Wazgirda nisko się ukłonił, i chciał iść dalej, ale ten go zatrzymał temi słowy: — A skąd to idziesz, dobry staruszku?

— Od mojej dobrodziejki, wielmożny panie, od JW. pani starościny wieluńskiej, niech ją BÓG błogosławi; nas jest kilku ubogich, co jedynie jej łaską żyjemy; a nie dość, że nasze potrzeby opatruje, ale nawet każdego czasu daje nam przystęp do siebie. Tak wielka pani rozmawia z nami, jakby z równymi sobie. My biedni chodziemy do niej przez garderobę; tam jedna z jej fraucymeru ma rozkaz, żeby nas do pani prowadzić, bo przez pokoje, gdzieżby liberja nas przepuściła! Oto w tem zawinięciu mam bieliznę, którą dopiero z jej łaski otrzymałem, żeby okryć moją żonę, biedną kalekę, od dziewięciu lat paraliżem rażona.

— A mąż pani starościny?

- I JW. starosta pan dobry, wspaniały; ile razy ubogi go poprosi o wsparcie, zawsze mu coś rzuci z kieszeni. Ale z nim nie rozmawia jak sama: zwyczajnie, pan. Niech i jemu BÓG daje, czego tylko zapragnie!

- A czy zastanę pana starostę w domu?

- To chyba wielmożny pan z dalekich stron, że mu niewiadomo, że JW. starosta codziennie z królem coś pisze, że najwcześniej o piątej po południu powraca do żony, żeby z nią obiadować, jeżeli obiaduje u siebie?

— To tu po piątej dopiero obiadują?

- A tak to pany tutejsze wymyślili. Jeżeli Wpan ma do JW. starosty interes, to godzinę i więcej na niego wypadnie poczekać; a jeżeli samą widzieć, to teraz pora. Ale niech Wpan idzie, kędy ja chodzę, to jest od prawego skrzydła pałacu, żeby z liberją się nie spotkać; bo choć wielmożny

pan szlachcic, jak widzę po jego szabli, ale z przeproszeniem honoru pańskiego, po wytartym kontuszu sądzę, że Wpan nienajlepiej się masz. A liberja, jak zwietrzy, że kto potrzebny, broń Chryste Jezu jak mu dokucza!

— No, no, mój kochany; czy ubogi, czy bogaty, tobie nic do tego. Ja sobie prosto pójdę do pałacu, bo nie spodziewam się, żeby liberja tutejsza chciała ze mną pożartować. Ażebyś nie miał do mnie żalu, żem ci darmo trochę czasu uchwycił, masz srebrny grosz, który możesz przepić za moje zdrowie.

To wyrzekłszy, prosto poszedł do pałacu, nie oglądając się na opasłego szwajcara. Puścił się temi schodami, które widział przed sobą, ale że szwajcar już był zadzwonił, zastał podwoje od przedpokoju otwarte, a przy nich stojących kilku lokai.

— Czy jest pani starościna w domu? — zapytał lokai patrząc na nich zgóry.

— A Wpan jaki masz do niej interes? — zapytał jeden z lokai.

— To do ciebie nic nie należy; ja sam z nią o interesie jaki mam pomówię, a ty mnie do swojej pani zaprowadź.

Lokaje na siebie spójrzeli; jeden z nich, najwyższy wzrostem odezwał się: — Trzeba wprzódy, żebym pani zameldował, co Wpan jesteś za jeden i czego żądasz, a dopiero wróciwszy, powiem Wpanu czy przyjmuje lub nie.

— Melduj trutniów do siebie podobnych, chłopie czy mieszczuku w liberji, a szlachcic jak ja

wszędzie sam siebie melduje. Zaraz mi otwórz, hultaju!

Lokaje salon otworzyli, bo liberja ówczesna, chociaż bardzo zuchwała, obawiała się porywczości szlachty kontuszowej. Często bywały przykłady, że lokaj pański bywał skrzywdzony od szlachcica, a nawet świeży był wypadek, głośny w całej Warszawie, jak dwóch braci Putkowskich z Podlasia, w przedpokoju księcia biskupa płockiego dobywszy szabel, wypłazowali liberję, która ich nie chciała puścić do pana; o co się i wytoczyła sprawa w sądach marszałkowskich.

Poszedł więc dumny szlachcic, drzwi po drzwiach otwierając przed sobą, przez obszerne salony, które przepychem ubrania bynajmniej go nie zastanowiły, aż natrafił na drzwi ze środka zamknięte i do nich zaczął szturmować. Otworzyły się, i jakaś młoda dziewczyna stanęła na progu i skromnie zapytała czego żąda, i jak ma go mianować przed panią swoją?

— Moja panno, bo domyślam się, że musisz być pokojówką pani starościny, jestem szlachcicem litewskim; proszę oświadczyć swojej pani, że mam do niej ważny interes, tyczący się jej samej, a że dłużej kwadransu pozostać nie mogę.

Pokojówka zniknęła, a wkrótce sama pani się pokazała.

Jakkolwiek Wazgird był przeciwko siostrze uprzedzony, w jej obliczu, w jej spojrzeniu było coś tak łagodnego, tak wpraszającego się do życzliwości, że mu raptem serce zmiękło. — Czy pani mnie poznajesz? — odezwał się.

Po głosie starościna go poznała. — Ach! to ty, kochany braciszku! Jakie szczęście dla mnie, że mogę cię przyjąć w moim domu. Spodziewam się, że pokąd zabawisz w Warszawie, ten dom będziesz uważał jako swój i od tego zaczniesz, że się do nas przeniesiesz.

Skłonił się Wazgird. — Gdzież mnie szlachcicowi mieszkać w tych pańskich pokojach.

— Cóż to! czy zapominasz, że jesteś moim bratem? żeśmy część żywota razem przepędzili, że byłeś zawsze dla mnie najtkliwszym przyjacielem? Zapomniałeś już o tem, lecz ja to zawsze zachowuję w pamięci.

— Nie mnie piąć się do waszego towarzystwa. Żeby mnie tu spotkał pan starosta, wątpię, by jej życzliwość dla mnie pochwalił.

— I owszem, i owszem, braciszku, nie znasz mojego męża. Omal nie zginął z twojej ręki, a jednak nietylko że przeciwko tobie nie zachowuje niechęci, ale wspomina ciebie zawsze z największym szacunkiem, a ty nie przestajesz być jego nieprzyjacielem.

— Jestem przyjacielem pana Michała i nim być nigdy nie przestanę.

Starościna spuściła oczy i zamyśliła się. Wkrótce podnosząc oczy nieśmiało: — Bracie drogi — rzekła — może być, że ci los nie sprzyja; doszły mnie wieści, że przystałeś do konfederacji barskiej; lecz jeżeli los ciebie zawodzi, jeżeli czegokolwiek potrzebujesz, bądź pewny, że chwila, w której zażądasz mojej pomocy, będzie jedną

z najszczęśliwszych dla mnie. Wszystko co mam, wszystko co mogę, jest na twoje zawołanie.

— Daję pani dowód niemałego szacunku, że ośmielam się stanąć przed nią. Jestem konfederatem barskim, jakimby pewnie był i mój wuj, a jej ojciec, gdyby się BOGU nie podobało zabrać go do chwały swojej. Gdybym w tej stolicy był poznany, utraciłbym natychmiast wolność, a jednak z jej strony zdrady się nie lękam. Pomimo pozornego mojego ubóstwa, wsparcia pieniężnego nie potrzebuję, ale mam inny a ważny interes do pani.

Tu weszła do pokoju piastunka z dzieckiem, które wyglądało jak aniołeczek. Starościna z rąk piastunki wzięła dziecię na ręce swoje. — Nie bój się braciszku — odezwała się — jest to Szwajcarka dopiero sprowadzona, nic rozumie mowy naszej. — A przybliżając się z dzieckiem do Wazgirda: — Patrz, braciszku, jak moja córeczka do ciebie się uśmiecha! a co? czy nie ładna dziewczynka? Ludwisiu moja, wszak to twój wujaszek, proś go za swoją mamą, żeby się na nią nie gniewał; ona i tak biedna. Bracie kochany, żądaj ode mnie czego, żebym poznała, że mi wracasz dawną twoją życzliwość. Nie obawiaj się nikogo u mnie, żadna potęga z domu mojego ciebie nie dostanie. Dajże mi rękę, bracie, na znak, że mną nie gardzisz.

— Prawdziwie z temi kobietami oszaleć trzeba. Jestem żołnierzem, a mnie Wpani rozczulasz bez potrzeby. Co się stało, to się stało, a ja choć na Wpani czci ni wiary nie zostawiam, pokazuje się, że mam do niej słabość. Wpani mnie

z rozumu wywodzisz, a bez potrzeby, bo już nasze światy tak są przeciwnolegle, że jak stanę za jej progiem, to chyba na Jozafatowej dolinie się zobaczemy. Wolę przystąpić do interesu, bo czas upływa. — Oto jest pierścień, coś go dała Michałowi w naszej przytomności, przyrzekając mu dozgonną przyjaźń; nie odebrawszy tego zakładu, nie otrzymawszy zezwolenia tego, który na jej słowo się spuszczał, wiarę jemu należną innemu przysięgłaś. Zwracam pani ten zakład z rozkazu Michała, który poto umyślnie mnie tu przysłał, i oświadczam jej w jego imieniu, że zwracając go do rąk z których wyszedł, rozgrzesza ją z krzywdy jemu wyrządzonej, że najmniejszego żalu do was obu nie zachowuje, że wszystko z całego serca wam odpuszcza, że wszelkiej pomyślności wam życzy. To mnie wyraźnie powiedział, a wiesz co znaczy jego słowo; a prosi o zwrót pierścienia, który dał wzamian tego, co go teraz odsyła, żeby on Wpani już żadnego wyrzutu nie czynił.

Starościna, wziąwszy pierścionek, oddała dziecię piastunce i wyszła, ale wkrótce wróciła z pierścieniem wojskiego. Piastunka z dzieckiem za nią była wyszła, więc sami byli w pokoju.

— Bracie — rzekła starościna — oddaję ci ten pierścień. BÓG nas słyszy, na jego wielkie imię poprzysięgam, że nie jestem tak winną jak myślisz. Może już tak mną pogardzasz, że i ta moja przysięga nie zasługuje na twoją wiarę; ale winnam tobie wyznać, że jakkolwiek serce moje nie było zdolne oprzeć się Ludwikowi, z poświę-

ceniem mojego szczęścia chciałam być godną siebie, godną mojego ojca. Żegnałam Ludwika na zawsze, kiedy Michał zastał brata klęczącego przede mną; byłam nieprzytomną, ale byłam niewinną. Lecz czemżebym mogła jego przekonać o mojej niewinności? Michał mówić do siebie nie pozwolił. Wyszedł, a co się później ze mną stało, co ze mną zrobiono, o tem nie wiedziałam. Oddaj, bracie, ten pierścień Michałowi i powiedz mu... — tu łzy, jak dwa strumienie puściły się z jej źrenic, i Wazgirdowi łzy stanęły w oczach. Wtem drzwi raptownie się rozwarły i jakiś pan w sukni haftowanej, z wstęgą błękitną stanął przed nimi.

— Belle comtesse — powiedział orderowy, nisko się skłoniwszy — jestem przysłany do niej od jej męża, żeby ją uwiadomić, by pani dziś go nie czekała, bo król na cały dzień go zatrzymuje u siebie. Il dîne avec le roi en tête à tête[1]); a starosta kazał mnie go zastąpić u stołu mojej pani. Quoique premier sujet du roi[2]), większy mnie dziś honor spotyka, niż ten, który dziś spotkał jej męża. Mais que vois-je? je romps un tête à tête fort sérieux[3]). Pani płaczesz, ce quidam[4]) także poruszony, pierścionek w jego ręku; jakaś tajemnica sentymentalna. Nie mogę wyjść z zadziwienia.

---

[1]) Obiaduje z królem sam na sam.

[2]) Lubom pierwszy poddany króla.

[3]) Ale co widzę? przerywam rozmowę ważną na osobności.

[4]) Ten ktoś.

— Mości książę — odpowiedziała starościna poważnie, łzy chustką otarłszy — dotąd księciu nie dałam prawa ani wglądać w moje postępki, ani wchodzić do mnie bez mojego pozwolenia.

— Ten mościpan, jak widzę, jest szczęśliwszym ode mnie, kiedy się pani obrażasz comme une coupable[1]).

— BOGU i mojemu mężowi winnam się tłumaczyć z tego co czynię, a więcej nikomu.

— Quelle noble fierté, madame[2])! Chyba od tego mościpana się dowiem czegoś. — Co waść za jeden?

— Szlachcic równy panu urodzeniem — odparł Wazgird.

— Czy wiesz, z kim mówisz?

— Nie wiem i w to nie wchodzę, a jeżeli pan chcesz mnie pomiatać swoim orderem, to mu powiem, że zaszczycam się łaską i przyjaźnią większych od niego panów.

— Naprzykład — odpowiedział książę z przekąsem — czy znasz wielu panów, coby wyższymi byli od rodzonego brata waszego króla?

— Mości książę, w Rzeczypospolitej nie znamy książąt krwie królewskiej: jako szlachcic, mogę być jutro tem, czem dziś jest Najjaśniejszy brat waszej książęcej mości. A jeżeli książę jako pan do mnie przemawiasz, to powiem mu otwarcie, że książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, jest większym panem od braci królewskich, a jednak do mnie mówi z poufałością.

---

[1]) Jak winowajczyni.

[2]) Co za szlachetna wyniosłość u pani.

— Mais c'est unique[1])! Dom pani starościny jest przytułkiem buntowników. U żony szefa gabinetu królewskiego, w obliczu brata Najjaśniejszego Pana, śmią się popisywać protekcją radziwiłłowską. — Mości szlachcicu na zagrodzie, równy wojewodzie, wiesz, że gdyby nie uszanowanie, jakie mam dla tej damy, mógłbym waści nauczyć uszanowania, jakie mi się należy.

— Mości książę, ostrożnie z groźbami — odrzekł Wazgird — noszę przy sobie to, co już mnie nie od jednego niebezpieczeństwa zasłoniło; a chociaż nie mam zaszczytu być bratem królewskim, jeszcze się taki nie urodził, któremubym dał się pokrzywdzić.

Tu starościna wzięła brata za rękę i zaprowadziwszy go do swojego pokoju, przed nim stanęła na progu i dumnie mierząc księcia okiem pełnem gniewu:

— Mości książę — rzekła — nie przystoi mi dłużej pozostać z gościem, który w mojej przytomności śmie się zapominać aż do obrażania moich przyjaciół. Jestem najniższą sługą waszej książęcej mości, a dalsze księcia postępki oświecą mnie, czy mogę nadal go przyjmować uprzejmie w domu moim, jak dotąd bywało, czyli raz na zawsze unikać jego towarzystwa.

To wyrzekłszy, zamknęła za sobą drzwi swojego apartamentu, zostawując księcia skonfundowanego i nie wiedzącego, co ma z sobą zrobić.

---

[1]) Ale to wybornie.

IX.

Król Stanisław August.

Nazajutrz około jedenastej przed południem był wielki zgiełk przed farą. Każdy chciał oglądać króla wracającego ze mszy do swoich komnat. Wielu było widać szlachty; u niektórych wyglądały rogi od suplik z poza kontusza; wielu było rzemieślników, między nimi i artyści, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie wciskających się, gdzie tylko spostrzegać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować supliki publicznie; tem wygrywał rolę panującego, bo prośby podane jemu były wyznaniem jego panowania nad tymi, których niedawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymywał skutek w żądaniu swojem, król każdego tak umiał pocieszać jedwabnemi słowy, że się opędzić nie mógł od suplik.

W tym tłumie wciśnięci byli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale jeden odosobniony od drugiego. Pierwszy, trudniejszy niż kiedykolwiek do poznania, bo w niemieckim stroju, z peruką gęstą, upudrowaną i zakrywającą jego osobliwszą kresę; dwaj drudzy w kapotach, jak zwyczajnie służebna szlachta. Żaden z nich z oka nie spuszczał wojskiego, który naprzód wysunięty, odziany

w kurtce i szarawarach zielonych, stał pod kruchtą kościoła, trzymając w ręku papier złożony.

Wtem okrzyki — Niech żyje król! — wznoszące się z całego tłumu, oznajmiły ukazanie się królewskie.

Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci bokowi, dworzanie i niektórych dworów posłowie.

Zbliżyła się naprzód do niego jakaś młoda i przystojna kobieta, a ta do nóg mu upadłszy, oddała suplikę. Uważano, że król papier szybko przebiegłszy oczyma, pocieszał ją łagodnemi słowy i ten papier wręczył stojącemu za sobą szambelanowi Gintowtowi, w dniu tym będącemu na służbie.

Wielu innych zkolei podawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne, nie czytając, oddawał szambelanowi, ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zbywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy wojski przybliżywszy się klęknął przed królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden i czego żąda.

— Szlachcic, poddany i sługa waszej królewskiej mości — odpowiedział wojski. — Nazywam się Poraj, i tuzin lat służąc za gajowego w Białowieskiej puszczy, od lat trzech dosłużyłem się podleśniczostwa; teraz nie wiem z jakiego powodu oddalił mię dyrektor ekonomji białowieskiej. O nic nie proszę, tylko o zrobienie indagacji, bo siebie

nie mogę obwinić; wiem, że indagacja przekona o mojej niewinności i mam nadzieję, że i nadal jeść będę smaczny chleb mojego miłościwego pana.

Tych słów słyszeć nie mogli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale pojąć łatwo, jak gwałtownie serca im bić musiały, kiedy król z wojskim mówiąc, suplikę w ręku obracał, i jaka była ich radość, gdy obaczyli, że nie otwierając wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy[1]).

Wojski natychmiast utonął w pospólstwie, by stamtąd dostać się do plebanji falentowskiej, gdzie towarzysze jego mieli z nim się złączyć i dokąd w nocy jeszcze Skołuba był zawiózł jego brykę.

Król, dawszy posłuchanie narodowi przed domem Pana nad pany, gdzie wedle zwyczaju swojego szczególną uprzejmość okazywał dla kobiet i był równie przystępny dla mieszczan, jak i dla braci szlachty, poważnie z orszakiem go otaczającym powrócił do swojego pomieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój, garderobą nazwany, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, radych codziennie ukłonem powitać Najjaśniejszego Pana.

Było we zwyczaju, że każdy obywatel z prowincji po przyjeździe szedł do garderoby, pewnym będąc, że tam znajdzie znajomych i zasięgnie wiadomości mu potrzebnych.

Gabinet, gdzie król się przebierał, był przedzielony od garderoby małym pokojem; ale kiedy szlachta w garderobie się rozgada, czasem taki

[1]) Zagięcie rogu u supliki, był to znak, że król ją rozważać będzie z szczególną pilnością.

szmer powstaje, że w gabinecie królewskim słyszeć siebie nie można. Natenczas szambelan dzienny wychodzi do garderoby i zaczyna potrząsać chustką nad klatką z kanarkami, przy oknie wiszącą, mówiąc: — A cicho, kanarki! Tak hałasujecie, że królowi przeszkadzacie czytać supliki jemu podane! — Szlachta na jakiś czas ucichnie, ale nie na długo. Czasem szambelan w jednym poranku pięć i sześć razy wychodzi z admonicją do kanarków.

Kiedy król przechodził przez garderobę, wszystkie głowy, czy ogolone, czy ufryzowane, ledwo że nie do samej ziemi się pochyliły. Każdy z upragnieniem oczekiwał z ust jego chociażby jednego słówka, a to słówko, jakkolwiek obojętne, z nie kończącemi się komentarzami rozchodziło się po familji i przyjaciołach szczęśliwego męża, który go otrzymał.

W dniu tym król był nadzwyczaj wesoły, bo kurjer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał. Jeden był od pani Geoffrin, napełniony plotkami wersalskiemi, drugi od innej znakomitej damy, której niegdyś serce wyłącznie posiadał, a do której nie przestawał romansowych listów pisywać. Trzeci od Corticellego, agenta swojego w Rzymie, który mu donosił, że kilka obrazów najpierwszych mistrzów szkoły włoskiej i kilka kamei wieku Peryklesa nabył dla niego za sześć tysięcy czerwonych złotych od jakiegoś cavaliere Antonini; że król, znany w całej Europie za najpierwszego znawcę sztuk pięknych, jak obaczy ten nabytek, przekona się,

iż za bezcen go dostał i że nigdyby nie dobił tak pomyślnego targu, gdyby Antoniniemu nie był obiecał wyrobić od króla gwiazdy św. Stanisława, a dla jego syna kanonją warmińską; że zatem ośmiela się prosić króla, by raczył uiścić tę nadzieję, którą on zrobił. Czwarty list był od Woltera, datowany z Ferney: ten list w zachwycenie króla wprowadził. Był on odpowiedzią na list królewski na czterech stronicach zapisany, a niemniej był długim. W tym liście Wolter nazywał króla Salomonem Północy, wyglądając chwili, jak druga królowa Saby przybędzie do niego z za morza, wyuczyć się od niego rządzić własnem państwem, a potem cieszyć się u siebie jego żywym obrazem. W tym liście żartował z Polaków, jako z pijaków i barbarzyńców, wszakże dodał: — Pokazali się oni rozumniejszymi od Opatrzności, kiedy wynaleźli króla, jakiemu równego traf urodzenia nigdy nie okazał. Że gdyby prawo wyboru swojego panującego było udziałem wszystkich narodów, onby w osobie swojej urzetelnił marzenie Karola cesarza o monarchji powszechnej, bo wszystkie narody chciałyby go mieć swoim królem. — Temi pochlebstwami, co je Stanisław August przyjmował za gotowe pieniądze, wywiązywał się jemu za przesyłaną coroczną gratyfikację trzech tysięcy czerwonych złotych, o których jednak nie wspominał, mając to za uiszczenie haraczu jemu należnego od wszystkich głów koronowanych. Prócz tych listów jeszcze otrzymał kilka listów od różnych dam swojego dworu, dam, co je codziennie widywał, a z któremi jednak korespondował, jako

pani krajczyny, księżny strażnikowej, księżny generałowej i pani Lullier, awanturnicy francuskiej, która mu do wszelkich intryg pewnego rodzaju pomagała, a tem samem głęboko była wkorzenioną w jego względach.

Król był promienistym, kiedy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur przybyłych z prowincji powitał najuprzejmiej, każdej z nich rzucając słowa za serce chwytające.

Bo zaprzeczyć nie można, że jeżeli w kierowaniu rządu aż nadto dowodził, że nie był z rodu wdrożonego do panowania, że jeżeli zamiast szerokiego działania w interesach publicznych, zajęty był wyłącznie drobnemi intrygami, zato odgrywał doskonale część reprezentacyjną roli monarchy. Był nawet do tego usposobiony przyrodzeniem, bo i monarcha z krwi królewskiej spłodzony nie mógłby mieć powierzchowności więcej majestatycznej.

Gdy przez garderobę przeszedł do gabinetu, tam go oczekiwał fryzjer angielczyk Philipsborn nazwany, który oprócz rodowitego żadnego języka nie umiał. Król go lubił, raz, że był doskonałym w swem rzemiośle, powtóre, że z nim rozmawiał po angielsku, językiem najwięcej mu ulubionym między tylu innemi, co posiadał[1]).

---

[1]) Król mówił ośmiu językami jakby rodowitym, a temi były: łaciński, francuski, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, rosyjski i turecki. Brat jego cioteczny, książę generał Ziem Podolskich, oprócz tych języków znał jeszcze doskonale arabski, hebrajski i szwedzki.

Ryx, kamerdyner królewski, a razem starosta krasnostawski, z niemałem zgorszeniem zakutej szlachty, rozebrał króla, i gdy nałożył na niego pudermantel, nic nie przeszkadzało Philipsbornowi rozpocząć pracowite ubieranie królewskiej głowy.

Było wielu dworzan w gabinecie, bo król zwyczajnie fryzował się w asystencji, a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie czytać coś z nowości przysyłanych mu z Paryża.

Dnia tego było więcej przytomnych niż zwykle, bo właśnie Ksawery Branicki, łowczy koronny, zostawszy regimentarzem partji ukraińskiej, był u króla na pożegnaniu, wybierając się tego samego dnia do swojej komendy. Między wielu innymi dworzanami znajdowali się książę podkomorzy brat królewski, ksiądz Krasicki nominat warmiński, Byszewski i Orłowski generałowie adjutanci, Poniński kuchmistrz koronny, Bacciarelli malarz, Sio, doktór nadworny, hrabia Siedlnicki, Gintowt, Trembecki, szembelanowie; Bielawski, Boscamp i Camelli, dworzanie, Golejewski buńczuczny koronny.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło, w którem często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał z chustki pliki suplik, w dniu tym podanych królowi, na stolik opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy, starannie wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przełożyć królowi.

Król najpierw do pana Branickiego się odezwał: — Przecie, mości łowczy, wyleczyłeś się zupełnie z tej rany, co ci ją Casanova zadał; daj BOŻE, byś równie szczęśliwie przebył i te nowe niebezpieczeństwa, na które masz się narażać; bo na Ukrainie masz się spotykać z morowem powietrzem i ze zbuntowanem chłopstwem.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie; wczora wyprawiłem tam Stępkowskiego, a dziś wieczór sam wyjeżdżam. Przyszedłem pożegnać waszą królewską mość i ją o błogosławieństwo prosić.

— I rana już się czuć nie daje?

— Najmniejszej rzeczy, Najjaśniejszy Panie. Pernet, doktor waszej królewskiej mości moim kosztem sławę sobie zjednał, ale kłamie Francuz, bo wszystkie jego lekarstwa przez okno kazałem wyrzucać, a po swojemu się kurowałem.

— Sam byłem tego świadkiem — odezwał się ksiądz Krasicki — jak pan łowczy, zaledwo go opuściła gorączka, zamiast kleiku na którym Pernet chciał go trzymać, zjadł całego kapłona.

— Ale dodaj waszeć, mości księże, że tego kapłona popiłem dwiema kwartami mojego dekoktu.

— Jakiż to dekokt? — zapytał król.

— Dekokt węgierski — odrzekł pan łowczy. — Pernet chciał mnie zapajać perzem, ale ja jemu parsknąłem w żywe oczy, jak mnie wspomniał o tym studenckim napoju. Niech mnie djabli wezmą, Najjaśniejszy Panie, jeżeli tym doktorom piątej klepki dostaje. Żebym nie miał tyle doświadczenia, a ich posłuchał, nie wystarczyłoby mi pojazdów na przewiezienie tych prezerwatyw

od morowego powietrza, któremi chcieli mnie obdarzyć: ale już ja od dwóch tygodni wyprawiłem na Ukrainę moją prezerwatywę od wszystkich chorób: kilka beczek maślaczu. Stępkowski, tak jak ja wierzy w moją medycynę: niczego się nie bój, niczem się nie martw, a dobrze pij, będziesz żył póki zechcesz.

— Szczęśliwy — odezwał się król westchnąwszy — kto ma tak wesoły humor jak Wpan, mości panie łowczy. Jednak nie nadużywaj odwagi; śmierć niespodzianie przychodzi. Niema sześciu tygodni, jak sam omal że życia nie straciłeś.

— Ani trochę, Najjaśniejszy Panie. Czyżbym siebie narażał na strzał awanturnika, którego przez moich kozaków mógłbym był wychłostać, gdybym nie rachował na moje szczęście, gdybym nie był pewnym, że lat dziewięćdziesiąt dożyję? W czasie siedmioletniej wojny, służąc pod marszałkiem de Broglie, śmiałem się idąc na chmury kul, bo wiedziałem dobrze, że żadna z nich nic złego mi nie zrobi. Toż samo i teraz na Ukrainie; bez obawy spotkam się i z hajdamakami i z morowem powietrzem, bo jeszcze więcej pięciudziesiąt lat mam przed sobą.

— Mój łowczy — rzekł król — gadałeś nieraz przed nami o jakiejś kabale, którą gdzieś Wpanu ciągnęli; ale do tych rzeczy trudno przykładać wiarę.

— Jak to kabała! to były wyraźne przepowiednie, Najjaśniejszy Panie, a że kilka z nich już się sprawdziło, więc i reszta sprawdzić się musi. Kiedy to byłem przy królewicu Karolu, co go

dla waszej królewskiej mości opuściłem, chociaż on mi był bratem, ojcem, a nie panem, byliśmy razem w Lipsku w czasie jarmarku. Ja właśnie wybierałem się na siedmioletnią wojnę. Całą moją ojcowiznę już byłem stracił, nie miałem innego funduszu prócz pary tysięcy czerwonych złotych w szkatułce i łaskę królewica; ale ten fundusz niebardzo był szeroki, bo królewic nienajlepiej stał w interesach. Owoż tedy w Lipsku głośno mówiono o jakimś czarnoksiężniku, który się tam miał znajdować. Nazywano go Schöpfer: nadzwyczajne rzeczy o nim mawiano; królewic chciał go koniecznie poznać, raz około północy tylko we dwóch poszliśmy do niego incognito. Niepodobna do wierzenia to, cośmy tam widzieli: powiem tylko, że pokazywał nam takich, co już oddawna pomarli; oni chodzili przy nas i z nami rozmawiali.

— Przyznaj się, mości łowczy — na to król — że trochę haftujesz na tle może i rzeczywistem.

— Niech mnie djabli porwą, Najjaśniejszy Panie, niech wszyscy mają mnie za podłego człowieka, jeżeli jedno słówko dodaję do tego, co rzekłem i o czem dalej mówić będę. Królewic chciał widzieć babkę swoją, żonę króla Augusta II, na której kolanach nieraz w dzieciństwie spoczywał. Ona stanęła przed nami i powiedziała wnukowi, że otrzyma wkrótce udzielne księstwo na północy, ale że go zaraz i utraci; że się ożeni z prostą szlachcianką, czem się narazi królowi; że po śmierci Augusta III Polska wyjdzie z domu Saskiego. Mnie także ruszyła ciekawość widzieć się z nie-

boszczykiem moim ojcem, kasztelanem halickim: i on stanął przed nami z ogromnym swoim brzuchem, i powiedział mnie: — Panie Ksawery, choć już zjadłeś to, co z taką pracą całe życie uzbierałem, jednak nie masz potrzeby oglądać się na przyszłość. Z każdego niebezpieczeństwa bez szwanku wyjdziesz, otrzymasz najwyższy urząd w kraju, a przeszedłszy rok dziewięćdziesiąty życia twojego, umrzesz najbogatszym panem w całej Polsce. A czy już wiele rzeczy nie sprawdziło się, Najjaśniejszy Panie? Królewic otrzymał inwestyturę Księstwa Kurlandzkiego; a długo się tem cieszył? Ożenił się potem z panną Krasińską, czem się ojcu naraził, że mu tego do śmierci nie odpuścił. Dom Saski przestał nad nami panować, kiedy jego miejsce szczęśliwie dla nas wasza królewska mość zastępujesz. A co do mnie, całkowitą siedmioletnia wojnę bez szwanku odbyłem i mam od waszej królewskiej mości zapewnioną dla siebie wielką buławę; więc i reszta musi się sprawdzić. Tak jestem pewny siebie, że kiedy ten Włoch utrapiony nawylot mnie przestrzelił, mocno to mnie zadziwiło, ale pomyśliłem sobie: Rana nie śmierć! z niej się jakoś wyliżę, a swoje dożyć muszę. Nic mi nie pozostaje, jak pożegnać waszą królewską mość, by spełnić jej rozkazy. Niech Najjaśniejszy Pan będzie spokojny: hajdamaczyznę przyduszę, a morowemu powietrzu nie dam się szerzyć[1]).

[1]) To proroctwo Schöpfera, królewiczowi Karolowi i Branickiemu zrobione, jest faktem niezaprzeczonym. Słyszałem, jak nieboszczyk hetman to opo-

I pocałowawszy rękę króla odszedł, bo miał tego dnia u siebie na śniadaniu mnóstwo szlachty, gdzie miał się potykać kielichem z Konarzewskim[1]).

Kiedy Branicki odszedł, Trembecki pierwszy się odezwał: — Nasz łowczy ma zdatność do poezji: dał tego dowód opowiadaniem swojem. Ktoby takim baśniom uwierzył!

— Nie mów tego, Trembecki — odpowiedział król — są w naturze takie tajemnice, że najgłębszy rozum ich nie docieknie. Nie mogę wątpić, że Branicki ufa swojemu przeznaczeniu na mocy jakiejś wyroczni, bo miałem tego dowody. Kiedy byłem jeszcze w stanie rycerskim, znajdowałem się z Branickim w jednem mieście zagranicznem. Tam przepędzałem najszczęśliwsze chwile mojego żywota: kochałem najpiękniejszą, najrozumniejszą kobietę na świecie, a ona mnie odpłacała wzajemnością: Branicki był naszym powiernikiem. Ale potężny współzawodnik odkrył naszą tajemnicę i zabierał się do strasznej zemsty. Los nasz okrył się był kirem śmiertelnym; z największą niespokojnością oczekiwaliśmy uderzenia piorunu. Branicki, któremu powierzaliśmy naszą obawę, śmiał się z trosk naszych, i wtedy, ile sobie przypominam, pierwszy raz wspomniał o tej dla siebie szczęśliwej wieszczbie, co ją dopiero w szczegółach opowiadał.

---

wiadał. Całe życie swoje wielce ufał swojemu szczęściu na mocy tej przepowiedni.

[1]) Konarzewski, sławny pijak, przyszedł do tego, że mógł cztery tuziny butelek wina węgierskiego wypić bez stracenia przytomności.

— Ciekawy jestem — odrzekł Trembecki — coby Wolter na to powiedział, gdyby usłyszał relacją naszego łowczego.

— Byłby tego samego zdania co ja — odparł król. — On nieraz przede mną mówił, że gdybyśmy tylko to uważali być prawdą, co jasno pojmujemy, suma wiadomości ludzkich byłaby zbyt szczupłą. Ale à propos Woltera! Powinszuj mnie, Trembecki! odebrałem dziś dowód jego pamięci: przeczytaj głośno ten list, niech wszyscy wiedzą, jaką mam u niego łaskę.

Jak Trembecki odczytał list, ksiądz Krasicki wyrzekł: — Najjaśniejszy Panie, to co Wolter pisze, cała Europa czuje i myśli. Cała jego zaleta w tem, że nikt oprócz niego tego powszechnego uczucia nie umiałby równie pięknie wyrazić.

— Najjaśniejszy Panie — przydał Trembecki — nigdy się lepiej Wolterowi nie udało powiedzieć, jak to co mówi, że nasz naród pokazał się mędrszym od Opatrzności, wynosząc ciebie nad sobą. Nigdzie traf urodzenia nie sprostał naszemu wyborowi. Ale do razu sztuka! Podobnych cudów trudno spodziewać się powtórzenia. Jako poeta sięgam w przyszłość i widzę w niej, że wasza królewska mość będziesz ostatnim królem polskim wybranym, a pierwszym dziedzicznym.

Król się uśmiechnął, a wszyscy przytomni razem odezwali się: — Amen!

Ksiądz Krasicki po krótkiem i powszechnem milczeniu ożywił rozmowę.

— Najjaśniejszy Panie, jako kapłan i nominat, muszę z obowiązku stanąć w obronie Opatrzności

przeciwko Wolterowi i panu szambelanowi: nasz wybór nie był zrobiony naprzekór Opatrzności, ona wyrokowała, a my ten wyrok spełniali. Dzień siódmy września[1]) był prawdziwie dniem natchnienia. Najgłupsi sprostali najrozumniejszym, kiedy jednomyślnie jedni i drudzy ogłosili ciebie królem.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Trembecki — wasza królewska mość jesteś słońcem; nietylko że własnym blaskiem oświecasz, ale jeszcze go użyczasz planetom swoim, że i one błyszczą na horyzoncie. Czyby kto uwierzył, że i ja dnia dzisiejszego odebrałem list od Woltera; oto go składam u stóp waszej królewskiej mości, bo zaszczyt mnie zrobiony, do mojego króla należy.

Król przebiegłszy list oczyma, powiedział: — Wiesz, Trembecki, że masz z czego być dumnym. Rodak większej sprawiedliwości nie mógłby wymierzyć twoim wierszom, nad tę którą otrzymałeś od mędrca fernejskiego.

— Miłościwy Panie — odparł Trembecki — Wolter; jak to bywało, j u r a v i t i n v e r b u m m a g i s t r i. Król zanadto łaskawe zdanie o mnie ogłosił; Wolter więc myślał nie bez słuszności, że powtarzając wyrok waszej królewskiej mości, można uchodzić za nieomylnego. Ale że niema reguły bez ekscepcji, jego łaskawe zdanie o mnie o tem przekonywa.

— Zbyt wielka twoja skromność, Trembecki. Woltera pochwała tem sprawiedliwsza, że zdaje mi się, iż przed laty byłeś jego szczęśliwym rywalem koło margrabiny du Châtelet.

[1]) Dzień elekcji Stanisława Augusta.

— Nie tak było, Najjaśniejszy Panie: owszem, z mojej łaski Wolter dostąpił celu swoich życzeń. Byliśmy razem w Cirey, zamku pani du Châtelet, której mąż gdzieś odbywał inspekcją wojskową; bo oprócz swego kapralstwa na niczem się nie znał, nawet na swojej żonie nie umiał się poznać. Margrabina nie była to regularna piękność, ale była najsmaczniejsza na świecie kobieta: bo to tłuściuchna, biała jak pszenna kluseczka, włos czarny jak pióra krucze, nosek zadarty, oczki błękitne, choć małe ale żywe, ząbki ledwo nie takie jak u waszej królewskiej mości, a rozumna, że gdyby się zebrało siedmiu mędrców Grecji pogańskiej, i wszyscy ojcowie soboru trydenckiego razem, jeszczeby mogli od niej czegoś się nauczyć. Było nas trzech mężczyzn razem w Cirey. — Margrabia de Saint-Lambert, autor Czterech pór roku, jej kochanek uwieńczony; Wolter, który aspirował do tego by go odsadzić, i ja trzeci, wielbiciel rozumu pani du Châtelet, ale bynajmniej nie roszczący sobie prawa do jej wdzięków. Tymczasem gospodyni, czy z ciekawości, czy z kaprysu, czy to może z próżności, żeby jej podboje rozciągały się aż do naszej hiperborejskiej strefy, tak się mną zaczęła zajmować, że aż wzniecіła niespokojność w duszy Saint-Lamberta. Ja w to nie wchodziłem, naturalnie dobre za nadobne; ale cóż? kiedy już nasz romans przybliżał się do rozwiązania, Saint-Lambert dostał tak silnego paroksyzmu zazdrości, że chodził jak zwarjowany. Co do mnie, dość obojętnie patrzałem na stan jego umysłu, ale kiedy zaczął mnie dokuczać wymówkami i przymówkami,

dałem mu takie ad intende, że zaraz zaprosił mnie na przechadzkę z sobą za źwierzyniec zamkowy. Domyśliłem się co to ma znaczyć: rezultat tego spaceru, że moja szpada na cztery cale wlazła mu w bok. Nie czekając ani jego kuracji, ani pogrzebu, pobiegłem co tchu do Spa, nie pożegnawszy gospodyni, Saint-Lambert kilka tygodni leżał w Cirey, nim do zdrowia przyszedł, a Wolter, sam jeden zostawszy na placu, umiał z tego korzystać tak, że kiedy tamten pokazał się na pokojach pani du Châtelet, przekonał się, że już nie ma poco siedzieć w Cirey. Mnie było lat dwadzieścia, Saint-Lambert zaczynał rok trzydziesty, a Wolter zbliżał się już do piątego krzyżyka. On tak zrobił, jak weterani Cezara, co zawsze pod koniec bitwę rozstrzygali. Widzisz, miłościwy królu, że Wolter ma dla mnie pewne powody wdzięczności.

— Wyborna historja — rzekł król, obracając się do księdza Krasickiego. — Czy uwierzyłbyś, mości nominacie, ale temu przyświadczy pan starosta wieluński, który się znał z Trembeckim w Wersalu, że jak tu widziemy Trembeckiego łagodnym i umiarkowanym, tak on we Francji był siarką i saletrą. Nazywano go w Wersalu le tueur des marquis[1]). Kilku dworzan zabił w pojedynku, a co tego nakaleczył, o tem i nie wspominam.

Podczas kiedy tak wesoło rozmawiali, pan szambelan Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w ręku trzymając jakiś papier, przybliżył się do

[1]) Zabójca markizów.

króla w największem pomieszaniu, tak że król mu powiedział:

— A co to się stało z Wpanem, mości szambelanie, że jesteś jakby zdjęty z krzyża?

— Okropność, Najjaśniejszy Panie, zgroza! Między suplikami jakiś bezecnik, jakiś potwór, śmiał wcisnąć paszkwil przeciwko waszej królewskiej mości.

— Czy wierszami? — rzekł król, uśmiechając się — jeżeli paszkwil dowcipny, nabawiemy się nim; jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać.

— Gdzież tam wierszami! — odrzekł szambelan — nie mniej, nie więcej, tylko pozew, we wszelkiej formie położony waszej królewskiej mości, żebyś się stawił osobiście przed konfederacją.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta, i zaczął go czytać cicho. Spostrzegli, że pobladł. Nie skończywszy czytania, wstał silnie poruszony, i zaczął się przechadzać po gabinecie, potem stanął i do otaczających tak przemówił:

— Patrzcie, mości panowie, na zniewagę wyrządzoną waszemu królowi; cierniową koronę włożyliście mnie na głowę. Nad sobą kazaliście mnie panować nato tylko, żebym nawet tego pokoju nie miał, jaki najuboższemu obywatelowi prawem jest zabezpieczony. Moja krzywda jest waszą krzywdą, do was się więc odwołuję. Mości szambelanie Gintowt, odczytaj Wpan głośno przed ichmościami ten mniemany pozew; niech ichmościowie wiedzą, jakie potwarze znoszę.

Pan Gintowt zaczął czytać ten cierpki i obelżywy pozew, ale co okres przerywanym był przez okrzyki przytomnych, okrzyki zgrozy i czułości za cześć monarchy.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Poniński, kuchmistrz koronny — żadnego między nami niema tak wyrodnego Polaka, żeby nie umiał czuć krzywdy całemu narodowi wyrządzonej w osobie jego pomazańca. Żeby jakikolwiek ślad powziąć o tym, co się odważył być jej sprawcą! Będziemy ścigać zuchwalca, który się targnął na majestat naszego pana.

— Nie umiem zgadnąć, kto w tym tłumie proszących oddał mnie ten paszkwil, bo w rzeczy samej innego niegodzien nazwiska. Do was, mości panowie, należy szukać go w mieście. Musi to być jakiś barski spiskownik ukryty, trzeba go odkryć koniecznie.

— Ba! — odezwał się książę podkomorzy — czy to jeden nieżyczliwy waszej królewskiej mości bezkarnie przesiaduje w Warszawie? Nie dalej jak wczoraj, natknąłem się na jakiegoś barskiego konfederata, który się przede mną popisywał przyjaźnią i łaską księcia Panie Kochanku.

— Bracie — rzekł król — jako brat i poddany winieneś nas objaśnić, gdzieś się z nim spotkał? u kogo? co ci powiedział? i jak wygląda? Każde doniesienie jest ważne, kiedy w mojej stolicy spiski się knują przeciw mojej osobie.

Tu książę podkomorzy się zastanowił; z prędkości był się wymówił, ale rozważywszy nieco położenie rzeczy, nie życzył sobie dać biegu dalszego

swoim słowom, by na kogokolwiek nieszczęścia nie ściągnąć. Książę podkomorzy był prędki, ale ani mściwy, ani uraz pamiętny: jakkolwiek go była ubodła zuchwałość pana Wazgirda, on byłby rad ją poskromić na gorącym uczynku przez służalców swoich; nawet będąc osobiście odważnym, nie był od tego, by własnej szpadzie poruczyć zemstę swojej obrazy; ale był dalekim od tej nikczemności, by dla osobistej sprawy używać pomocy zwierzchności krajowej, — tem więcej, że się kochał zapamiętale w starościnie wieluńskiej, a poznał dobrze, ileby ją i jej męża naraził przed królem, gdyby wspomniał o tem, co go spotkało w ich domu.

— Domyślam się, Najjaśniejszy Panie, że musiałem wczora mieć do czynienia z jakimś barskim urwisem, kiedy jadąc do Powązek spotkałem się w ciasnem dość przejściu z jakimś szlachcicem, siedzącym w obszarpanej bryce, a mającym czapkę na bakier, a ten za nic nie chciał mi z drogi ustąpić. Mój stangret krzyczał: — To brat królewski! — a ten odpowiedział: — Mniejsza z tem, nie ustąpię; szczycę się łaską księcia wojewody wileńskiego.

— Ta relacja, mości książę — rzekł na to pan kuchmistrz koronny — w niczem się nie łączy do tego co nas zajmuje. Musiał to być jakiś szlachcic podpiły; bo czy między spiskowymi, czy to między wiernymi poddanymi waszej królewskiej mości, ani na pijaństwie, ani na zuchwalstwie szlachcie nie zbywa.

Książę podkomorzy rad, że mu się udało wycofnąć z tego, z czem w prędkości był się wymówił, i że to samo z siebie upadło, wyszedł do gar-

deroby królewskiej, żeby baraszkować ze szlachtą, a król z innymi pozostał, i z nimi zajął się wynalezieniem środków do odkrycia tego, kto mu się poważył pozew położyć.

Król posłał natychmiast po marszałka nadwornego koronnego, przy którym była policja miejska[1]). Bieliński, marszałek wielki koronny, tak ją był dobrze urządził, że żadna zbrodnia długo ukryć się nie mogła. I następcy jego tymże szli torem.

Król miał nadzieję za pomocą margrabi Wielopolskiego, marszałka nadwornego, i swoich stronników poufałych odkryć winowajcę. I jeżeli tem się zajmował z taką gorliwością, to nie dlatego, żeby był poduszczony żądzą zemsty, ale że był przekonany, iż jakiś obszerny spisek knuł się przeciw niemu, i podejrzewał, że do niego wpływały niektóre otaczające go osoby, — gdyż będąc sam dość bojaźliwego serca, nie mógł przypuścić, by ktoś siebie tak dalece zaryzykował, nie licząc na jakieś poplecznictwo, skoro do dania mu ratunku.

---

[1]) Laska wyższa od śmierci Jerzego Mniszcha, aż do konferowania jej księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, ze trzy lata przynajmniej wakowała.

X.

Częstochowa.

Podczas gdy król z powiernikami swoimi niczego nie opuszczali, żeby wyśledzić tego, co mu tak dotkliwy pozew położył, wojski, wysunąwszy się z pospólstwa, zaszedł na kwaterę Wazgirda, gdzie zastał Skołubę.

— Panie — rzekł wierny sługa — niech pan nie tracąc czasu zrzuci kurtkę i szarawary, a weźmie na siebie swoją kapotę. Mój pan i pański szatny już muszą nas czekać w Falentach u proboszcza.

Wojski się przebrał, odzież dopiero zrzuconą nogą wepchnął pod łóżko gospodyni, i włożył jej pod poduszkę kilkanaście talarów bitych, a wziąwszy po wierzchu odziczy czujkę, wyszedł ze Skołubą, i puścił się za Jerozolimskie rogatki.

Babeczka nie domyślała się, że swoich gości traci na zawsze; wszystko pod jej okiem się robiło, a ona o niczem nie wiedziała.

Wojski, zawsze ze Skołubą, bez szwanku trafił do plebanji falenckiej, gdzie już zastał Wazgirda, Buńczukiewicza i brykę, tylko co przez nich zaprzężoną.

Wojski ledwo miał czas przedstawić się księdzu i jemu podziękować, bo ksiądz sam ich napędzał, by natychmiast wyjechali, gdyż lada chwila może być pogoń za nimi.

Jakoż w samej rzeczy, jak zaczęto brać na rozum u dworu, kto mógł podać królowi suplikę, pan Gintowt przypomniał sobie, że był jakiś podleśniczy Białowieskiej puszczy, w kurtce zieloněj, który mówił z królem o interesie swoim, jakoby nadal chciał wrócić do posady, którą był utracił, i że o to doprasza się w swojej suplice. A że tej supliki nie stawało, więc wątpić nie można było, że zamiast jej, pozew wręczył królowi.

Rozesłano opis mniej więcej dokładny jego powierzchowności, a kruki marszałkowskie i agenci policji tajnej biegali po Warszawie z taką pilnością, że to długo nie mogło się utaić.

Jak tylko gruchnęła wieść, że szukają człowieka wzrostu słusznego, włosów jasnych, przyprószonych siwizną, a odzianego w kurtkę jasnozieloną z czarnym kołnierzem i w szarawary tejże barwy, z zaleceniem, pod nagrodą i groźbą, każdemu coby go gdzieś spotkał, by natychmiast dał o tem wiedzieć zwierzchności, policja zarzucona została najdziwaczniejszemi doniesieniami. Nie było ulicy, na którejby go nie widziano; wielu przyznawało się, że z nim rozmawiali. Jedna baba zeznała, że jakiś człowiek, zupełnie taki jakiego opisali, kupił u niej kiełbas za dwa srebrne grosze, które zapłacił, ale że te grosze były tak świecące, jakby świętojańskie robaczki, i że ona je w osobnem miejscu schowała. Ale że kiedy nieznajomy

znikł jej z przed oczu, a chciała pochwalić się przed sąsiadem błyszczącemi groszami, na ich miejscu znalazła dwa węgle zgaszone.

Drugi o czwartej zrana widział, jak człowiek zielono ubrany przechodził Wisłę od strony Pragi, nie mostem, ale powierzchnią wody, w której się nie zanurzał, ale chodził po niej jakby po bruku.

Inny zeznał, że po nabożeństwie farnego kościoła, wracając do domu, spostrzegł na kopule luterskiego kościoła siedzącego człowieka, właśnie takiego jak go policja opisuje. On siedział, i z góry patrząc na miasto, nawiązywał węzełki na chustce białej; a kiedy, uderzony tym widokiem, zwoływał drugich by na to patrzali, człowiek zielony zniknął.

Zgoła, że policja rady sobie z początku dać nie mogła.

Jednak zkolei przyszły i ważniejsze doniesienia. Jeden tandeciarz wyznał, że po wschodzie słońca przyszedł do niego młody człowiek, nie mający lat dwudziestu, że kupił u niego kurtkę i szarawary jasno-zielone, i pas z pałonej skóry; że choć sam był odziany po chudopacholsku, zapłacił mu śpiesznie co tylko zacenił, chociaż potargowawszy się, może połowę ceny byłby spuścił.

Wielu zeznało, że widzieli przed farą człowieka zielono ubranego, który chodził zamyślony, a potem ten sam człowiek rozmawiał z królem, i podał mu jakiś papier.

Ale najważniejsze zeznanie było uczynione od starej blacharzowej. Przestraszona staruszka wyznała, że przed kilku dniami jakiś szlachcic w śre-

dnim wieku, w kontuszu i z plastrem na czole, do niej przybył, że u niej sypiał i stołował się. Że dnia wczorajszego, przyprowadził z sobą jakiegoś nieznajomego szlachcica w kapocie, że ten się nazwał przed nią Porajem, że oba u niej zjedli obiad, a potem jak wyszli razem, to aż dopiero w nocy powrócił do niej szlachcic co u niej mieszkał, a drugi dopiero nazajutrz, że ten był ubrany zielono, jak go opisała policja. Że z jakimś drugim człowiekiem zabawiwszy u niej może przez dwa Zdrowaś Marja, wyszedł, ale w czujce, gdyż niebo było zachmurzone. Opisanie tej czujki żadnego światła nie przydawało, gdyż w Warszawie takich można było w czasie deszczu widzieć secinami.

Staruszka złożyła odzież swojego gościa, znalezioną pod swojem łóżkiem, odzież, którą tandetnik odrazu poznał. Nie zapomniała i tego wyznać, że znalazła pod poduszką swoją kwotę pieniężną, jak dla niej znaczną, domyślając się, że to był upominek złożony od jej gościa, wynagradzający sowicie ekspens, jaki zrobiła dla nich.

Później przybył i pleban z Falent, który zeznał, że do niego zajechało czterech ludzi nieznajomych, dwóch niby panów, dwóch niby sług, że pół godziny u niego niespełna zatrzymawszy się, wyjechali w porządnej bryce. Opisał i konie i powierzchowność tych nieznajomych.

Po tych doniesieniach nie było wątpliwości, że agenci konfederacji barskiej znajdowali łatwość i do przybycia i do goszczenia w Warszawie. Ale kiedy te zeznania zapisywano, i to więcej doby po wydarzeniu, nasi przyjaciele już mieli tyle czasu

przed sobą, że żartować sobie mogli z tych wszystkich układów, przesiębranych w Warszawie dla ich schwytania.

Policja za złe nie mogła wziąć staruszce, że przyjęła do mieszkania swojego nieznajomych, w czasie gdzie paszportów nie znano; a jeszcze mniej plebanowi, którego było obowiązkiem wedle ówczesnych wyobrażeń każdego przyjąć i ugaszczać, nie pytając co on za jeden.

Wszakże opyt urywał się w Falentach, bo w nich kończyła się juryzdykcja marszałkowska.

Jeżeli po miastach, in vim directi dominii króla, jaka taka policja była urządzona, zato po wsiach żadnej być nie mogło. Szlachcic, mieszkający na swoim gruncie, lub nawet na gruncie innego szlachcica, żadnej policji nie ulegał. Nie było można urzędowie przemówić do szlachcica, tylko pozwem lub przypozwaniem, a żadnej innej juryzdykcji nie ulegając tylko sądowej, na żadne pytania nie był obowiązany odpowiadać.

Policja domyślała się, do jakich domów po drodze wstępowali ci, których ścigała; jednak ani się kusiła robić indagacji po domach, wiedząc dobrze, na jakie nieprzyjemności, a nawet gwałtowności bezkarne, dobrowolnieby się naraziła[1]).

Stracono w Warszawie nadzieję dostania winowajcy; usiłowano tylko odkryć jego rzeczywiste nazwisko. Ale i to było trudno, gdyż chyba w obozach konfederacji możnaby było o tem się dowie-

[1]) Dotąd w Węgrzech szlachta z niczego nie jest odpowiedzialną policji królewskiej.

dzieć a przystęp do tych obozów był niepodobny; konfederaci byli ostróżni. Gdziekolwiek jaki oddział konfederacji barskiej się znajdował, a do niego się przybliżył szlachcic, jeżeli między konfederatami nie znajdował kilku poręczycieli, jako szpieg do pierwszej gałęzi był uczepiony za szyję. A Żydzi w tej wojnie domowej byli najnieszczęśliwsi: fanatyzm religijny kojarzył się z widokami ostróżności, i jedno i drugie stronnictwo bez miłosierdzia ich wieszało. Przyszło do tego, że nie można było spotkać Żyda na wielkim gościńcu, gdyż Żyd podróżujący, choćby dla własnych interesów, co krok napotykał niebezpieczeństwa. Na tym stanie rzeczy kraj niemało cierpiał, gdyż najmniejszego handlu być nie mogło w tych częściach Rzeczypospolitej, gdzie stronnictwa ścierały się między sobą: to posłużyło szczególnie królowi, by naród zniechęcić do konfederacji, która same tylko klęski jemu przynosiła. Kiedy więc nasi przyjaciele tyle narobili kłopotu w stolicy, oni sami, zajeżdżając od komina do komina, stosownie do instrukcji danej Wazgirdowi wesoło dążyli do Częstochowy.

Jasna Góra, opasana troistym wałem, opatrzona w dostateczną amunicję, broniona przez załogę dzielną, była środkiem wszystkich działań konfederacji. Nie można jej było opanować tylko regularnem oblężeniem, ale trzeba było mieć nato działa grubego kalibru, a na tych zbywało oblegającym. Wprawdzie król z niemałym trudem sześć dział takowych był wyprawił do Częstochowy, ale o kilka mil od niej spotkał je pan Franciszek Dzierżanowski, jeden z najdzielniejszych

partyzantów konfederacji: napadł na asekurację, która te działa przeprowadzała, rozproszył ją, harmaty zabrał, a nie mogąc ich uwieźć z sobą, kazał je pozagważdżać i zatopić[1]). Oblężenie więc szło dość opieszale; wycieczki z Częstochowy czasem o mil kilka cofały oblężeńców, a często partyzanci nie dopuszczali im porządnego odwrotu. Częstochowa w rzeczy samej nie była twierdzą oblężoną, ale wielkim placem bojów, między któremi były takie, co przypominały śpiewy homeryczne. Bywało, z jednej strony rycerz wyzywa na bój pojedyńczy rycerza strony przeciwnej; bitwa odbywa się w przytomności obu wojsk, i zwycięzca wraca przy okrzykach uwielbienia dwóch obozów. Wiadomo, że sam dowódca twierdzy, zostawszy wyzwanym od kirysjera wojsk posiłkowych królewskich, przyjął wyzwanie i zabił przeciwnika olbrzymiej postawy i siły. Podobne bitwy często się powtarzały. Nawet z tych bojów zawiązywały się czasem stateczne przyjaźni. Książę Dołhoruki, dostojny młodzieniec, będąc przy poselstwie dworu swojego w Warszawie, przywiązał się do jednej pięknej i słynnej księżny polskiej, zapalonej stronniczki króla Stanisława: kiedy domagał się jej wzajemności, ona mu odpowiedziała, że na jej względy pod Częstochową tylko zasłużyć można. Zakochany i waleczny młodzieniec, nazajutrz poszedł

[1]) Ten znakomity partyzant umarł w wieku podeszłym w Pohrebyszczach, w gubernji kijowskiej, roku 1812.

na ochotnika do oblężeńców i cudami odwagi się odznaczył. Nakoniec młody hrabia Wielhorski, zamknięty w Częstochowie, wyzwał go na bój pojedyńczy; obaj potykali się pieszo, na szpady, w przytomności dwojga wojsk. Bili się więcej godziny, z tak równą zręcznością, że chociaż pokilkakrotnie spoczynkiem przerywali bitwę zaciętą, jeden drugiemu nic nie mógł zrobić. Oba obozy jednomyślnie kazały im poprzestać: szlachetni szermierze uściskali się pokilkakrotnie, zamienili z sobą oręże, i na zakład przyjaźni dali sobie obrączki. Książę Dołhoruki, gdy wpadł w ręce jednego partyzanta barskiego, hrabia Wielhorski sam mu ułatwił środki do ucieczki. Ale później, kiedy większa część Polski wcieloną została do Państwa Rosyjskiego, książę Dołhoruki niejednokrotnem wstawieniem się swojem za hrabią wywiązał się z przyjaźni, którą mu przyobiecał; a nakoniec hrabia ożenił się z nadobną Rosjanką i obaj przyjaciele spokrewnili się z sobą[1]).

Ale, jak wodzowie strony królewskiej przekonali się, że w podobnych bitwach zwycięstwo było najczęściej na stronie konfederatów, nie zważając na powszechne nieukontentowanie, zabronili swoim przyjmować podobnych wyzwań. I tak wkrótce wojna zupełnie prozaiczna zatarła pamięć tych poetycznych ustępów.

Nasi Litwini jechali w takim porządku: wojski z panem Wazgirdem siedzieli w budzie, Buńczukiewicz powoził, Skołuba siedział obok niego;

[1]) Historyczne.

ale często przełaził z kozła na przód bryki, i tak siedząc z nogami wiszącemi nad kołami przedniemi, rozmawiał z panami. Ledwo jednak spostrzegał, że zdaleka wznosi się kurzawa, szybko powracał na dawne stanowisko.

Jakkolwiek szczęśliwie wysunęli się byli z Warszawy, jakkolwiek uprzejmie byli przyjęci, gdzie tylko po drodze wstępowali, jeszcze nie byli w zupełnem bezpieczeństwie. Mogli po drodze być napadniętymi przez jaki oddział wojsk królewskich lub posiłkowych; nawet miewali podobne spotkania, jeno że przytomność Skołuby od napaści ich chroniła. Bo na zapytania: co są za jedni? dokąd jadą? i co słychać w Warszawie? Skołuba odpowiadał zawsze tak prawdopodobnie i z taką prostodusznością, że oddział zostawiał ich spokojnymi w pewności, że to jest ekwipaż obywatelów przyjaznych królowi, i dobrze u niego położonych.

Dopiero pod Skalmierzem, spotkawszy komendę pana Zaremby, jednego z dzielniejszych wodzów konfederacji, mieli siebie za zupełnie bezpiecznych, i stamtąd udali się do Częstochowy; gdyż właśnie przed kilku dniami pan starosta warecki z całkowitą swoją załogą zrobiwszy wycieczkę, wydał był oblegającym generalną bitwę, a tak pomyślnie, że ci zbici odstąpić musieli od oblężenia, które aż po dwóch miesiącach dopiero na nowo się rozpoczęło.

W Częstochowie było wielu wodzów konfederacji, których ostatnie zwycięstwo najświetniejszemi nadziejami pocieszało. Jeden tylko,

sam dowódca, pan starosta warecki, nie podzielał ich w zupełności. Czuł on wiotkość położenia konfederacji; a chociaż i Francja i Austrja jej sprzyjały, on sprawiedliwie wnosił, że i te mocarstwa zniechęcą sobie nakoniec stronnictwo walczące przeciw swojemu królowi, uznanemu za takiego od całej Europy, a który rzeczywiście jednomyślnie był obrany.

Jest jakiś tajemniczy związek między narodem a panującym, który starganym nie bywa bezkarnie. I kiedy niektórzy wodzowie konfederacji na wstępie chcieli odsądzić króla od korony, pan starosta warecki zawsze się temu opierał i przekonywał ich, że obelga wyrządzona koronowanej głowie, jakiebykolwiek były zresztą jej wady, nie może nie ściągnąć gniewu BOGA, który wcześniej czy później karze narody za niecześć swoich pomazańców. Myśl tego wodza była nierównie głębsza. On usiłował rzeczy przeprowadzić do tego stopnia, żeby sam król stanął na czele konfederacji; i z największą stałością trzymał się tego planu. Chociaż, dla wzniecenia obawy w sercu króla, kazał mu pozew położyć, w uniwersałach swoich nie przestawał ogłaszać, że król w duchu im sprzyja, ale że oblężony stronnictwem ze złych obywatelów złożonem, zostaje w Warszawie jakby w niewoli; a że każdy wierny poddany wszelkiemi sposobami starać się powinien z tej niewoli go oswobodzić. Niecierpliwie wyglądał powrotu pana Wazgirda, i właśnie o tem rozmawiał z panem Bohuszem, sekretarzem generalnym konfederacji obojga narodów, który to pan Bohusz przed

dwoma dniami przybył był z Proszowa, gdzie generalność zasiadała; a to dla znoszenia się z panem starostą wareckim, który choć nie z tytułu, ale z istoty był rzeczywistym naczelnikiem konfederacji barskiej, i nią obracał wedle woli swojej[1]).

Rozmawiali z sobą o środkach, jakichby im użyć wypadało dla ściągnięcia króla do Częstochowy, bo przewidywali słusznie, że choćby pozew posłany i doszedł rąk królewskich, król nie opuści dobrowolnie Warszawy, gdzie go intrygi i rozkosze zatrzymywały.

Wszczęła się między nimi względem tych środków żwawa rozprawa, kiedy ją przerwał przybyciem raptownem pan pułkownik Wereszczaka, trzymający w dniu tym dežurstwo w załodze. Wszedł i zameldował dowódcy, że pan Wazgird, wróciwszy z Warszawy, chce się stawić przed nim z raportem; że ma z sobą drugiego Litwina, który z nim razem przyjechał, i że ten także ma jakieś ważne rzeczy do komunikowania.

— Niech wnijdą — powiedział pan Kazimierz — dowiemy się, co dobrego nam przywieźli.

Jak próg przestąpili: — A co nam powiesz, panie Janie? — zagaił naczelnik.

---

[1]) Marszałkiem konfederacji barskiej od Korony był pan Krasiński, podkomorzy różański, od Litwy Pac, starosta ziołowski. Ale oni siedzieli bądź na Bilsku, bądź w Proszowie. A istotnym sprawcą poruszeń wojennych był pan Kazimierz Pułaski, starosta warecki. Stąd nie bez pewnej słuszności zagraniczni pisarze mają go za naczelnika konfederacji barskiej.

— Mości starosto — odpowiedział Wazgird — rozkaz generalności, mnie polecony, został już spełniony, ale nie moją sprawą. Wszystko to działał przybyły ze mną pan Michał Strawiński, wojski słonimski.

— Pan wojski przecie nam znajomy i wielce zasłużony konfederacji. Jakimże cudem Wpana oglądamy? Wszak mówił nam generał Bielak, żeś się był dostał do niewoli pod Stołowiczami?

— Nieinaczej — rzekł pan wojski — ale jeżeli nadal mogę być posłusznym rozkazom pańskim, to jedynie z łaski pana Wazgirda, który swojemu słudze polecił, żeby mnie odszukał. Jest to szlachcic, nazywa się Skołuba; śmiały, roztropny, przytomny; on mnie z kilkudziesiąt jeńcami oswobodził, a prawdziwie cudownym sposobem. Naszą straż upoił, że bez przytomności na dziedzińcu leżała, nas odbił z więzienia; uzbroiliśmy się bronią naszej straży, i na jej koniach udało się nam umknąć.

— Skołuba! Skołuba! — odrzekł wódz — to nazwisko jest mi znane; wszakże kiedyśmy przeprawiali się przez Zbrucz, jakiś Skołuba zdobył nieprzyjacielską harmatę.

— Tak jest — odezwał się Wazgird — jeszcze to wtedy pan chciałeś go mianować chorążym w swojej chorągwi, ale mój Skołuba wymówił się od tego zaszczytu, dlatego że ani pisać, ani czytać nie umie.

— Pamiętam, pamiętam; nie umie pisać ani czytać, ale umie działać; takich nam potrzeba.

No, mości wojski, jakże się Wpanu udało zbliżyć do króla?

— Skromność pana Michała — mówił dalej Wazgird — jest tak wielką, że ja muszę za niego głos zabrać. On mnie przekonał, że jemu, jako prawnikowi, wypada położyć pozew królowi, a nam przyświadczyć relacją pozwu. A było nas trzech szlachty do świadectwa: ja, Skołuba i Buńczukiewicz, szatny wojskiego. Każdy z nas, jeżeli nie possessionatus, to pewno benenatus. Mnie wojski polecił pójść do mojej ciotecznej siostry, która była mu zaręczoną; ale brat wojskiego, pan starosta wieluński, ją jemu odkochał, wykradł, i sam się z nią ożenił. Odesłał jej przeze mnie obrączkę, którą w czasie zaręczyn z jej rąk dostał, a prosił o zwrót swojej. Ja czułem żal do mojej siostry za osławienie domu naszego, bo jużci, jeżeli można sobie żartować z uroczyście danej obietnicy, cóż będzie świętego między ludźmi? Nie mogłem utaić mego gniewu; wszakże wyznać muszę, że moja siostra, chociaż bałamutka, ale kobieta z niej czepka. Bo kiedy z nią rozmawiałem, wpadł brat królewski, książę podkomorzy, a jak się pokazało, nieproszony ani dziękowany, i ni stąd ni z owąd przyczepił się do mnie, chcąc mnie upokorzyć. Tak mnie zniecierpliwił, że mnie wyszło z pamięci, iż mi wypadało w baranią skórkę się obszyć. Chciałem dobyć szabli, i byłbym mu dał taki niezabud, że choćby wyszedł z biedy, testamentemby zalecił dzieciom, żeby Litwinów omijali, ale interes publiczny byłbym utopił. Pani starościna taka przytomna, że zaraz mnie porwała

za rękę, za sobą do swojego pokoju wciągnęła, a stanąwszy na progu przede mną, takie verba veritatis wypaliła księciu, że on stał jak żak przed regensem. A potem, bojąc się o mnie, przebrała mnie po niemiecku: i peruka, i kusa suknia, i wszystko piorunem znalazło się. Dość, że kiedy pan wojski niby suplikę, a w rzeczy samej pozew kładł królowi, ja, ubrany jak cechmistrz szlifierzów, na to patrzałem. Serce mi biło, że ledwo nie wyskoczyło, kiedy król rozmawiał z wojskim. Szczęście nasze, że król tak był znękany tylu suplikami, że już pod koniec nie otwierając wręczał je swojemu szambelanowi. Taki los spotkał i nasz pozew; a tym sposobem mieliśmy czas dostać się do plebana w Falentach, gdzie te wszystkie niemieckie paskudztwa i z głowy i z siebie zrzuciłem, i na nowo ubrałem się po ludzku, jak mnie pan widzisz przed sobą. Od plebana, z komina do komina wstępując wedle pańskiej instrukcji lubo rzemiennym dyszlem, dostaliśmy się jednak do Częstochowy, zawsze gotowi na rozkazy pana i generalności.

— Mości wojski — na to pan Pułaski — wywiązałeś się dzielnie z obowiązków rycerza i ziemianina. W imieniu generalności oświadczam Wpanu podziękowanie. Może da BÓG, że wkrótce konfederacja połączona z królem zamieni się w sejm; natenczas te moje dzięki w obliczu całego narodu odnowię. Dziś tyle tylko powiem, że waszmościowie tak się popisali, że odtąd w każdem ważnem, a niebezpiecznem przedsięwzięciu zawsze na was liczyć będę.

— O to prosiemy — odrzekł z zapałem pan wojski — a mamy w BOGU nadzieję, że pan na nas się nie zawiedziesz.

— Tego jestem pewny, tak jak tego, że teraz jesteśmy w Częstochowie. Co się odwlecze, to nie ucieczе. Tymczasem trzeba poradzić o tem, co jest pod ręką. My się ułożymy, jak, nie wspominając waszych nazwisk, relacją pozwu ogłosić narodowi: to już pana Bohusza rzecz. A Wpanowie, że musicie być nieco zmęczeni podróżą, która się nad nadzieję naszą odbyła, macie wszelkie prawo do wypocznienia. Pan pułkownik Wereszczaka, wasz ziemianin, dziś jest na służbie, i zaprowadzi was tam, gdzie i pożywienie i spoczynek znajdziecie. Do obaczenia się! a pamiętajcie, żeście otrzymali moje słowo, że odtąd nic ważnego nie przedsięwezmę bez waszego uczestnictwa.

XI.

Wyprawa do Warszawy.

Pozew położony królowi, a ogłoszony uniwersałem generalności, nie otrzymał tych skutków, jakich się po nim spodziewał pan Pułaski.

Stronnicy królewscy zapalili się gniewem za obelgę wyrządzoną panującemu; nawet ludzie obojętni w ówczesnem rozdwojeniu narodu, ten krok głośno potępiali.

Król otrzymał z prowincji mnóstwo adresów, oświadczających niezłomną wierność obywatelów i ich współczucie.

Przeciwnicy króla, związani w konfederację, znużeni po większej części bezkorzystnym a długotrwałym oporem, dość obojętnie ten uniwersał przyjęli.

Mało jest na świecie dusz takich, których zapał ciągłem niepowodzeniem nękany, na koniecby nie ostygł.

Król kierowany rozsądną polityką, natchnioną mu od przyjaznych dworów, wszystkim konfederatom zniechęconym pięcioletnim oporem, sam ułatwiał środki jednawcze. Ile razy który z konfederatów przychodził do niego z prośbą o przebaczenie, nietylko że go król nie odpychał, ale

owszem pozyskawszy go dla siebie, osypywał łaskami. Do tego łączyły się klęski wywracające z gruntu wszystkie widoki Pułaskiego. I tak, trzy miesiące niespełna upłynęły od powrotu naszych Litwinów, a już pan Kwilecki, któremu się szczęśliwie było udało ożywić konfederację w Wielkiej Polsce, wszedł w umowę z dowódcą wojsk królewskich, broń złożył, i reces urzędowy od konfederacji uczynił. Jeszcze dotkliwsza przyszła wiadomość o poddaniu się królowi twierdzy Lanckorony. Mężny Viomesnil w niej się bronił do upadłego. Wszystkie szczury wyjedli oblężeni, głód coraz więcej dokuczał, a gdy pan Zaremba, jeden z najznakomitszych wodzów, a któremu szczególnie pan Pułaski ufał, idąc oblężonym na odsiecz, zdał się na łaskę królewską pod samą Lanckoroną, już nie było sposobu odmówić kapitulacji. Otrzymał ją Viomesnil tak zaszczytną, na jaką zasługiwał, kiedy już od dwóch dni ludzie składający załogę nie mieli nic w ustach.

Litwa i Ruś uspokojone zupełnie uległy królowi. Zgoła, konfederacja już się ściskała w Częstochowie i jej okolicy, oprócz garstki partyzantów krążących w Karpackich górach, którzy grabieżą zmuszeni byli się utrzymywać, czem obywatelów tamecznych odstręczali coraz więcej od siebie.

Niepodobna było taić przed sobą, że już konfederacja dogorywała.

Położenie pana Pułaskiego było rozpaczliwe: inni wodzowie mogli się spodziewać, że przy powszechnem uspokojeniu Rzeczypospolitej, z prze-

baczeniem otrzymanem wrócą do tego samego stanowiska, na którem stali przed rozpoczęciem wojny domowej; każdy z nich albowiem miał w stronnictwie króla potężnych krewnych, którzy za nim skutecznie przemówić mogli. Jeden Pułaski niczego spodziewać się nie mógł. Trzej jego bracia polegli śmiercią walecznych; czwarty, dostawszy się do niewoli, niewiadomo gdzie się obracał. Król o wszystkich przeciwnikach swoich mówił z umiarkowaniem; oświadczał, że niczego nie pragnie, jak przytulić do ojcowskiego łona dzieci obłąkane; że swe objęcia ma zawsze dla nich otwarte. Jednego tylko pana Kazimierza Pułaskiego wyłączając ze swojej łaski, nazwiska jego nie wspominał bez uniesienia, i ciągle powtarzał, że jemu jednemu, jako najwinniejszemu z pomiędzy wszystkich, nigdy nie przebaczy. I nie zaniedbywał dodawać: Pułaski walczy jak człowiek w rozpaczy, i innych chce gwałtem z sobą w przepaść pociągnąć. A te wyrazy królewskie, szerząc się między konfederatami, coraz drażliwszem robiły jego położenie.

Jednak nie widać było po nim rozpaczy. Owszem, nie przestawał między swoimi wzniecać nadziei, której sam nie podzielał. Nigdy nawet nie był weselszym jak wtedy, kiedy jego najściślejszym przyjaciołom zdawało się, że już mu żadnego nie pozostaje ratunku. Doświadczenie nas naucza, i to pocieszać powinno wszystkich, co są skłonni rozpaczać, że tylko mierne nieszczęścia dają się czuć gwałtownie. Ciekawąby była statystyka sprawiedliwa wszystkich samobójstw, a samobójstwo, wyjąwszy zupełnego obłąkania umysłu, jest

najwyższem wyrażeniem rozpaczy. Wszakże mało jest ludzi, którzyby choć raz w życiu swojem nie doświadczyli jakiejś pokusy do samobójstwa. Taka statystyka przekonałaby, że nigdy rzeczywiste nieszczęście, nieszczęście w całej rozciągłości tego wyrazu, nie było powodem do tej zbrodni; ale jakieś upokorzenie miłości własnej, jakiś upadek fortuny, jakieś niepowodzenie w skłonnościach serca, zgoła obawa skutków nieszczęścia często pozornego, więcej niż samo nieszczęście, przyprowadziły słabą duszę do zniszczenia. Prawdziwe nieszczęście nietylko że nie prowadzi do rozpaczy, ale wydobywa niesłychaną energję, która dotąd była w otrętwieniu: wielkie nieszczęście oczyszcza duszę, jak mierne ją kazi; wielkie nieszczęście jednoczy nas z BOGIEM, tak jak mierne nas od niego odwraca. Co tylko jest miernem, poziomem, nie jest godnem naszego jestestwa. I nic prawdziwszego nad to, co wyrzekł jeden wielki filozof pogański, że BÓG lubi patrzeć na walkę sprawiedliwego z niedolą: a ten tylko może się nazwać sprawiedliwym, kto w życiu swojem umiał walczyć z niedolą[1]).

[1]) Spółczesna filozofja, pod jakąś barwą spirytualizmu będąc rzeczywiście materjalną, bo wyraża wiek teraźniejszy, lubiący wiele rozprawiać, a nie pokładający wiary tylko w to, co życie może uprzyjemnić, nie jest tego zdania. Ona niepowodzenie potępia, utrzymując, że komu nic się nie wiedzie, ten jest bez pożytku dla ludzkości, i na poparcie tego twierdzenia kleci rusztowanie dość pozornych rozumowań. Jednak śmiem zapytać: dlaczego czujemy wstręt pomimowolny od wszystkich ulubieńców fortuny, a prze-

Między tyloma niepowodzeniami, które zewsząd sypały się na pana Pułaskiego, jedno z najdotkliwszych dla niego była choroba pana Rzewuskiego, chorążego wielkiego litewskiego, a generalnego regimentarza barskiej konfederacji. Syn hetmana, brat starszy dolińskiego posła, którzy uwięzieni zostali, już tem samem wielce ważył w konfederacji, gdyż osobiste krzywdy kojarzył w sobie z krzywdami publicznemi. Nadto w czasie siedmioletniej wojny tak się był wsławił w wojsku cesarskiem, że na żądanie Laudona hetmana cesarskiego otrzymał krzyż Marji Teresy. Rana, co ją był dostał prowadząc konfederatów do Krakowa, od dwóch lat zagojona, otworzyła mu się była i zmuszała go do zupełnej bezczynności.

---

ciwnie doświadczamy jakiegoś pociągu do ludzi losem pokrzywdzonych? Na to odpowiedzą: że to pochodzi z zawiści; wszakże uczucie powszechne tłumaczyć przez złe skłonności natury ludzkiej, nie zdaje mi się rzeczą sprawiedliwą; trzebaby tu koniecznie wynaleźć jaką przyczynę dodatną. Niechże mnie powiedzą, dlaczego ludzie szerokich dostatków (a wedle teraźniejszych wyobrażeń oni jedni są szczęśliwi), są tak źle otoczeni? Dlaczego ludzie cnotliwi, którzy pewnie są wolni od nikczemnego uczucia zawiści, stronią od bogaczów i widoczny sobie gwałt czynią, do nich się zbliżając? tak dalece, że bogacz musi albo żyć osamotniony, albo w najnikczemniejszem towarzystwie.

Jeden bogacz, ale szlachetnego sposobu myślenia, raz przede mną ledwo że nie łzami skarżył się, że ludzie cnotliwi z nim jednoczyć się nie chcą, i że jest skazany na ciągłe obcowanie z takimi, co tylko z jego dostatków chcą korzystać, a którzy są wyzuci z wszelkiej moralności. Na to nie umiałem jemu poradzić.

To było tem boleśniejsze dla pana Pułaskiego, że kiedy się był otworzył przed panem chorążym, iż chce porwać króla, by go stawić na czele konfederacji, gdyż widzi to być ostatnim ratunkiem, wystrzałem ostatniego naboju z ładownicy swojej; chorąży nietylko, że pochwalił to przedsięwzięcie, ale podjął się prowadzić sam tę wyprawę. Co tem więcej pocieszało pana Pułaskiego, że pomimo niezaprzeczonych zdolności rycerskich chorążego, on przydawał do tej wyprawy wielką siłę moralną, gdyż na wypadek niepomyślnego skutku, odgłos jego cnót był tak powszechny, nawet w stronnictwie przeciwnem, że niktby przypuścić nie śmiał, by wyprawa przez niego kierowana mogła mieć na celu wyrządzenie jakiejkolwiek krzywdy królowi.

Ale cierpienia pana chorążego do tego stopnia się wzmogły, że leżał na łożu boleści w klasztorze ojców paulinów częstochowskich, gdzie mu ranę opatrywał brat Remigjusz, zakonnik, doskonały chirurg.

Już tedy pan Pułaski, straciwszy nadzieję by mógł użyć dostojnego kolegę, zdał tę wyprawę, wymagającą najśpieszniejszego działania, panu pułkownikowi Łukawskiemu, żołnierzowi pełnemu odwagi i zapału, a w którym wielkie pokładał zaufanie.

Stan zdrowia pana chorążego litewskiego nic pocieszającego nie obiecywał. Gorączkę miał tak wielką, że lubo przytomności umysłu mu nie odejmowała, jednak z trudnością obracał się na łóżku;

a brat Remigjusz oświadczył, że przed kilku tygodniami wyleczonym być nie może.

Właśnie tylko co mu opatrzył nogę braciszek, kiedy pan Pułaski przybył nawiedzić przyjaciela i kolegę.

Chorąży usiłował podnieść się, ale pan Pułaski zaraz go uprosił, żeby zaniechał wszelkich ceremonij, i usiadłszy na brzegu łóżka, tak zaczął mówić:

— Oj, panie Stanisławie, jakimże ciosem, Wpana chorobą BÓG nas wszystkich dotknął! Zamiast Wpana, pan pułkownik Łukawski zatrudni się wyprawą, która ma koniec położyć cierpieniom publicznym. Łukawski, powszechnie znany pod przydomkiem Zadora, i męstwem i przytomnością wsławił się niejednokrotnie, jak Wpanu wiadomo. On, że tak powiem, był osią, na której się obracała nasza konfederacja w Wielkiej Polsce; i kiedy teraz pan Kwilecki złożył broń królowi, i jego podwładni wyżebrali dla siebie przebaczenie, on jeden z wodzów nie chciał złamać przysięgi swojej, i w kilkanaście koni z poza Kalisza aż do nas zdołał się przedrzeć. On się podjął przywieźć króla do Częstochowy, i żądał mieć z sobą tylko dwudziestu ludzi doświadczonej odwagi: wybrałem dla niego co miałem najlepszego w obozie. W imię BOŻE tej nocy jeszcze pójdzie, żeby króla drżącego o tron swój do sławy przymusić. Naszemi piersiami, panie Stanisławie, będziemy zasłaniali króla, byle tylko był z nami; nie będzie miał z nas podłych dworaków, ale wiernych poddanych. Nie znajdzie między nami takich, jakimi teraz jest oto-

czony, co ciągle mówią: — Daj, daj! — ale takich, co majątki, życie, wszystko swoje będą mieli na jego usługi.

— Niech im BÓG dopomaga, panie Kazimierzu — odpowiedział nieco bolejącym głosem pan Rzewuski — żeby się już ta nieszczęśliwa wojna domowa skończyła. Mam nadzieję tu króla oglądać, i pewnie więcej ode mnie poświęconego dla siebie poddanego nigdzie nie znajdzie. Ale chociaż sam ten krok wielce pochwaliłem, chociaż podejmowałem się osobiście prowadzić ten poczet walecznych, przyznam się Wpanu, panie Kazimierzu, że czuję jakąś niespokojność, której nigdy nie doświadczałem.

— Nic dziwnego, że gdy wszystko na jedną kartę stawiemy, niespokojność musi nas dręczyć; ale nie pozostał nam inny środek ratunku. Bijemy się codziennie, i do czego to nas prowadzi? Trudno nam utaić przed sobą samymi, że stojemy nad przepaścią. Duch we wszystkich albo ostyga, albo już ostygł; kto może, ten nas odstępuje, a ta garstka, która dotąd nie rozpacza, codziennie się zmniejszając, nakoniec musi się stopić. Nad kilka tygodni trzymać się nie mogę. BÓG świadek, panie Stanisławie, że już wyczerpaliśmy wszelkie środki ratunku; jeden nam tylko pozostał, trudno się jego nie chwycić, jako tonący brzytwy.

— Masz słuszność, panie Kazimierzu, ale jedna rzecz mnie zatrważa. Nuż się wyprawa nie uda, jakaż plama na nas spadnie! Jeżeli który z tych, co ich wysyłasz, wpadnie w ręce stronników królewskich, jeżeli wyzna, że on się tego

podjął z rozkazu generalności, wtedy wiesz co nastąpi? oto bądź pewny, że ogłoszą po całym świecie, żeśmy zrobili zamach na życie monarchy, i nasze imię ze zgrozą będzie wszędzie wspominane. Żeby naszych nazwisk nie nacechowali haniebnem piętnem królobójstwa, zbrodni niesłychanej w dziejach naszych!

— Nie, panie Stanisławie, chociażby się wyprawa nie udała, czego jednak przypuścić nie mogę, — choćby wszyscy co ich wysyłam wpadli w ręce nieprzyjaciół naszych, — jakkolwiekby tam usiłowano wystawić to przed Europą za królobójstwo, nasze nazwiska wymówione nie będą, sława naszej konfederacji ocaloną zostanie. Wysyłam dwudziestu mężnych, a między nimi czterech tylko jest takich, przed którymi w zupełności się odkryłem: pułkownik Łukawski, jako dowódca wyprawy i trzech Litwinów: wojski Strawiński, Wazgird i ich Skołuba. Znam ludzi, panie Stanisławie, dlatego otworzyłem się przed nimi z całą ufnością; inni tyle tylko wiedzą, że idą na wyprawę ku Mazowszu, jako zwyczajnie partyzanci; ale gdzie? poco? tego się nawet nie domyślają. Kosiński, który z nimi idzie, który sobie powszechną sławę zjednał jednego z najwaleczniejszych naszych partyzantów, który pokilkakrotnie wciskał się do stolicy, i ułatwiał wszystkie moje z nią stosunki, a jednak i jemu w zupełności nie chciałem się powierzyć. Tyle wie tylko, że musi być posłusznym Łukawskiemu; bo choć ufam jego odwadze, wiem, że nie jest pobożnym, a więc żadnej nie mam rękojmi, by miał tę stałość ducha, co ją

tylko gorąca wiara dać może, a przy pomocy której człowiek bezbronny, uwięziony, męczony, nie przestaje być odważnym. Ale co się tycze tych, którym się w zupełności zwierzyłem, bądź pewny, panie Stanisławie, że każdy z nich tysiąc śmierci w męczarniach wytrzyma, a nie zdradzi tajemnicy. Dziś zrana w kaplicy klasztornej spowiadali się, i przyjmując ciało i krew Zbawiciela wykonali przysięgę: — prócz nich, księdza Marka i mnie nikogo nie było. Nie jestem miękkiego serca, panie Stanisławie; tak jak Wpan wychowałem się w obozach, ale po krótkiej egzorcie księdza Marka, kiedy każdy z nich, przystępując do najświętszej uczty, wyrzekł te słowa:—„Jeżeli, broń Boże nieszczęścia, wpadnę w ręce nieprzyjaciół, a znękany męczarniami, wydam w najmniejszej części tajemnicę mnie powierzoną, — jeżeli czyjekolwiek nazwisko wymienię, — niech ta krew Zbawiciela mojego na mnie spadnie, niech na wieki będę potępiony!“ łez wstrzymać nie mogłem. Na ich obliczach wyrażała się taka rezygnacja, takie poświęcenie, cóś tak przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa, że tego wypowiedzieć nie umiem. Bądź spokojnym, panie Stanisławie! nasza sława jest bezpieczna, żadna potwarz nie zdoła jej zachwiać. Może BÓG uwieńczy pomyślnością nasze przedsięwzięcia; w przeciwnym razie nic sobie nie będę miał do wyrzucenia. Sam widzisz, że nad kilka tygodni trzymać się nie mogę. Na czemże się opieramy? Francja, która nas ciągle podjudzała, jak tylko my się podnieśli, jakąż nam dała pomoc? jakież było ziszczenie jej obietnic?

kilka garści złota i kilku oficerów; a ta licha pomoc jej ciężyy. Szoazel oddalonym został, a jego następca czeka tylko z upragnieniem okoliczności, żeby uroczyście umyć sobie ręce od naszej sprawy. Nie! porwanie króla znajdzie co innego. BÓG nas słyszy, panie Stanisławie! Jego na świadka biorę, że żadna prywata, nawet chęć osobistej sławy mną nie kierowała; szedłem za przekonaniem, i za siebie nigdy się nie oglądałem. Jeżeli król będzie z nami, wszystko nam się uda; jeżeli i ta ostatnia nadzieja spełznie, nic na tem nie stracicie, król wam wszystkim przebaczy. Sam widzisz, że kto mu się poddał, nie miał powodu tego żałować. A co się ze mną stanie, na to jestem obojętny; wiem dobrze, że na mnie jednego wszystkich winę złożą. Opuszczę ziemię mych przodków: na drugiej połowie świata jest lud zabierający się do walki; tam pójdę szukać dla siebie przytułku, tam sławę mojego plemienia zaniosę. Ostatni konfederat barski odepchniętym nie będzie od szeregów amerykańskich!

Pan Rzewuski wziął go za rękę, i ścisnąwszy ją z uniesieniem, odrzekł:

— Poznaje ciebie, panie Kazimierzu! zawsze mężny, zawsze nieustraszony. Co do mnie, jeżeli nasze nadzieje nas zawiodą, bądź pewny, że żadnego przebaczenia nie przyjmę.[1]) Dobrze żałować

[1]) Skutek formy rządu republikańskiego, że powinności nie są ściśle określone dla nikogo, każdy się kieruje pociągami osobistych skłonności. W tem jest wyższość rządów samodzielnych i jednowładzy, że wszystkie obowiązki będąc przepisane, poddany, któryby zbłądził, niczem wymówić się nie może.

za grzechy przed księdzem, bo sekretu nie wyda; ale człowiek przed innym równym sobie człowiekiem niczego nie powinien żałować. Życie nasze jest zanadto krótkie, żebyśmy dla niego aż sławę poświęcali. Nie mam potrzeby przenosić się za morza. Mam sąsiedniego monarchę; w jego obozach nabyłem niejakich zasług, których świadectwo na piersiach noszę; jemu ofiarować będę na nowo moje usługi[1]). Stary Laudon za mną przemówi; mam nadzieję, że cesarz rzymski niemi nie wzgardzi.

Pan Pułaski pożegnał chorążego litewskiego by się zająć wyprawieniem tego pocztu, na którym się opierały wszystkie nadzieje.

Wątpliwości nie podpada, że wszystko jak najroztropniej było obmyślane, by pożądany skutek otrzymać.

---

[1]) Przy rozwiązaniu ostatecznem barskiej konfederacji, wszyscy zkolei od niej uczynili urzędowy reces. Trzech tylko do śmierci recesować nie chcieli. A tymi byli: pan Pac starosta ziołowski, marszałek generalny na Litwie, który umarł w Strazburgu, na dobrowolnem wygnaniu; pan Pułaski, starosta warecki, który zginął pod Savannah, dowodząc całą jazdą amerykańską; i pan Rzewuski, chorąży wielki litewski, który umarł feldmarszał-lejtenantem wojsk cesarskich, w wysokich względach u cesarza Józefa II-go. Wyrzucili mu, że on, który był tak zapalonym republikaninem, później był najgorliwszym wykonywaczem rozkazów cesarza: on postępował całe życie jak człowiek honoru; urodzony w Rzeczypospolitej, był wzorem republikanów; ale gdy z woli Opatrzności został poddanym monarchy jednowładnego, został wzorem poddanych.

W samej Warszawie był natenczas pan Przyszychowski, który dostarczał koni dla jazdy elektora saskiego. Remonter uprzywilejowany ciągle się znosił potajemnie z panem Pułaskim, a był wolny od wszelkiego podejrzenia; bo najpierwszej młodzieży warszawskiej przedawał konie najczęściej na borg, czem miał u niej największe zachowanie. A u księcia podkomorzego, brata królewskiego, był tak dobrze jak domownikiem. Kilkadziesiąt koni, które zawsze miał w swojej stajni, były na usługach Pułaskiego.

Prócz tego, o lekką milę od Warszawy mieszkała w swoim zamku pani wojewodzina rawska, bogata wdowa, żyjąca w najściślejszych stosunkach przyjaźni z faworytami króla. Pani krajczyna co tydzień przyjeżdżała do niej w lecie, żeby oddychać wiejskiem powietrzem. Częste bywały u niej bale, gdzie można było widzieć cały wielki świat stolicy. U niej się zawiązywały intrygi miłosne pierwszych matedor dworu. Inaczej ją nie nazywano, tylko: nasza kochana wojewodzina. Król sam ją zaszczycał zaufaniem; któżby na świecie ją śmiał podejrzywać? A tymczasem babeczka, duszą i ciałem przywiązana do domu saskiego, ciągle korespondowała z panem Pułaskim i jemu o wszystkiem donosiła.

Wojska nie było w Warszawie, prócz gwardji pieszej i pułku Mirowskich, na których król niewiele mógł rachować, gdyż połowa tego pułku jeszcze w początkach konfederacji, podmówioną będąc przez rotmistrza tegoż pułku, pana Franciszka Dzierżanowskiego, przeszła na tamtą stronę.

Jedyny poczet, na którego wierność król mógł się spuszczać, była chorągiew królewska, stojąca w Warszawie pod dowództwem pana starosty wieluńskiego, który sam ją zreorganizował świeżo, za co mianowany został generał-majorem. Trzeba wiedzieć, że król był otrzymał roku 1768 konstytucję, dozwalającą mu zaszczycić nobilitacją kieszonkową dziewięciu plebejuszów, którzy uchodzili za szlachtę, ale nimi nie byli; król nadużył tego prawa, że więcej dwóchset podpisał takowych nobilitacyj, szczególnie w województwach ruskich[1]).

Za namową starosty wieluńskiego, z takiej świeżej szlachty złożył towarzystwo swojej chorągwi. Nic więc dziwnego, że oni byli przywiązani do króla, bo czuli dobrze, że w razie jego niepowodzenia, mogli być haniebnie strąceni z zaszczytu nieprawnie posiadanego.

Wszakże kilkadziesiąt koni, i to rozsypanych po mieście, nie było to rzeczą tak straszną, by było niepodobnem porwanie znienacka króla, nocną porą, w mieście nieoświeconem, którego już o dziewiątej w wieczór ulice były puste.

Nigdy okoliczności nie zdawały się przyjaźniejszemi do uskutecznienia powziętego zamiaru.

Ludzie wyprawieni od pana Pułaskiego, przebrani jedni za chłopów, drudzy jak szlachta

[1]) O te nadużycia królewskie częste bywały skargi na sejmach, ale zawsze bezskuteczne, gdyż pod koniec jego panowania weszło było w modę lekceważenie szlachectwa.

podróżująca we własnych interesach, osobnemi drogami złączyć się mieli w majątku pani wojewodziny rawskiej, gdzie już były dla nich przygotowane konie przez pana Przyszychowskiego, który pod pozorem obroku, w późnej jesieni tańszego na wsi, niż w mieście, większą część swojej remonty tam przeprowadził.

Nasi Litwini, razem się trzymając na jednej bryce, którą Skołuba powoził, podróż swoją odbywali opatrzeni we wszystkie świadectwa potrzebne, żeby nigdzie nikt ich nie zatrzymał. Wazgird i Skołuba byli weseli, ale wojski więcej niż kiedy zdawał się być zatopionym w smutnych dumaniach.

Napróżno towarzysz podróży, siedzący obok niego, usiłował go rozerwać. Widząc go ponuro milczącym, odezwał się zniecierpliwiony:

— Panie Michale, w innej okoliczności pozwoliłbym tobie siedzieć stetryczonym; ale teraz, kiedy nam jest poruczone to, co nam nieśmiertelną sławę, a krajowi pokój i szczęście ma zapewnić, nie godzi się nie być wesołej myśli. Żebyś miał z innymi ludźmi do czynienia, dalibóg trwogę w ich sercu mógłbyś wzniecić; bo twój smutek cóś zakrawa jakby na złowieszcze przeczucie.

— Nie, panie Janie, względem naszego przedsięwzięcia złego nie mam przeczucia, owszem mam wszelką nadzieję, że rzecz nam się uda. Moje przeczucia tyczą się tylko mojej osoby: BÓG nam dopomoże, ale ja z tego nie długo się cieszyć będę.

— At, porzuciłbyś takie banialuki do głowy przypuszczać; co ciebie, to i nas czeka. Zresztą

ja Wpana nie poznaję: zawsze z dobrą nadzieją szedłeś na wyprawy najtrudniejsze, a teraz u przystani toniesz. I cóż cię tak zbiło z tropu?

— Śmiej się ze mnie, panie Janie, jak z zabobonnika, z głupca; ale jako przed przyjacielem muszę wyznać, że gdyby nasza wyprawa była tygodniem wprzódy, albo czterma tygodniami później, byłbym zupełnie spokojny; ale teraz listopad, miesiąc dla mnie najnieszczęśliwszy.

— Wstydziłbyś się, panie Michale, w takie bzdurstwa wierzyć. Każdy miesiąc jest pod opieką Opatrzności Boskiej; cóż ma być straszniejszego w listopadzie niż w grudniu?

— Dla Wpana nic, ale dla mnie... Wszak wiesz dobrze, panie Janie, że nigdy nie byłem szczęśliwym, ale najdotkliwsze nieszczęścia zawsze mnie spotykały w listopadzie.

— A to co znowu?

— Nieinaczej, sam osądź! Urodziłem się 1-go listopada w dzień Wszystkich Świętych, i dlatego dano mi imię Anioła, bo mój ojciec nie chciał wyboru robić między świętymi Pańskimi, żeby się żadnemu nie narazić; oto jest pierwsze moje nieszczęście. W listopadzie, matka moja mnie, dziecko swoje, opuściła. A pamiętasz, jaką szkodę miałem w listopadzie, kiedy na Niemnie pod Świerżniem bryka, konie i sumka, co ją księciu wojewodzie odsyłałem, poszły pod lód. A czy nie 4-go listopada przywiozłem do Nieświeża mojego brata, gdzie się poznał z moją narzeczoną? Wierz mi, Jasiu, ja tego listopada nie przeżyję; mam w tem przeczucie, którego ci objaśnić nie umiem. Wczoraj spo-

wiadając się z wami, dysponowałem siebie na śmierć, i Ciało Pańskie przyjąłem jako wiatyk: jak umrę, czy zapomnisz o duszy przyjaciela?

— Panie Michale, czy wiesz, że takim gusłom wierzyć, jest to ciężki grzech?

— Nie, kochany Jasiu, to nie jest żadnem gusłem, to jest przeczucie silne, bo od BOGA pochodzące. Nieboszczyk mój ojciec nie miesiąc, nie dzień, ale godzinę swojej śmierci przeczuł, a ty wiesz, że to był mąż wedle serca Bożego. Nie uwierzysz, od wielu grzechów to przeczucie moje mnie obroniło, i dziś gotów jestem stanąć do sądu przed BOGIEM. A jednak, co to jest świat! On mnie nie mógł przywiązać do siebie; rozum i sumienie przekonywają mnie, że mi korzystniej umrzeć niż żyć; widziałeś mnie nie w jednej potyczce, powiedz czym schylił głowę, kiedy kule koło niej świstały; ale że się zbliża chwila rozstania się duszy z ciałem, aż mi wstyd, że czuję jakąś trwogę.

— Bądź lepszej myśli, panie Michale; wszystko tak dobrze, tak po bożemu obmyślane, że musi się nam udać. Wpan jeszcze dużo lat cieszyć się będzie pokojem Rzeczypospolitej, i dobierzesz sobie żoneczkę, która się lepiej na Wpanu pozna. Będziemy sobie żyli szczęśliwi, i jeszcze niejednego łosia i niedźwiedzia ubijemy w Olesinie.

— Nie, nie, panie Janie, Wpan to mówisz, żeby we mnie ducha ożywić, ale to niepotrzebne: kto jest pewny śmierci, ten w odwadze nie ustąpi temu, który się mami nadziejami. Ja tego sto razy doświadczyłem, broniąc inkarceratów; póty tchórzy, póki mu wyroku śmierci nie przeczytają. Obaczy-

cie, że na mnie zawodu nie będzie; już odżałowałem swego życia. Natura nie trwoży, ale przekonanie górę bierze nad nią. Jakkolwiek bądź, proszę ciebie, jak umrę, pamiętaj o duszy przyjaciela.

— A ja ci powtarzam, panie Michale, że w BOGU ufać trzeba, a te wszystkie zabobonne trwogi odegnaj znakiem krzyża świętego. BÓG z tobą, Michasiu; ja tak pewny jestem, że wszystko dobrze pójdzie, i że wyjdziesz zdrów z opały, że choć nie czuję w sobie powołania do stanu duchownego, daję ci słowo szlacheckie, że jeżeli w tym listopadzie zginiesz, wstąpię do klasztoru. A jak zostanę kapłanem, pierwszą mszą zmówię za twoją duszę, a potem co tydzień raz odprawię na tęż samą intencją.

Uśmiechnął się na te słowa rubasznie wymówione pan wojski, i obaj umilkli. Nie będę czytelnikowi opisywał przygód ich podróży. Dość, że wszyscy, których wyprawił pan Pułaski, złączyli się w umówionym zamku, i tam wmieszani w usługę licznego dworu, czekali na rozkazy pana Łukawskiego. Ten codzień, a czasem dwa razy na dzień bywał w Warszawie przez te dni kilka, w których jego poczet bawił w zamku. Powracał z Warszawy zawsze z dobrą nadzieją; a nasi Litwini czekali niecierpliwie hasła, za którem udać się mieli do Warszawy.

XII.

Przeczucie.

Dzień 17 listopada został naznaczony na uwięzienie króla, a to z tego powodu: król od lat kilku był w obojętności z wujem swoim, księciem kanclerzem; ale obu stron przyjaciele tyle zabiegami swojemi dokazali, że się nakoniec do siebie zbliżyli. Książę kanclerz pierwsze kroki zrobił do zgody, i dwa razy był u najjaśniejszego siostrzana; ale będąc podeszłego wieku, zdrowia nadwątlonego, zachorował, a król postanowił nawiedzić go dnia 17, i cały wieczór z nim sam na sam przepędzić.

Ten zamiar królewski był tajemnicą, lecz żadna tajemnica w tym dworze zachować się nie mogła.

Już w wigilję tego dnia pani wojewodzina o tem była uwiadomiona, i stosownie do tego plan ułożył pan Łukawski.

On, wojski, Kosiński i czwarty żołnierz, powiernik Łukawskiego, w którego odwadze największe pokładał zaufanie, tegoż dnia od samego rana mieli się ukryć w Warszawie. U pana Przyszychowskiego było przygotowanych cztery konie, a piąty dla króla. W nocy tedy mieli napaść na

powracającego króla od wuja do zamku, posadzić go na konia łoźnego, z nim przejść rogatkę i stanąć w karczmie, na połowie drogi do zamku pani wojewodziny, gdzie Wazgird i Skołuba przybyć mieli w szesnaście koni, i razem króla zaprowadzić do Częstochowy. Wykradłszy króla około północy, ledwo zranaby się opatrzono w mieście; więc kilka godzin mając przed sobą, pochlebiali sobie, że ujdą manowcami do celu podróży; ile że na przypadek pogoni pan Łukawski był determinowany króla przestraszyć chociażby groźbą ognistej broni, ażeby tej pogoni odstąpić kazał.

Napróżno Wazgird się domagał, by go nie oddzielano od wojskiego. Pan Łukawski jemu zdawszy dowództwo oddziału, co miał przyjść na ich spotkanie, od swego nie odstąpił; a że pan Pułaski rozkazał im wszystkim być posłusznymi panu Łukawskiemu, pan Wazgird nie śmiał się przeciwić.

17 listopada, między dziesiątą a jedenastą zrana, pan starosta wieluński w szlafroku siedział na kanapie w gabinecie swoim; popijał herbatę stojącą na stoliku, na którym leżało kilka arkuszy papieru zapisanego i kilka gazet zagranicznych.

Tylko co był wyszedł namiestnik chorągwi którą dowodził; z nim więcej godziny rozmawiał po odebraniu raportu, gdyż od niejakiego czasu wielce się zajmował chorągwią, co ją od króla był otrzymał, i nic pewniejszego, że zdołał w niej zaprowadzić porządek i karność na wzór zagraniczny. Pijąc herbatę, przeglądał z roztargnieniem rozmaite bileciki dopiero odebrane. W jednym

proszono go o pożyczenie kilkuset czerwonych złotych na dni kilka; w drugim przepraszano, że się na termin nie uiszczono, i to tłumaczono ćmą dobrych przyczyn, z których jednak ani złamanego halerza wydobyć nie mógł; w trzecim domagano się w imię przyjaźni i koleżeństwa, by raczył zaręczyć u Tepera za jedną damę na tysiąc czerwonych złotych, ale pod wielkim sekretem, żeby jej mąż o tem się nie dowiedział, a dama była w wysokich względach u króla. Czwarty był najprzyjemniejszy, bo do niego było dołączonych kilkadziesiąt czerwonych złotych długu honorowego, w karty jemu przegranych w dniu wczorajszym. Bilecik był od pana podstolica wielkiego litewskiego, dla którego od dwóch lat darmo pracowali rzemieślnicy warszawscy, ale zato nigdy nie dopuścił upłynąć dwudziestu czterem godzinom między przegraniem w karty, a uiszczeniem się z przegranej. Piąty nie bilet, ale list zakopertowany od jakiegoś prawnika, który mu podawał projekt, żeby imparitatem zadał jednemu bogatemu właścicielowi województwa wołyńskiego. A w tym liście między innemi były te słowa: nic łatwiejszego, JWpanie, jak wyrobić od króla dla siebie kaduka na te dobra, a ja biorę na siebie prowadzenie tej sprawy i złożenie dowodów przekonywających, że ich właściciel jest synem mieszczanina, i że się wkradł do szlachectwa; byle JW. pan zapewnił, że mnie przypuści do czwartej części dóbr, które po nim się dostaną. Szósty, siódmy, aż do dwunastego biletu, były solicytacje, żeby się wstawił u króla za proszącymi w prywatnych in-

teresach: i tak, w jednym proszono o order Ś-go Stanisława dla syna; w drugim o list instancjonalny do marszałka trybunału koronnego; w trzecim o konferowanie jakiego starostwa; czwarty znowu od jakiejś damy za jednym młodym labusiem, żeby mu opactwo wyrobić u króla, — i tym podobne. Żeby starosta nic innego nie robił, tylko odpisywał na listy i bilety, które codziennie odbierał, jużby mu czasu nie wystarczało.

Wyszedł nakoniec z roztargnienia, i szczerze się zaczął niecierpliwić na to marnowanie czasu pismami nie zasługującemi na żadną odpowiedź, a których czytanie nawet było dla niego ckliwem, kiedy jego żona weszła do gabinetu.

Była to rzecz wychodząca ze zwyczajnego trybu jej życia, gdyż ona nigdy nie wchodziła do gabinetu.

Starosta powstał, zrobił kilka kroków naprzeciw żonie, w rękę ją pocałował i posadził koło siebie, mówiąc: — Co za szczęście niespodziane prowadzi ciebie, aniele drogi, do mojego pokoju?

Zosia była w szlafroczku białym, żółtemi wstążkami ogarnirowanym, na głowie miała czepek koronkowy z podobnemiż wstążkami. Były to negliże poranne, ale tak gustowne, tak jej do twarzy, ona sama była tak świeża i piękna, coś tak anielskiego było w jej spojrzeniu, że nietylko poeta, ale każdy mający oczy zgodziłby się, że wyglądała jak jutrzenka w majowym poranku.

Starosta nigdy ją piękniejszą nie widział. Czas jakiś pozostał w zachwyceniu; ledwo mógł uwierzyć, że tyle wdzięków są w jego posiadaniu. —

Zofjo ulubiona — rzekł — powtarzam ci pytanie: czemu mam przypisać moje szczęście? Ty czujesz, że każda chwila nie z tobą przepędzona jest straconą dla mnie; ale myślisz, że możesz mi przeszkadzać w dopełnieniu obowiązków mojej służby, nie chcesz przerywać prac moich, bo wiesz, że przy tobie tobą tylko jedną mogę być zajęty; dlatego twoje przybycie i cieszy mnie i zadziwia. Powiedz mnie, twojemu przyjacielowi, który ciebie ubóstwia, powiedz co ciebie sprowadza. Moja Zofjo, ja widzę, że od dni kilku jakaś niespokojność ciebie dręczy.

— Prawda, mój mężu. Od jakiegoś czasu, trwoga, której przed sobą wytłumaczyć nie umiem, jakieś sny trapiące, jakieś przeczucia pokoju mnie nie dają. Kiedy ciebie widzę, jestem spokojna, ale ledwo znikasz z przed moich oczu, zaraz mi się zdaje, że już cię utraciłam na zawsze. Ludwiku miły, ty nie wątpisz o mojem przywiązaniu; dla ciebie wszystko poświęciłam, a tego nie mam za poświęcenie, byleś ty był ze mną szczęśliwym. Tyś dla mnie ojcem, bratem, rodziną; ty mnie kochasz, ty każdą chwilę życia mojego starasz się uprzyjemnić, dlaczegoż nie jestem szczęśliwą?

— Droga Zofjo, powiedz czego żądasz, czego ci niedostaje, czem mogę rozegnać twoje troski; wszystko poświęcę, byle żadna chmurka pogody żywota twojego nie zasępiła. Powiedz, czy w moich postępkach widzisz co do poprawienia; mów, a natychmiast wola twoja spełnioną zostanie.

— Ludwiku, cóż ci powiem? kocham cię nad życie, a widzę, że moje przywiązanie tobie nie

wystarcza, że przeze mnie jedną nie umiesz być szczęśliwym.

— Przebóg, Zofjo, cóżeś wyrzekła? — ty mnie nie wystarczasz! ach Zofjo, cofnij te niebaczne słowa, te słowa rozdzierające serce! Ja ciebie kocham nad wszystko, a ty śmiesz mówić, że mnie nie wystarczasz!

— Ludwiku, jeżeli mnie umiesz kochać, jeżeli moja spokojność ci jest drogą, opuść Warszawę, opuść ten zgiełk zdradliwy wielkiego świata; przytłum tę żądzę niepohamowaną zaszczytów. Mamy znaczne dobra na Litwie, mamy tyle poddanych do uszczęśliwienia, mamy krewnych, sąsiadów, którzy teraz źle nas wspominają; żyjąc między nimi, starajmy się zdobyć ich życzliwość. Ja jestem wieśniaczką, mnie ten świat wielki zrazu się podobał, ale już mi tak obrzydł, że bez jakiegoś przymusu w nim żyć nie mogę. Towarzystwo tutejsze, jego rozmowy, jego zabawy, te bezczelne zaloty mężczyzn, te bezczelniejsze rady kobiet, wszystko to dla mnie nieznośne. Ty nawykły do tego, ty bez wielkiego świata obejść się nie możesz, ubiegasz się za dostojeństwami, za błyskotkami dworu, a chcesz, bym wierzyła, że tobie wystarczam.

— Zofjo, aniele mój drogi, jakże jesteś niesprawiedliwą. Czy myślisz, że jest na świecie taka pustynia, w którejbym z tobą nie był szczęśliwy; ale powiedz, czy mogę żyć tylko dla siebie? Czy moje jestestwo nie jest własnością ojczyzny, której służę? Czy wśród zamieszań publicznych mogę opuścić mojego króla, króla tak poświęconego dla niewdzięcznego narodu, bym usuwając się od

wszelkiego niebezpieczeństwa, tylko o własnem szczęściu myślał? Zofjo, żebym powiedział królowi: byłeś zawsze dla mnie ojcem i przyjacielem, tyś mię wzbogacał, kiedy byłem jeszcze igrzyskiem losu, a teraz, że mam żonę, anioła piękności i dobroci, szczęście domowe, dostatki, więc żegnam ciebie, bo wszystko co dla mnie zrobiłeś już znikło z mojej pamięci. Masz troski, zmartwienia, poddani twoi się buntują, najdotkliwsze potwarze na ciebie miotają; szukaj kogo chcesz, by ciebie pocieszał, bo już ja ciebie nie znam. Żebym tak postąpił, Zofjo, czy tybyś w duchu mogła mnie szanować?

— Cóż ci na to odpowiem, Ludwiku? Lecz czy sam siebie nie łudzisz, myśląc że tak jesteś potrzebnym królowi? Ileż to razy żaliłeś się przede mną, że tu kobiece intrygi tak wszystko krzyżują, że królowi służyć skutecznie niepodobna. Ludwiku drogi, jeżeli masz obowiązki dla króla, czyż się z nich nie wywiązałeś? Wierz mi, że tysiąc się znajdzie takich, co twoje miejsce radziby zastąpić; czyż mało o to jest zabiegów? Złóż w ręce króla to starostwo, któreś od niego otrzymał; niech niem innego obdarzy; a sam na swojem poprzestając, żyj sobie jak szlachcic niepodległy. Cóż ci przybędzie z tej senatorji, która jest celem twoich życzeń? Ach mój miły, wierz moim przeczuciom, między tobą a tą senatorją, jest jakaś przepaść do nieprzebycia.

— Ozdobo życia mojego! Jak w tem mało mnie znasz jeszcze. Nie taję się, że pragnę senatorskiego krzesła, że ono mi się należy, że jak

tylko sejm nastąpi[1]), otrzymać go muszę, i mam na to słowo królewskie; ale czyż tego żądam dla jakiejś osobistej wyniosłości? Cóż mi ta senatorja dodać może? W młodości mojej, u najpierwszego dworu w świecie, byłem na takim stopniu znaczenia, że żadne polskie dostojeństwo jemu sprostać nie może; lecz pragnę tego jedynie dla ciebie, Zofjo, moja kochana. Oprócz szczęścia domowego, którem mnie napawasz, jeszcze sypiesz hojną dłonią wszystkie pociechy, jakich tylko żądać może najwygórowańsza miłość własna. Kiedy się z tobą na jakiem publicznem zgromadzeniu pokażę, a słyszę jak cała tłuszcza, upojona widokiem twoich wdzięków, wita ciebie okrzykami uwielbienia, a pomyślę, że jestem posiadaczem tych czarujących wdzięków, że wszystkie zabiegi najświetniejszej młodzieży, by zachwiać twoje serce są nadaremne, bo to serce mnie jest oddane na zawsze, ach, mój aniele! wyobrazić sobie nie możesz, co to jest za rozkosz dla mnie! Czy jest na całym świecie dostojeństwo, któreby równie mojej dumie pochlebiać mogło. Być kochanym od najpiękniejszej, od najmilszej, od najrozumniejszej istoty, bo wszyscy tobie to przyznają w Warszawie; pieścić ją, być od niej pieszczonym: jest to szczęście tak wielkie, tak porywające, że niema w żadnym języku wyra-

[1]) Ministerja i senatorstwa wakujące, tylko w czasie agitującego się sejmu konferowane być mogły; gdyby nie to prawo, przy zręczności królów, sejmy polskie możeby poszły w zaniedbanie, jak francuskie États Généraux. Same wakanse urzędów wymagały zwołania sejmu.

zów, któreby go wysłowić zdołały. Ale jeżeli chcę być umieszczonym w wyższym stanie mojego narodu[1]), to jedynie dlatego, że znieść nie mogę, by jaka kobieta z jakiegokolwiek względu miała siebie za wyższą od mojej Zofji.

— Czyż na tem szczęście zależy! Bylebym była dla ciebie wyższą od innych, czegoż mi więcej potrzeba?

— Nie, nie! nie mów mi tego. Nie uwierzysz, ile mąk znoszę, ile razy widzę te baby nadęte senatorską godnością, wyżej od ciebie siedzące. Zofjo moja, bądź wyrozumiałą na moją nieuleczoną słabość, bo ta słabość pochodzi z mojego przywiązania do ciebie.

Tu wpół ją objąwszy, posadził na swoich kolanach, i zaczął pieścić; usta położył na jej ustach i z tych lubych ust pił zachwycenie. Zosia nie odpychała jego pieszczot; jej lica barwą wstydu i miłości się okrasiły, a wzrok rozkoszą zwilgotniały, utopiła w kochanka wdziękach. Oboje spletli się ramionami, dla obojga była to chwila, którą latami goryczy każde radeby było okupić.

— Zofjo — odezwał się Ludwik, miłośnie patrząc na żonę, której nowych wdzięków pieszczoty męża przydały. Coś było w niej tak anielskiego, tak dziewiczego, tak zniewalającego, że Ludwik nie mógł nasycić się jej widokiem. — Zofjo moja, poprzysięgam tobie, że po zebraniu się sejmu, który jeden wyleczyć zdoła rany ojczyźnie zadane, jak

[1]) W narodzie polskim były trzy stany: 1) Król, 2) Senat, 3) Stan rycerski.

tylko otrzymam od króla krzesło mnie publicznie obiecane, a mamy kilka wakujących, zaraz opuszczę i dwór i stolicę; pojadę z tobą zagranicę. Niechaj w Wersalu pochlubię się moim aniołem, niech Zofja tak zaćmi piękności paryskie, jak zaćmiła warszawskie. Ale niedługo tam się zatrzymamy; powrócimy i osiądziemy na wsi, gdzie odtąd dla siebie będziemy żyli. Czy w mojej ojcowiznie, czy w twoich dobrach, gdzie rozkażesz, wystawię pałacyk wiejski; sami doglądać będziemy jego budowy. Jak go zamieszkamy, objadę z tobą całe sąsiedztwo i sproszę je na inkrutowiny. Zaprzyjaźnię się z twoimi krewnymi, z obywatelstwem powiatu; będziemy gospodarowali, założymy ogród angielski, zwierzyniec, cieplarnię, a nadewszystko będziemy się trudnili wychowaniem naszej córeczki, która będzie tak piękną jak ty, moje kochanie. A może BÓG nas pobłogosławi i dalszem potomstwem; nieprawda, moja Zosiu? — a tym pocieszającym wyrazom nowych pieszczot przydawał.

— Ludwiku — odrzekła Zosia, przytulając głowę męża do łona swojego i gładząc rączką pulchną i drobną jego policzki — kocham ciebie, ty wiesz o tem, więc wszystko, co zechcesz, zdołasz we mnie wmówić; ale muszę ci wypowiedzieć to, co mię wszelkiej spokojności pozbawia, co jest przyczyną łez, które często wylewam. Ludwiku, ty nie jesteś pobożnym, nawet nie wiem czy w BOGA wierzysz...

— Ja, moja luba? skądże tak źle o mnie trzymasz? Ja nie miałbym czcić tego BOGA, który

mnie tobą obdarzył? Czyż widziałaś kiedy, żebym był niewdzięcznym?

— Nie, Ludwiku, ale nigdy nie widziałam, żebyś słuchał mszy świętej, nigdy nie widziałam ciebie modlącego się; i jakże o moją przyszłość nie mam być w obawie?

— Mylisz się, moje kochanie. Ja czczę BOGA i często ku niemu wznoszę myśli moje. Cześć BOGA podniesieniem ducha, oto jest rzeczywistość wiary, a obrzędy są to tylko poważne formy, które stosownie do czasu i miejsca się utwarzają. Cześć BOGA nienaruszenie od początków istnienia rodu ludzkiego się zachowuje, a wyznania religijne ciągle się przekształcają. Turczyn obrócony do wschodu, kiedy powtarza, że niema BOGA nad BOGA, a Mahomet jest jego prorokiem; lub mieszkaniec brzegów Gangesu, pobożnie umierający trzymając się krowy ogona, taką samą cześć oddaje Najwyższej Istocie, jak ty, moja droga, klęcząc przed wielkim ołtarzem; bo BÓG jest celem, a wyznania i obrządki są to środki, by do niego trafić. Mało jest takich, co się umieją jednoczyć z BOGIEM, czcząc go w nim samym. Ludzie go szukają w jakichś kształtach, bo jest twórcą wszystkich kształtów i w nich się objawia. Jedni go widzą w słońcu i w gwiazdach, drudzy w poziomych stworzeniach, inni w samym człowieku; i każdy ma słuszność, bo każde stworzenie jest jego objawieniem. Ja BOGA czczę w tobie, moja Zofjo, bo ty jesteś najnadobniejszy twór natury, a natura jest jego pierworodną córą. Czy wiesz o tem, że kiedy się unoszę nad twojemi wdzię-

kami, kiedy się niemi napawam, to samo jest modlitwą może najmilszą dla BOGA?

— Ach, Ludwiku! nie uwierzysz jaką mnie boleść zadajesz, kiedy tak mówisz; ty się ułudzasz swoim rozumem. Nie umiem ci okazać, co jest błędnego w twojem rozumowaniu, ale od niego dreszcz mię przeszywa; czuję, że każde słowo twoje jest grzechem.

— Nie, mój aniele, jestem zupełnie czysty na sumieniu. Chociaż mię nigdy nie widziałaś modlącego się po twojemu, powiedz, czy najmniejszem szyderstwem usiłowałem kiedykolwiek odwracać ciebie od twoich obyczajów religijnych? Szanuję każdą formę przyjętą od narodu dla wyrażenia jego najszlachetniejszego uczucia, to jest czci, wdzięczności i ufności dla Stwórcy[1]). Żeby w tej sferze, w której teraz żyję, mężczyźni oddawali się pospołu z kobietami tym samym obrzędom narodowym, bądź pewna, żebym ich prześcigał nawet w tej ich mniemanej pobożności. Ale teraz byłoby to z mojej strony dziwactwem; nawet biskupi

[1]) Niczego tu nie mówi Ludwik, czegoby mnóstwo książek ogłoszonych w wieku XVIII nie powtarzało. Uważanie praw normalnych i obrzędów religijnych za wyroby klimatów, było cechą ówczesnej filozofji. Chrystjanizm lub mahometyzm wedle niej, były arbitralnym wymysłem ludzkim, jak kapelusze i zawoje. Biedni ludzie pojąć nie umieli, że niema nic arbitralnego na świecie, że nawet odzieże narodów odnoszą się do jakichś głębokich przyczyn moralnych, tak dalece, że odmiana stroju zawsze jest poprzedzoną jakąś odmianą w obyczajach.

dworscy nie uwierzyliby, że to z przekonania pochodzi. W całem mieście obwołanoby mnie za hipokrytę, a co najmniej ogłoszonoby, że usiłuję przypodobać się jakiej pięknej i młodej dewotce. Lecz daję ci słowo, że jak osiądziem na wsi, będę we wszystkiem stosował się do obyczajów tych, z którymi żyć będę; zostanę promotorem różańca, syndykiem bernardynów i żadnego odpustu nie zaniedbam.

— Ty to wszystko, co dla nas jest świętem, w szyderstwo obracasz.

— Daję ci słowo, że nie. Kto żyje w społeczeństwie, a jego praktyk religijnych, o ile jest w niem, nie podziela, ten jest godzien jeżeli niewzgardy, to przynajmniej politowania. Zawsze starać się będę stosować we wszystkiem do obyczajów tych, z którymi żyć mi wypadnie. Jeżeli płytkie umysły odróżniają się od wszystkich powierzchownością, to tylko dlatego, że niczem innem odznaczyć się nie są zdolne[1]).

---

[1]) Jest to rzecz tak pewna, że jeżeli kto urodzony i wychowany w jakiem społeczeństwie, a żyjąc pośród niego, usiłuje odróżnić się od innych w ubiorze, w poruszeniach, w zasadach, można iść o zakład, że taki musi być człowiekiem nikczemnym, albo przynajmniej kolosalnie głupim. Oryginalność samorzutna jest cechą wysokiego dowcipu, bo dowcip nie umie prowadzić siebie rozwagą; taka oryginalność nawet w dziwactwach swoich nie jest bez wielkich powabów. Ale oryginalność przybrana, szukająca efektów, jest ckliwą, dręczącą, bo jest wyrażeniem głupstwa. To samo bardzo wyraźnie w literaturze widzieć się daje.

— Ludwiku, przestań! z tobą się sprzeczać nie myślę, ale w ciągłej jestem obawie. Mężu drogi, nie wiem dlaczego mi się zdaje, że BÓG na ciebie się gniewa. Jeżeli moja spokojność jest ci drogą, daj mi słowo, że to spełnisz, o co poproszę.

— Dobrze, aniele mój drogi! Mów, za szczęście poczytuję, ile razy mogę być sprawcą choćby najmniejszej twojej przyjemności.

Tu Zosia wyskoczyła z objęcia Ludwika do swojego pokoju, i wkrótce powróciła, trzymając obrazek Najświętszej Panny Ostrobramskiej na blasze srebrnej malowany, a wiszący na łańcuszku złotym i rzekła: — Mężu kochany, widzisz ten obrazek; matka odumierając mnie dziecięciem, dała mi go pod błogosławieństwem; proszę cię, weź go na szyję, niech twoje piersi zasłania. Będę spokojniejszą, jeżeli mnie zapewnisz, że go nie zrzucisz z siebie.

— Dobrze, moje kochanie, byleś tylko była spokojną. Rozkaz od ciebie dany jest dla mnie najświętszem prawem; przyrzekam ci, że jak go włożysz na mnie, chyba go sama zdejmiesz. Daję ci na to słowo szlacheckie.

Zosia włożyła obrazek na szyję męża i sama się zawiesiła na tej szyi: — Mężu drogi — odezwała się — jeszcze o jedną rzecz prosić ciebie będę: tak jestem niespokojna, tak skołatana przeczuciami, że musisz być ciągle dziś ze mną. Jutro naprzykrzać się nie będę, ale dziś nie odstępuj mnie; wierzaj mi, Ludwiku, ta moja niespokojność jest głosem Bożym, ostrzegającym, że jakieś niebezpieczeństwo nad nami wisi. Ludwiku, prawda,

że nie będziesz tyle okrutny, byś mnie miał samą zostawić z myślami mojemi? prawda, że do jutra będziesz wyłącznie moim? że chociażby król po ciebie przysłał, ty każesz powiedzieć, żeś chory i mnie nie opuścisz?

— Dobrze, moje kochanie. Tyś dla mnie droższa od sławy, od wszystkich marzeń dumy; cały ten dzień będzie tobie poświęcony. Dzisiejszego poranku razem pojedziemy saneczkami do Ujazdowskich koszar, żeby obejrzeć moją chorągiew. Dziś z nami obiaduje twoja kuzynka, ona jest uszczęśliwiona, bo jej Gintowt przecie na dygnitarza postąpił. Dał sto tysięcy Strutyńskiemu za złożenie cześnikostwa litewskiego, a król jemu ten urząd wczoraj konferował. Dziś miał nasz Gintowt na wieś wyjechać, a żonę swoją oddał w opiekę księciu Waraginowi, który zapewne z nową cześnikową do nas przyjedzie.

— Ach, mój Ludwiku, nie uwierzysz jak mi przykro, że mnie każesz zachowywać stosunki przyjaźni z moją kuzynką. Ja mam słabość do niej, ale ona jest tak lekkomyślna, tak wolna w postępowaniu, że wyrzucam sobie, iż żyjąc z nią w przyjaźni, upoważniam niejako jej postępki.

— Mój aniele drogi, ty cnotami równie jak pięknością nad wszystkich się unosisz. Cześnikowa idzie torem powszechnym; jeżeli dziś romansuje z Waraginem, mąż jej to pobłaża, bo na tem sam najlepiej wychodzi. Wszakże Waragin mu dał pieniądze na nabycie dygnitarji, a cześnikowa księciu to wynagradza. U króla wczoraj o tem mówiono, i nietylko że Gintowt na sławie

nie cierpi, ale wszyscy mu przyznają, że wiele taktu pokazał. Gintowt, jego żona i Waragin są z siebie bardzo kontenci; inni im szczęścia zazdroszczą; co nam być bocianami, by świat czyścić? A że ja Gintowtowej dłużny jestem szczęścia mojego, bo bez niej nigdybyś nie była moją żoną, na wszystko co zrobi zawsze będę mrużył oczy, bo niewdzięcznym być nie umiem.

— Ludwiku miły, ach kiedyż my tę obrzydłą stolicę opuścimy?...

— Jeszcze ci powtarzam, że po zwołaniu sejmu już tylko dla siebie żyć będziemy. Dziś więc zupełnie jestem twoim, o krok cię nie odstąpię; jak obaczą nasz pałac oświeconym, zapewne że do nas zawitają. Rób domu honory wedle twego zwyczaju wesoło i uprzejmie, bo ja chcę, żeby wszyscy wiedzieli że jestem szczęśliwy.

Zofja znowu rzuciła się w jego objęcia i nowemi pieszczoty wyraziła wdzięczność za powolność męża. Wyrwała się raptownie z jego uścisków, zniknęła, ale po chwilach kilku wróciła, córeczkę przynosząc mężowi. Czuły ojciec wziął na ręce swoje nadobne dziecię i kołysał je, i z niem igrał i cieszył się niedojrzałemi słowy, które wychodziły z usteczek tego lubego zakładu wspólnej miłości. I ojciec i matka płakali z radości; jakże szczęśliwymi się czuli!

Zosia się ubrała, żeby towarzyszyć Ludwikowi, który przywdział mundur kawalerji narodowej, tak zdobiący jego rycerską piękność; sam żonę powoził, a lokaj w bogatej delji stał za saniami.

Przybywszy do koszar, starosta oddał lice lokajowi, a sam lekko wyskoczywszy, wziął żonę w obie ręce i postawił ją na ziemię.

Towarzystwo chorągwi wybiegło przyjmować swego wodza, a na widok jego żony powstał szmer uwielbienia. Chcąc się przychlebić towarzyszom broni, starosta sprawił był żonie szubkę granatową z obszernym spadającym kołnierzem amarantowym, wszystko z aksamitu sobolem podszytego. Zosia miała ją na sobie, kiedy ją starosta żołnierzom przedstawił. Wszyscy kochali swojego dowódcę, bo on umiał do ich serc trafiać i bez trudności karność i dobry porządek między nimi zaprowadził; nawet nie potrzebował być surowym, bo nad wszelkie kary bali się go zasmucić. Pierwszy raz żonę swoją im przedstawił i tem doreszty ich zawojował.

Kiedy wszedł z nią do stajni, żeby zrobić przegląd koni, stary chorąży powiedział staroście: — Panie generale, woli pan do nas sam przybywać, bo mnie potrzeba panu konie pokazywać, a niesposób oczu odwrócić od pani generałowej.

Zosia zarumieniwszy się oczy spuściła, i kwefem twarz swoją zakryła, z wielkim żalem i chorążego i wszystkich wojaków.

Starosta rzucił na wszystko okiem doświadczonego znawcy. Oświadczył chorążemu zadowolenie swoje i zalecił mu, żeby połowa chorągwi zawsze była w pogotowiu do siadania na koń, na każde zawołanie, gdyż żyjąc w czasie niespokojnym, co chwila mogą być powołani.

Na znak, że rad był z tego co widział, starosta dla towarzystwa chorągwi dał asygnację do swojej piwnicy na sześćdziesiąt butelek wina i powrócił z żoną do siebie, zabawiwszy w koszarach więcej godziny, a cała chorągiew uradowana pożegnała go okrzykami: — Niech żyje nasz dobry generał! niech żyje nasza piękna generałowa!

XIII.

Wieczór na wielkim świecie.

Starosta wieluński dom swój utrzymywał na wysokiej stopie, stosownie do szerokich intrat swoich. Bo chociaż ożeniwszy się musiał rezygnować komandorję poznańską, zachował starostwo swoje, i nadto, jako naczelnik gabinetu królewskiego pobierał trzysta czerwonych złotych na miesiąc; przydawszy do tego znaczną ojcowiznę, i znaczniejszy jeszcze posag żony, przychodami swemi mógł się mieścić między możniejszymi panami stolicy, tem więcej, że starościna, trudniąc się i majątkiem i wydatkami domowemi, rządnością swoją o kilka razy nasob powiększała mężowskie dostatki. Zresztą bilard i hazardowne gry były dla starosty źródłem niewyczerpanem, wystarczającem na wszystkie jego zbytkowe wydatki, gdyż chociaż grał uczciwie, i był, jak to Francuzi mówią: un beau joueur (gracz wspaniały), umiał być ograniczonym w przegranej, a w zwycięskich chwilach korzystał z przechodniego szczęścia[1]).

[1]) Niema prawideł pewnych do zniewolenia trafu w grach zupełnie hazardownych; jednak jest rzecz niezawodna, że w nich są chwile nieszczęścia, a znowu

Dom jego był otwarty, obiady i wieczory częste. Powszechnie mówiono w Warszawie, że ma najlepszego kucharza, że nigdzie pałac z podobnym smakiem nie jest ubrany, że żadna dama, ani gustownością ubioru, ani tak drogiemi klejnoty, ani pięknością, ani robieniem honorów domu sprostać nie może starościnie; a ten odgłos wielce pochlebiał miłości własnej starosty. Wiadome było całej stolicy przywiązanie starościny do męża; a lubo w świecie zepsutym wierność i dobre pożycie małżeńskie były przedmiotem szyderstwa więcej, niż szacunku, starosta był tak modnym i odważnym, żona jego tak piękną i słynną, dom ich tak bogaty i miły, że żadne szyderstwo ich dosięgnąć nie mogło. Jeżeli jaki mężczyzna odezwał się przeciwko nim z uszczypliwością, to chyba cichaczem, bo każdy bał się im narazić, a owszem skarbił sobie przystęp do przyjemnego domu. Damy, to co innego: one nie oszczędzały Zosi w rozmowach swoich; nie mogąc jej przebaczyć właśnie tego, co jej jednało uwielbienie mężczyzn, a nadewszystko, że przywiązana do męża i obowiązków swoich, na te oznaki uwielbienia była obojętną. Napróżno usiłowały z początku rzucić ją na tor im zwyczajny, wmawiając jej, że te małżeńskie serdeczności są

---

chwile przyjazne. Jeżeli gracz nie zapędza się w nieszczęściu, i nie żałuje miernej przegranej, a w chwilach pomyślności nie skąpi wygranych kwot, a do tego ma znaczny zasób pieniężny, można pójść o zakład, że takowego gracza w danym czasie gra niezawodnie zbogaci, — rozumie się, jeżeli ci, z którymi puszcza się na wyścigi losu, nie pomagają sobie do szczęścia.

śmiesznością wiejską, że kobieta wielkiego świata bez amanta, jest bożyszczem bez kapłana. Zosia, wyższa od nich nietylko wdziękami, ale i rozumem, w żart obracała ich rady z taką godnością, że i to przydawało jeszcze coś do ich niechęci, tak iż miała zaszczyt powszechnie być nienawidzianą od całej prawie białej płci dworu. Lubo czuła wzgardę do tych wszystkich uprzywilejowanych jawnogrzesznic, przez położenie swoje towarzyskie musiała żyć z niemi, i uprzejmie je przyjmować; one cisnęły się do niej, oświadczając jej przyjaźń i uwielbienie z dworską szczerością. Zosia żyła z niemi powierzchownie w dobrych stosunkach, ale umiała unikać ścisłej zażyłości, z tym taktem wielkiego świata, jakiego, że tak powiem, instynktownie nabyła.

Z pomiędzy kobiet tego rodzaju, jedną tylko niegdyś kasztelanowę inflancką, a teraz cześnikowę litewską od dawnych stosunków nie odpychała, chociaż często na nią się gniewała. Raz, że ona była jej cioteczno-rodzoną siostrą; powtóre, że z narażeniem własnego bezpieczeństwa była główną sprężyną jej połączenia z Ludwikiem. Ubolewała nad gorszącem życiem cześnikowej, nad jej pochopem do poświęcenia wszystkich obowiązków dla pierwszego pociągu, co go doświadczała, i skoro tylko go doświadczała, — ale miała dla niej słabość przyjaciółki. Starała się ją nawracać na gościniec cnoty, kołatała do jej duszy wyrazami religji: cześnikowa słuchała ją ze łzami, ręce jej całowała, przyrzekała zupełną poprawę, a po tych chwilowych skruszeniach wracała do swego. Nie

można było nie lubić cześnikowej. — Jeden dworski filozof francuski[1]) w swoich maksymach twierdzi, że: najmniejsza przywara kobiety łatwej, jest, że jest łatwą. Bez wątpienia, do rozwiązłości kobiety łączy się taka zawiść do innych kobiet, taka przepaścistość intryg, taka nienawiść sataniczna do wszystkiego co jest cnotliwem, taka obojętność dla własnych dzieci, że w samej rzeczy, sama rozwiązłość staje się najmniejszą jej wadą. — Ale o cześnikowej tego powiedzieć nie można było: ona była rozwiązłą i nic więcej. Oprócz tej słabości była najlepszą kobietą: dobra przyjaciółka, dobra pani, miłosierna, uraz niepamiętna, pełna czci dla cnót, których sama nie posiadała, delikatna w postępkach; była wedle wyrazów głośnej Ninon de Lenclos, najpoczciwszym mężczyzną w płci niewieściej. Do tego tak szczerze była przywiązaną do Zosi; tak wielbiła jej cnoty, że gdyby kto w jej przytomności poważył się zadrasnąć Zosię nieobacznem słówkiem, gotowaby oczy mu wydrzeć. Przez tę łatwość charakteru, przez ten brak zupełny zastanowienia, na usilne prośby księcia podkomorzego raz przemówiła za nim do kuzynki, ale raz tylko; bo Zosia tak się na nią oburzyła, że omal z nią nie zerwała na zawsze, aż klęcząc i nogi Zosi całując, ledwo przebaczenie otrzymała.

Ale wyjąwszy cześnikowę, jeżeli inne szarmantki dworu od ścisłej zażyłości odpychała, starościna zato umiała sobie skarbić przychylność

[1]) La Rochefoucauld.

tych poważnych weteranek, które przeszły dojrzałość wieku, żadnym szwankiem nie skaziwszy sumienia chrześcijańskiej damy. Ona była ulubionem dzieckiem tych godnych matron, które u niej znajdowały uszanowanie i powolność, jakich od własnych córek niezawsze doświadczały. Między temi matronami zaszczycającemi Zosię poufałością była pani Kossakowska, kasztelanowa kamieńska, Potocka z domu, pani obyczajów staropolskich, której noga nigdy nie postała u żadnej damy gorszącego życia, a która cierpkich i dowcipnych prawd nikomu, nawet samemu królowi nie szczędziła. Przyjaźń pani kasztelanowej kamieńskiej dla Zosi wielce pochlebiała miłości własnej jej męża, bo ta dama wielkiej pobożności i najrzadszych cnót była arystokracją wcieloną; cała duma rodu Potockich w każdem jej poruszeniu się wyrażała[1]), tak dalece, że tylko u równych sobie urodzeniem bywała, a tej równości mało komu przyznawała. Księżna Jabłonowska, wojewodzi-

[1]) Ród Potockich, szczególnie w linji hetmańskiej, zachował wszystkie tradycje możnowładztwa, bez najmniejszej koncesji. Stąd między tylu domami równemi jemu w świetności, on jeden przedstawia dawną naszą arystokrację, on jeden posiada duch familijny. Stąd chociaż jest ze wszystkich domów magnackich najwięcej rozrodzony, wszakże posiada największe dostatki w kraju. Zarzucają temu domowi wyniosłość, lecz jakiż inny ma większe do tego prawa? Mniej więcej wszystkie nasze domy magnackie poniżyły się przez demokrację, ród Potockich jeden stoi nieugięty. Nie można nie widzieć, że gotuje się reakcja przeciwko nowym wyobrażeniom, że zaczynają czcić to,

na nowogródzka[1]) mawiała dowcipnie: Wizyta mojej kuzynki pani kamieńskiej, jest to kanonja liońska; żeby ją otrzymać, trzeba złożyć trzydzieści dwa herby. — Jednak ona często bywała w domu starosty, żeby, jak mawiała, nacieszyć się jego żoną; zaszczyt, którego mu w duchu zazdrościli ci szczególnie, co głośno z tego żartowali.

Kiedy starosta przywiózł żonę do siebie, wielce się ucieszył, znajdując list do niej od pani kamieńskiej, oznajmujący, iż się zaprasza do nich na obiad. Tego dnia oczekiwał kilku gości, nie licząc pani cześnikowej litewskiej, którą uważał za domową; a po obiedzie cały pałac miał być oświecony, żeby każdy wiedział, że przyjmuje.

Gospodarstwo po ukończeniu toalety przyszli do salonu. Zosia weszła w sukni z błękitnego aksamitu, ogarnirowanej koronką brukselską. Była bez pudru, ale gęste i liczne kosy swoje czarne złączyła szpilką wenecką wielkości sztyletu, w kształcie złotej strzały, ozdobionej bogatemi turkusami. Błękitne trzewiczki zaciskały jej drobną stopkę, a najbogatszą jej ozdobą było kolje z trzech sznurków pereł wielkości wielko-grochu, ale tak równych, tak nadzwyczajnej wody, że mogły rozpacz wzniecać w sercu wszystkich szarmantek. Ledwo kilka tygodni upłynęło, jak Zosia została ich właścicielką: hrabina Mycielska, owa niegdyś pani de Vermont, przysłała jej te perły na

co dotąd potępiano: jak się ta reakcja zrobi widoczniejszą, dopiero oddadzą sprawiedliwość temu domowi.

[1]) Żona jednego ze świetlejszych panów owego czasu. Ludwik XV zaszczycił go orderem św. Ducha.

pamiątkę. Lubo te bratowe z sobą nie znały się osobiście, były w ciągłej korespondencji; co miesiąc dwa razy do siebie pisywały. Zosia na usilne prośby bratowej posłała jej była swój portret pendzla Bacciarellego, a hrabina, oświadczając jej wdzięczność, w liście swoim między innemi napisała — „Twój obraz, kochana siostro, teraz ściąga do mnie cały Wersal. Każdy mówi, że to być nie może, by taka piękność była tworem natury, że to musi być wymysł genjuszu malarskiego. Ja wszystkich świętych wzywam na świadectwo, że jesteś jeszcze piękniejsza, a na dowód tego składam list twojego męża do mojego Bertranda. Wielu tutejszych dworzan wybiera się do Warszawy, jedynie, żeby Ciebie oglądać; ja ich do tego zachęcam, żeby nie uchodzić za kłamczynię. Posyłam tobie mój nawzajem, także bardzo podobny; obaczysz, że chociaż z tobą równać się nie mogę, jednak jestem nieszpetne boskie stworzenie. Dołączam do niego trzy sznurki pereł wcale pięknych; zrób im ten zaszczyt, nosić je czasem na twojej białej szyi, żeby ci przypominały przywiązaną siostrę. Muszę się znać na tych rzeczach, bo mam dobra w kraju pereł i brylantów, a powiem ci: żadne perły i brylanty sprostać nie mogą rysom twojej twarzy.“ — Starosta, wygrawszy na słowo dwa tysiące czerwonych złotych u podskarbica wielkiego koronnego, kontentował się za nie szpinką z dużego szafiru, okrążonego brylantami, która niegdyś służyła podskarbiemu, i tę szpinkę kazał przerobić na fermuar do tych pereł. Starościna przed tygodniem pierwszy raz pokazała

się w tych perłach u króla, i one tak wszystkich zadziwiły, że niektóre szarmantki głosić zaczęły, że nie są prawdziwe.

Pierwsi goście, którzy się zjawili, byli pani cześnikowa litewska i książę Waragin, jej adorator deklarowany. Książę, po odbyciu etykietalnych przywitań z panią starościną, z układem pana, wezwyczajonego do grzeczności wielkiego świata, oddalił się z starostą do okna, i jemu, jako zażyłemu przyjacielowi, zaczął robić różne zwierzenia. A obie damy na sofie usiadłszy, między sobą rozmawiały.

— Siostrzyczko droga — zaczęła cześnikowa — naucz nas ubierać się. Nikt ciebie nie spotyka u Diurenelowej[1]), nigdy nie mówisz o toalecie, nie naradzasz się z panią Lullier, zdajesz się nie zajmować twojem ubraniem, a zawsze taki ubior dobierzesz sobie, że zdaje się, iż jakaś wróżka dotyka się ciebie swoją czarodziejską laską. Co za smak w ubraniu głowy! ani pudru, ani różu nie masz! którażby z nas na to się odważyła? Co za piękność twojej sukni! jakże te koronki odbijają jej błękit! prawdziwie, my przy tobie wyglądamy jak koczkodany. Ale jak się cieszę, że te sławne perły masz na sobie — o niczem innem nie rozprawiają w Warszawie; już niektóre twoje przyjaciółki zaczynają głosić, że to jest imitacja. Czy wiesz, że krajczyna, której perły swojemi zdetronizowałaś, ma być dziś u ciebie na wieczór;

[1]) Pani Durenel, sławna modniarka w Warszawie, w początkach panowania Stanisława Augusta.

chce niby porównać swoje perły z twojemi, a w rzeczy samej chce cię upokorzyć. Miarkuj, że pochlebnice jej wmówiły, że twoje perły fałszywe, i myśli, że jej się uda ciebie zawstydzić. — Powiedz mi, jak wam może na wszystko wystarczać?

— Rachuję się jak mogę z mojemi przychodami.

— Ale kiedy bo cudów dokazujesz — dom otwarty, ekwipaż nad jaki piękniejszego nie widać, bogata wykwintność w ubiorach, a seciny ubogich z łaski twojej żyją. Prawda, że wy bogaci, ale bogatsi od was się rujnują, nie żyjąc tak okazale, a o was nie słychać, byście grosz długu kiedykolwiek zrobili.

— Wierz mi, moja siostrzyczko, że u nas niema nic szczególnego; jest przyzwoitość, rządność i nic więcej. Za każdą rzecz gotówką płacąc, o trzecią część przynajmniej nabywamy ją taniej.

— Ty bo do wszystkiego jesteś zdolna, moja Zosiu, dlategoś też i szczęśliwa; co do mnie, tego o sobie powiedzieć nie mogę. Nieszczególnie żyję; zdaje się, że na siebie niewiele ekspensuję; mówią, że moje dobra to złote jabłko, a jednak grosz spotkać się z groszem nie może. Ja i Albert świecę z dwóch końców zdajemy się palić, aż rozpacz mnie czasem bierze. Miarkuj, Zosiu, że niema tygodnia, jak sam król naraił nam nabycie cześnikostwa litewskiego: to nam los stanowiło, ale trzeba było odliczyć trzy tysiące czerwonych złotych, a ja ostatnie pięć dukatów oddałam na

jeńców barskich, których tu ranionych przywieźli. Żeby książę Waragin nie był pospieszył na nasz ratunek, cała robotaby się rozbiła; a do ciebie nie śmiałam się udać. I tak więcej roku, jak tobie jestem dłużna kilkaset czerwonych złotych, a nie jestem w możności uiszczenia się. Wczoraj wyprawiłam Alberta na Litwę, i powiedziałam mu: — przedaj, zastaw, zerwij skąd możesz, a bez pieniędzy nie pokazuj się przede mną. — Jak powróci, z wami wszystkimi porozpłacam się. Nie uwierzysz, jak my się u kupców zadłużyli.

— O moim długu zapomnij, ale zmiłuj się zwróć księciu Waraginowi pieniądze, które wam pożyczył. Wszak wiesz, że głośno mówią, że on jest twoim amantem.

— Ach, moja Zosiu, co gorzej, to że mówią prawdę.

— Jakże u ciebie pstro w głowie, siostrzyczko! I poco ty mnie to mówisz? Wszak takich spowiedzi słuchać nie powinnam.

— Moja Zosiu, ty jesteś wyłącznością w naszej płci, ty się umiesz opierać wszystkim pokusom. Nie uwierzysz, jak nam jest niepodobna być srogą, kiedy ten co prosi o nasze względy już naszą skłonność umiał pozyskać. Żebyś wiedziała, jak mój książę mnie kocha, jak umie kochać....

— Proszę cię, poprzestań takich zwierzeń; wolisz o czem innem mówić ze mną, bo ja słuchać tego nie chcę.

— Przepraszam ciebie, droga siostrzyczko. Ja sama czuję, że jestem szalona. Ale to powinno zjednać twoje przebaczenie, gdyż ciebie kocham

nad życie, gdyż dla ciebie bez wahania w ogień-bym skoczyła. Chociaż czuję, że nie jestem godna twojej przyjaźni, bądź łagodną dla mnie. — Któż u ciebie będzie na obiedzie?

— Będzie księżna Radziwiłłowa, kasztelanowa wileńska.

— Ach, nieoszacowana kobieta! Wiesz, że dowodzi wspaniałomyślności, ilekroć bywa u ciebie.

— A cóż ja jej przewiniłam?

— A wszakże książę podkomorzy ją porzucił dla ciebie.

— To prawdziwie pomimo mojej woli. Nie uwierzysz, jak ten człowiek mi się naprzykrza. Muszę go przyjmować w moim domu, a to jest jeden z krzyżów moich.

— Ach okrutnico, wierz mi, że to jest człowiek z sercem.

— O tem jestem przekonana, ale pocóż jest takim natrętem? Ciągle robi mi oświadczenia uczuć jakichś swoich, bez względu, że mam męża, którego kocham, i sławę, która mi jest nad życie droższą. Wczoraj u pani opeskiej zostałam przymuszoną mu powiedzieć, że jeżeli raz jeszcze odważy się mówić do mnie o rzeczach, których mi słuchać się nie godzi, pomimo jego wysokiej godności zawsze zastanie dla siebie drzwi mojego apartamentu zamknięte; a jeżeli go spotkam w cudzym domu, będę od niego stronić, jak od zapowietrzonego. Mówiłam mu to z takim zapałem, że wszyscy mogli to słyszeć.

— A on co na to?

— Siadł w milczeniu, i jak mi potem mówiono, płakał; ale przyznam ci się, że na niego nie patrzałam, tak mnie rozgniewał.

— Biedny książę.

— Proszę ciebie, siostrzyczko, nie mów mnie nigdy o nim. Będziesz widzieć u mnie pana Trembeckiego, poetę, jak wiesz w wielkich względach u króla, hrabiego Henryka Dorszpinga, twojego wielkiego przyjaciela.

— I ja wzajemnie wielką mam przyjaźń dla niego. C'est un causeur fort agréable[1]). Roku przeszłego podobało mu się ogłosić siebie

---

[1]) Jest to człowiek, który gawędzi przyjemnie. La causerie — gawęda, zupełnie w naszych czasach upadła. Dawniej na prowincji szlachta, biesiadując rozprawiała najczęściej o prawnych interesach; rozmowa ta była nietylko przyjemną, ale nauczającą, i jej się przysłuchując, młodzież kończyła obywatelskie wychowanie. Na wyższym świecie gawęda była lekka, dowcipna, pełna wdzięku. Dziś tak się zatarły podania dowcipu towarzyskiego, że niema licznego towarzystwa, któreby nie było nacechowane jawnem znudzeniem tych, co jeszcze jakąś wewnętrzną wartość mają. Rozmowy parafjańskie są dziś trywjalne, a często sprośne, a ludzie wyższego ukształcenia, jak z trojnoga perorują lub rozprawiają o filozofji, polityce, zadaniach socjalnych, bez innego zasobu, oprócz ogromnej lektury broszurek perjodycznych francuskich i handbuchów niemieckich. Są u nas ludzie, dla których rozprawy o rzeczach uczonych stały się niezbędną potrzebą: ci ludzie kapitału umysłowego zebrać nie mogą, bo przychody swoje trwonią w drobnej monecie. Oni to zdołali sprawić, że wyższe towarzystwo u nas zostało do niezniesienia nudne.

moim adoratorem, wszakże wkrótce to mu z głowy wywietrzało. Ale odkąd książę generał Ziem Podolskich wyjechał do Francji na dwa lata, znacznie się odmienił humor hrabiego. Wiesz, że majątek swój ojczysty przeszastał w Paryżu, że mało co mu z niego należy; lecz książę generał, protektor nauk i podupadłych ludzi wyższego urodzenia, wspiera go ze wspaniałością, a nasz hrabia umie być wdzięcznym. Że książę generał z żoną wyjechali, tak za nimi tęskni, iż się wszyscy z niego budujemy. Na instancją księcia, król mu obiecał starostwo, którego doczekać się nie może. Wszak wiesz, Zosiu, że król rujnuje się w obietnicach.

— Będzie stolnikowicz wielki koronny.

— O, ten powinien mieć u ciebie wielką łaskę, bo bardzo dobry chłopiec, a do tego kocha się po bożemu w księżniczce starościance bolimowskiej, i temi dniami od rodziców miał otrzymać obietnicę jej ręki.

— Ach, jakże mnie to cieszy, bo między młodzieżą, która bywa w naszym domu, on się odznacza rozsądkiem i skromnością. Jest pełen grzeczności dla dam, ale grzeczności z uszanowaniem; do tego pełen wiadomości. Będzie szczęśliwym z żoną, bo księżniczka bardzo dobrze wychowana.

— I nawet byłaby wcale nieszpetną, gdyby się lepiej ubierała. Mówią o niej, że bardzo ciasno ma w głowie. Przeszłej zimy, kiedy pierwszy raz pokazała się u dworu, król jej zrobił kilka zapytań zwyczajnych, na które odpowiedziała naopak. Widać było, że recytowała lekcją, ale że pytania nie były w takim porządku, jak się spodziewała,

więc możesz miarkować, jakie śmieszne quid-pro-quo musiały się robić.

— A czy to słyszałaś sama?

— Nie, moja Zosiu, ale wszyscy o tem mnie upewniali.

— Widzisz, jakaś skora do uwierzenia plotkom złośliwym; ja wtedy stałam przy niej, i zaręczam tobie, że bardzo roztropnie rozmawiała z królem. Nic dziwnego, że panienkę skromną i bogatą biorą na języki. Ale zapominam o najważniejszym gościu: kasztelanowa kamieńska będzie u nas na obiedzie; widzisz jaką u niej mam łaskę. Przyznam się tobie, że nie posiadam się z radości.

— A ja wcale nie; ja jej się tak boję, że gdybym przeczuła była, że u ciebie z nią mogę się spotkać, nie byłabym tu przyjechała.

Wtem weszli p. stolnikowicz koronny z p. Trembeckim, a za nimi hrabia Dorszping, potem księżna kasztelanowa wileńska, a nakoniec pani kasztelanowa kamieńska. Pani starościna tę ostatnią z uszanowaniem pocałowała w rękę, a kasztelanowa ją w oba policzki, i obróciwszy się do starosty, rzekła:

— Wpan musisz mieć u BOGA jakieś wielkie zasługi, że ci dał takiego anioła na żonę; jeno pilnuj się naszych elegantek, żeby ci jej nie popsuły. — Starosta się skłonił i odrzekł:

— Jeżeliby kto mógł popsuć moją żonę, to chyba pani kasztelanowa dobrodzika — zawsze na nią tak łaskawa, że ją i za oczami i w oczy chwalisz. Ale ona nie jest niewdzięczną; pewnie, żeby miała jeszcze matkę, więcejby jej nie kochała.

Jak się dowiedziała, że pani tego roku w Warszawie zimować będziesz, myślałem, że w głowę zajdzie z radości.

— Co? — odezwała się księżna kasztelanowa wileńska — pani z nami zimuje? Jakże Warszawa szczęśliwa, że pani, tak dla niej niechętna, nakoniec się z nią pogodziłaś.

— Nie, mościa księżno, — odpowiedziała pani kamieńska; — ja zawsze jedno mówię o Warszawie. Za króla Sasa ona była rajem, a dziś jest piekłem, obrazą Pana BOGA. Onegdaj król okazał mnie zadziwienie swoje, że w niej zimuję, a mój powrót na Podole do przyszłej, da BÓG, wiosny odkładam. Ale ja królowi odpowiedziałam: — Miłościwy Panie, już czwarty rok nie mamy sejmu; brzemienność Rzeczypospolitej nad porę się przedłuża, żeby czasem nie urodziła jakiego potworu. Ja tu osiadam jak zwyczajnie baba przy położnicy. — Tu wszedł marszałek dworu pana starosty z oznajmieniem, że dano do stołu.

Pan starosta był nieco ambarasowany, kogo prowadzić do stołu, czy księżnę kasztelanowę, czy kasztelanowę kamieńską. Za pierwszą mówiły i urodzenie i wysokie krzesło mężowskie, za drugą wiek i urodzenie własne; ale księżna kasztelanowa, kobieta pełna taktu, z kłopotu wyprowadziła starostę. Powiedziała z uśmiechem pełnym wdzięku: — Mój starosto, przyznaj się, że nie wiesz, której z nas dać pierwszeństwo. Obejdziemy się bez gospodarza; możeby się omylił i mnie przed panią kasztelanową poprowadził, a ja całe życie

sobiebym nie odpuściła, gdyby Potocka z domu za mną iść miała: to pani, a ja wiem, że urodziłam się w szlacheckim domu. Pani kasztelanowa pozwoli, bym ją zaprowadziła do stołu. — Tym krokiem ułagodziła dumną staruszkę, i obiedwie damy, podawszy sobie ręce, przodkowały innym do sali. Starosta prowadził cześnikowę litewską, starościna podała rękę księciu Waraginowi, a pozostali kawalerowie już bez żadnych ceremonij za nimi poszli do stołu. Po pierwszem daniu przyniesiono świece jarzące i rozmowa zaczęła się ożywiać. Mówiono o ostatnim balu księżny Sapieżyny, wojewodzicowej smoleńskiej, na którym dziesięć tuzinów par poszło w taniec; o gustownym ubiorze pani starościny opeskiej na asamblach królewskich; o gracji, z jaką panna Pernet kozaka tańczyła u pani hetmanowej Ogińskiej.

— Ale — odezwał się hrabia — czy państwo wiecie, jaka awantura się zrobiła u pani hetmanowej à propos kozaka? Państwo, co często bywacie u pani hetmanowej, wiecie, jaka to święta i przykładna pani. Ma u siebie na respekcie kilkanaście panien szlacheckich, które z maleńka wychowuje, potem wyposaża i wydaje zamąż: między niemi jest ta panna Pernet, córka marszałka jej dworu, panienka piękna, zgrabniutka i wcale ładnie tańcująca kozaka. Ile razy się zbiorą u hetmanowej, ona jej każe się produkować, azali tem nie przywabi jakiego konkurenta. La pauvre fille danse quelque fois à perdre l'âme[1]). Otóż ostatniego razu pan łowczy koron-

[1]) Biedne dziewczę tańcuje czasem do upadłego.

ny przyszedł wieczorem do pani hetmanowej, ale trochę pod datą; wedle zwyczaju był pohulał ze swoimi. Podobał mu się kozak panny Pernet, i po tańcu zaczął jej robić komplementa, a potem otwarcie wystąpił z propozycją, żeby się od pani hetmanowej do niego przeniosła, że na szpilki jej dawać będzie pięćdziesiąt czerwonych złotych na miesiąc, a jak się mu naprzykrzy, wyda ją za jakiego moczymordę. La demoiselle a manqué de se trouver mal[1]). Hetmanowa do niej; mais quand elle eut appris ce de quoi il s'agissait[2]), było słyszeć, co tu ona mu za to nagadała.

— A on co na to? — zapytał starosta, śmiejąc się.

— Il a pris cela très philosophiquement[3]). Powiedział — niech mnie djabli wezmą, tej babie musiała się przyśnić paproć, że tak się rozchimerowała. Albom ja jej panienkę za łeb brał? To była propozycja a nie impozycja. Chcesz, dobrze, a nie chcesz — nikt ciebie nie zmusza. I czy to warto o to robić takie sceny? — i wyszedł od hetmanowej ze swoimi do Piskowej, gdzie się spotkał z Dąbskim kasztelanem kujawskim i z Dłuskim starostą łukowskim. Tam do piątej zrana zajadali kapłony i raki, i pili do upadłego.

— Pan łowczy koronny — odezwała się księżna kasztelanowa — z obcesową szczerością;

---

[1]) Panna omal nie zemdlała.
[2]) Jak się dowiedziała, o co chodziło.
[3]) Przyjął to bardzo filozoficznie.

wyraża wiek swój. Afficher un goût humiliant pour toutes les femmes, ne sentir d'amour véritable pour aucune[1]) — oto jest cecha naszego wieku.

— Bardzo przepraszam księżnę — odezwał się p. stolnikowicz. — I teraz są tacy, którzy umieją kochać prawdziwie.

— O! ja ciebie wyłączam, mój stolnikowiczu — odrzekła księżna — już ci winszowałam, żeś swoją miłością zmiękczył serce księżniczki starościanki, bo trzeba wierzyć, że kto się zabiera do stanu małżeńskiego, ten musi się kochać. Ale jakże można wasze miłości równać do tych, któremi się cechowały dawne wieki, kiedy to błędni rycerze przebiegali świat szeroki z orężem w ręku, zmuszając wszystkich do wyznania, że dama ich myśli jest najpiękniejszą kobietą na świecie? Jak teraz wszystko się wydaje zimne obok tego, co się wówczas działo.

— Na to — rzekł hrabia — za pozwoleniem księżny, muszę stanąć w obronie naszych czasów, i pokażę państwu takiego, co dla swojej damy, temu dni kilka, zrobił une galanterie[2]), na jakiej równą żaden błędny rycerzby się nie zdobył.

— Proszę nam okazać tego bohatera i powiedzieć, co on też tak wielkiego uczynił?

---

[1]) Popisywać się z upokarzającą skłonnością do wszystkich kobiet, a do żadnej nie czuć prawdziwej miłości.

[2]) Grzeczność dla damy.

— Ja powiem, byle pani cześnikowa litewska na to pozwoliła.

— Pozwoli, pozwoli — wykrzyknęła księżna — ja biorę na siebie, że pozwoli.

— Nie, mościa księżno — rzekł hrabia — ja się nie odezwę, aż ona mnie powie — mów.

— Ne nous faites pas languir[1]), powiedz mu, ma chère amie, żeby mówił.

— Kiedy wszyscy tego chcecie — rzekła cześnikowa śmiejąc się — mów hrabio.

Hrabia obracając się do księcia Waragina, rzekł: — Pamiętaj książę, że jestem posłuszny rozkazom pani cześnikowej. Otoż powiem państwu, że temu dni kilka byliśmy na wieczorze u pani cześnikowej; było nas około piętnastu osób, i nas wszystkich książę Waragin zaprosił na jutro do siebie na obiad na sterlety, które mu przysłali z Rosji, na jakowym obiedzie pani cześnikowa podjęła się być gospodynią. Przy herbacie mówiono o gastronomji. Książę opowiadał, że w czasie ostatniej wojny tureckiej przez dwa tygodnie innego nie można było dostać mięsa, tylko końskie; ale, że wedle swojego zwyczaju, miał z sobą doskonałego kucharza, ten mu koninę tak przyprawiał pod różnym kształtem, że żadenby łakotniś nią nie pogardził. Pani cześnikowa na to powiedziała: Żebym wiedziała, że to, co mnie podają jest końskie mięso, nigdybym się nie odważyła tego półmiska dotknąć; ale żeby kto mnie bez mojej wiadomości koniną nakarmił, pozwoli-

[1]) Nie dręczcie nas.

łabym siebie w twarz pocałować. My wszyscy odezwaliśmy się, że jeżeli taką przeznacza nagrodę, niezawodnie oszukaną będzie, bo kto z nas odtąd o czem innemby myślał, jak tylko, by ją tem jadłem poczęstować. Nazajutrz mieliśmy u księcia obiad wyśmienity i kiedy przy wetach unosiliśmy się nad kuchmistrzem naszego Lukullusa, on wstał od stołu i klęknąwszy przed cześnikową, powiedział jej, że przychodzi upomnieć się o dotrzymanie danego słowa. — Jakiego słowa? — zapytała. — Wszak pani ogłosiłaś wyrok — rzekł książę — że kto cię koniną nakarmi, pozwolisz mu siebie pocałować; otóż państwo innego mięsa nie mieli tylko końskie. Z początku myśmy się śmieli mając to za żart, ale sami sprawdziwszy to w kuchni, upewniliśmy damy, że tak jest a nie inaczej. Pani cześnikowa *présenta de bonne grâce ses deux joues, sur lesquelles, le prince imprima deux baisers, qui retentissent au fond de nos coeurs*[1]), ale potem, gdyby tego zażądał, wszystkie przytomne damyby go ucałowały, jak się dowiedziały o reszcie tej historji.

— Cóż takiego? — zapytała księżna.

— Wiecie panie, jaką to koniną książę nas nakarmił? Oto jego Betsy, ta klacz angielska, *l'admiration de toute Varsovie*[2]), za którą od księcia podkomorzego nie chciał wziąć dwóch

[1]) Podała bez przesady oba swe policzki na których książę wycisnął dwa pocałunki, które o nasze serca się odbiły.

[2]) Uwielbienie całej Warszawy.

tysięcy czerwonych złotych, poszła na obiad. Le coeur me saigne, quand je pense que j'ai dévoré une si belle créature[1]). Teraz powiedz, księżno, czy błędny rycerz wieków średnich zrobiłby podobną ofiarę dla damy swoich myśli?

— To prawda — na to księżna — że taka galanterie chevaleresque każdy opór zwyciężyć musi. Czy mogłeś książę na śmierć skazać taki wytwór natury, jakim była Betsy!

— Mościa księżno — odpowiedział książę — ponieważ pani cześnikowa pozwoliła zrobić sobie ten żart, chciałem przynajmniej, żeby strawa, mająca się dotknąć jej ust, ile możności była jej godną. Betsy była dla mnie najdroższą z rzeczy, któremi rozrządzać mogłem; dlatego z niej zrobiłem ofiarę — kto zna panię cześnikowę, temu dziwić się nie może.

I w samej rzeczy, zadowolnienie zwycięstwa tyle powabów przydawało tej nadobnej kobiecie, że na nią patrząc nie można było temu się dziwić.

— A co? — dodał hrabia obracając się do księżny — niechże księżna powie, czy nie umieją kochać w naszym wieku?

Kasztelanowa kamieńska nie podzielała zapału księżny. — Warjaty jesteście — powiedziała — ubiegacie się tylko za rzeczami nadzwyczajnemi. Żebym była młodą i piękną, a kto dla przypodobania się mnie kazał zamordować niewinne

[1]) Serce mi się kraje, kiedy przypomnę sobie, żem pożerał tak śliczne stworzenie.

i zaletne stworzenie, temby zapewne mnie nie zobowiązał; ale taki to świat teraźniejszy.

— Mnie to nie dziwi — rzekł Trembecki, mieszając się do dyskursu — Rosja później od innych przystąpiła do cywilizacji europejskiej, ale na tem nie straciła — elle n'a reculé que pour mieux sauter[1]). Odwołuję się w tem do świadectwa pana starosty. Nie uwierzycie państwo, jak panowie rosyjscy, wędrujący po Francji, pobudzają zawiść dworzan tamecznych.

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów,
Łączą grzeczność wersalską z walecznością Scytów.

— Brawo, panie szambelanie — odezwał się gospodarz domu — nigdy się Wpanu lepiej nie udało powiedzieć; dowiodłeś, że poeta może być razem i wielkim i prawdziwym. Wypijmy zdrowie największego poety polskiego, który tak pięknie wyraził nasze uczucia.

— Mości starosto — odrzekł Trembecki — właściwiej wypić zdrowie księcia, który mi natchnął te dwa wierszyki.

— Et haec facienda, et illa non omittenda — odezwał się stolnikowicz. — Uważasz, szambelanie, że jeszcze nie styrałem mojej łaciny, nawet między temi pięknemi damami:

Podaj, chłopcze, za dawnych konsulów chowany,
Falern, co dymek puszcza z iskrzącemi piany.

— Gwałtu — wykrzyknął Trembecki — pan stolnikowicz koronny chleb mnie odbiera; odrazu

[1]) Cofnęła się, żeby lepiej skoczyć.

moje wiersze zakasował swojemi. Myśl Tybulla ex abrupto przepolszczył. Za Sasów upijaliśmy się prozaicznie, pod naszym dzisiejszym Augustem nawet uczty nasze zaprawia dowcip poetyczny.

Na te słowa pani kamieńska nieco się skrzywiła, ale wszyscy inni głośnemi oklaskami okazali, iż podzielają zdanie poety.

— Panowie i panie — rzekł gospodarz — falernu nie mam, ale jest wino szampańskie, co go nam starożytność mogłaby pozazdrościć. Właśnie onegdaj prosto z Sillery przyszedł do mnie transport.

Zaczął krążyć kielich z napojem rozweselającym umysł i serce, że damy nawet za rozmaite zdrowia usta swoje przybliżały do kieliszków, nawet Zosia, na wielkie prośby męża, pół kieliszka wypić musiała. Było już po siódmej, kiedy biesiadnicy wstali od stołu.

Gdy weszli do salonu, zastali w nim kilku gości przybyłych; ale z wielkim żalem Zosi pani kasztelanowa kamieńska ją pożegnała, bo zawsze o godzinie ósmej kończyła wieczory, żeby mieć jakąś godzinę przedsenną do ofiarowania BOGU. Wszakże, kiedy wieczór dla niej się kończył, właśnie dla innych się zaczynał. Zjeżdżali się goście, tak, że wkrótce salon obszerny został nimi napełniony; co tylko stolica posiadała najświetniejszego, tam się zebrało. Jacy mili kawalerowie, jakiej czarującej piękności damy, jakie bogate i gustowne ubiory! Krzyżowały się dowcipne żarty, harmonijne wierszyki, attyckie koncepta,

sentymentalne wystrzały: wszystko to ściskało się, jakby około ogniska, przy owalnym stole, przy którym siedząc na kanapie gospodyni robiła honory domu; a po kątach kawalerowie, siedząc przy swoich damach, usiłowali zmiękczać ich serca. I książę Waragin przy swojej cześnikowej, chociaż amant uwieńczony, zajmował się ognistą rozmową o swoich dla niej stałych uczuciach.

Wtem oznajmiono przybycie pani krajczyny; wszystko z sof i krzeseł powstało, a gospodarstwo wyszło ku drzwiom na jej spotkanie. Ona ucałowała starościnę, jakby była jej największą przyjaciółką; i z grzecznością oziębłą ukłoniła się jej mężowi, który ją zaprowadził do sofy dla niej przeznaczonej. Krajczyna była kobietą uderzającej piękności, nawet siedząc obok Zosi, a równy jej miała smak w ubiorze, tem więcej, że ubior był jedyną rzeczą, którą się z jakąś uwagą zajmowała. Ubraną była bez wykwintności: miała czarną morową suknię, na głowie niepudrowanej nosiła girlandę z drobnych róż, na szyi perły, które dotąd w Warszawie za najpiękniejsze uchodziły, a na plecach rzucony z niedbałością szal kaszemirowy, żółtogorący, wysokiej wartości; czarna suknia krajczyny odbijała alabastrowy mat jej ciała. Nie można było widzieć talji giętszej, gorsu powabniejszego, nogi i rączki arystokratyczniejszej[1]), i coś więcej ujmującego nad jej uśmiech i spójrzenie. Warszawa wtedy szczegól-

[1]) Piękność twarzy i talji we wszystkich stanach znajdować się może. Piękność nóg i rąk jest szczególniej przywiązaną do kasty arystokratycznej.

nie słynęła pięknością swoich dam, a one prawie wszystkie mieściły się tego wieczora w domu starosty; było tam kilkanaście kobiet, tak pięknych, tak miłych, że trudno było między niemi wybór uczynić. Jednak walka o pierwszeństwo między krajczyną a starościną rozstrzygnąć się musiała, między niemi wahała się szala; wszakże ku starościnie zdawała się przechylać.

Rozmowy się wszczęły na nowo, jak tylko krajczyna zajęła swoje miejsce, a lokaje niespracowanie roznosili lody, suszone konfitury i frukta. Wtem krajczyna postrzegłszy perły owe głośne na szyi gospodyni, odezwała się:

— Ma chère amie, proszę cię, zdejm swoje kolje, niech też twoje perły porównam z mojemi. — Obie damy zdjęły swoje, ale kiedy je położono jedne przy drugich, najbezczelniejszy pochlebca pani krajczyny nie mógł nie przyznać, że jej perły i wodą i równością sprostać nie mogły perłom starościny. Krajczyna tak została upokorzoną, że już swoich nie chciała wziąć na szyję, aby uniknąć niepochlebnego porównania, a Zosia, jako grzeczna gospodyni, zwycięskie klejnoty swoje kazała odnieść swojej pannie[1]). Jednak krajczyna nie przestała się dąsać, co wielce martwiło staroste, gdyż to nieukontentowanie krajczyny znacznie wpłynęło na humor całego towarzystwa. Rozmowa zaczęła kulawieć; na szczęście ożywił ją

[1]) Fraucymer kobiety wyższego stanu składał się z haftarek, garderobianych, nad któremi rej wodziła panna stołowa, ważna figura a niezbędna dla elegantki.

młody książę Sapieha, szef gwardji litewskiej, kawaler pełen zalotności i dowcipu.

— Ale, ale — rzekł — mości szambelanie Trembecki! Dobrze że przypomniałem sobie Wpana zadanie; muszę je wyprowadzić pod sąd tutejszego tak światłego i świetnego towarzystwa. Miarkujcie państwo, że wczoraj byliśmy razem na czwartkowym obiedzie u króla: pan szambelan taką powieść ułożył: że temu lat kilkaset jeden kawaler wielkiego świata oddał jakąś ważną przysługę wróżce Manto[1]), a ona mu w nagrodę dała do wyboru: mieć żonę, którąby wszystkim wydawała się tak szpetną, jak pani regentowa koronna, a jemu samemu tak piękną, jak pani starościna wieluńska.

— Mości książę — przerwała starościna — naprzód książę powinieneś o tem wiedzieć, że we wszystkich naracjach, przytomni, a tem bardziej gospodarstwo, mają być zawsze wyłączeni.

— Przepraszam panią — odrzekł książę, czyniąc relacją — muszę opowiadać rzecz jak była. Powtarzam wyrazy pana Trembeckiego; gdybym je przeinaczył, mógłby mnie zadać kłamstwo, a przynajmniej niewierność. Otoż powtarzam: dała mu do wyboru mieć żonę z podwójną postacią — dla wszystkich podobną do pani regentowej, a dla siebie jednego do naszej pięknej gospodyni, lub też vice versa. I zapytał: — jak wam się zdaje, co on wybrał?

[1]) Wróżka Manto, głośna w romansach wieków średnich.

Stolnikowicz. A już-ci pierwsze; wszak każdy dla siebie, a nie dla innych się żeni.

Ks. Sapieha. Król był tego zdania, mój Wacławie, bo on ma także pretensje do sentymentalności. Zresztą, ma prawo o tem sądzić; ale ty wcale nie jesteś judex competens, bo za kilka niedziel żenisz się z moją kuzynką. A kiedy kawaler gotuje się do tego niebezpiecznego kroku, może mieć tę zimną krew, tę przytomność umysłu, jakich się wymaga od sędziego? Nie masz głosu między nami, siedź cicho!

Ks. Waragin. Ja, co już od trzech lat przebyłem ten krok niebezpieczny, a więc mam głos, nie pojmuję jak tu można się wahać. Coby mnie to miało obchodzić, że ta, którą ubóstwiam, innym wydaje się brzydką?

Hrabia. Odkąd, mój książę, nakarmiłeś nas swoją prześliczną Betsy, przekonałem się, że jesteś pod wpływem uczucia, które szczerość twoją pod wątpliwość kładzie. Co do mnie, mam niezaprzeczone prawo do ogłoszenia siebie za bezstronnego, bo moje serce jest zupełnie swobodne — a ja wyznam otwarcie, że waszego zdania nie podzielam, chociaż za niem głosował mój król.

Cześnikowa. Nic dziwnego, bo nigdy nie kochałeś prawdziwie, ani nawet umiałeś kochać.

Hrabia. Ce n'est pas à vous à le dire[1]). Pani wiesz dobrze, że umiem kochać.

Cześnikowa. A skądże mam wiedzieć?

---

[1]) Nie pani to przystoi mówić.

Hrabia. C'est vrai, que vous avez fait semblant de l'ignorer[1]). Ale wracając do rzeczy — żądze miłości własnej są silniejsze od uczuć serca.

— Ach jaki niegodziwiec — odezwały się razem księżna kasztelanowa, pani cześnikowa i kilka innych szarmantek.

Hrabia. Niegodziwiec jestem, bo prawdę mówię. Z paniami, jak uważam, nie można być szczerym.

Ks. Waragin. Pozwól sobie, hrabio, powiedzieć, że wielu mężów odrzekło się od żon swoich dlatego, że inni znajdowali je nadto pięknemi; a nie przypominam sobie, by jakie małżeństwo poróżniło się dlatego, że inni nie podzielali pochlebnego zdania męża o żonie.

Książę Sapieha. O! przepraszam księcia. Niejedna żona zaniedbana dla rywalki, tem zwróciła męża do siebie, że wpadła na myśl szczęśliwą innemu się podobać.

Ks. Waragin.. Tak próżny małżonek niewart, żeby kobieta tkliwa dbała o jego przywiązanie.

Stolnikowicz. Masz słuszność, książę; kto serce swoje poniża przed miłością własną, ten nie zasługuje na serce kobiety.

Ks. Sapieha. Wszystko to jest piękne i przykładne, ale wy robicie ideały, a hrabia i ja nie chcemy wyjść ze świata rzeczywistego. Wszakże czujemy potrzebę, żeby nasz wybór był upo-

[1]) Prawda, że pani udawałaś, że o tem nie wiesz.

ważniony przez innych. Aleksander Wielki wśród swoich podbojów z niecierpliwością oczekiwał zdania Ateńczyków; jakże chcecie, by człowiek posiadający tę, którą kocha, nie pragnął, by inni pochwalali jego wybór.

Hrabia. Włosi mówią, że zemsta jest rozkoszą bogów; na to się zgodzić nie mogę; ale że pobudzać w innych uczucie zawiści jest rozkoszą bogów, to jest rzecz niezawodna. Exciter la pitié, c'est le supplice d'un damné[1]). Żebym się kochał na śmierć, żebym otrzymał wzajemność tej którą ubóstwiam, a żeby wszyscy mówili: „Biedny hrabia! przywiązał się do koczkodana, a z tego tak uszczęśliwiony jak gdyby posiadał wszystkie królestwa świata", oszalałbym ze wstydu i złości. A jeślibym serca nie mógł uleczyć, pojechałbym z rozpaczy za morze, ofiarowałbym moje usługi buntującym się Amerykanom, plutôt que de me courber sous le poids d'un amour ridicule[2]).

Stolnikowicz. Pan Trembecki między nami kość niezgody rzucił.

Starosta. Pozwólcie państwo, bym wam jedną uwagę przedłożył. Państwo sądzicie, nie przywołując kobiet, o które tu szczególniej chodzi. Mężczyzna zakochany, jakkolwiekby pragnął, ażeby przedmiot jego miłości dla niego wyłącznie tylko był powabnym, czy może bez zezwolenia tej którą

[1]) Wzbudzać politowanie, jest to męka potępieńca.

[2]) Zanimbym się ugiął pod ciężarem śmiesznej miłości.

kocha, wyciągać od niej podobnej ofiary, by we wszystkich innych obrzydzenie wzbudzała?

Ks. Waragin. Starosta trafił w sam punkt kwestji. W rzeczy samej, sąd należy do dam, bo one tu są najwięcej interesowane.

Cześnikowa, (spoglądając sentymentalnie na księcia Waragina). A moje państwo! czy można wątpić, by kobietę kochającą prawdziwie mogło obchodzić czyjekolwiek zdanie o jej piękności, oprócz tego, któremu swoje serce oddała?

Księżna kasztelanowa. Ale, moja kochana cześnikowo, wszystkim wydawać się brzydką, jest to ofiara, nad którą warto się zastanowić.

Starościna opeska. Ile że ta ofiara stałości męża nie zapewnia, a tak mocne wywiera wpływy na tych mężczyzn, że jak wszyscy nieszczęśliwą żonę ogłoszą za szpetną, wkrótce i mąż pójdzie za ich zdaniem.

Ks. Sapieha. A co pani krajczyna na to powie?

Krajczyna, (z żywością, patrząc zukosa na starostę). Mężczyźni są tak zmienni, tak obłudni, tak prędko zapominający przysiąg swoich, że na żadne nasze ofiary nie zasługują.

Starosta zbliżywszy się do krajczyny, coś jej powiedział półgłosem i siadłszy koło niej, przedłużał swój dyskurs; nikt nie słyszał co mówił, uważano tylko, że silniej niż zazwyczaj poruszała wachlarzem. Niedaleko od nich siedział książę Waragin zawsze obok swojej cześnikowej; między nimi były jakieś szepty, często przerywane całusami, które książę kładł na jej ręce. Książę pod-

komorzy koronny, dotąd smutny, nie mieszający się do żadnego dyskursu, nieśmiało przybliżał się do starościny, a księżna kasztelanowa, obok niej siedząca, z taktem kobiety wielkiego świata jakby z niechcenia powstała, a w rzeczy samej żeby im nie przeszkadzać rozmowy, i prosto poszedłszy do księcia Sapiehy, powiedziała mu: — Cher prince, tak mnie gorąco, że wytrzymać nie mogę; zaprowadź mnie na salę, po której przechadzać się będziemy, jeżeli nie boisz się znudzić ze mną. — Książę en galant chevalier ukłonił się jej z wielkiemi wykrzyknikami, i wziąwszy ją pod rękę wyprowadził do sali, gdzie liberja robiła przygotowania do zastawienia wieczerzy. Miała być nowalja, ostrygi prosto z Hamburga przywiezione. Że już było około północy, rozstawiały się półmiski i blaty z zimnemi potrawami, a beczka ostryg stała w kącie z wiekiem odbitem. Czterej chłopcy doświadczeni, uzbrojeni w nożyki, otwierali ostrygi i kładli je symetrycznie na ogromnych blatach, które potem lokaje zastawiali. Książę Sapieha, prowadząc nadobną partnerkę po obszernej sali, strzelał do niej sentymentalnemi słowy; księżna ich nie odpychała, owszem zdawała się do nich zachęcać. Ale kiedy książę, już do tego przygotowawszy się należycie, rozpoczął oświadczać jej swoje przywiązanie, i zabierał się domagać jej wzajemności, księżna, nie dawszy mu skończyć, rzekła: — Mój książę, gotowi pomyśleć w salonie, że my ich wszystkich obmawiamy; wróćmy, żeby ich z niespokojności uwolnić. — Książę rad nierad musiał ją nazad zaprowadzić, a lubo miał smutek

w sercu, nie omieszkał wchodząc do salonu, przybrać minę triumfatora; bo w tym wieku, zalotności wyłącznie oddanym, modnym kawalerom nietyle chodziło o to, żeby rzeczywiście być szczęśliwymi, ile żeby uchodzić za szczęśliwych.'

Wróciwszy, zastali te same pary siedzące i rozmawiające z sobą. Żaden natrętny nie mieszał się do ich dialogów. Znajomość życia do najwyższego stopnia posuniętą była w salonach warszawskich; ona zastępowała wszystkie cnoty. Największa niesława spadała naprzód na człowieka łękliwego serca, powtóre na człowieka bez taktu. Człowiek odważny, a do tego łączący takt i grzeczność w obcowaniu, mógł wszystko sobie pozwalać, stąd była wielka słodycz w obcowaniu. Każdy wpraszający się do serca kobiety był pewny, nietylko że od innych nie doświadczy przeszkody, ale owszem zachęty i pomocy. Wielka namiętność dla kobiety do wszystkiego upoważniała, a człowiekowi salonowemu dawała pewną pozycję salonową, ściągającą powszechny szacunek, tak dalece że młody panicz stolicy, jeżeli się w nikim nie kochał, to udawał zakochanego, żeby być dobrze widzianym w towarzystwie. Można sobie wyobrazić, ile ten świat był miłym a zarazem niebezpiecznym, jak trudno było pięknej kobiecie zachować hart duszy, kiedy będąc narażona na zaloty kawalera wykwintnego wychowania, już przez się zdolnego podobać się, jeszcze to wszystko co ją otaczało zachętę i pomoc jej dawało do zejścia ze stromych ścieżek cnoty. I w salonie starosty, jak zwykle natenczas, każdy był zajęty swoją. Wakujące da-

my kokietowały swobodnych kawalerów, bo wstyd był dla kobiety nie mieć kogokolwiek zajętym sobą. Księżna kasztelanowa, zawsze oparta na księciu Sapiezie, uwagi swoje komunikowała swojemu przewodnikowi: jak to hrabia zaczynał się zalecać starościnie opeskiej, która z przymileniem słuchała jego dowcipnych opowiadań o swoich wojażach, jak książę podkomorzy, zawsze zasmucony, coś mówił gospodyni domu, której nieczułości zmiękczyć nie mógł, a która chociaż grzecznie, ale dość obojętnie go słuchała. Na środku salonu utworzyła się była grupa otaczająca Trembeckiego, rozprawiającego o literaturze z uroczym wdziękiem. Oprócz księcia podkomorzego wszyscy zdawali się być z siebie kontenci. Kiedy oznajmiono, że wieczerza na towarzystwo czeka, wszystko powstało, starosta podał rękę pani krajczynie, każdy wziął swoją damę pod rękę i wszyscy poszli do sali.

Siedli za stołem bogato ubranym i zastawionym, a oświeconym kandelabrami i światłem z pająków spadającem. Podano ostrygi; jedni rzucili się do nich z prawdziwą ochotą, drudzy, i tych część była nierównie większa, dla mody. Jedna Zosia tylko nie mogła przezwyciężyć swojego wstrętu od tej przechwalonej strawy; ale zato pan szambelan Oldziewicz, człowiek mało mówiący, niepokaźny, ograniczony, a który wyglądał wieczerzy jak pola popisów swoich, odznaczył się amatorstwem: kilkaset ostryg zjadł z miną triumfującą. I w rzeczy samej, ta możność połykania ostryg bez liku dawała mu jakąś konsyderację w towarzystwie znudzonem, i tylko do rzeczy nie-

zwyczajnych przykładającem uwagę. Mawiano o nim: — Oto ten szambelan Oldziewicz, który do razu może zjeść pół tysiąca ostryg.

Podczas gdy smaczne i nowomodne jadła jedno po drugiem nikły, a pienisty szampan zaczął krążyć, raptownie przybył do starosty jego sekretarz z papierem w ręku. Starosta odszedł do drugiego pokoju, żeby go odczytać, a dawszy swoje rozkazy sekretarzowi, powrócił do sali z obliczem jak zawsze spokojnem, i powiedział: — Najmilszą dla mnie zabawę przerwać muszę; posłałem po muzykę, żeby państwu bal zaimprowizować, a w momencie kiedy ma się zaczynać, opuścić go muszę. Ale za godzinę lub półtory spodziewam się wrócić do państwa. Moja gospodyni z wami, a księcia Waragina proszę, żeby do mojego powrotu moje miejsce zastąpił.

— Cóż to jest takiego? — zapytali wszyscy.

— O, nic nadzwyczajnego — odpowiedział starosta ozięble — król przysłał po mnie; ma cóś ważnego do powiedzenia.

— Ach jakże z niecierpliwością wyglądam poranku — rzekła księżna kasztelanowa — żeby się o tem dowiedzieć.

— I księżna ukaraną będziesz za swoją ciekawość, bo pokaże się, że nic bardzo ciekawego — odrzekł starosta. — Co najwięcej, może poddanie się Częstochowy, albo śmierć jakiegoś monarchy europejskiego.

— A wszakże król dziś wieczór miał przepędzić u księcia kanclerza — odezwała się pani krajczyna.

— Już dawno musiał wrócić do zamku — odparł starosta. — Wszakże książę kanclerz zawsze o dziewiątej się kładzie, a tu (dobywając zegarek) patrzcie państwo, jak prędko w miłem towarzystwie czas schodzi, już koło drugiej po północy. Ale ponieważ muzyka gotowa, bawcie się państwo i czekajcie na mój powrót; dowiecie się poco król mię wzywa. Proszę księcia Waragina jako gospodarza otworzyć bal, i poprowadzić damy do sali tańców.

A przybliżywszy się do żony, powiedział jej zcicha: — Dotrzymałem tobie słowa, aniele mój drogi; cały dzień o krok ciebie nie odstąpiłem. Teraz muszę pobiec do króla, a ty staraj się gości bawić do mojego powrótu — i to mówiąc czule ją pocałował w rękę i w czoło.

Kiedy towarzystwo ruszyło do tańca, on przeciwległemi drzwiami poszedł do swojej garderoby, najśpieszniej przebrał się w mundur swojej chorągwi, a tak ubrany kazał się zawieźć do ujazdowskich koszar, gdzie stał zawsze dla niego przygotowany koń wierzchowy.

XIV.

Karczma pod Marymontem.

O małe pół mili od marymonckich rogatek, stała karczma do starostwa warszawskiego należąca. Ta karczma ciągle nazwisko swoje odmieniała: nosiła kolejno imię Marymonckiej Wólki, Wygody, Podwiki, w roku 1809 nazywano ją Wierzbin, może już odtąd kilka innych nazwisk przybrała. Ale w owym czasie, to jest przeszło siedmdziesiąt lat temu, nazywano ją Brühlówką, a to z powodu, że pan Brühl, starosta warszawski, swoim sumptem kazał ją pokryć gontami, gdyż przedtem z pod słomianej strzechy wyglądała. Ta karczma nie tak pięknie się przedstawiała jak dzisiaj; ściany miała krzywe, komin który się zdawał kłaniać przybywającym na hulankę, okna jak oczy zezowate; a jednak więcej dochodu przynosiła — niż piętrowe kamienice stolicy, bo dla taniości gorzałki, zwłaszcza w dni świąteczne, tłumy pospólstwa warszawskiego tam się upijały. Gospodarzem był niejaki Kieść, podżyły Kaszuba, długi czas hajduk pana Brühla, starosty warszawskiego; postąpiony nareszcie na karczmarza, tak był wrosł w swoją karczmę, że chociaż inny starosta zastąpił miejsce pana Brühla, niesprawiedli-

wie wyzutego, Kieść nie dał siebie podkupić, dobrowolnie podniósł cenę i utrzymał się na swojej dawnej posadzie.

Kieść o niczem nie myślał, tylko o pomnożeniu swojej brzęczączki, która też w progresji niemałej się wzmagała. Jednak dziesiątek lat szynkując, obliczył się, że choć szynkarzowi może być nieźle bez gospodyni, wszakże daleko bezpieczniej z gospodynią, i zaczął przemyśliwać, gdzieby to sobie wybrać towarzyszkę szynkarskiego żywota. Nakoniec w jednej garkuchni na Elektoralnej ulicy, gdzie ze starą gospodynią miał ścisłe stosunki, jak się później okaże, natrafił na dziewczynę młodą, raźną, przystojną, a która służąc w garkuchni, gdzie na flaki żołnierze gwardji i lokaje miejscy się schodzili, była oswojona ze wszystkiemi tajemnicami szynkarstwa. Kieścia to nie zraziło, że była w zaloty hojną, bo z wielkiem swojem zbudowaniem zauważył, że dla żołnierzy, zawsze gołych z powołania, była srogą jak lwica, ale dla lokai wielce przystępną, jeżeli zwłaszcza w możnych domach usługiwali. Rzecz pewna, że niejeden z nich więcej talarków na nią przeumizgał, niż przepił na korzyść jej pryncypałki. Pieniądz lub cenny fant zaraz zmiękczał jej serce, i tak była pod tym względem powszechnie znaną, że skoro kto nie miał dla niej talarka, ani się kusił jakiem bądź przymileniem skłonić ku sobie jej przelotnych afektów. Względem pieniędzy tak była oszczędną, że uzbierała sobie trochę talarków w swojej skrzynce, i nie było dnia, żeby jaki talar przybysz nie pomnażał ich kwoty. Kieść pomyślił so-

bie: — Choć liczę lat pięćdziesiąt siedm, ale jestem zdrów; mnie potrzeba żony, a to właśnie gospodyni dla mnie; ładniutka, ściągać będzie ochotników do mojej szynkowni. Prawda że umizgalska, ale kuta na cztery nogi; na swoje umizgi nic z domu nie wyniesie, jeszcze z nich będzie przybytek. Ona pójdzie za mnie, bo ma rozum, wie że u mnie grosz jest: to wyraźnie dla mnie stworzone.

Tak pomyśliwszy, zaczepił ją dość obcesowie w szynku, ale że powszechnie było wiadomo, że dla przypodobania się wszystkim pięknościom świata nie zdobyłby się na ofiarę jednego talarka, Jewka pogardliwym wzrokiem jego umizg w perzynę obróciła, a dla większego despektu, odepchnąwszy go z łagodnością szynkarki, siadła na kolanach jakiegoś lokaja, by z nim pospołu urągać się ze starego. Kieść ręką kiwnąwszy, na znak że o to nie dba, wyszedł, ale zawsze coś go tam ciągnęło.

Kieść z właścicielką garkuchni był w ścisłej przyjaźni, często jej podwoził gorzałkę, na czem podwójnie zarabiał, raz że część czopowego tym sposobem pobierał, powtóre, że ile razy przybędzie do miasta, darmicą karmi się flakami i napawa dubeltowem piwem. Stara szynkarka wielce go poważała, miała go za człowieka bardzo mądrego, i gdyby się o nią samą oświadczył, z wielką radością oddałaby mu swoją rękę; ale Kieść o czem innem myślał.

Raz rozmawiając z sobą w alkierzu, to o gospodarstwie, to o interesach, jak zwyczajnie zażyli przyjaciele, stara między innemi rzecze do

niego: — Dobrze to ludzie mówią, panie kumie, że kiedy Pan BÓG da komu rozum, to go uczyć niema potrzeby; ta moja Jewka choć młoda, a taka mądra, że ja stara przed nią w kąt. Wczoraj zaszedł do mnie sługa murgrabiego Saskiego pałacu; kazał sobie podać kufel piwa, i dawaj się zalecać Jewce. Ona jakoś niby się wahała, a ten, żeby ją doreszty zmiękczyć, dobywa z kieszeni zegarek i mówi: — Jewciu, co moje to twoje, a co twoje to moje, czy na to zgoda? — Ja myślałam, że już po Jewce, bo choć dziewczyna jak malina, ale też i zegarek piękny. Ale Jewka na niego zgóry: — A nie pójdziesz precz z swoim zegarkiem! — Powiadam, panie kumie, że przystąpić do siebie nie dała, aż murgrabia jak niepyszny wyniósł swoje manatki. Jak się z nią zostałam, mówię jej: — A co się tobie zrobiło, Jewciu? Wszakże to zegarek kilkanaście talarów wart. — A ona mnie na to: — Żeby mnie przyniósł zegarek lokaj polskiego pana, toby była pogadanka, bo choćby był i kradziony, polski pan o szkodę w domu nie dba, co najwięcej obije ludzi, i na tem koniec. Lecz nuż on u swojego Niemca uchwycił, toby z tego mógł nastąpić taki rejwach, że kruki marszałkowskie do góry nogami miastoby przewrócili, wszystko i wszystkich trzęsąc; a jakby na mnie wybiła zła godzina, to trzęsąc po naszej szynkowni, możeby się dopytali do mojej skrzynki. Lepiej się dorabiać cierpliwie, a poczciwie. — I cóż na to powiesz, panie kumie? czy wiele spotkałeś takich dziewcząt?

Tem opowiadaniem dobiła Kieścia. Wyszedł zamyślony na ulicę, żeby nałykać świeżego po-

wietrza, i chodząc sam do siebie mówił, ale już głośniej niż przedtem: — A to skarb chodzący, ta Jewka; z taką żoną i bez wielkiej filozofji można wyjść na człowieka; bo to gospodarność, i zdanie i ostróżność, uszanowanie dla talarów. Musi ona być moją; wszakże trzeba śpieszyć, by mnie jej kto z przed nosa nie uchwycił. To być nie może, żeby w tak ludnem mieście jam jeden tylko na niej się poznał.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, śpiesznie wrócił do szynku i zastawszy Jewkę samą, bo stara ugrzęzła już była w swoich betach, od tego zaczął, że ją chciał pocałować w rękę. Ona myśląc, że to były preludja do zwyczajnych umizgów, ofuknęła go, mówiąc: — Idźże sobie, stary sknero, ze swojemi pieszczotami! Także buziaczek! Prędzejbyś pozwolił, żeby tobie serce wyrwano, niż talarka, a chcesz się podobać dziewczętom.

— Słuchaj, Jewko, mnie nie to co myślisz w głowie. Mnie nie umizgów, ale żony potrzeba. Chcesz być moją? Będziesz panią, gospodynią w Brühlówce; to zdaje mi się cóś lepszego, niż służyć w szynku choćby na Elektoralnej ulicy.

— Czy pan Kieść żartuje, czy doprawdy? — odezwała się Jewka, spuszczając oczy.

— Ja? broń BOŻE, ja żartować nie umiem. Chcesz, dobrze, nie chcesz, drugie dobrze. Czy to myślisz ja próżniak, żebym konkurował po miejsku? u mnie niema czasu do tracenia. Żeby każdy dzień miał jeszcze po drugich dwadzieścia cztery godzin, jabym powiedział, że i tego czasu mało. Ja się Wpannie niby zalecam, a tu mnie aż we łbie

trzeszczy, że nie wiem co się robi w Brühlówce z moim szynkiem. Albo jest tam żona, na którą się spuścić można? Toć to mam czeladkę: pachołka co drwa rąbie, babę co jeść gotuje, i wyrostka, com go kiedyś na ulicy z ziemi zdjął i dał mu adukacją, że teraz mi niby pomaga; a cała pomoc, że wytoczy z beczki w butel a z butla wleje w kwartę. Czy na tem kończy się szynkarstwo? Jak ja z domu, to połowy tego się nie wyszynkuje co trzeba; to nie dość nalewać i przelewać. Trzeba gadać z ludźmi, zachęcać ich, jak się pokłócą godzić i na zgodę podsunąć gorzałeczki, trzeba się rachować, a jak BÓG da, czasem nadrachować. Co mam wiele gadać? Ciebie, Jewko, w ciemię nie bito; ty te rzeczy lepiej znasz ode mnie. Dość, że mnie nie obejść się na starość bez prawdziwej gospodyni; nie takiej, co to ja ją wyjąć mogę z kieszeni, ale takiej co ją wyprowadzę z kościoła.

— Może pan Kieść jest gwałtowny, jak mu przyjdzie zazdrość do głowy?

— Ja mam być zazdrośny? a pfe duszeczko! Za kogo ty mnie bierzesz? Czy to ja się żenię dla cackania się z tobą? Wszak to po pańskich dworach z maleńkiego służyłem; o te rzeczy co wiesz nie dbam. Co to? mnie chudemu pachołkowi ma być inaczej, jak wielkim panom? Ja nie wieśniak za piecem chowany, żebym na żonę ciągle patrzał, jak żółw na swoje jaja: ja przecie mam adukacją. Mnie w głowie, żebyś dużo szynkowała, jak będziesz moją: a zresztą swoje rób, mnie w to nie wchodzić, byle tylko ubytku nie było, bo w takim razie ja żartować nie umiem. No, panno Jewo,

proszę się zaraz zdecydować, bo ja innej pójdę szukać.

— Kiedy taka wola Pana BOGA, żebym została jego żoną, to cóż robić?

— A więc obudźmy starą, i poprośmy ją o błogosławieństwo.

Obudzili babę, jej trochę się zrobiło markotno, bo Jewka bardzo jej była potrzebną, ale rada nierada musiała im dać błogosławieństwo.

Poszli do księdza: jak to bywa, ogłoszono zapowiedzi. Przez te dni kilkanaście Kieść, pewny swojego, ani się pokazał w Warszawie, tylko pilnował swojego szynku, żeby na rachunek, że jegomość zajęty panną młodą, czeladka sobie czegoś nie pozwoliła. A Jewka na waletę ze wszystkimi swoimi kochankami hulała, i różne upominki lewicą i prawicą chwytała, żeby się potem przed mężem pochwalić, że jeżeli on bogaty, przecie i jej zupełnie gołej nie bierze.

Nakoniec nastąpił ślub. Pryncypałka Jewki z początku chciała, żeby ona zostawiła część pieniędzy u niej zarobionych, występując z jakiemiś rachunkami, i była o to żwawa przeprawa, bo Jewka broniła swojego grosiwa, jak żadna dziewczyna mężniej swojej cnoty bronić nie może. Ale to wszystko się ułatwiło, jak pan Kieść się wmieszał; gdyż jak starej oświadczył, że jeżeli będzie takie utrudzenia wymyślać, to on z nią rozbrąt zrobi na zawsze, i niech sobie kogo innego szuka, coby jej gorzałkę podwoził, baba się zmiękczyła, że nawet sama wesele im sprawiła. A nazajutrz Kieść, żoną i jej skrzynką naładowawszy swój wó-

zek parokonny, a sam powożąc, zawiózł ją na swoje hrabstwo.

Żyło z sobą od lat trzech szanowne stadło bardzo przykładnie, bez swarów, bez kłótni. Jeden i ten sam cel mieli oboje: mnożyć pieniądze jak można i skąd można, a o resztę nie dbać. Kieść był najszczęśliwszym z ludzi. Lokaje ciągle wykradali się w nocy z miasta, dla odnowienia komitywy z Jewką: czy który co wskórał, czy nie, różnie bywało, — ale to pewna, że co tylko mieli z sobą, wszystko to przepijali. Nie na tem koniec: Kieść za defraudację cła miejskiego wpadł był w taką kabałę, że gdyby był kawalerem, do szczętuby go zniszczono, a możeby się nawet od pręgierza nie wykręcił. Ale jak zaczęła Jewka kręcić się po asesorach sądów marszałkowskich, a zalecać się jako niewinna wieśniaczka, przywiązana do męża, a płakać, a padać do nóg, a zobowiązywać jako mogła, bez najmniejszej ofiary wspólnego grosza, li tylko przemysłem własnym, męża z kłopotu wyprowadziła. Czem go tak zawojowała, że została panią samowładną i szynku i całego gospodarstwa. Kieść odtąd był jej uniżonym sługą, jak sułtan turecki fajkę tylko palił i rachował, a jego wezyr w spódnicy rządził szynkownią. Palenie tytuniu było materjalną częścią czynnego żywota kieściowego, częścią zaś umysłową była ascetyczna kontemplacja wysokiego rozumu żony i słodkości pieniędzy wspólnie zarobionych.

W nocy z 17 na 18 listopada spoczywało małżeństwo w alkierzu, a świeczka pryskając oświecała izbę. Pachołek i wyrostek spali w stajni,

a stara gospodyni leżała w szynkowni na przypiecku, gotowa na każde zawołanie. Nikt do karczmy nie zawitał, co się rzadko zdarzało. Nie było nic do roboty, dlatego gospodarstwo położyło się wcześniej jak zazwyczaj; jednak nie spało, tylko wylegało się, bo wątpię żeby jaki szynkarz lub szynkarka warszawscy w nocy mogli prawdziwie zasnąć.

— Jewko — odezwał się Kieść — nikt na nas dziś niełaskaw; tęskno, bo codzień jakiś wydatek, a tej nocy nic nie przybywa.

— Cichobyś leżał, stary; prawdziwie to grzech tak Panu BOGU się naprzykrzać. Że od wieczora zawierucha, jakiej w życiu podobnej nie pamiętam, trudno żeby z miasta kto do nas trafił; a chcesz każdej nocy mieć gości, to trzymaj szynk w Warszawie. Jednak bywają noce, że jedna za kilka stanąć może, naprzykład wczorajsza.

— To prawda, moja Jewko, że wczoraj dobrze nam poszło. Uzbieraliśmy trzy talary bite, a dydkami czterdzieści jeden złotych; a oprócz tego przepili u nas cztery siekiery, dwie surowe cielęce skóry, dwie książki do nabożeństwa, jedną nowiutką spodnicę, trzy chustki do nosa cieniutkie, szydełko z perłowej macicy i ostatki świec woskowych prawie na trzy oka. Widzisz, że choć stary, a nigdy nie zapomnę o tem co w skrzynkę wpadnie.

— Powiedzże, staruszku, czy po takim dniu zyskownym nie można dwa drugie odpocząć?

— Ba, ja się do tego tak dobrze jak nie mieszam, bo ty mnie wyręczasz; ale pamiętaj, że to cośmy wzięli, to nie tak, jak to co pan chudemu

pachołkowi wyświadczy — weź durniu i kwita. Tu dano, ale i wzięto, bo i gorzałka sama nie wypędza się, i za ratę trzeba zapłacić plenipotentowi pana starosty, i prawie drugie tyle mu dać, żeby nie wymiótł nas z karczmy jak śmiecie.

— A ty, stary, nie liczysz najbogatszego naszego akcydensu wczorajszego?

— A co takiego?

— A pięć łyżek stołowych i kochlę, co nam przyniósł stangret pana miecznikowicza koronnego. Nieborak myślał, że tem parę tygodni może pohula, aż oto w jednej półgodzinie to wszystko u mnie zostało. Cóż my mu dali za to jego srebro? oto pół kwarty gorzałki, i pół garnca maliniaku.

— A! prawda duszeczko! A gdzieś to sreberko podziała?

— At, cieszyłbyś się, że wyleżysz swoje stare kości, chociaż i tak niebardzo teraz ich męczysz; ale co do mnie, takie psie życie prowadząc, pewnie twoich lat nie doczekam.

— A jakże odwagę tracisz, Jewko? Ja stary a wytrzymalszy. Przy tobie dopiero zleniwiałem trochę; albo nie czas? Ale pokąd sam się trudniłem wszystkiem, to bywało dzień i noc na nogach; wtedy się nudzę, kiedy śpię. A jak mi się zdaje, że już zmęczony jestem, ale tak że ruszyć nie mogę, to jak przerachuję co się zrobiło, jak ręką odjął; już mi się zdaje, że dwie doby leżałem do góry brzuchem. Taki to był ze mnie gracz, Jewko.

— Oj prawda, wiele to tych pieniędzy nazbierałeś za twojego kawalerstwa; więcej było u ciebie słów w gębie, niż talarów w skrzynce. Co ty

wart beze mnie? jak wszystko weźmiemy pod kredkę, to się pokaże, że odkąd mnie wziąłeś, jest więcej talarów niż było złotówek. Tobie się zdaje, że ty wielki majster do robienia pieniędzy, bo aby tobie pokazać zysk, jak wróble na żer padasz, i nie wchodzisz w to, że jest taki zysk co bokiem wychodzi. A czy dawno oduczyłam ciebie gorzałkę podwozić do miasta? Żeby nie ja, dotąd możebyś bardzo cieńko śpiewał. Ale ty zawsze swoją masz naturę; jak nam się dostało sreberko od stangreta, toś się cieszył, i tobie w głowie nie było, tylko cieszyć się; a ja, jak tylko ranek nastał, tyś spał jeszcze, a ja łyżki i kochlę w tygiel, a tygiel w piec. Myślę sobie: nuż cudze znalazł i tu przehulał. a u nas kiedy to poznają, wstyd, a może gorzej niż wstyd. Widzisz, Kieściu, że masz żonę niegłupią.

— A czyż już ja taki basałyk, żebym się na twoim rozumie nie umiał poznać? Tobie być wojewodziną, nietyle szynkarką. Ja, choć po pańskich dworach wziąłem adukacją, choć byłem wszędzie, i można mnie pytać nie o to co wiem, ale o to czego nie wiem, a wyznaję przed tobą, i przed drugimi to wyznam w potrzebie, że przy tobie wyglądam jak pachołę, chociaż na mnie sześć krzyżyków gdzieś nakarbowano. W tamtą niedzielę ty zostałaś w domu, a jam poszedł do kościoła modlić się za dwóch: to kiedy ksiądz pleban powiedział na ambonie, że dobra żona błogosławieństwo boskie niesie w dom, ja zaraz o tobie pomyślałem, aż ledwo łzy w oczach mnie nie stanęły. Ty jesteś mój aniołeczek; przybliż się do mnie, moja Jewko, niech cię ucałuję.

— Ot! czego się staremu zachciało; leżałbyś spokojnie. Tyś mnie sam powiedział przed szlubem, że nie dla pieszczoty, ale dla gospodarstwa mnie bierzesz. Mnie w głowie, żeby jeszcze odrobinę uzbierać grosza, i porzucić ten szynk; a potem kupić kamieniczkę w Warszawie, i w niej żyć jak BÓG przykazał.

— A z czego żyć?

— Będziemy sobie żyli jak ludzie poczciwi: paniczom pożyczać pieniądze na miejskie procenta, od innych brać fanty na zastaw; zwyczajnie, żeby ludziom śmiało w oczy spójrzeć, nie tak jak dziś. Już mnie to nasze szynkarstwo obrzydło. Na ostatniej spowiedzi ksiądz mnie takie rzeczy nagadał, że aż włosy na głowie powstają. Tobie staremu nic, chociaż śmierć na nosie: ty za sto złotych duszębyś djabłu zaprzedał; ale ja od Wielkiejnocy rady dać sobie nie mogę. Sama nie wiem czego się boję, a boję się; póki hulam z chłopcami, zdaje mi się żem wesoła, ale jak sama, a z tobą, to taki smutek, taki smutek... At, co tobie gadać, ty tego nie zrozumiesz; ty do wszystkiego złego mnie podjudzasz, piękny z ciebie mąż.

— A wszakżeś ty się bała, żebym nie był zazdrośny.

— Cicho leż, stary nic dobrego. Wolisz spać, kiedy sumienie nie kole; spodziewam się, że w taką zawieruchę nikt cię nie obudzi.

I nastąpiła cichość. Ale wkrótce Kieść raptownie poruszył sąsiadkę. — Jewciu — odezwał się — Jewciu, cóś się zdaje, że gości mamy.

— To się tobie tak przyśniło — odpowiedziała Jewka ziewając; — ale nie, stary ma słuch wprawny, doprawdy ktoś stuka w okiennicę.

— Kto tam, otwierajcie, bo do stu par djabłów karczmę każę zapalić! — dał się słyszeć głos jakiś chrapliwy, ale donośny.

— Wstawajże, stary hultaju — rzekła Jewka — ruszaj naprzeciw gości i obudź Magdę w szynkowni; ja tymczasem cóś wezmę na siebie.

Kieść nasunął na nogi buty jałowicze, narzucił kożuch i wrota od stajni otworzył.

Czterej jezdni do niej weszli i zsiedli z koni.

— Gdzie jesteśmy? Co to za karczma? — zapytał pan Łukawski, bo nim był ten, który gospodarstwo tak niegrzecznie obudził, a czytelnik już się domyśla, kto byli jego towarzysze — powiedz-no, stary, czy daleko stąd do celinowskiej karczmy?

— Jest to karczma nazwana Brühlówka, do usług wielmożnego państwa: do marymonckiego młyna mamy ćwierć mili, a do Celinówki lekka milka; siakim takim kłusem za trzy kwadranse stanąć można.

— A do stu tysięcy par djabłów, jakże my szkaradnie zbłądzili! No, no, jakoś się odłatamy. — To rzekłszy, konie porozstawiano przy żłobie, a wszyscy weszli do izby, prowadząc między sobą jakiegoś pana, zawiniętego w bogatej szubie, a który ciągle milczał. Już Jewka coś była wzięła na siebie i już ze zwykłym uśmiechem na uściech, a ze świeczką w ręku, zaczęła się szwędać około swoich gości, każdemu zukosa w oczy zazierając.

Pan Łukawski towarzysza w bogatej szubie przeprowadził do alkierza i rzekł mu — Pan tu mnie poczekaj; na łóżku gospodarskiem spocząć można, i nawet tak życzę, bo wkrótce pojedziemy dalej. — Ty Kuźmo pilnuj go; masz pistolet w ręku; wiesz jaka twoja powinność na przypadek, gdyby chciał ujść, lub, czego się nie spodziewam, żeby kto chciał mu dopomóc. Z oka go nie spuszczaj. Żebyś się czasem nie nudził, zostawuje tobie Jaszczułta (tak się nazywał żołnierz zaufany Łukawskiego), a ja z panem Michałem pójdę szukać naszych, i tu ich z sobą przyprowadzimy. — A do Kieścia: — Mości gospodarzu, waść musisz znać wszystkie tutejsze drogi — waść siądziesz na koń, i poprowadzisz nas do celinowskiej karczmy; za to dostaniesz trzy czerwone złote. Tylko się nie wahaj, bo zaraz cię tem poproszę — i pokazał mu rurę od pistoletu.

— No stary — odezwała się Jewka — trzy czerwone złote z deszczem nie padają; ruszaj, gdzie pan każe.

— A cóż mam robić — odpowiedział Kieść — kiedy tak pięknie proszą.

— Do zobaczenia — rzekł pan Łukawski Kosińskiemu i Jaszczułtowi, i wyszedł do stajni za Kieściem. — Kieść siadł na konia, toż samo Łukawski i wojski; było około jedenastej w nocy.

Nieznajomy siadł na łóżku; wkrótce potem powstał, zrzucił bogatą szubę, uklęknął i zaczął się modlić. A Kosiński, z pistoletem w ręku, siedział na skrzynce przy drzwiach, patrząc ciągle na swojego jeńca.

Jaszczułt i Jewka wyszli do izby szynkowej. Jewka zabierała się z nim poznajomić, ale ledwo się w niego wpatrzyła, przybliżyła świecę do swojej twarzy i krzyknęła: — Kubusiu! czy już mnie nie poznajesz? czy już tak się zmieniłam od lat czterech?

— Ach, Jewka kochana — odkrzyknął żołnierz, i oboje rzucili się w swoje objęcia.

Dla objaśnienia czytelnikowi tego ich poznania trzeba go oświecić, co za człowiek był ten żołnierz. Prawdziwe jego nazwisko było Flicz; ale ledwo wyszedł z dzieciństwa, już był z niego hultaj zawołany. Kilka razy oćwiczony z wyroku magistratu wschowskiego za różne drobne złodziejstwa, uciekłszy z miasta postąpił na wyższą skalę, bo związawszy się z kilku subjektami podobnego jemu sposobu myślenia, zaczął rozbijać na wielkim trakcie. Imię Flicza, zachowane dotąd w podaniach gminu wielkopolskiego, wkrótce zostało postrachem całej okolicy: przystojny, dowcipny, nadzwyczajnej śmiałości, wnęcał się do domów obywatelskich i zawsze udawało mu się je okradać. Okolice Poznania, Kalisza, Sieradzia były polem jego popisów, a nawet okrucieństw. Wkradłszy się do Wschowy, miejsca urodzenia swojego, gdzie chciał się pomścić na burmistrzu za chłosty, kiedyś za jego rozkazem odbierane, został zdradzonym od jednego ze swoich wspólników, który tym sposobem przebaczenie dla siebie otrzymał. Dekretowany na śmierć, udało mu się wyrwać z rąk tych, co go do więzienia odprowadzali, i uciec do kościoła; a stamtąd, po-

mimo straży otaczającej kościół, wymknął się z miasta w nocy, rzekę wpław przebył i wkrótce stanął na czele bandy rozbójników, silniejszej niż wprzódy i plondrował okolice Sieradzia, na domy szlacheckie nawet napadając. Pełno było na niego dekretów sądowych, a żadnego na nim spełnić nie można było, dla niesłychanej jego przebiegłości, obok słabości środków wykonawczych, będących wówczas w szafunku rządowym. Jednak mu się noga powinęła: bo gdy w okolicach Leszna szedł duży transport pod eskortą milicji księcia Sułkowskiego, Flicz odważył się napaść na ten konwój. Milicja dzielnie się broniła, większa część jego towarzyszy życie lub wolność utracili, i on sam dostał się do niewoli. W Lesznie magdeburja jego kolegów powiesić kazała, a jego samego pod strażą silną odesłano do Wschowy, żeby na nim były spełnione wszystkie wyroki przez Magistrat tameczny ferowane. Ale właśnie wtenczas wojna domowa szerzyć się zaczynała w Wielkiej Polsce: pan pułkownik Łukawski, spotkawszy eskortę rządową, rozpędził ją, a każdemu prześladowanemu od rządu sprzyjając bez pytania, czy sprawiedliwie czy nie, Flicza uwolnił, i nawet zaciągnął do swojej komendy. Odtąd nowa era nastąpiła dla zbrodniarza. Wykonawszy przysięgę konfederacji, był jej wiernym, a przytomnością i dziką odwagą ściągnąwszy ku sobie szczególne względy Łukawskiego, stopniami przyszedł nakoniec do najściślejszego jego zaufania. Pan Łukawski nietylko używał go w bojach, ale doświadczał jego zdolności w różnych poleceniach, przezwawszy go

Jaszczułtem, by zakryć nazwisko splamione wyrokami sądowemi. Pod różnemi nazwiskami Flicz wciskał się, gdzie mu wódz rozkazał, wszędzie się sprawiał należycie, wszystko wyszpiegował, po zamkach pańskich, po domach szlacheckich, po folwarkach, po chałupach wieśniaczych, po różnych miastach i miasteczkach, a szczególnie w Warszawie; i zawsze powracał na punkt i dzień naznaczony, przynosząc swojemu wodzowi stanowcze doniesienia. Przesiadując często w Warszawie, a pod nazwaniem Kuby wyjednawszy sobie przytułek właśnie w tejże samej garkuchni, gdzie Jewka rozpoczynała swój zawód szynkarski, z nią się poznał, i wkrótce zbałamuciwszy dziewczynę, pierwszy ją rzucił na ten tor rozpusty i nieprawości, w których się potem sama wydoskonaliła. Rzecz dziwna, a jednak nierzadka między podobnemi istotami: Jewka go kochała namiętnie, i nigdy o nim myśleć nie przestawała. Ile razy Kuba się pokaże w Warszawie, Jewka robi rozbrat ze wszystkimi swoimi kochankami, i tylko nim jednym jest zajęta; nawet pomimo jej bezczelnej chciwości, nie wahała się często udzielać Kubie jakiejś części zarobionego przez siebie grosza. Zawsze piastowała nadzieję być kiedyś z nim nierozłączną; nawet poszedłszy za Kieścia, ulubionem jej było marzeniem, że pochowa swego obrzydliwego starca, że wtedy drogi Kubuś się pojawi, że zostanie jego żoną, że jego zbogaci, i powróci pod jego opieką na ten gościniec cnoty, co go od lat tylu opuściła. I co dziwniejsza, łotr podzielał te uczucia nierządnicy, cho-

ciaż od jej zamążpójścia nigdy nie widzieli się z sobą.

Wielka była ich radość, kiedy się z sobą spotkali. — Cóż moja Jewko - - zaczął Flicz - wolałaś sobie dobrać gagacika z łysiną i siwym wąsem, niż na mnie czekać. Z tem wszystkiem, jak uważam, źle się wam nie dzieje.

— A cóż, zwyczajnie z łaski Pana BOGA, jest jakiś grosz, ale szczęścia niewiele. Ty bywało, to się pokażesz, to znikniesz nie wiedzieć gdzie, a dziewczynie nie wiekować dziewczyna, żeby się nie doczekać aż jej ludźie powiedzą: — Siedź, stary grzybie, bo już cię nikt nie zdybie. Abo to się nie naprzykrzyło z liberją przestawać; ale jak ludzie mówią, wiele robi kto musi. Kieść stary a bogaty powiada mi: — Jewko, chcesz być moją, ja z tobą się ożenię. Trudno mu było odpowiadać: — Nie, wolę cudze kąty wycierać, niż mieć własne gospodarstwo. - - Ciebie Kubusiu nie było, Kieściowim się dostała.

— A mąż twój ludziany?

— At zachciałeś, rozbójnik ma więcej sumienia od niego; on Pana BOGA się nie boi, u niego pieniądz wszystkiem. Odkąd z nim żyję, złotówki nie dał na mszę. Ja chciałam żyć po Bożemu; myślę sobie, chyba Kubuś przybędzie, to z nim poszaleję, bo on do mnie ma pierwsze prawo, ale ktokolwiek inny mnie zaczepi, do wściornaskich, ożogiem mu odpowiem. Albo mój stary ladaco dopuścił mnie poczciwie prowadzić się? On na wszystko złe mnie naprowadził. — Co ty za szynkarka - - prawi - co od ludzi stronisz? to chcesz

żeby u nas były pustki, a my z torbą poszli? Jam ciebie nie nato wziął. Cóż to? tyś mnie posag wniosła, żebyś miała prawo mówić: ten dobry, a ten niedobry? Albo jabym się z tobą ożenił, żebyś nie miała przyjaciół? Oni za tobą i tu liżą, a jak ty będziesz ich odstręczać, to ja pięknie na moim szynku wyjdę. Rób po dawnemu, Jewko, uczciwych ludzi nie gniewaj, a tylko się sróż na takich, co mają pustki w kieszeni. — A — powiedziałam mu — kiedy ty taki poczciwy, to dobrze! Co mam sobie żałować. — Kubusiu drogi, wypijno kwartę maliniaku, ty kiedyś to lubił.

— Nalewaj, kochana Jewko, z ręki twojej truciznębym przyjął. No! powiedzże mnie, kiedy tak, to pieniążki płynąć do was muszą?

— Tać to grzech byłby się skarżyć. Tej nocy zawieruchą, więc prócz was nikogo niema; ale jak tylko można nosa pokazać na podwórzu, to koło mnie o tej porze liberji, jak koło jakiej wojewodziny. A żaden z próżnemi rękami nie przychodzi, ani powraca cokolwiek jeszcze mając w kieszeni; bo oni wiedzą, że tu niczego ani darmo, ani na borg nie dostać. Tobie jednemu to ujdzie, Kubusiu, bo jeno ciebie co sama kocham, a drugim pozwalam tylko siebie kochać.

— Ach, duszeczko moja, jakże ty o mnie nie zapomniała w takiem bogactwie; bo że ja ciebie kocham, nic dziwnego; temu co ciągle bieduje niestałym nie być.

— Ach! nie gadaj mnie o twojem biedowaniu, Kubusiu! Póki się u mnie znajdzie złotówka, zawsze mieć będziesz prawo do srebrnego grosza.

Ot! wiesz co mi przylazło do głowy? — mój stary niecnota dychawiczny niedługo pociągnie. Co mnie z tem, że ludzie powiadają, że go za nos wodzę, kiedy ja jego cierpieć nie mogę, a za tobą szalcję? Jak go pochowam, zaraz pójdę za ciebie, a ze mną dostaniesz pieniędzy więcej, niż się spodziewasz; i będę żyła tak poczciwie, jak ksiądz pleban każe, będę poczciwa jak stara, choć dopiero dwudziesty piąty rok zaczęłam.

— Mój gołąbeczku, teraz jeszcze pójdę w świat, i to już po raz ostatni, a wkrótce wrócę do ciebie, Jewko, i przy was osiądę, i będę czekał z wami, aż starego na cmentarz zawiozą.

— A dlaczego zaraz mnie chcesz rzucać? czyż tobie tak dobrze beze mnie?

— Obowiązki, moje serce; czy to każdemu jak tobie udaje się robić po myśli swojej?

— Powiedzże mnie, Kubusiu, co to za pan, co w tak bogatej szubie w alkierzu siedzi, i nic nie mówi? Co wy myślicie z nim zrobić?

— O to mnie nie pytaj, to sobie zwyczajnie pan, dobry przyjaciel mojego.

— A hultaju! to ty tak mnie kochasz? Cztery lata ze mną się nie widział, i nato przychodzisz, żeby za moje czułe przyjęcie mnie zwodzić? Idźże sobie precz ode mnie, kiedy tak; już ciebie i znać nie chcę.

— Ale, mój gołąbeczku, co moje to twoje, ale co nie jest mojem, tego ci dać nie mogę. A wiesz, duszeczko, żebym cóś powiedział co nie trzeba, to mnie za to mogą poczęstować szubienicą.

— Już ja ciebie pewnie nie zdradzę, Kubo. A czy ty myślisz, że mnie oczy zamydlić można? Ja tylko zukosa okiem rzuciłam, a zaraz poznałam co to za jeden.

— Kto?

— Oto sam król. Zaraz mnie powiedz, co myślicie z nim zrobić?

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, bo już przed moją Jewką kłamać nie będę, my go chcemy zaprowadzić do Częstochowy.

— Czy ty oszalał, Kubo? Króla ciągnąć przeciwko jego woli! A co ty myślisz? Szlachcica zaczepić strach, pana to jeszcze większy, a zrobić gwałt królowi ma na sucho ujść? W szkaradną rzecz dałeś się zaplątać, Kubusiu, a jeżeli od tego się nie odplączesz, wspomnisz moje słowo, że wisieć będziesz. Wolałbyś kościół okraść, niż się zahaczyć o króla. Czy ty wiesz, co to znaczy król? to więcej niż biskup, bo biskupi go w rękę całują: to cóś na świętego zarywa. Na takiego się porwać — aż włosy na głowie powstają, aż mrowie po ciele przechodzi. Bywajże zdrów, Kubo, ja uciekam z domu! Dopiero nieszczęście na mnie naprowadziłeś!

— Ale, Jewciu moja, za godzinę najdalej nasi powrócą i nas z sobą zabiorą; a tak i nieszczęście stąd wyniesiem.

— Ale jaki z ciebie cap, Kubo! — Królem wedle swojego widzimisię obracać, to tak łatwo jak fryjerowi kieszeń oderżnąć. On w ręku waszem będzie, a jak zechce, wy oślepniecie, a jemu nic się nie stanie.

– Gadaj sobie zdrowa co chcesz, a już nie mnie się cofać. Czy wiesz, że tyle jest na mnie dekretów, że gdybym miał dziesięć szyj a za każdą mnie powiesili, to jeszczebym nie odwisiał tego wszystkiego co się mnie należy? Czy tak, czy inak, ginąć mnie na jedno.

Otoż to właśnie, że na taki kłopot jeden tylko król poradzić może, jak mu pomożesz do wyratowania siebie; co on zresztą i bez ciebie dokaże. Tać to ja warszawianka, z maleńka na królów patrzałam, znam się lepiej na nich, niż wy, co to którego z nich raz w rok widujecie. Ja głowę daje w zastaw, że jak ty zawczasu o sobie nie pomyślisz, to na to wyjdzie, że król jak jest tak będzie królem, a ty w dobrej kompanji nogami dyndać będziesz; ja ci to mówię.

— A skądże taka przepowiednia?

– Oto stąd, że wy chmyzy, charłaki, a on król, pomazaniec Boży; a posłuchaj-no, co o nim mówią księża z ambony. A czy go to nie święcili w kościele? Ja sama pamiętam, jak wychodził z kościoła mając złotą koronę na głowie, a na sobie płaszcz karmazynowy pięknem futerkiem podszyty, a jak to wszystko było mu do twarzy. Miej litość nad sobą Kubusiu! Tać to on jest królem naszym, jak Pan BÓG jest Królem Nieba; jak jemu się okażesz wiernym, to on cię zrobi szczęśliwym. Mówisz, że na ciebie są dekreta; a któż cie z nich odlepi? Jużci nie twoi konfederaci. Ale król czegoż nie może zrobić? On jak zechce, to mój stary rozwód będzie musiał wziąć ze mną, a ty zostaniesz moim mężem; on ciebie

zrobi nietylko niewinnym, ale nawet szlachcicem, kiedy mu w myśl trafisz. I wtedy będziemy mogli mieć własną wioseczynę, bo na to u mnie się znajdzie grosza, a czego nie dostanie, to król doda. Bo czego nie będziesz miał prawa wyprosić, jak go wyrwiesz z rąk tych oprawców co ciebie opętali?

— Ale jakże to zrobić, moja Jewko? bo ty wiesz, że u kija dwa końce.

— Nic łatwiejszego: są tu sanki i chabety nasze w stajni; czyż go nie można zawieźć do marymonckiego młyna. Oświadczmy królowi naszą pomoc, i posłuchajmy, co on nam na to powie - - on i sobie i nam poradzi.

Tu Jewka siadła na kolana Flicza, zaczęła go pieścić i całować, mówiąc: - - O biedna Jewa, kiedy Kuba się waha, i siebie i ją chce zaprzepaścić.

— Niech i tak będzie, gołąbeczku drogi. Niech tylko mnie król oczyści, żeby ani żaden grod, ani magistrat do mnie nic miał prawa, a zresztą niech da co jego łaska, a ja go już stąd wyprowadzę.

— Tylko rób ostróżnie, Kubusiu, bo tu nie ty jeden. Jest tam jakiś drugi co króla pilnuje: żeby się on czasem tobie nie sprzeciwił.

- - At co ty mnie gadasz? Ja trzech się nie boję, a jednemubym nie miał dać rady? Wielkie mi święto pan Kuźma Kosiński: będzie ze mną trzymać, to mu powiem BÓG zapłać, a zechce robić po swojemu, to mu tak dam po łbie, że twar-

do zaśnie, a że to dla króla, będzie o to pokój z grodem. Tylko widzisz, Jewko, co mi teraz w głowie: póki król w jamie, to siła będzie obiecywać; ale jak go wyciągnę z jamy, żeby mnie potem nie opuścił.

— Jaki ty głupi, Kubusiu; tobie się zdaje, że to z wójtem lub rajcą sprawa. Szlachcicowi połgać się wstyd, a chcesz, żeby król puścił się na oszusta? Niby to dla niego wielka sztuka dotrzymać obietnicę; jemu łatwiej uszczęśliwić chudego pachołka, niż tobie plunąć: a list żelazny dać na uspokojenie wszystkich magistratów, nato cały zachód, żeby piórem pociągnąć po papierze. Ta czy to jeden tym sposobem wyrwał się od szubienicy, za to tylko, że jakaś pani przed królem udygnęła? a ty wyratowawszy go, byś się miał obawiać stryczka, i to za takie grzechy, o których już zapomnieli? Co to? ty myślisz, że króla uwolnić to piechotą chodzi? wszakże pany i szlachta same z siebie nie wyrosły jak grzyby. Wszyscy z początku byli prostaczkami, a jakiś król zawsze był nad nimi, bo i Pan BÓG jeszcze nie myślał zostać człowiekiem, a już był królem na niebie. Otóż jak jaki prostaczek zrobił przysługę królowi, ten go postąpił na szlachcica, a jeśli jeszcze większą, to na pana; a czy kto zrobił kiedy królowi większą przysługę, niż ta która się tobie nadarza. Tobie szubienica w głowie, a w to nie wchodzisz, że co najmniejszego cię spotka, to, że zostaniesz szlachcicem, a jak się potem ożenisz z Jewą, to ona w kościele będzie w ławce siedzieć między szlachciankami.

— Każże, Jewciu, twojemu wyrostkowi założyć chabety do sanek, a ja pójdę sprawić się w alkierzu. Tylko nie trać minuty, żeby nasi nie powrócili przed czasem. Dwadzieścia koni, to nie z jednym robota, a między nimi są Litwini, co kiedy który z nich się odezwie, zdaje się że śpiewa, aż śmiech, a takie zuchwałe, że jeden na dziesięciu się rzuci. — No, ruszaj Jewciu, a daj mi buzi na szczęście.

— Poczekaj, każę zaprzęgać wyrostkowi, i pójdę z tobą do alkierza.

Obaczmy, co się w alkierzu działo.

XV.

Majestat królewski.

Zostawiliśmy króla modlącego się pod bacznym wzrokiem swojego strażnika. Stanisław August był głośnym wyznawcą filozofji XVIII wieku: więcej dbał o szacunek Woltera, niż o przychylność własnych poddanych. Okazywał wstręt od wszystkich tych, co nie zboczywszy ze staropolskiej pobożności, nowym wyobrażeniom do siebie przystępu nie dawali. Otaczał siebie libertynami, wolnomyślącymi, rozpustnikami pełnymi dowcipu, którzy nie przestawali w jego obliczu szydzić z tych, co ich nazywali nabożnisiami, zabobonnikami, Sarmatami; potakiwał ich żartom, obsypywał ich łaskami. Żaden monarcha nie przyczynił się tyle do rozpowszechnienia niedowiarstwa w narodzie; a jednak przez tę sprzeczność, którą tajniki serca ludzkiego częstokroć okazują, nietylko że nie był bezbożnym, ale nawet był skłonnym do tych wszystkich powierzchownych oznak, do tych wszystkich drobnych praktyk, coby je można nazwać zdawkową monetą pobożności. Po wieczorze przepędzonym z powiernikami obojej płci, gdzie słyszał z upodobaniem najwyuzdańsze pociski miotane na wiarę ojców, do czego własnych szy-

derstw nie szczędził, widziano go samego sobie oddanym, rzucającego się o ziemię przed obrazem Najświętszej Panny, zalewającego się łzami na widok ukrzyżowanego Zbawiciela, modlącego się ze wszystkiemi oznakami jakiegoś zachwytu. Co piątku zamykał się na parę godzin z ojcem Wargackim, paulinem, spowiedzi lub inne ćwiczenia duchowne z nim odbywał, a nazajutrz oddawał się tej samej lekkomyślności w mowie, tej samej rozwiązłości w nałogach.

Też sprzeczności okazywał i w sprawowaniu rządów; pierwszy rzut jego oka był zawsze mądry i zbawienny, każda czynność następna była ledwo nie zawsze nikczemna. Ile razy zawakuje urząd, pierwsze jego oświadczenie bywało za takim, co go i opinja powszechna sądziła być najgodniejszym jego piastowania, a wkońcu powierza go jakiemuś zausznikowi, jakiemuś dworakowi nieznanemu lub źle znanemu od narodu, ale popartemu wstawieniem się jakiejś damy. Pan łagodny, nie mogący znieść obojętnie nietylko widoku, ale nawet opowiadania cudzego cierpienia, w ciągu swojego panowania dopuścił się kilku czynności tak okrutnych, że władca z twardem sercem nad niemi niecoby się zastanowił, i to względem osób niewinnych, i nawet bez cienia istotnej potrzeby. Nie mściwy, uraz niepamiętny, kilka osób co przeciw niemu zawiniły niezmordowanie prześladował aż do wzniecenia w ich sercu rozpaczy, i to nader poziomemi środkami[1]), chociaż te ofiary wierno-

[1]) Naprzykład, jeżeli kto się kiedyś naraził królowi, a miał z kim prywatną sprawę, król listami ob-

ścią późniejszą o kilka razy nasób staraly się przeciwważyć niechęć kiedyś mu okazaną. A znowu obsypywał łaskami jawnych i nieubłaganych swoich nieprzyjaciół: jednem słowem, całkowity zawód tego króla był zagadką nietrudną do rozwiązania: on był lękliwego serca. Odwaga może przeważyć niedostatek wielu cnót, ale wszystkie cnoty razem połączone nie są zdolne zastąpić niedostatek odwagi[1]).

Lecz jeżeli natura w tem okazała się dla niego skąpą, czem niezaprzeczone jego cnoty i przymioty po większej części na nieczynność, lub nawet złą czynność wskazane były, z drugiej strony

---

sypywał członków juryzdykcyj sądowych, zalecając im stronę przeciwną. Człowiek z najczyściejszą sprawą, jeżeli król był jemu niechętny, w trybunale po cierniach i głogach przechodzić musiał. Temi intrygami w sądownictwie szczególnie utracał szacunek poddanych.

[1]) To nam objaśnia cześć, że tak powiem bałwochwalczą, pospolicie oddawaną odwadze. Ledwo nie każdy wolałby między ludźmi uchodzić raczej za niepoczciwego niż za tchórza; żaden występek tak starannie się nie ukrywa, jak bojaźń. Umierający ze strachu nadstawia się jak może, a lubo tem nie oszuka wzroku przenikliwego, prawdziwie mężnego człowieka, jednak tą usilnością pogardzać nie można; jest to wyznanie, że bez pewnego stopnia odwagi nie można być poczciwym człowiekiem. Gdzie tylko szerzyć się zaczynają szachrajstwa, fabrykacje, nierzetelności, w takiem społeczeństwie w równym stosunku zmniejszać się będzie liczba mężnych, tak dalece, że nakoniec wszyscy mogą tchórzami zostać. Przekonany jestem, że z duszą bojaźliwą nie można być genjuszem w żadnym zawodzie.

była dla niego rozrzutną, w tem zwłaszcza, co na ludzi działać może. Dźwięk mowy czarujący, powierzchowność zachwycająca; szlachcic prosty, wcale niedługiej parenteli, a było w nim coś tak królewskiego, coś tak majestatycznego, że najzajadlejszy jego nieprzyjaciel, zbliżywszy się ku niemu, nie mógł nie przyznać, że dla niego w Polsce oprócz tronu nie było właściwej posady. Ta jego postać, na pospólstwie szczególnie, nadzwyczajne robiła wrażenie; na którem żeby jakiekolwiek wrażenie działało, musi się wprzódy okazać przed niem w sposobie plastycznym[1]). Stąd Stanisław

[1]) Każda idea wyrażona plastycznie ma swój rodzaj piękności, której prawidła bynajmniej nie są dowolne. A że największe wyrażenie plastyczne idei jest mąż, który ją przedstawia, musi on mieć w powierzchowności swojej coś takiego, co się odnosi do tej idei. Głowa Platona w swoim rodzaju tak jest piękną jak Aleksandra Wielkiego. Pod żadnym względem forma nie może być rzeczą obojętną: w tworach kunsztu, zawsze skażenie myśli zdradzi się skażeniem formy. Błąd klasyków nie w tem, że domagają się piękności w formie, ale w tem, że nie umieją poznać, że dla wyobrażeń zupełnie innej natury, i dla wyrobu myśli w sposobie dawniej nieznanym, dawniejsze formy nie będąc właściwemi, nowe formy są niezbędne. I samo z siebie, nowe wyobrażenia wyrabiają dla siebie najwłaściwszą formę. To nas często zwodzi, to że nam się zdaje, że my tworzymy, kiedy rzeczywiście tylko naśladujemy: twórczość nie jest ani naśladowaniem, ani pogardzaniem formy; twórczość jest twórczością, i swoje prawa dopełnić musi. Jakakolwiek idea, czy polityczna, czy religijna, czy moralna, jeżeli nie może być działawczą jedno wcieleniem się w potężnej indy-

August, jeżeli szlachta z rodów starożytnych była mu przeciwną, w pospólstwie nigdy nie przestawał być popularnym. Mamy tego dowód w roku 1794, kiedy kierownicy ludu zdołali go popchnąć ku ostatnim krańcom nieładu i wyuzdania, a jednak tego na nim wyjednać nie mogli, by w czem uchybił czci i przywiązaniu dla króla[1]).

Kuźma Kosiński, ubogi szlachcic, urodzeniem i wychowaniem swojem stał moralnie na samem pograniczu między stanem uprzywilejowanym narodu, a motłochem gminnym, i naturalnie skłonniejszym był do podzielania wrażeń instynktowych ostatniego, niż do przejęcia siebie aż do niezachwia-

widualności, ten człowiek idea mieć będzie koniecznie piękność w swoim kształcie zewnętrznym, chyba że ta idea, co ją przedstawuje, nie zasługuje na to, by aż mogła stanowczo działać na masy. Każdy wielki człowiek był pięknym w swoim rodzaju. Jeżeli zaś natura tej idei jest taka, że tylko w piśmie może się wyrazić, a ta idea jest żywotną, ma wkorzenić się w sercach czytelników, i ich do czegoś dobrego doprowadzić, oczywiście że musiała dobrać dla siebie i sama z siebie najwłaściwszą piękność w formie. Wiem, że znajdą się tacy, co mi zaprzeczą to moje twierdzenie: że będą pracowicie wyszukiwać jakichś mężów, których nazwą wielkimi, a których kształt zewnętrzny nie był powabnym; jakichś dzieł uczonych, które obok wielkiego pożytku dla ludzi, i w formie i w stylu nie celowały — cóż to wszystko będzie znaczyć przeciwko prawdzie oczywistej?

[1]) Uszanowanie i miłość dla królów swoich jest cechą Narodu Polskiego, to historycznie dowieść można. Ale wiele rzeczy dzieje się w imieniu narodu przeciwko narodowi.

nia wyobrażeniami stanowiącemi żywotność pierwszego.

Jak król, modlitwę skończywszy, łagodnie na niego spojrzał, doświadczył natychmiast pomimowolnego uczucia uszanowania, do którego przymieszało się coś nakształt bojaźni. Pistolet co go dotąd w ręku trzymał, położył na skrzynce obok siebie. Gdyby był w towarzystwie kilku, byłby może względem króla zuchwałym, nieczułym, okrutnym; ale że był sam jeden, że nie było nikogo do podbudzenia jego namiętności, uczuł w sobie coś, czego sobie wytłumaczyć nie umiał, ale takiego, że chciałby być o kilkanaście mil od miejsca, gdzie się znajdował[1]).

Król śledził go oczyma, a Kuźma baczył, żeby jego własne oczy nie spotkały się z oczami królewskiemi. Czas jakiś trwało milczenie; król je przerwał pierwszy temi słowy:

---

[1]) Jest w królach najłagodniejszych nawet, coś takiego, co miesza tych, co zwłaszcza pierwszy raz do nich się zbliżają; rozumie się w królach chrześcijańskich. Jest coś tajemniczego w tym uroku majestatu królewskiego, którego sama władza nie tłumaczy. Napoleon szukał pomazania, chociaż to do jego władzy nic już dodać nie mogło. Król jest to pasterz ludowi naznaczony od BOGA; jest to pośrednik między Nim i człowiekiem w społeczeństwie politycznem; godność królewska jest to kapłaństwo polityczne, stąd modlitwy królów są prawie zawsze skuteczne. Jeżeli w jakiem społeczeństwie miłość i cześć dla królów się zmniejsza, jeżeli z upodobaniem pozwalają sobie rozszerzać się nad słabościami panujących, jest to oznaką, że tam duch chrześcijański znajduje się w upadku.

– Mości panie, i cóż ze mną myślicie zrobić?

— Nie wiem — odpowiedział Kuźma zawsze z oczami spuszczonemi; — ani przewiduję, co starsi z Najjaśniejszym Panem postanowią.

— Powiedzże Wpan, co za powód, żeście napadli na waszego króla, na pomazańca Bożego, żeście go gwałtem porwali w środku jego stolicy, i wyrządziliście mu krzywdę, jakiej nie odważyłbym się dopuścić względem najpośledniejszego z moich poddanych? Prawo kardynalne narodu: neminem captivabimus nisi jure victum, prawo wszystkim służące; czyż jeden tylko król wasz ma być z niego wyzutym?

— Najjaśniejszy Panie, co to do mnie należy? Jeżeli w tem co złego, niech się wstydzą ci, co rozkaz dali, a nie ci, co go spełniają.

— Ale mospanie, nie jesteś niewolnikiem; będąc szlachcicem, jesteś sędzią spraw narodu; bez przekonania posłusznym być nie możesz. Zapytuję Wpana, co mnie zarzucić można? Jaka jest wina moja, bym ja, panujący, mógł być wyzuty z opieki prawa zaręczonej każdemu obywatelowi? Populе meus, quid tibi feci?

— Oto zarzucają Najjaśniejszemu Panu, że z jego łaski obcy żołnierz kraj nasz plondruje, że pokoju nie ma Rzeczpospolita, że obywatel jest zniszczony, gdzie wojną, gdzie głodem, gdzie morowem powietrzem, gdzie zbuntowanem chłopstwem. A że wszystkiego tego złego nie było za nieboszczyka Sasa, tylko to wszystko nastało odkąd Najjaśniejszy Pan zostałeś królem.

— I cóż ja temu winien mospanie? czym to ja rozkazał ziemi żeby nie rodziła? czym to ja morowe powietrze wymyślił? czym ja zbuntował chłopstwo ukraińskie, lub rozpoczął wojnę domową? — Przebóg! jaż to mam odpowiadać za złe, co go nieprzyjaciele moi, obłąkawszy część narodu nagromadzili w naszej nieszczęśliwej Polsce? złe, któremu nie oni, ale ja jeden zaradzić mogę. Święty Prorok powiedział, że biada narodowi, gdzie młody powstaje na starca, mały na wielkiego, poddany na pana, bo na nim jest niebłogosławieństwo Boże. Ileż to nieszczęść na cały kraj spadnie z waszego nierozważnego kroku!

— Mówią także, że Najjaśniejszy Pan narzuciłeś siebie przeciwko woli narodu.

— Ja, ja narzuciłem siebie? — rzekł król powstając i przechodząc się szerokiemi kroki po izbie. — Ja siebie narzuciłem! Kłamstwo, potwarz, biorę BOGA na świadka, że potwarz. Czy w Woli, wśród tych tłumów szlachty ze wszystkich województw przybyłej, choć jeden głos był przeciw mnie podniesiony? Czemuż przeciwnicy moi nie stanęli wtenczas, by się temu oprzeć? wszakże jeden głos szlachecki zatamować może nasze obrady. Czemuż nie ostrzegli wtedy narodu, że błądzi, wynosząc mnie nad sobą ze stanu równości? Szlachcic, który się nie znajdował na elekcji, tem samem wyznał, że opinją swoją zdaje na tych, co się na niej znajdować będą. Gdzie prawo upoważniające nieobecnych, aby śmieli burzyć to, co obecni postanowili? I cóż mnie zarzucić można? Ja mam ręce związane do robienia wam dobrze. Naj-

nędzniejszy z moich poddanych ma chwile spokojne; ja jeden w ciągu mojego panowania ani jednej chwili wolnej od zgryzoty nie skosztowałem. Wszystko co usiłowałem zrobić dla dobra moich poddanych, nieprzyjaciele moi nietylko że sami te moje usilności zniweczyli, ale jeszcze oczernili mnie przed narodem, dla którego jedynie żyję, i same potwarze pobieram w dani. — Tu zaczął łzy obfite wylewać; Kuźma stał jak na szpilkach.

Król zastanowił się i badawczem okiem dośledził na jego twarzy skutku mowy swojej. Prostak nie był w stanie utaić na niej swoich wrażeń; śmiały w boju aż do wściekłości, w przytomności króla sam sobie oddany, nie mógł przytłumić trwogi, która jakby zimnem żelazem przeszyła jego serce. Król zdołał wyczytać w jego tajnikach i już przeczuł zupełne zwycięstwo. Zbliżywszy się do niego, przedłużył rozmowę w ten sposób:

— Wpan jesteś szlachcicem i katolikiem, musisz miłować BOGA i ojczyznę. Czy się domyślasz, jakie będą następstwa waszego nierozważnego kroku? jakie klęski z niego na cały kraj spaść mogą? Ten naród polski, tak szlachetny, tak wierny swoim monarchom, ten naród o którym Zygmunt mawiał, że na dłoni każdego z swoich poddanych śmiało może spoczywać, odtąd piętnem królobójstwa nacechowany będzie. Czy jest jeden król chrześcijański, coby w krzywdzie mnie wyrządzonej nie uczuł zniewagi własnego majestatu? coby nie ścigał sprawców najokropniejszego występku? Potoki krwi polskiej nie zdołają ugasić

sprawiedliwego gniewu monarchów. Nazwiska wasze przeklęte będą w narodzie.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, któż o królobójstwie myśli? Takiej szkarady nie można przypuścić. Cała konfederacja wie o tem, że Najjaśniejszy Pan jesteś królem; wszakże w Częstochowie na mszy świętej imię jego jest zawsze wspominane.

— A czyś Wpan zapomniał, jak dopiero ten, który się zdawał starszym między wami, zalecał Wpanu, byś na przypadek, żeby się znaleźli tacy, coby o moim ratunku myśleli, we krwi mojej nie wahał się zbroczyć? Czyż tego własnemi uszami nie słyszałem? Niebaczni! wam się zdaje, że BÓG może dopuścić miarę waszej nieprawości. On dni monarchów 'policzył; On wam pokazał dopiero, ile wam sprzyja, ale w miłosierdziu swojem dla was dał przestrogę, obyście z niej umieli korzystać. Wszakże mieliście znaleźć poczet waszych, żeby mnie tam dostawić, gdzie dla mnie męczeńska śmierć już jest przygotowana. I cóż? On was olśnił i zaprowadził tam, gdzieście nie chcieli. Nie nad sobą, ale nad wami się lituję; śmierć byłaby dla mnie wygraną, byłaby kresem moich cierpień, moich zgryzot. Ale jak wspomnę, co się z narodem stanie po mojej śmierci, co się stanie z jego bytem, z jego sławą, jeszcze nad byt droższą, łez moich wstrzymać nie mogę.

— Jam temu nic nie winien, Najjaśniejszy Panie! Ja swojego nic się nie domyślam, robię tylko to co pan pułkownik kazał.

— Kto Wpanu śmie dawać rozkazy przeciwko mnie? Kto tu jest starszym, pułkownik czy sam król?

Tu Stanisław August tak wspaniale spojrzał na niego, tyle dodał uroczystości do tego powierzchownego majestatu, którym go natura obdarzyła, że Kosiński nie mógł znieść jego oblicza. Dreszcz go przeszedł nawylot, nogi się pod nim zachwiały, chciał coś przemówić, język mu zlodowaciał; słaniał się, nareszcie padł królowi do nóg, zaczął królewskie nogi całować i odezwał się w największem poruszeniu: — Co każesz, królu, to zrobię, tylko odpuść com przeciwko tobie zawinił; a jeżeli cię stąd wyprowadzę, Najjaśniejszy Panie, żadnej innej nagrody nie żądam, tylko żebym mógł się wynieść z kraju, bo mnie tu już nie siedzieć, i żebym w niczem nie był wmieszany do sprawy, która się z innymi wytoczy.

— Daję Wpanu słowo moje królewskie, że jeżeli postanawiasz opuścić ojczyznę do śmierci Wpana potrzeby sowicie opatrzone będą[1]), i że

[1]) Kuźma Kosiński w bardzo podeszłym wieku umarł w Sinigalji, gdzie się utrzymywał z pensji czterechset szkudów, które jemu corocznie książę Stanisław Poniatowski, synowiec królewski wypłacał. W r. 1819 będąc w Sinigalji, a dowiedziawszy się że żyje jeszcze, chciałem go poznać osobiście, ale tego dokazać nie mogłem. Kosiński dla każdego dziki, z największą troskliwością unikał Polaków. Tak się obawiał którego z nich spotkać, że osiadłszy w mieście rzadko nawiedzanem, i to chyba tylko przelotem, ile razy był jarmark w Sinigalji, z miasta się na te dni kilka wynosił, żeby nikogo z obcych nie spotkać. Umarł w bardzo podeszłym wieku, 1825 czy 26 roku.

Wpana imię wspomniane nawet nie będzie w ciągu sprawy, która się wkrótce wytoczy. Bo ja sam sądu domagać się będę; ja pragnę wszystkich przekonać o mojej niewinności. Niech się Korona i Litwa dowie, aż na jakie imprezy poważyli się nieprzyjaciele moi. Niech naród między nami rozsądzi. Moja krzywda jest krzywdą narodu, który mnie rozkazał nad sobą panować...

Tu drzwi od izby szynkowej się otworzyły, a Flicz i Jewka stanęli przed królem. Flicz miał czapkę w ręku, głowę pochyloną, pomieszanie jakieś cała jego postać zdradzała. Ale jakie było jego zadziwienie, kiedy ujrzał Kosińskiego wijącego się, że tak powiem, u nóg królewskich. Klęknął Flicz obok towarzysza broni, a Jewka także uklękła.

— Królu — rzekł Flicz, wyciągając do niego rękę — miej litość nad twoim wiernym poddanym; dalibóg! ja tak dalece nie jestem winny. Jestem mieszczaninem ze Wschowy, za różne psoty dekretowany na szubienicę, już mnie prowadzili do niej, kiedy konfederacja barska mnie odbiła. Trudno było do niej nie przystać, bo siedząc spokojnie stryczek magdeburskiby mnie znalazł. Jedyne moje bezpieczeństwo było w konfederacji, gdzie mnie wplątano w szkaradną robotę, o której z góry nie wiedziałem. Pan Pułaski, kiedy nas wyprawiał, ani się z tem odezwał, by to cóś było przeciwnego królowi; broń BOŻE, ani słówka nie było o tem. Tylko powiedział nam: — oto macie pułkownika, jemu bądźcie posłuszni, a on wam powie co macie robić. Teraz pułkownika niema, i choćby był, wolę słuchać króla niż jego. Rozkaż, królu,

ja twój! Wyprowadzę cię z kłopotu, byleś królu i mnie z niego wyprowadził.

— Czegoż chcesz, mój kochany? — zapytał król łagodnie.

— Żelaznego listu pragnę, Najjaśniejszy królu! Wszak mówiłem, że są na mnie dekreta; a jak król jeszcze z łaski swojej da co na barszcz i obuwie, dalibóg, że już nigdy łotrować nie będę; naco to mi się zdało? Oto Jewka, gospodyni tutejsza, moja dawna przyjaciółka, jak mnie poznała dopiero, a słowo po słowie dowiedziała się, poco my tu przybyli, zaraz mnie zreflektowała i powiedziała mnie: — Jak króla wyprowadzisz nazad do Warszawy, to on ciebie po królewsku nagrodzi. Jeszcze jam jej powiedział, bo co prawda to prawda, że człowiek kiedy czego chce, siła obiecuje, a kiedy otrzyma, to zapomina co kiedyś powiedział. A Jewka mnie na to: — At głupiś! Król, to nasz pan przecie; ja widziałam jak wychodził z kościoła w koronie, która mu była bardzo do twarzy; jak jemu zrobisz taką przysługę, to on nietylko że ciebie obroni od wszystkich magistratów, ale i szlachcicem zrobi, że twoja żona siedzieć będzie w kościele w ławce, bo on po królewsku lubi nadgradzać. Nie wyciągaj nawet na obietnicę, jeno spuść się na niego.

— I na tem pewnie nie stracisz — odrzekł król.

— Otóż Najjaśniejszy królu, tak mnie Jewka w samo sedno trafiła, że już szedłem na odsiecz i byłbym zaczepki szukał panu Kuźmie, gdyby cóś miał przeciwko tego: ale i wilk syty i koza będzie cała. Kiedy pan Kuźma obok mnie klęczy przed

tobą królu, cztery oczy lepiej obaczą niż dwa, a cztery ręce więcej zrobią, niż ja sam jeden z dwiema. No i cóż mam mówić? Jewka powiedziała: — Króla słuchaj, a on i sobie i wam poradzi.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła Jewka, mieszając się do rozmowy — mój pachołek bodaj czy nie zaprzągł już do sanek; niech król siądzie na nie, a my go zawieziem o ćwierć mili stąd do młyna marymonckiego: on całą duszą przywiązany do Najjaśniejszego Pana, którego chleb je.

— Moja kochana — odrzekł król, głaszcząc ją po twarzy — ty jesteś ładniutka, a więc nic dziwnego, żeś dobra; o tobie pamiętać będę. — Obracając się do Flicza: — Słuchaj, ołówkiem kilka słów napiszę, weź to pismo, siądziesz na koń, co może wyskoczyć ruszaj na nim do Warszawy. Tam za Żelazną Bramą szukaj pałacu Strawińskich; tam pójdź i panu staroście wieluńskiemu oddaj karteczkę, którą ci zaraz wręczę, i słuchaj jego rozkazów. Jak mi się dobrze sprawisz, będziesz mieć moją łaskę królewską. — I dobywszy z pugilaresu kawałek papieru, kilka słów na nim napisał, a zgiąwszy papier, oddał Fliczowi.

Flicz siadł na konia, i puścił się cwałem do Warszawy. A że już sanki były gotowe, król siadł wtyle, obwinąwszy się w szubę, Kosiński zajął miejsce obok wyrostka powożącego. A Jewka, bojąc się zostać w karczmie, żeby się w niej nie doczekać powrotu konfederatów, i nie paść ofiarą ich gniewu, jak obaczą, że król umknął, siadła w nogach królewskich.

XVI.

Zwycięstwo starosty.

Kieść, jak się wyżej powiedziało, przeprowadzał pana pułkownika i pana wojskiego do celinowskiej karczmy. Zawierucha była ustała, lecz napotykali często śnieżne zaspy, gdzie konie po pas brodziły. Podróż była pracowitą, ale Kieść, obeznany z okolicą, prowadził dobrze, zagrzany z jednej strony nadzieją nagrody, z drugiej przestraszony groźbą pułkownika. Wszakże usiłował wejść w rozmowę.

— A wiecie wielmożni panowie, że droga tak ciężka, pora tak zimna, noc tak ciemna, że po sprawiedliwości warto żeby panowie dla mnie biednego narzucili jeszcze jakich parę czerwonych złotych.

Ale kiedy krzyknął pułkownik: — Milcz! — chętka Kieścia do gaduli natychmiast ustała. I milcząc szli, a Kieść tylko patrzał przed sobą, aż nakoniec odezwał się: — Otoż i koniec naszej podróży! Nieinaczej! Przed nami stoi karczma celinowska, a widać że w niej muszą być goście, bo cóś nadzwyczaj oświecona.

Podróżni zsiedli z koni i weszli do izby, gdzie znaleźli Wazgirda, Skołubę i kilku żołnierzy. — Przecie — rzekł pułkownik — złączyliśmy się z so-

bą. Jak się macie, koledzy? Dobrze żeście wypoczęli, bo niedługo znowu pójdziem; a gdzie reszta naszych?

— Ba — odpowiedział Wazgird — nienajlepiej się zrobiło bez pana pułkownika. Jak my tu w godzinę umówioną przyszli, od tego zacząłem, że gospodarstwo karczemne z całą czeladką kazałem zamknąć w śpiżarni. Djabeł nie śpi, pomyślałem sobie; nuż Żydowi przyjdzie w myśl dać wiedzieć komu nie trzeba, o przybyciu tylu gości. Strzeżonego Pan BÓG strzeże; dotąd odbywają rekolekcje, przynajmniej że nudzić się nie będą, bo tyle tego, ile maku w makówce; wszak pan słyszysz jak dzieci piszczą. Czekaliśmy na pana, czekaliśmy, aż nie mogąc się go doczekać, ludzie zaczęli się niecierpliwić, chociaż odwilżali sobie gardło, bo tu teraz gość gospodarzem. Ja im mówiłem: Bójcie się BOGA! na taką zawieruchę trudno w porę przybyć; albo tu się wam źle dzieje, żebyście nie mogli czekać? Kto czeka godzin dwie, może i trzecią poczekać; wszakże godzina równa godzinie. Ale cóż z ślamazarnikami poradzisz? jeden po drugim wynosić się zaczęli, nawet hanyżówka nie pomogła. Żeby pomarzli łajdaki! dość, że oprócz tych sześciu, którzy nie chcieli siebie spaskudzić, wszystko znikło jak kamfora. A panom jak też się powiodło w Warszawie?

— W Warszawie jak najlepiej, lisa oderznęliśmy od jaźwiny. Jakeśmy na niego napadli, hajduk probował bronić swojego pana, ale ja go zaraz szablą uspokoiłem: wzięliśmy pana na koń między siebie i jakoś z miasta wyprosili. Ale cóż powiesz?

Czy inkluza, czy jakiego djabła miał przy sobie, jeszcześmy nie wynieśli się z miasta, aż tu zrywa się zawierucha, jakiej w życiu nie doświadczyłem, powiadam wam zawierucha ukraińska, sądny dzień. Zbłądziliśmy, i tam się dostali gdzie nie chcieli; trafiliśmy do karczmy, ale nie do tej co szukali. Trzeba nam teraz do niej powracać, bo tam na nas czekają. Kto nam potrzebny, ten się nas doczeka, bo w dobrych rękach: Kuźma i Jaszczułt go pilnują.

— Ach, panie pułkowniku — odrzekł Wazgird — dlaczegoś go pan z sobą tu nie przyprowadził?

— Ja sam teraz tego żałuję; ale myślałem sobie: Nuż patrol jaki nas spotka, we czterech trudno i bronić siebie i pilnować kogo, a niegładko przyjść do ostateczności. Wszak słyszałeś, jak mnie powiedziano: — Strzeż BOŻE Wpana, aby jeden włos spadł mu z głowy. W razie niebezpiecznym zapomina się o przestrodze, lecz jak człowiek ma czas myślić, to zaraz sobie to i przypomina. Ale co się odwlecze to nie uciecze. Sześciu żołnierzy, nas czterech, a jeszcze jak się dodadzą Kuźma z Jaszczułtem, mało takich patroiów, którymbyśmy rady nie dali. Broń BOŻE wypadku, dwóch go pilnować będzie, a w dziesięciu bić się można, choćby trzydziestu nas spotkało: czy to nam pierwszy raz potykać się jednemu przeciwko trzem? Z tamtej strony same tchórze, bo kto śmiały, ten do nas przystał. Wasze konie spoczęły, nasze nieco zmęczone, my się przesiądziem na świeże, a na naszych siądą dwaj, co w przypadku będą naszej zdobyczy pilnować. Mamy z so-

bą dobrego przewodnika, gospodarza z tamtej karczmy.

— Mnie się zdaje — rzekł Wazgird — że lepiej było tam zostawić pana Michała. Bo kto wie? Tamten, jak powiadają o nim, ma być wielkim krasomówcą; jak zacznie ich plątać jedwabnemi słowy, żeby nam czasem nie skrewili.

— At! co Wpan gadasz? co to? ja swoich ludzi nie znam? Jabym Kuźmie i Jaszczułtowi duszę moją powierzył. O to pokój! Nie tacy to, coby poznali się na krasomówstwie; a tylko to wiedzą, że ze mną żartować nie można. No panowie! zawierucha ustała; widać że Pan BÓG teraz z nami. Waść, mości gospodarzu z Brühlówki, siadaj na koń i odprowadź nas do swojej rezydencji. Wszak wiesz, że łatwiej do siebie, niż od siebie. A tam na waści umówiona nagroda czeka, do czego może się cóś i dorzuci, jak nam się dobrze sprawisz.

Żołnierstwo wypiwszy swoje, wyszło z izby za dowódcą. Kieść naprzód, zawsze pod wodzą pistoleta pułkownika; za nim wszystko wyruszyło w pole. Kiedy już kilkadziesiąt kroków uszli, Wazgird, uważając, że cóś żołnierze z sobą gadają, zbliżył się do pułkownika i powiedział mu cichym głosem.

— Pan pułkownik idziesz przodem, bacząc by nasz przewodnik nie zbił nas z drogi, a za sobą się nie możesz oglądać: ja z panem wojskim będziemy składali tylną straż, żeby żołnierzy z oka nie spuszczać; bo przyznam się panu, że tak jestem sparzony, od tych łajdaków, co nas odstąpili, że już i pozostałym niebardzo wierzę. Niech tylko pan

rozkaże żeby milczeli, a z sobą nie rozmawiali, bo zwłaszcza w ciężkim pochodzie z tych rozmów żołnierzy między sobą nic dobrego się nie wywiązuje.

Pułkownik usłuchał jego rady.

Wazgird i wojski, puściwszy przed sobą oddział na kilka kroków, cicho zaczęli z sobą rozmawiać.

— Cóż to jest — zagaił Wazgird — że ciebie widzę, panie Michale, jeszcze smutniejszym niż kiedykolwiek? Wszak rzeczy zbliżają się do końca. Cała rzecz o to chodziła, żeby króla wyprowadzić z Warszawy, i tu gładkoście się sprawili; reszta pójdzie jak po maśle. Trzeba się więc weselić a nie smucić.

— At! gadasz panie Janie! Wszystko źle poszło, a nadal nic dobrego nie wróżę dla nas, a szczególnie dla siebie.

— Wstydziłbyś się, panie Michale, tak mówić; jeżeli kiedy, to teraz weselsze myśli są a d r e m. Ktoby cię nie znał, powiedziałby, że dawno męstwo ciebie opuściło, a kto cię zna, śmiało powiedzieć może, że u ciebie śledziona musiała się zagrzać.

— Już jam siebie dawno odżałował; teraz o to tylko proszę BOGA, żeby się na mnie jednym cała bieda skończyła.

— Nie wiedzieć co przypuściłeś sobie do głowy! Karczma niedaleko, obaczysz, że zanim słońce zajdzie, będziemy stąd daleko w bezpieczeństwie wszelkiem dążyć ku Częstochowie, gdzie nas bracia z wyciągniętemi ramionami oczekują.

Tymczasem winszuję wam! Łebsko się udało w Warszawie. Ale przyznaj, że i nasz pułkownik tęgi.

— Łukawski w boju śmiały i przytomny, byłoby grzechem to mu zaprzeczać; ale co do rozporządzenia w okolicznościach ważnych, mój BOŻE, jakaż to słabizna! Pokłada zaufanie w pierwszym dobrym, a niechno lada przeciwnie się nadarzy, zaraz zimną krew traci.

— Co powiadasz?

— Nieinaczej. Czy uwierzysz, że kiedy za rogatkami taka zamieć nas przywitała, że świata nie można było widzieć przed sobą, pan Łukawski tak był przytomność stracił, że koniecznie chciał zamordować naszego jeńca? Ledwo tego dokazałem, że zaniechał swojego przedsięwzięcia. Aż musiałem powiedzieć, że do wylania ostatniej kropli krwi bronić będę króla od jego wściekłości, a taka szkaradna zbrodnia, póki żyć będę, spełnić się nie może. Że jeżeli po moim trupie przeszedłszy, tego się dopuści, to zaręczam, że w Częstochowie starsi na jego gardle się pomszczą, bo oni rej wodzą konfederatom, ale nie zbójcom. Oto taką miałem był z nim rozprawę, póki się nie opamiętał. A zabłądziwszy do innej karczmy, mnie rozkazał iść z sobą, a króla powierzył swoim siepaczom, im tylko jednym zupełnie zawierzywszy.

— Takowe rozporządzenie zaraz mi się nie podobało, i słyszałeś com na to powiedział Łukawskiemu. Ale z drugiej strony Kuźma i Jaszczułt są tak znani z odwagi swojej, że niepodobna przypuścić, by nas zdradzić mieli.

— Wielkie złe, kiedy dla pozyskania ufności, człowiek nic innego nie zdoła okazać oprócz odwagi. Zresztą odwaga, opierająca się na ufności w BOGU i na czystem sumieniu, tak jest daleką jak niebo od ziemi od tej, która pochodzi z przesiłku zdrowia, a którą nawet użyciem rozpalającego napoju pobudzić można. Kuźma śmiały, ale cóż z tego, kiedy rabuś, nie bojący się BOGA, a Jaszczułt jeszcze gorszy od niego. Jakże na podobnych ludzi się spuszczać?

— Czemu tego nie przełożyłeś pułkownikowi?

— Boby to na nic się nie przydało. Ja bez najmniejszej nadziei poszedłem na tę wyprawę; ty sam wiesz o tem, bo dla ciebie nie mam nic tajnego. Już dla nas przeszła pora zwycięstw, a tylko czas ofiar pozostał[1]). Trzeba, żeby kilku z nas

[1]) Jak mało jest pojmujących nawet między chrześcijanami, co to jest ofiara, i jak silną jest jej potęga! Nieraz słyszymy uskarżających się na niesprawiedliwość na świecie panującą; a czy wielu jest takich, coby zrozumieli, że choć niesprawiedliwość może być u tego, który ją wyrządza, ona przez żaden sposób dotknąć nie może niewinnego. Żadnej władzy niema oprócz takiej, która od BOGA pochodzi: gdyby więc BÓG oddał niewinnego na pastwę niesprawiedliwemu, byłby sam niesprawiedliwym, a więc przestałby być BOGIEM. BÓG jest całkowitym w każdym swoim przedmiocie; odjąć mu jeden z nich, jest to go zniszczyć w myśli, jest to Bogobójstwo. Kto przypuszcza, że ludzie znoszą niesprawiedliwość, jest wyznawcą jakiegoś praktycznego ateizmu. Każdy człowiek cierpiący, cierpi albo za siebie, albo za innych. W pierwszym względzie jest to kara zawsze sprawiedliwa, w drugim, jeżeli cierpiący przyzwolił na swoje cierpienia,

BOGU zadość uczyniło za przewinienia innych, szlachetnie przyzwalając na to wszystko co BÓG na nich samych dopuści. Co do mnie, poświęciłem siebie zupełnie, i jak mój ojciec przeczuwał chwilę swojej śmierci, tak i ja ją przeczuwam, i nie uwierzysz, ile czuję siebie spokojnym. Nasza sprawa jest w zupełnym upadku, tego przed sobą utaić niepodobna: jeden po drugim wszyscy nas odstępują, i to być nie może inaczej, bo ten tylko wytrwa w cierpieniach, który żadnych widoków osobistych nie przymieszał do żądzy powszechnego dobra.

— Czarnym marzeniom się oddajesz, panie Michale; co do mnie, nie tracę jeszcze nadziei. Zapewne, że nienajlepiej nam idzie; ale u kija dwa końce. Obaczysz, że się jeszcze poprawiemy, a po-

---

aż do ich zamiłowania, któż ma prawo powiedzieć, że cierpi niesprawiedliwie? A właśnie tylko niewinny lub uniewinniony jest zdolny przyzwolić na swoje cierpienia. Jeżeli zdarzają się klęski powszechne, oczywiście przewinienia musiały być powszechne, a im mniej ludzie rozumieć będą przyczynę swoich cierpień, tem więcej i tem dłużej cierpieć będą. Jedna rzecz tylko rozbroić może sprawiedliwy gniew BOGA, a tą jest ofiara. Jest to prawda tak oczywista, że ród ludzki w żadnej chwili swojego istnienia nie przestawał jej wyznawać; cała starożytność o niej była przekonana. Nie będę rozbierał czy historja Kodrusa, Kurcjusza jest autentyczną, ale zawsze jest ona świadectwem wiary, co ją starożytność pokładała w dobrowolnych zaofiarowaniach swojej osoby. Nie idzie rzecz o zastosowaniu tej prawdy, bo tu ludzie mogą się omylić, ale o jej pojęciu: a na tem stanowisku pogaństwo i chrześcijaństwo rękę sobie podają. Platon

tem co nastąpi, w to nie wchodzę. To mnie tylko teraz w głowie, żeby jak najprędzej dostać się do tej utrapionej karczmy, gdzie na nas czekają; bo choćby tamci i mieli słabe przekonanie, zbywa im na czasie do zdrady. Jakiby djabeł w taką zawieruchę na odsiecz tamtemu przyszedł? Zresztą co Pan BÓG da. Dość będzie pory się smucić, jak obaczymy złe czarno na białem, a wcześnie go przewidywać nic stąd dobrego, bo nuż tego złego nie będzie? a co się nafrasowało, to tylko zostanie w zysku.

— Bądź pewny, panie Janie, że ja się ani odrobinki nie frasuję. Widzę jak na dłoni, że z tego wszystkiego nic nie będzie; widzę że w klęsce nad nami wiszącej pochłoniętym zostanę, ale tak zjednoczyłem moją wolę z wolą BOGA, że gdyby

---

to mówi co i Ewangelja, Kaifasz się godzi z św. Pawłem, ludożercy amerykańscy z kapłanami Chrystusa, członkowie konwencji francuskiej ze świętymi męczennikami. Wszakże tak powszechne wyznanie może przeciwważyć wybryki dzisiejszej filozofji. Nie uskarżajmy się na niesprawiedliwość, która nas niby uciska; raczej użalajmy się, że sprawiedliwość znieść nie umiemy. Tu jeszcze jedna uwaga mi się nasuwa: wszyscy pragniemy dobra doczesnego i BÓG nietylko że nam tego nie wzbrania, ale dał nam nawet sposób skuteczny do jego otrzymania. „Szukajcie Królestwa Bożego, powiedział, a reszta dana wam będzie w przydatku.“ Ten więc tylko, który ciągle szukając tego Królestwa, niczego w przydatku nie otrzymał, miałby jakieś prawo użalać się, że Słowo Boże go zawiodło. Inny niech się użala na swoje zabiegi, na swój rozum, na prawidła nauk, które go zhołdowały, zgoła na to wszystko, czemu zaufał, a nie na BOGA, na którym

niebezpieczeństwo komu innemu niż mnie groziło, byłbym mniej spokojnym. Śmierć mi będzie zyskiem, od jakiegoś czasu, czuję, że mi ciasno i duszno na tym świecie. Nie tu, panie Janie, ale tam nasza prawdziwa ojczyzna; z tą ziemską ojczyzną rozstać się koniecznie trzeba, ale tamtej nigdy nie przestaniemy być obywatelami.

— Święte słowa twoje, panie Michale, ale zawsze powtarzam swoje: nie tak to jeszcze źle, jak ci się widzi. Nie wiem jak inni myślą, ale co do mnie, BÓG najlepiej wie, że kiedy przystąpiłem do konfederacji, o sobie zupełnie zapomniałem. Poszedłem za głosem mojego przekonania, mojego sumienia; za cóż miałby mnie karać?

— A któż z nas dociecze, jakie są drogi, któremi BÓG nas chce prowadzić? Często to, co się zdaje być skutkiem jego gniewu, jest dowodem jego miłości. Wiele w mojem życiu już cierpiałem, i przygotowany jestem jeszcze wiele cierpieć; ale

---

nigdy nie polegał, ani słuchał jego rad. Chciałbym zapytać ekonomistów politycznych, którzy tyle ksiąg wypuścili na świat dla uszczęśliwienia bliźnich, a jednak ani jednej łzy nie otarli, kiedy nędza ludzkości była powszechniejsza: czy dzisiaj, czy wtedy kiedy o ich nauce nie miano wyobrażenia. Wiele rękodzielni się wzniosło, ale czy wielu z nich korzysta? Wiele majątków wzmogło się takich, które tylko dla ich właścicielów są pożyteczne, ale wieleż to starych majątków opiekuńczych dla ludzkości znikło! Nauki wydoskonaliły rolnictwo, a tymczasem ziemia widocznie utraca swoje siły płodne; ludzie więcej teraz umieją niż dawniej, niech i tak będzie, ale cóż z tego, kiedy mniej mogą?

taką mam w BOGU ufność, tyle pokładam nadziei w jego Opatrzności, że te same cierpienia przyjmuję z wdzięcznością, mając je za łaski. Powiedz sam, panie Janie! Kiedy człowiek umiera, czyż wszystkie chwile przeszłego szczęścia na co innego posłużyć mogą, tylko na utrudzenie rozstania się ze światem? Gdybyś miał dziś umrzeć, cobyś wolał, panie Janie: BOGU przynieść, czy życie przepędzone w pomyślnościach wszelkiego rodzaju, czyli takie, w którem bez przestanku walczyłeś z przeciwnościami? — Westchnął Wazgird, i w umyśle swoim polecał się Najświętszej Pannie, i cicho zaczął odmawiać antyfonę, zawsze skuteczną w złych przygodach: „Pod twoją obronę...“ I odtąd posuwali się w największem milczeniu.

Po niejakim czasie światło zaczęło migać przed nimi, a Kieść odezwał się do pułkownika: — Otóż jesteśmy tak dobrze jak w domu. Niech-no wielmożny pan przygotuje obiecaną nagrodę, i jeszcze coś tam z łaski narzuci, bo i na to jest obietnica. Pan sam przyznać się musi, że stary Kieść dobrze się sprawił; wart nagrody, i może jeszcze o jedną łaskę poprosić.

— Czego chcesz? — zapytał pułkownik.

— Oto wielmożny pan widzisz, że ja z państwem, a nie z nieprzyjacielem trzymam; niechże pańscy ludzie, jak wejdziemy do mojej karczmy, ze mną nie postępują po nieprzyjacielsku; niech nie traktują siebie moim trunkiem, płacąc za niego gifesem, jak to czasem bywa. Ja biedny człowiek, panie, krwawo pracuję na kawałek chleba, co go niezawsze jem dosyta; jak zaczną w moim

szynku bejramować, to mnie ze wszystkiem zgubią.

— A kto pomyślał tobie szkodę robić? O to bądź spokojny. A potem nie masz się czego turbować; niedługo będziesz miał z nas gości, nie zsiądziem z koni nawet, tylko swoich zabiorę i pójdę dalej pod twojem przewodnictwem.

— Jakto, panie?

— A jużci, ty nas na wielki trakt wyprowadzić musisz, tak Pan BÓG przykazał. Zaraz ci odliczę pięć czerwonych złotych, a jak nas na gościniec wyprowadzisz, jeszcze ci parę narzucę.

— Ach panie! — Mnie staremu w taką szarugę całą noc na koniu pracować; przysięgam BOGU, że nie zdążę.

— Zdążysz, zdążysz, siedziałbyś cicho, a nie wymyślał. A potem, na co ci się przyda sprzeciwiać? Wszystko lepiej dobrym sposobem niż złym. Pójdziesz ochotnie, dostaniesz nagrodę; będziesz się opierał, nagrody nie odbierzesz, a dlatego pójdziesz gdzie ja rozkażę. Ja tobie nie dam zsiąść z konia, to napróżno; więc sam rozważ swoim delikatnym rozumem, co lepsze: czy dobre słowo z siakim takim groszem, czy żebym ciebie o to tem poprosił? — i przesunął mu rurę od pistoletu przed samym nosem.

Kieść umilkł. Już karczma w całej swojej okazałości przed nimi stanęła pomimo ciemnej nocy, kiedy raptem wyskoczyło naprzeciw nim kilkunastu jeźdźców.

Była to chorągiew królewska, którą pan starosta wieluński z sobą przyprowadził. Odebraw-

szy od Jaszczułta wiadomość, że konfederaci powrócić mają do tej karczmy żeby zabrać z sobą króla, wszystkie zrobił ku temu przygotowania, żeby ani jeden z oddziału nie mógł się salwować ucieczką. Część chorągwi frontem postawił, resztę za karczmą, żeby oskrzydlić przeciwników. Sam Jaszczułt ich prowadził, i z karabinem w ręku nacierał na tych, których jeszcze przed dwiema godzinami nazywał kolegami i bracią. Oddział prowadzony od samego starosty dał ognia. Kieść naprzód posunięty, nie z ochoty ale z wypadku, jęknął głucho i zleciał z konia. Koń pana Łukawskiego dostał strzał w piersi, powalił się, i ciężarem swoim przygniótł jezdzca; napróżno usiłował pan Łukawski wydobyć się z pod niego. Wojski i Wazgird, spostrzegłszy że na czele chorągwi na nich nacierającej wysuwał się jakiś jeździec na dziwnie dzielnym koniu, we dwóch razem dali ognia do niego. Starosta uczuł się ugodzonym w pierś; myślał że jest rannym. W samej rzeczy kula przeszyła burkę, trafiła w obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej, który on miał od żony, przygięła go, ale blachy nie mogła przebić. Starosta, chociaż poczuł uderzenie, dowództwa nie odstąpił, i głosem i przykładem swoich zagrzewał. Wojski, Wazgird i Skołuba usiłowali w kupę ścisnąć swoją garstkę, by tak uderzyć na nieprzyjaciela; ale gdy pod wystrzałami chorągwi królewskiej jeszcze dwóch konfederatów padło, reszta pierzchać zaczęła. Próżne były krzyki Wazgirda i Skołuby, żeby ich zatrzymać; poznali że tylko

im trzem przychodziło walczyć z hufcem tylekroć silniejszym.

— Panie Michale — rzekł Wazgird — niema ratunku! Ze wszystkich stron nas okrążają; prócz nas wszystko uciekło, uciekajmy i my jeżeli można: v i r f u g i e n s i t e r u m p u g n a v i t, jak nas kiedyś w Nieświeżu uczono.

I wszyscy trzej, wcisnąwszy ostrogi w boki swoich rumaków, puścili się co konie mogły wyskoczyć. Towarzysze chorągwi za nimi poszli w pogoń, podczas gdy z rozkazu starosty, lozacy podnosili leżących. Pogoń niedługo trwała; nasi trzej tak szybko przed nimi zmykali, że nie było sposobu ich dopędzić. Lecz gdy jeden z nich napadł na rów śniegiem zasypany, koń się związał i padł z nim razem. Kilku z towarzystwa zsiadło z konia i do niego przyskoczyli; ale on się im oddał, żadnego nie robiąc oporu.

Z jeńcem swoim wróciło towarzystwo popod karczmę. Starosta kazał go położyć na saniach już przygotowanych, obok Łukawskiego i Kieścia, który jeszcze dyszał; innych dwóch nie było czego podnosić, bo już byli skrzepli. Tych tedy zostawili, a ze zdobyczą swoją na saniach złożoną ruszyli razem ze starostą do młynarza marymonckiego, w którego mieszkaniu król z wielką niespokojnością oczekiwał przybycia starosty. Kiedy wszedł starosta, król się zerwał z łóżka na którem siedział, wziął go w swoje objęcia, i zaczął go ściskać jako przyjaciela i wybawcę; ale kiedy starosta mu powiedział: — Najjaśniejszy Panie, nieprzyjaciele waszej królewskiej mości jedni pogi-

nęli, a drudzy są w naszym ręku — król na to nic mu nie umiał odpowiedzieć z radości, tylko zdjął z siebie wstęgę Orła Białego i włożył ją na starostę.

Starosta ukląkłszy przed królem, rękę jego do swoich ust przyłożył. — Wracaj, Najjaśniejszy Panie, teraz do stolicy, wśród wiernej swojej straży; a oto mamy trzech jeńców.

— Niech ich tu przede mnie wprowadzą — rzekł król.

Starosta wyszedł dla dania rozkazu, ale wychodząc spotkał Jewkę, śmiejącą się do rozpuku z Jaszczułtem.

— Czego się śmiejecie? — zapytał.

— Oto panie z tego — odpowiedziała Jewka — że dopiero mój mąż skończył. Ledwo przystał do konfederatów, na pierwszej potyczce zginął; ja myślałam, jakby z nim rozwód wziąć, a on mnie od tego kłopotu przy pomocy pańskich ludzi uwolnił.

— Bo trzeba wiedzieć Jaśnie Wielmożny panie, że mnie Jewka pierwej kochała; ona mnie zwerbowała do usług królewskich, kiedy pan pułkownik Łukawski jej męża zwerbował do konfederacji, ale że nasza na wierzchu, więc Jewka będzie moją żoną. — Starosta oczy odwrócił od tego ohydnego widoku.

Wprowadzono do izby Łukawskiego, a chociaż czterech towarzyszy trzymali go między sobą, król na widok jego wzrostu, omal nie olbrzymiego, i zuchwałości jego postawy zadrżał. Ale przyszedłszy do siebie, rzekł do niego: — Kto Wpan jesteś?

— Jestem Łukawski, szlachcic polski i pułkownik konfederacji barskiej. Dowodziłem tym oddziałem co dopiero został zdradzonym od szczęścia, będąc wprzód zdradzonym od tego, któremu zaufałem.

— Kto Wpanu dał rozkaz, ze mną, ze swoim królem, tak postąpić jak postąpiłeś?

— Nikt, ja sam chciałem ciebie dostawić do Częstochowy, ażeby tym sposobem położyć koniec i wojnie domowej i tym wszystkim klęskom, które trapią kraj nasz, od tej chwili jakeś się nam narzucił na króla.

— Nędzarzu! czy wiesz że życie twoje jest w moim ręku?

— Życzę tobie tak być przygotowanym do śmierci, jak ja. Wiem co mnie czeka, ale jeżeli cień sprawiedliwości w sercu zachowujesz, ocal mojego kolegę, który wraz ze mną został twoim jeńcem: ty jemu winieneś, że jeszcze żyjesz. Ja przed rogatką Marymoncką chciałem cię zabić, on wstawieniem się swojem ciebie wyratował.

— Jakież masz powody do takiej przeciwko mnie zawziętości? Cóż ci złego zrobiłem?

— Jeżeli będzie sąd na mnie, przed nim będę się tłumaczył.

Wprowadzono drugiego jeńca. Starosta ledwo nań okiem rzucił, krzyknął przeraźliwie i padł bez przytomności pod nogi królewskie.

XVII.

Posłuchanie u króla.

Po powrocie królewskim do stolicy, okrzyki radości rozległy się po całej Warszawie: każdy chciał oglądać króla, każdy przeklęctwa miotał na jego nieprzyjaciół. Jedni, gorliwi jego stronnicy, cieszyli się z zapałem ze zwycięstwa otrzymanego na partji przeciwnej; drudzy, za ich przykładem, chociaż dotąd byli obojętni, podnieśli się do tegoż zapału, bo zapał lubo jest zwykle krótkotrwałym, z przyrodzenia swojego jest zaraźliwym[1]), a gmin, dla którego każde krwawe widowisko jest najmilszą rozrywką, domagał się głośno o stracenie królobójców, bo publiczność wezwyczaiła się dawać to nazwanie tym, co mając króla w swoim ręku przez kilka godzin, dopuścili jednak, by go w całości odwieziono do stolicy. Ludzie wyższego stanu, chociaż szczerze podzielali z początku zapał gminu, wszakże dostępniejsi rozwadze, stygnąć za-

---

[1]) Zapał tak dalece jest zaraźliwym, że w zamieszaniach publicznych częstokroć widzimy ludzi znanych z roztropności i rozwagi, rzucających się w odmęt i postępujących przeciw wszelkim prawidłom rozsądku, a nawet przekonania: jest to stan gorączkowy. Sądząc o człowieku, powinniśmy to mieć na uwadze.

częli w tym zapale. Wielu nawet było stronników królewskich, co mając stosunki powinowactwa z wodzami konfederacji barskiej, jakkolwiek nie sprzyjali ich politycznym widokom, nie byli radzi, że z jakąś przesadą na nich rzucano plamę królobójstwa, występku niesłychanego w narodzie polskim; bo król niczego nie zaniedbywał, by wzniecić w narodzie przekonanie, że ich celem było życie mu odebrać, że nato wysłali Łukawskiego, i że tylko wyraźnym cudem Opatrzności ocalonym został[1]).

W niektórych państwach, opisywano konfederatów jako zbrodniarzy, niegodnych opieki rządów cywilizowanych. Ministerjum francuskie z tych zarzutów korzystało, by ująć konfederacji to nędzne

[1]) W tym właśnie czasie jeden książę panujący tyle długów narobił w Paryżu, że już jego wierzyciele zabierali się osadzić go w areszcie. Teper, bankier warszawski, bawiący wówczas w Paryżu, podał mu środek, którym wszystkich swoich wierzycieli zaspokoił: namówił go, by z powodu cudownego ocalenia króla polskiego ustanowił order Boskiej Opatrzności. Gwiazda tego orderu była złota, a we środku oko w trójkącie, z napisem: V i d e c u i f i d e, a wstęga wielka błękitna ze złotemi brzegami. Najstarszy z rodu Tarnowskich i rodu Ponińskich był e q u e s n a t u s tego orderu. U Tepera było biuro rozdawnicze. Z początku przedawano patenta po sto czerwonych złotych, potem stopniami spadały na dwadzieścia pięć: nie było panicza u dworu, któryby nie nabył kawalerstwa Boskiej Opatrzności. Następnie poszło to w pośmiewisko, ale książę swojego celu dopiął, bo tem wykupił siebie od aresztu, rachując na próżność Polski warszawskiej, gdyż prowincja była obcą temu dzieciństwu.

wsparcie, które dotąd pobierała od niego, i odwołać tych kilkunastu oficerów, którzy jeszcze walczyli w jej szeregach. Cesarzowa Marja Terezja, opiekunka barskiej konfederacji, przerażona świeżym wypadkiem, kazała oświadczyć generalności, że jej nie pozwala dłużej rezydować w państwie swojem. Gdyby Stanisław August umiał był korzystać z pierwszych wrażeń, jakie wszędzie wznieciła nieszczęśliwa wyprawa Łukawskiego, nie podpada wątpliwości, że mógłby otrzymać w narodzie władzę, jakiej nie miał żaden z jego poprzedników; królowie ościenni na toby zezwolili, bo każdy z nich czuł potrzebę, żeby władza króla w Polsce była obszerniejszą. Nawet wodzowie konfederacji barskiej, jak się dowiedzieli o pojmaniu Łukawskiego i Strawińskiego, tak się zatrwożyli następstwami mogącemi wyniknąć z inkwizycyj sądowych, żeby na nich nie wymożono zeznań, któreby i ich samych do odpowiedzialności pociągnąć mogły, że gdyby król był wszedł z nimi w układ przed rozpoczęciem sprawy, małoby było rzeczy, coby od nich wyjednać nie mógł. Książe kanclerz i książę wojewoda ruski mu to doradzali; ale królowi się zdało, że jego jeńce dla okupu życia zrobią wszystkie zeznania, jakich tylko od nich zażądają, a korzystając z tych zeznań, że będzie mógł odrazu obalić arystokrację polską; pochlebiając sobie tym sposobem, z króla oszrankowanego prawem zrobić siebie królem samowładnym; z króla obieralnego, może dziedzicznym.

Udano się najpierwej do Łukawskiego, zaraz po wprowadzeniu sprawy. Ofiarowano mu prze-

baczenie, z zapewnieniem przyzwoitego majątku zagranicą, jeżeli zezna na piśmie, że generalność dała mu rozkaz dostawić króla żywcem lub martwym do Częstochowy. Łukawski odrzucił ze wzgardą ofiarę, oświadczając, że innego nie otrzymał rozkazu, tylko żeby się udać na Mazowsze dla wskrzeszenia konfederacji między obywatelami; ale że będąc blisko Warszawy, proprio motu przedsięwziął porwać pana Poniatowskiego, którego swoim królem nigdy być nie uznawał, że chciał go uwieźć do Częstochowy, stanąć tam z gotową delacją, by mu dowieść nieprawe mianowanie siebie królem polskim, i domagać się o karę na niego za przywłaszczenie nienależącej mu godności. Tentowano szczęścia z panem Strawińskim, ale ten nic innego nie chciał odpowiedzieć, tylko że widząc siebie oskarżonym o crimen status, nie uznaje nad sobą innej juryzdykcji oprócz sądu sejmowego, i przed nim jedynie winien się tłumaczyć.

Sprawa toczyła się publicznie, i po pierwszych sesjach król mógł się przekonać, jak jest niebezpiecznie nieprzyjaciela energicznego i zuchwałego wystawiać przed publicznością. Każde słowo wychodzące z ust Łukawskiego było pociskiem na króla, a męstwo, przytomność i niezachwianie tego człowieka tak osłabiły pierwsze wrażenia, że już wyrazy jakiegoś współczucia dla Łukawskiego słyszeć się dawały po mieście. Kosińskiego dla własnego jego bezpieczeństwa musiano wywieźć z kraju; a starosta wieluński, dopiero ulubieniec salonów warszawskich, już zaczynał wszędzie

spotykać oziębione oblicza. Czasem wyraz b r a t o b ó j c a zdaleka dochodził jego uszu. Powtarzano wszędzie, a nawet na pokojach królewskich, że wojski, powodowany afektem braterskim, przypuścił starostę do działu ojcowizny, która jemu jednemu była przeznaczoną; że nigdy nie przestawał dawać mu dowodów najszczerszego przywiązania, a że starosta mu się odwdzięczył naprzód porywając dla siebie pannę, bratu zaręczoną, a nakoniec prowadzi go na rusztowanie. Przekonanie i czułość mogły te mowy pobudzać, a zawiść i złość wszędzie je roznaszały. Ta niechęć szerząca się przeciw staroście czasem i jego żonę dotykała; gdyż niejedna dama stolicy rada była z okoliczności korzystać, by ją ukarać za tę piękność i za te wdzięki, któremi, jakkolwiek niewinnie, jednak rzeczywiście ją poniżała. W czystości nieskazitelnego sumienia, Zosia tego odcienia w obcowaniu z nią towarzystwa warszawskiego nie spostrzegła; ale jej mąż dobrze poznał, że jego położenie wcale było inne niż przedtem. Nikt mu nie uchybiał w grzeczności, jeszcze bywano u niego, mnóstwo nawiedzin odebrał od osób winszujących mu otrzymania błękitnej wstęgi, zapraszano go nawet pozornie z dawną życzliwością; ale w tych grzecznościach, w tych powinszowaniach, w tych ukłonach, upatrywał coś przykrzejszego od otwartych wymówek, coś takiego, co go nawskroś przenikało.

Z drugiej strony wodzowie konfederacji barskiej, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, jak tylko doszły do nich wieści o sprawie rozpoczętej

z królobójcami, umieli korzystać z ich stałości i niczego nie zaniedbali, żeby siebie uniewinnić i przed własnym i przed obcemi narodami. Tłumaczenie, które wysłali do dworów europejskich, było pełne godności: w niem oświadczyli, że każdy kraj ma swoje prawa, wedle których obywatel ma być sądzonym; że w rządzie elekcyjnym stosunki poddanego z panującym są zupełnie innej natury niż te, które są między nimi w rządach spadkowych; że król Stanisław panuje w Polsce ani z prawa Bożego, ani ze krwi, ale jedynie z mocy paktu zawartego między nim a szlachtą; że pełnowładztwo w Polsce jest w szlachcie, która część onego w czasie elekcji zdaje na wybranego od siebie króla, pod warunkami zobopólnemi; że król dochowaniem przysięgi swojej ma prawo wymagać wierności i posłuszeństwa od poddanych swoich; że konfederacja nie jest buntem, ale legalnym oporem przeciwko nadużyciom władzy; że takowe prawo polityczne, jedynie w Polsce służące, jest uznane od wszystkich mocarstw, tak dalece, iż niektóre z nich nie wahały się zawierać sojusze z konfederacją barską; że sam król akces zrobił do świeżo rozwiązanej konfederacji radomskiej, że jeszcze świeższa konfederacja słucko-toruńska z jego instynktu zawiązaną została, a więc że udział w konfederacji barskiej nikogo plamić nie może. Jeżeli zresztą się BOGU podoba, by forma polityczna rządu polskiego odmienioną została, oni tej nowej formie będą równie wierni, jak tej w której się urodzili; ale że teraz w obliczu BOGA i ludzi śmiało oświadczają, iż nic prócz powinności nie robili. Co

się zaś tycze potwarzy na nich rzuconej, jakoby chcieli odebrać królowi życie lub wolność, z niej sądowie bronić się będą: że są gotowi głowy swoje położyć na rusztowaniu, jeżeli takowa zbrodnia im będzie dowiedziona, ale nawzajem dopominać się będą kary na tych, co takową potwarz na nich poważyli się rzucić. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński, chociaż o nic sprawiedliwie pomawianym być nie mógł, gdyż od roku przeszło nie znajdował się w Częstochowie, i jego szwagier, pan Rzewuski, chorąży litewski, do którego szczególnie obrócone były niechęci królewskie, oświadczyli urzędowie, że czekają zwołania sejmu, że sami staną w Warszawie przed sądem sejmowym, ażeby się oczyścić z podejrzenia o królobójstwo, które na nich usiłują rzucić, ale że staną razem jako delatorowie naprzeciwko tych, którzy zmusili ich do podniesienia wojny domowej. Że tylko sąm sejm sprawę, gdzie sam król jest stroną, rozsądzić może, i w tem odwołali się do przykładu Zygmunta III, który chociaż zwyciężył Zebrzydowskiego, nie wzdrygał się poddać swoje postępowanie pod sąd sejmu, nazwanego z tego powodu sejmem inkwizycyjnym[1]). Manifest P. starosty wareckiego był w podobnymże duchu: te pisma wielkie zrobiły

[1]) Żaden monarcha więcej nie był spotwarzanym od Zygmunta III; jednak to był może największy, a bez zawodu najcnotliwszy z królów polskich. Jak przestaną się uczyć historji z książek zagranicznych, lub, co jeszcze gorzej, z książek naszych narodowych pseudohistoryków niniejszego wieku, to się może u nas o tem przekonają.

wrażenie i w Polsce i zagranicą i niemało królowi zaszkodziły w opinji publicznej.

Właśnie w tym czasie hetman Ogiński, ów nieszczęśliwy dowódca stołowickiej wyprawy, zrobiwszy submisję królowi, za pośrednictwem swojej żony, siostry ciotecznej króla, a która była naczyniem wybranem wszystkich cnót starożytnych[1]), wrócił był do Warszawy i wkrótce odzyskał dawny afekt królewski, gdyż w naturze ich umysłów i ich wychowania wielkie było powinowactwo. Ogiński, dowcipny, pełen talentów salonowych, ułożenia zupełnie zagranicznego, chociaż dla wielkiej lekkomyślności nie był zdolnym wygrać roli politycznej, do jakiej go powoływały i świetność rodu i wysokie dostojeństwo, miał wszakże szlachetne serce, którego natchnieniom umiał ulegać. Pojednawszy się z królem, szczerze się do niego przywiązał, jednak nie zerwał stosunków przyjaźni z swoimi kolegami konfederacji. W obu stronnictwach lubiony, do niego najwłaściwiej przynależało, i do jednego i do drugiego przychodzić z rożdżką oliwną; i Ogiński poznał to swoje położenie. Przechodząc się z królem po sali zamkowej, dał mu radę, za którą gdyby poszedł, wielką popularność byłby pozyskał w narodzie.

---

[1]) Pani Ogińska, hetmanowa wielka litewska, księcia kanclerza Czartoryskiego córka, była opuszczona od męża swojego; wszakże od obowiązków dobrej małżonki nigdy nie miała siebie za uwolnioną. I po rozstaniu się z mężem nie przestawała mu dawać dowodów największego przywiązania.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział mu — w mocy waszej królewskiej mości, żeby sama z siebie konfederacja rozwiązała się, a jej naczelnicy zostali waszej królewskiej mości najwierniejszymi stronnikami.

— A to jakim sposobem? — zapytał król.

— Wasza królewska mość urwij sprawę królobójców, a ich samych każ odesłać pod strażą do Częstochowy, z oświadczeniem, że wodzowie konfederacji, jakkolwiek mu przeciwni, są nadto znani w narodzie z cnot swoich, by im można przypisać targnienie się ich podwładnych na osobę pomazańca Boskiego; odsyłasz winowajców do nichże samych, ażeby z nimi postąpili, jak im sumienie i roztropność doradzą.

— I cóż z tego nastąpi?

— To, co może być najlepszego dla waszej królewskiej mości: gdyby tamci byli machjawelliści, kazaliby ich powiesić jako nieposłusznych żołnierzy: tym krokiem samiby siebie uniewinnili, a po niejakim czasie staraliby się cóś nowego a lepszego wymyślić. Ale ja znam ich, Najjaśniejszy Panie; to są ludzie, którzy się tak boją sądu Bożego, że dla żadnych widoków politycznych sumienia swego nie obciążą. Zaręczam waszej królewskiej mości, i na to daję w zakład głowę moją, że sami przybędą do Warszawy błagać waszą królewską mość, abyś ich z tak draźliwego położenia raczył wyprowadzić i na wszystko chętnie zezwolą, byle tylko winowajców ocalić; tym sposobem miłościwy król zabijesz konfederacją

Król się nieco zamyślił. Trafność tej rady mówiła do jego przekonania, a przynajmniej sprawiła na nim wielkie wrażenie; ale nakoniec powiedział: — Ta rada dobra, ale za nią iść nie mogę; mam ręce związane.

Starosta wieluński cierpiał niesprawiedliwie, i cierpiał nad miarę. Po powrocie z królem od tego był zaczął, że poszedł do domu, by mu ranę opatrzono, bo taki ból czuł w piersiach, że był przekonany, iż strzał do niego obrócony go nie minął. W samej rzeczy, gdyby obraz Najświętszej Panny nie osłabił impetu kuli, onaby mu niezawodnie pierś przeszyła; blacha się przygięła od uderzenia tak, że część ciała, która obrazem zasłoniona była, zupełnie sczerniała. Starosta, pomimo rychłego krwi puszczenia, krwią chrząkał przez dni kilka, co mu jednak nie stanęło na zawadzie bieganiu wszędzie, by wyratować brata, którego zguby przez jakąś fatalność stał się sprawcą. Nakoniec otrzymał prywatne posłuchanie od króla. Stanąwszy przed nim, jakkolwiek spostrzegł w obliczu króla, że jego przybycie, zawsze tak uprzejmie dotąd przyjmowane, zdawało się nieco ciężyć królowi; jakkolwiek zauważał, że król układem i łagodnością przybraną nie mógł pokryć jakiejś oziębłości, bo doświadczone na dworach oko starosty umiało czytać we wnętrzach duszy tych, co z nim obcowali, jednak skromnie i poważnie tak zaczął:

— Staję przed tobą, Miłościwy Panie, okryty twojemi łaskami. Dotąd nigdy o żadną dla siebie nie prosiłem, chociaż wasza królewska mość nie-

jednokrotnie do tego mnie upoważniała: dobroć twoja, królu, zawsze żądania moje uprzedzała. Nie zasługi moje, bo nikt ich mniej ode mnie nie ceni, ale wspaniałomyślność twoja ośmielają mnie pierwszy raz prosić za sobą. Honor mój jest w rękach waszej królewskiej mości, a ten honor jest ściśle spojony z losem, jaki brata mojego ma spotkać. Błagam cię, miłościwy królu, przebacz bratu mojemu! Nie dopuść, by wiernego sługi twojego, szefa twojego gabinetu, tego, którego tyle razy publicznie zaszczycił nazwiskiem twego przyjaciela, palcem wytykano, jako bratobójcę, jako człowieka z plemienia zhańbionego rusztowaniem.

— Ale, mój kochany, cóż ja zrobić mogę? Wszak jus agratiandi nie jest udziałem władzy monarszej w Polsce; wszak żyję pod prawem, tak jak i poddani moi. Sam czytałeś, jak hersztowie barskiego rokoszu grożą mnie sądem sejmowym, pod którego wyroki chcą mnie podciągnąć; przy prawach jakie mamy, cóż król może zrobić dobrego dla swoich poddanych?

— Najjaśniejszy Panie, król, a nie kto inny jest naszym najwyższym sędzią, źródłem wszelkiej władzy sądowniczej. Cóż sędzia może królowi odmówić? Jedno słowo waszej królewskiej mości sędziom wyrzeczone będzie dostatecznem, żeby ocalić mojego brata; czyż już i tego jednego słowa nie otrzymam?

— Mój kochany, ty mnie znasz lepiej, niż kto inny. Ty sam wiesz, że krwi nie pragnę, że rad jestem zapomnieć krzywd, co je ponoszę codziennie od takich nawet, których dobrodziejstwy mo-

jemi okryłem. Żadnego żalu do twojego brata nie mam; żebym o tem wszystkich przekonał, sam stanę w obronie moich morderców, sam przymówię się w ich sprawie; czegóż więcej żądać ode mnie można?

— Jeżeli wasza królewska mość sądowie przemówisz za winowajcami, gazety zagraniczne przytaczać będą urywki jego mowy ze słusznemi pochwałami serca i rozumu waszej królewskiej mości, a mój brat dlatego straconym zostanie. Jedno słowo świętych ust twoich, królu, na osobności sędziom powiedziane, zadość uczyni najpoddanniejszej prośbie mojej, a przymówienie się publiczne waszej królewskiej mości za moim bratem w niczem losu jego nie odmieni.

— O cóż to idzie, mości starosto? Niech brat Wpana zezna, że czynność jego była dopełnieniem rozkazu danego mu od hersztów barskiego spisku, a natychmiast wrota jego więzienia przed nim zostaną otwarte. Wszakże nie chcę od brata Wpana, tylko samej prawdy; do Wpana należy go skłonić, żeby przeciwko niej się nie opierał. Sam wiesz dobrze mój starosto, że rozkaz był dany; jużci ani Łukawski, ani brat Wpana tegoby się nie domyślili; za cóżby miał być tak upartym w tajeniu prawdy tak oczywistej?

— Aż nadto pewnym jestem, miłościwy królu, że mój brat był tylko wykonawcą cudzej woli; ale jeżeli przysięgą zobowiązał się do zachowania tajemnicy, jakże się spodziewać, by człowiek podzielający wszystkie fanatyczne wyobrażenia swojego narodu, miał siebie od przysięgi rozgrzeszać.

I my sami, którzy męczennikami jesteśmy częstokroć słowa danego, możemyż potępiać wierność, którą on zachowuje dla tej przysięgi? Bądź wspaniałym Najmiłościwszy Panie! Nie odmieniaj przyrodzenia twojego, przebacz mojemu bratu, a tem zawziętego przeciwnika przemienisz w najgorliwczego stronnika.

— Ale cóż mogę temu poradzić, mości starosto? Wszakże to moja sprawa toczy się przed sądem. Jeżeli brat Wpana dotrwa w swoim uporze, a uniewinnionym zostanie, więc tem samem ja się okażę być winnym. Zważ Wpan sam, czy podobna, bym do tego stopnia poniżył moją cześć, moją sławę, przez wzgląd na jakieś urojone szkrupuły tego, który się odważył targnąć na moją osobę? Wpan stajesz w obronie jego stałości w dochowaniu przysięgi, a wszakże i ja przysięgałem, że będę wykonywał prawa i bronił konstytucje kraju. Czyż godność korony, którą noszę z woli waszej, nie jest zabezpieczoną temiż prawami, których jestem strażnikiem? Jako człowiek, BOGA biorę na świadka, że żadnej osobistej niechęci przeciw niemu nie piastuję; ale jako król, czyż mogę przerywać bieg sprawiedliwości? Pozwól, bym i ja także pamiętał o mojej przysiędze.

— Najjaśniejszy Panie, nigdy nie chlubiłem się mojemi zasługami, ale kiedy idzie o życie mojego brata, wszelkie względy mimo siebie puszczać winienem; wszakże to ja, a nie kto inny miał szczęście wyratować waszą królewską mość; na piersiach noszę znaki mojej wierności. Patrz, miłościwy królu, o jak mało chodziło, bym życie stra-

cił na usługach twoich, i czyż nato obraz zawieszony przez żonę na szyi mojej osłabił wystrzał na mnie wymierzony, bym resztę dni moich płużył w hańbie i rozpaczy? Czyż gdybym był mniej gorliwym w dopełnieniu rozkazów waszej królewskiej mości, nie byłbyś dotąd królu zdobyczą nieprzyjaciół twoich? Ocaliłem twoją świętą osobę, Najjaśniejszy Panie, brat mój jest moim jeńcem; czyż nie zasługuję na jakąś nagrodę? Obiecałeś mi, królu, senatorskie krzesło, wtedy jeszcze kiedy nie poczuwałem siebie być w prawie czegokolwiek żądać od ciebie. Senatorja była kresem mych życzeń; ale dziś zmieniła się postać rzeczy; nie chodzi mi już o nabycie nowych zaszczytów, ale o zachowanie mojej poczciwości szlacheckiej. Wracam do źródła dobroczynności twojej, Najjaśniejszy Panie, obietnice łaskawego jej udziału dla mnie. W nagrodę moich zasług domagam się uwolnienia mojego brata, żebym nie miał powodu płakać całe życie, żem był nadto skwapliwym w daniu ratunku waszej królewskiej mości za pierwszym jego rozkazem.

— A mości panie, na to odpowiedzi dać nie umiem. Sumieniu Wpana zostawuję rozsądzić, czy poddany i zaufany sługa na wezwanie swojego króla miał być skwapliwym lub opieszałym w dopełnieniu jego rozkazów? Czy urzędnik, który przysięgą ewinkował wierność swoją, może mieć powód żałowania, że stanął na rozkaz króla, wołającego, by szedł na jego ratunek?

— Widzę więc, Najjaśniejszy Panie, że moje usługi już się naprzykrzyły waszej królewskiej

mości. Brat zbójcy na śmierć skazanego nie może być szefem gabinetu królewskiego; zresztą moja przytomność przypominałaby ciągle przysługę nadto wielką, by jej pamięć mogła być przyjemną. Widać, że są poświęcenia poddanego dla swojego pana takie, że na nie się zdobywszy trzeba zaraz potem umrzeć, ażeby i sobie oszczędzić pasma zgryzot, i króla oswobodzić od ciężaru wdzięczności.

— Mości panie starosto wieluński, przebaczam Wpanu te słowa obraźliwe, których śmiałeś się dopuścić w mojej przytomności; przypisuję je uniesieniu i czułości braterskiej. Przywiązanie Wpana do brata tem więcej mnie buduje, że niezawsze dawałeś mu tego dowody. Powtarzam to, o czem Wpan przekonanym być powinieneś: jeżeli brat Wpana wyzna przed sądem, kto był pierwszym sprawcą czynu, wrota więzienia dla niego będą otwarte; znajdzie we mnie króla i ojca; jeżeli wytrwa w swoim uporze, prawo niech o nim stanowi. Co się zaś tycze usług Wpana, one są dla mnie i przyjemne i pożyteczne; wszakże ani tej myśli przypuszczaj sobie, bym je okupywał poniżeniem osoby mojej. Jeżeli Wpan będziesz takim, jakim byłeś dotąd, nigdy się nie rozstaniemy z sobą; jeżeli myślisz mnie prawa przepisywać, tego nie zniosę. — I ręką skinąwszy dał poznać, że się posłuchanie skończyło.

Starosta odszedł w największem poruszeniu. Ani zadawał sobie pracy pokryć swoje uniesienie; spiesznie przeszedł garderobę królewską odpychając każdego, który się do niego przybliżał. Nic już

przed sobą nie widział; szedł prawie bez przytomności i tak zbiegł ze schodów zamku. Lokaj rzucił na niego szubę i otworzył karetę; starosta tego nie spostrzegł, poszedł pieszo, nie wiedząc dokąd dąży. Stanął nakoniec, a obracając się ku zamkowi, już niknącemu mu z przed oczu:

— Niewdzięczniku, samolubie — rzekł — otóż to nagroda za tyle poświęceń, otóż to przyjaźń, cóś mi ją tyle razy oświadczał! U monarchy z krwi panującej, który prawem dziedzictwa rządząc, przed BOGIEM tylko jest odpowiedzialnym z swoich postępków, znalazłbym łaskę, której nie mogę otrzymać od króla, co jeszcze niedawno był moim równym, który jest tylko urzędnikiem przyozdobionym koroną, a nie istotnym, nie władnącym monarchą. I ja takiego rodzaju królowi służyć mogłem? Lecz nie triumfuj! Mojego brata tak łatwo na rusztowanie nie poprowadzisz. Wszystkiego się dopuszczę; mam chorągiew gotową na moje zawołanie, mam żołnierzy do siebie przywiązanych. Bądź co bądź, wyratuję brata, albo razem z nim zginę.

I krokiem śpiesznym poszedł do swojego pałacu.

XVIII.

Więzienie.

Wojski w więzieniu swojem znalazł dawnego znajomego w osobie JW. generała Korycińskiego, który miał dozor nad więźniami stanu. W czasie tej wojny domowej, która wkrótce po elekcji Stanisława Augusta nastąpiła, generał, naturalnie służąc w stronnictwie królewskiem, w Litwie z bronią w ręku schwytanym został od oddziału, któremu dowodził generał Kunicki. Pan Michał Strawiński obszedł się z nim najuczciwiej, i to wyjednał dla niego, że pozwolono mu wyjechać do rodziców, poprzestając na słowie od niego danem, że uważając siebie za więźnia, pokąd nie będzie zamienionym na innego ze strony przeciwnej brańca, odpowiedniego mu w stopniu, służyć przeciwko konfederacji nie będzie, które to słowo, jako mąż nieposzlakowanego honoru, najświęciej dotrzymał. Kiedy mu więc oddano pana Michała, przyjął go jak przyjaciela; nie wahał się jemu uczynić te wszystkie pomniejsze usługi, co jednak tak ułagadzają los nieszczęśliwych jeńców, i najmocniej go prosił, by w każdem żądaniu swojem wprost do niego się odnosił, i że mu odmówi chyba tego tylko, czego dopełnić będzie mu niepodobna. Na-

koniec powiedział mu: — Mości wojski dobrodzieju! BÓG świadek, że czuję dla Wpana obowiązki wdzięczności, z którychbym się rad wywiązał; szacunek co mam dla Wpana jest tak wielki, że niczego tak gorliwie nie pragnę, jak dawać mu onego dowody, o ile tylko to się da pogodzić z tem, co winien jestem królowi, mojemu panu, którego chleb jem. Mam w BOGU nadzieję, że to wszystko źle nie powinno się skończyć; ani przypuścić mogę, byś pan wojski miał być traconym jakby jaki złoczyńca. Wszakże ponieważ jesteś mi powierzony, możesz mnie oswobodzić od wszelkiego starania około pilnowania swojej osoby. — Daj mnie słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że ani sam starać się będziesz oswobodzić siebie samowolnie, ani dopuścisz, by kto inny Wpana oswobodził, a ja więcej na jego słowie polegać będę, niż na baczeniu moich ciurów, i tyle uczciwości Wpana dowierzam, że jak mi dasz słowo, wrot jego więzienia nawet zamykać nie każę.

— Z całego serca, mości generale, daję Wpanu słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że chyba za rozkazem Wpana wyjdę z więzienia mojego; że nie pozwolę, by ktokolwiek z niego mnie wyprowadził. Masz pan moją rękę na zakład słowa które mu daję, słowa, którego jeżeli nie dotrzymam, niech BÓG i ludzie mają mnie za podłego.

Generał ścisnąwszy jego rękę, rzekł: — Polegam z niczem nieoszrankowaną ufnością na słowie danem od Wpana; jestem zupełnie spokojny.

Pułkownik Łukawski był zamknięty w temże więzieniu co i wojski, ale każdy z nich oddzielną

izbę zajmując, żadnych znoszeń z sobą mieć nie mogli. Generał codziennie obu nawiedzał; pierwszego jedynie z obowiązku, drugiego, że do obowiązku dodawał jeszcze osobistą przychylność. I nietylko on, ale nawet odźwierni więzienia, ludzie z powołania serca niewiele czułego, ledwo wojski parę dni z nimi pobył, a już podzielali generała współczucie dla niego. I Łukawski i Michał równie byli mężni, ale męstwo w każdym z nich innemi cechami się objawiało: Łukawski zdawał się ciągle przypominać sobie, że trzeba pokazać się odważnym; Michał zupełnie o sobie zapomniał, i za żadnemi efektami się nie upędzał. W pierwszym przemagała zuchwałość i duma, w drugim rezygnacja i skromność. Jeden, nawet w więzieniu, budził w sercu swoich strażników coś nakształt bojaźni, drugi jakieś uszanowanie. Energia pułkownika wylewała się gwałtownością, energia wojskiego cierpliwością niczem niezachwianą. Łukawski wyraźnie okazywał wzgardę dla śmierci, i niemniejszą wzgardę dla tych co byli jej sprawcami; Michał okazywał dla pierwszej obojętność, a dla drugich jakieś politowanie religijne, bez najmniejszej chęci ich upokorzenia. Główne rysy charakteru tych dwóch jeńców szczególniej się odznaczały, ile razy ich stawiono przed sądem. Łukawski drażnił sędziów goryczą swoich wymówek, nietyle troszcząc się o usprawiedliwienie siebie, ile o napiętnowanie przeciwnego stronnictwa sromotą. Nie stawał jako obrońca własnej osoby, ale jako oskarżyciel króla i jego popleczników. Michał przeciwnie, lubo zaprzeczał sędziom prawa jego

sądzenia, w niczem ich osobistości nie dotykał. Stawał w obronie ustaw i prawodawstwa krajowego; oświadczał, że tylko przed sądem sejmowym tłumaczyć się winien, że sądowi marszałkowskiemu nic innego nie wyrzuca, oprócz niewłaściwości juryzdykcji, oddając zresztą wszelką sprawiedliwość prawości osobistej tych, co wchodzą do jego składu. Że jeżeli go chcą sądzić jako prostego mężobójcę, z pełną ufnością stanie przed nimi, żeby ich przekonać, że nim nigdy nie był; ale że gdy go chcą sądzić jako królobójcę, kognicja wszystkich przestępstw, objętych w ogólnem nazwisku crimen status, tylko do sądu sejmowego należy wedle prawa, a że on, będąc i obywatelem i urzędnikiem, sumiennie nie może się poddać juryzdykcji niewłaściwej. A ta jego wierność dla prawa, którą dochować winien jako szlachcic, którą dwa razy przysięgą stwierdził, raz jako jurysta, drugi raz jako wojski, przeważać winna uczucie osobistego szacunku i ufności, które skądinąd mieć może dla swoich sędziów. To tłumaczenie, w którem zamknął obronę swoją, było wyrzeczone z taką godnością, z takiem umiarkowaniem, że sędziowie nie mogli utaić przed sobą, że prawie cała publiczność słuszność mu przyznawała.

Od pojmania swego, wojski najmniejszą nie łudził się nadzieją. Przygotowany do śmierci, i wolą i uczuciem oderwał się od tego świata, i tylko myślał o tem życiu nowem, gdzie już bez przeciwności, bez zgryzot, bez obawy miał się złączyć z ojcem swoim w krainie wieczności, na łonie

Najwyższego. Jakkolwiek czasem się wzdrygał na to gwałtowne rozstanie się z życiem, w połowicy dni swoich; Wiara, Nadzieja i Miłość, te trzy puklerze chrześcijańskiego żywota, tyle męstwa mu przydawały, iż zawsze brał górę nad tą słabością ślepej i głupiej natury. I ta walka stawała się powodem nowych zwycięstw co je BOGU przynosił w ofierze. Rzecz dziwna, on, który w przyjaznych kolejach życia nigdy się nie mógł oswobodzić od jakiegoś smutku, od jakichś melancholicznych zadumań, na krawędzi ostatniej niedoli okazał zupełną odmianę w powierzchowności swojej. Został raptownie przystępnym dla tych niewinnych uciech, któremi człowiek robi się przyjemnym w obcowaniu. W chwilach kiedy z BOGIEM nie obcował, okazywał się mówniejszym niż zwykle; często nawiedzającego generała widząc zasmuconym, do jowjalnych go rozmów pobudzał, i wtedy jego rubaszność zachęcał. Często uśmiech niekłamanej wesołości pokazywał się na jego twarzy; a co dziwniejsza jeszcze, odmarszczone jego lica jakąś osobliwą pięknością rozjaśniały. Coś w nim było tak pogodnego, tak anielskiego, że odźwierni więzienia, ile razy go spotkali przechadzającego się po dziedzińcu, trącali siebie, mówiąc: — oto święty człowiek idzie, prośmy go błogosławieństwo.

Ledwo osadzonym został w więzieniu, zaraz podzielił swój czas wedle porządku statecznego, i w niczem go nie zmienił. Porządek w układzie swojego czasu, niestety tak krótkiego, jest jedną z główniejszych zapraw cnotliwego życia. Człowiek, którego zgóry czas jest rozmierzony, któ-

rego każda godzina ma swoje przeznaczenie, już daje pewną rękojmię bezpieczeństwa dla tych, co z nim obcować muszą. Gdzie tylko jest posługa dla ludzkości, tam koniecznie musi być niezmienny porządek w użyciu czasu: bez tego nie może być magistratury, wojska, szkoły. Duch zakonny, w zgromadzeniach usiłujących przechować doskonałość żywota chrześcijańskiego, utrzymuje się w ścisłym stosunku z dopełnieniem reguły, rozporządzającej szczególnie rozmiar czasu. Jeżeli człowiek wolny od obowiązków, którym podlegają szczegółowe społeczeństwa, nie umie zamykać swojego czasu w klubach jakiegoś porządku, może być człowiekiem dobrym, przyjemnym, wszakże w ważnych i stanowczych okolicznościach niepodobna mu zaufać. Człowiek nieporządny jest człowiekiem bez czerstwości woli, bez wytrwałości w przedsięwzięciach. Może być dostępnym, nawet dostępniejszym od innych dla wszystkich wyskoków zapału, ale zapał nie mogąc być stanem normalnym człowieka, gdy z natury swojej rychło ostygać zacznie, tenże sam, który w początkach zawodu okazał się czynnym, działalnym, mężnym, gdy lada przeciwności zagrożą, wszystkich przerazi najsromotniejszym upadkiem ducha[1]).

[1]) Odkąd w naszem społeczeństwie czynność religijna znacznie się zmniejszyła, całe młode pokolenie straciło wyobrażenie wszelkiego porządku. Unikać od wszelkiej pracy, a siedzieć na wsi, by się oddać najbezczelniejszemu próżniactwu, oto jest summum bonum naszej młodzieży. O młodzieży nasza! gubisz siebie, gubisz nas! Żebyście przynajmniej wielki post obrócili na jakiś porządek w życiu; żebyście w nim

Michał wstawał o piątej: przebudziwszy się, zaraz się ubierał i modlił się do szóstej, poczem szedł do kaplicy więzienia, słuchał mszy świętej. O siódmej przynoszono mu śniadanie — piwo grzane, poczem czytał kazania, lub żywoty świętych Piotra Skargi, znajdując w tem czytaniu i wielką pociechę i wielką rozrywkę. Od dziewiątej do jedenastej, jeżeli nie był powołany przed sąd, przechadzał się po dziedzińcu. O jedenastej przychodził do niego ksiądz Białobrzeski, kapelan więzienia, mąż słynny w całej Polsce z swojej świętobliwości, a który zaofiarował siebie na żywot prawdziwie męczeński, gdyż wszystkich dekretowanych na śmierć dysponował. Z tym czcigodnym kapłanem przepędzał całą godzinę w pobożnem obcowaniu, i wynurzał przed nim duszę swoją bądź w potocznej, bądź w sakramentalnej rozmowie. Ksiądz Białobrzeski powtarzał, że po każdej godzinie spędzonej z wojskim czuł siebie być lepszym niż wprzódy. O południu pożywał skromny obiadek. Po pierwszej przychodził do niego generał Koryciński, i z nim więcej godziny bawił; wojski przyjmował go jak gospodarz gościa, z twarzą wypogodzoną, z rozmową dowcipną, mając w pilnem baczeniu, żeby go nie zasmucić przy-

---

czas rozmierzyli, i choć trochę tego czasu udzielili na czytanie jakiejś książki pożytecznej, na jakąś medytację, na warowanie siebie od nałogów, na poskromienie zmysłów języka, gardła, na jakieś dobre uczynki! Czy na cały rok czterdzieści dni już za wiele? Sprobujcie tej mojej rady usłuchać, uczyńcie sobie w tem jakiś gwałt początkowy; a ja wam poprzysięgam, iż sami przyznacie, że przemówiłem do was głosem przyjaźni.

pominając mu coś takiego, coby się odnosiło do przyszłego jego losu. Generał odchodził go z sercem zakrwawionem, bo szczerze się był do niego przywiązał; gryzł się jego losem, i przeklinał swoje ubóstwo, że dla utrzymania licznej rodziny musiał się podjąć obowiązku, tak drażliwego dla czułego serca; jednak tem się pocieszał, że wojski przebaczenie otrzyma, gdyż to będzie jednym z warunków zgody z konfederacją barską. Po wyjściu generała godzinkę spoczywał. Przebudziwszy się, parę godzin bawił się tokarnią, którą na jego żądanie generał kazał mu wnieść do izby, i właśnie toczył na pamiątkę generałowi warcaby z bukszpanu i hebanu. O piątej czytał z niczem niezrównane dzieło, przypisane Tomaszowi a Kempis[1]), które w wielkich goryczach serca tak do pojęcia przypada, i przy tem czytaniu czynił rozpamiętywania. O siódmej używał powtórnej przechadzki, o ósmej przynoszono mu wieczerzę, o wpół do dziewiątej zaczynał modlitwy wieczorne, odmawiał na cześć Niepokalanego Poczęcia różaniec lub koronkę; przed dziesiątą kładł się do snu, który nie uciekał od jego powiek, jak to się tak często

[1]) JW. Ksiądz biskup Łętowski udarował publiczność naszą tłumaczeniem przewybornem tego dzieła. W tem tłumaczeniu pełnem Ducha Bożego, światły pasterz zachował tok i namaszczenie oryginału, i tę prostotę, której żaden tłumacz ani w naszym, ani w obcych językach schwycić nie umiał. Nie uwłaczam zaletom Matuszewicza, ale są jednak rzeczy, których się dotykać nie godzi bez szczególnego powołania. I porównywując oba te tłumaczenia o tem przekonać się można.

zdarza między szczęśliwymi świata, owszem zasypiał smaczno, bo aniołowie Pańscy do spoczynku go kołysali.

Tymczasem sąd postępował. Sędziowie, nie wchodząc w zaprzeczenie im niewłaściwości juryzdykcji, a widząc, że wojski nie chce im odpowiadać, zaniechali z nim wszelkich interrogatorjów, ale jako na pojmanego in flagranti delicto, ferowali nań wyrok śmierci, z egzekucją post triduum, ażeby mu zostawić dość czasu do pojednania się z BOGIEM. Tenże wyrok był wspólny i dla Łukawskiego. Kiedy zostali obaj wprowadzeni do wysłuchania dekretu, Łukawski ręką dał znak wzgardy, i ani słowa nie powiedział; wojski przemówił. — W krótkości powiedział, że gdy szlachcic sine beneficio apellationis nie może być sądzonym, mógłby odwołać się do Trybunału, ale że tego nie czyni, żeby tem nie akceptować juryzdykcji; że tylko od wyroku uciążliwego, ale prawnego, odwoływać się można, a że w tym który dopiero mu przeczytano, prawdziwego wyroku nie widzi, ale jakiś paszkwil na jego osobę rzucony. Dowodził wszystkich nielegalności dekretu; wszakże oświadczył, że we wszystkiem się zgadza z wolą Pana BOGA, i że swoim sędziom z całego serca odpuszcza.

Starosta z swojej strony robił co tylko mógł dla ocalenia brata; powtórnego posłuchania prosił u króla, ale to mu odmówione zostało. Napisał do króla list obszerny, gdzie przypominając mu najuniżeniej swoje zasługi, przepraszał go, jeżeli położenie brata, gdy mu przytomność odjęło, w czem-

kolwiek mógł jego obrazić. Błagał króla o przebaczenie dla brata, ofiarował mu życie swoje na każde jego zawołanie, byle brata jego ocalił: nic nie zaniedbywał, żeby przyrodzoną wspaniałomyślność króla obudzić. List starosty był wytworem logiki i czułości, ale ten list odpowiedzi żadnej nie otrzymał. Udawał się starosta do wszystkich swoich przyjaciół, prosząc ich o wstawienie się za nim do króla, ale mógł się przekonać, co to jest niekiedy wdzięczność i przyjaźń na wielkim świecie. Książę generał Ziem Podolskich, Branicki, łowczy koronny, pewnieby go nie zawiedli, ale na jego nieszczęście żaden z nich nie znajdował się w Warszawie. Pierwszy zniechęcony zamieszaniem Rzeczypospolitej, a więcej jeszcze ustawicznem wahaniem się króla, wyjechał był do Paryża, gdzie postanowił przemieszkiwać aż do zupełnego uspokojenia kraju; drugi uśmierzał bunt chłopski na Ukrainie. Inni, jak tylko gruchnęła wieść, że starosta rozgniewał króla, nietylko że się wymówili od wszelkiej pomocy, ale mu dali do poznania, że z nim nadal żadnych stosunków nie życzą sobie zachować. Nawet wszelką usilność swoją ku temu obrócili, żeby rozgniewanego króla jeszcze więcej rozjątrzyć przeciw wypadłemu z łaski dawnemu ulubieńcowi.

Starosta wyczerpawszy wszelkie środki dworszczyzny, nakoniec wpadł w rozpacz, i rodzime zuchwalstwo polskie wzięło w nim górę nad wszelki polor, wychowaniem zagranicznem nabyty. Posłał królowi dymisję od urzędu szefa gabinetu, i do niej dołączył list cierpki, w którym oświadczył, że honor i sumienie nie pozwalają mu dłużej zostawać

w usługach jego królewskiej mości. Król obrażony do najwyższego stopnia, wyprawił do niego szambelana swojego Camellego, żeby mu oświadczył w jego imieniu, że przyjmuje dymisję szefostwa swojego gabinetu, oraz że żąda niemniej jego dymisji od służby wojskowej, i zdania najrychlejszego chorągwi królewskiej kawalerji narodowej, która pod jego dowództwem dotąd zostaje.

Ale jak tylko Camelli o tem wspomniał, starosta odpowiedział zuchwale: — Mości szambelanie! złożyłem szefostwo gabinetu, bo królowi nie myślę służyć; lecz do śmierci pragnę być wiernym sługą Rzeczypospolitej, i chorągwi mojej nie złożę. Jeżeli wedle króla nie jestem godnym mieścić się w komputowem wojsku, to niech sąd na mnie zwoła, bo sądownie tylko mogę być wyzutym z mojego stopnia; a nie poczuwając się do żadnej winy, królowi posłusznym być nie mogę. Proszę to mu oświadczyć ode mnie.

— Uważaj, mości starosto, że chorągiew, której dowodzisz, jest królewską; że swój stopień otrzymałeś z jego łaski, a tem samem ta łaska może być cofniętą. Cujus est condere, ejus est tollere.

— We Włoszech takowe aksjomata mają siłę prawa, ale nie u nas. Ja nie królowi służę, jak Wpan, ja służę Rzeczypospolitej, której król jest tylko pierwszym urzędnikiem a nie panem. Jestem pułkownikiem[1]) tej samej chorągwi, której król je-

[1]) W każdej chorągwi kawalerji narodowej dowództwo zawsze było przy poruczniku, a rotmistrz był tem, czem w Państwie Austrjackiem inhaber regimentu.

gomość jest rotmistrzem, i tu w nim widzę, tylko o jeden stopień starszego kolegę. Jeszcze władza hetmańska nie jest zniesioną; hetman wielki przeniósł się do wieczności[1]), ale żyje hetman polny, przy którym zostaje najwyższa władza nad wojskiem. Król najlepiej wiedzieć powinien, gdzie się znajduje teraz hetman polny[2]). Niech on na wezwanie króla da rozkaz, bym złożył dowództwo królewskiej chorągwi; jemu jednemu winienem być posłusznym.

— Zapytać śmiem samego pana starostę, czy mogę podobną odpowiedź zanieść królowi?

— Innej Wpan ode mnie nie otrzymasz. Ja nie jestem Włochem z poza gór zabłąkanym, ja jestem szlachcic possessionatus et bene natus. Prawda, że przyłudzony obietnicami króla, zdawałem się o tem zapominać; ale teraz przypomniałem sobie, że Opatrzność urodzeniem mojem na wyższym mnie postawiła stopniu, niż ten, do którego podnieśćby mnie mogła jego łaska. Nie taję się, że królowi jestem obowiązanym; lecz jeżeli pod kredkę weźmiemy wzajemność łaski i przysług, dopiero pokaże się, który z nas drugiemu jest dłużnym. W Paryżu, kiedy jeszcze żadnych na-

W chorągwiach, gdzie sam król był rotmistrzem, nie było poruczników, ale pułkownicy.

[1]) Jan Klemens z Ruszczy Jaksa Branicki, hetman wielki koronny i kasztelan krakowski. W pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, gdy skończył żywot pełen sławy, wielka buława lat kilka wakowała.

[2]) Wacław Rzewuski, hetman polny koronny i wojewoda krakowski, w lat kilka po śmierci Branickiego otrzymał wielką buławę i kasztelanję krakowską.

dziei nie wzniecał, wtedy już kołatał, że tak powiem, do mojej przyjaźni, i umiał z niej korzystać; a jeżeli z woli Opatrzności otrzymał godność, do której i ja, przynajmniej jemu równy mojem urodzeniem, niemniejsze od niego miałem prawo; jeżeli na tej wysokości osadzony, spuścił na mnie jakiś udział ze swoich łask, pewnie nie miał powodu tego żałować. Jakiż sługa był jemu więcej pomocnym, więcej wiernym? Poświęciłem dla niego wszystkie obowiązki krwi, sumienia i wiary, i wyznaję, że sprawiedliwie jego ręką właśnie jestem ukarany. Dziś, jeżeli jeszcze rozkazy daje ze swojego zamku, jeżeli nie jest więźniem tych obywatelów, co się umieli poznać na jego chytrości, komuż to winien, jeżeli nie mnie, mnie, którego usługi wyczerpane, już się mu stały obmierzłemi? Biada narodowi, któremu BÓG uskąpił krwie panującej, a który z krwie poddańskiej wynosić musi nad sobą króla! Przebóg, co za dziwna sprzeczność w naszem społeczeństwie! Ci sami co szydzą z tych przychodniów, którym się udało wdrapać i do dostatków i do położenia towarzyskiego, do którego ani urodzeniem, ani uczuciami nie są usposobieni, nazywając ich parwenjuchami, obok tego sami siebie skazują na to, aby mieć podobnych przychodniów na tronie, i z zapałem obstają za tak dziwacznym przywilejem.

— Mości starosto, mnie się nie godzi słuchać podobnych rzeczy; pan zapominasz, że jestem sługą królewskim, od króla posłanym. Pan starosta mnie krzywdzisz, jeżeli myślisz, że obojętnie słuchać będę obelg miotanych na pana mojego.

— Ha, ha, ha! Jak widzę, król do mnie wyprawił bohatera. Czy nie chcesz czasem, mój kochany Camelli, odwołać się ze mną do twojej szpady, obstając za honor twojego pana? A sprobuj, waleczny Włochu, jeżeli mnie pokonasz, azali król nie pokaże się dla ciebie wdzięczniejszym niż dla mnie? Wy Włosi tęgo się bijecie na szpady. Casanova tak jej ufał, że ledwo się dał namówić z naszym Branickim do pistoletów. Już ja pole zależałem; możesz więc śmiało ze mną próbować szczęścia.

— Pan starosta się unosisz; w czemże się mogłem panu narazić? Przynoszę mu rozkaz królewski, ale w tem niema nic mojego. Cóż to wszystko do mnie ma należyć? Ja zawsze byłem pańskim przyjacielem, i pewnie tego nie powtórzę przed królem, coś pan w uniesieniu mówił.

— I owszem, i owszem! Jako od niego posłany, winieneś mu co do słowa opowiedzieć wszystko coś słyszał. O twoich dobrych chęciach dla mnie nie wątpię; jużci żadnego własnego interesu mieć nie możesz w tem, żebym złożył moje pułkownikostwo, ono się tobie przez żaden sposób dostać nie może. Ty nie polski szlachcic, ty sobie Włoch zwyczajnie; mundur kawalerji narodowej nie dla ciebie; i dziękuj BOGU, że król w niej umieścić ciebie nie może. — Tybyś towarzyszom pancernym nie dał rady; oniby tobie twarz zapluli, a plecy wypłazowali. W gabinecie królewskim, to dla was miejsce; będziecie kaligraficznie przepisywali depesze, i listy sentymentalne króla roznaszali według adresów. Wiele jest przy królu do ciebie

podobnych, niech-no ich na palcach porachuję: ty, Corticelli, Piatoli, Manucci, Antonini, Boscamp — prawdziwie szanowne grono składacie! Z wami król wielką popularność pozyszcze w narodzie; tylko postarajcie się, żeby król wam wyrobił indygenat na następnym sejmie: tym sposobem urzędy krajowe wam się dostać mogą. Jak wdrapiecie się do senatu, może wyuczycie szlachtę naszą małpy wodzić po jarmarkach.

— Jeżeli pan starosta samego króla nie szanujesz, nic dziwnego, że ja, sługa, wystawiony jestem na jego obelgi. Moja rzecz cierpieć i milczeć; jednak jak przyjaciel pański, pozwól niech mu dam jedną radę...

— Idźże precz, Włochu, z twojemi radami! — Radź sobie królowi pospołu z panią Lullier, a ja, ja sam sobie radzić potrafię. — Ruszaj z BOGIEM pokądeś jeszcze cały, i złóż królowi jegomości moje uszanowanie.

Jak zniknął Camelli, starosta kazał siebie zawieźć do koszar, i tam swoją chorągiew musztrował. Towarzysze miłowali go jak ojca, bo żył z nimi, i sowicie ich potrzeby opatrywał z własnej szkatuły; śmiało więc na nich mógł rachować w każdem przedsięwzięciu. I kiedy im oświadczył, że król żąda, by złożył nad nimi dowództwo, oni go na klęczkach prosili, żeby ich nie opuszczał. Powiedzieli mu, że nikt nie ma prawa do tego go zmuszać, i że jeżeli im dadzą innego wodza, oni go na grotach swoich proporców zaniosą do zamku.

Tu przychodziła najstraszniejsza chwila dla starosty; trzeba było, żeby się widział koniecznie

z bratem, którego rozmyślnie kiedyś przywiązanie zdradził, a którego świeżo, choć w niewiadomości, pojmał i oddał w ręce nieprzyjaciół. Wolałby się spotkać z tysiącem śmierci, niż z zażalonym wzrokiem brata; jednak postanowił widzieć się z nim, gdyż od tego widzenia zależał jedynie jego ratunek.

Poszedł więc do więzienia, przemogłszy wszystkie przeszkody, jakie mu stawiały wstyd, natura, wyrzuty sumienia. Przybywszy do więzienia, kazał siebie wprowadzić do wojskiego: z początku oficer służbowy się wahał, ale na groźny rozkaz dany mu od oficera tyle wyższego w dostojeństwie, a ozdobionego najwyższym orderem kraju, był mu posłusznym.

Wojski właśnie wtenczas dotaczał cybuch, przeznaczony na pamiątkę Wazgirdowi, kiedy drzwi jego więzienia się otworzyły. — Ludwik stanął na progu jak wryty. Ale Michał, zaraz go poznawszy, wyskoczył do niego z ramionami wyciągniętemi, ścisnął go w swoich objęciach, i kilkakrotnie ucałowawszy, powiedział: — Ach bracie, ja jestem teraz zupełnie szczęśliwym. Niczego nie pragnąłem, jak ciebie przed śmiercią widzieć, żeby się pojednać z tobą i oświadczyć, że ciebie z całego serca miłuję, i że najmniejszego żalu ani przeciw tobie, ani przeciw mojej bratowej nie zachowuję. Bądźcie szczęśliwi oboje w jak najdłuższe lata, i miejcie mnie w pamięci, a czasem westchnijcie za moją duszę.

Ludwik czas jakiś słowa wymówić nie mógł; uczuł jakieś ściśnienie w piersiach, aż nakoniec

dwa strumienie łez puściły mu się z powiek. Michał starał go się uspokoić z taką czułością, jakby nie on sam, ale brat jego był skazany na śmierć. — Jestem bratobójca! — krzyknął starosta — jestem przeklęty od BOGA i ludzi!

— Cóż ty mówisz, drogi Ludwiku? Uspokój się! Któż ci podobny zarzut uczynić może? A jeżeliby jaki lekkomyślny śmiał na ciebie rzucić taką potwarz, czyż sumienie twoje nie zada mu kłamstwa? Cóżeś winien, że, wierny obowiązkom twoim, ścigając tych, co z bronią w ręku napadli na króla, któremu służysz, między innymi zastałeś i twojego brata? Wszakże ja z innymi do was strzelałem, czyż nie mogłem ciebie trafić? A jednak i w takim razie bratobójstwa sobiebym nie wyrzucał; jak BÓG chciał, tak się zrobiło, a ty byłeś ślepem narzędziem jego wyroków. Powtarzam ci, że w niczem nie jesteś winnym, a wierzyć możesz słowom tego, który rychło stanie przed BOGIEM. Żegnam cię, bracie drogi, i proszę cię o to tylko, żebyś był spokojnym.

— Ach bracie, przyszedłem błagać ciebie o przebaczenie, a dobroć twoja, uprzedzając mnie, tem mnie zabija. Lecz jeżeli byłem zbrodniarzem, jestem przynajmniej dość silnym, by przeszkodzić, ażeby miara nieprawości się dopełniła. Przyszedłem ratować ciebie; uciekaj pod pieczą moją, ja ciebie z miasta wyprowadzę. Dowodzę oddziałem żołnierzy mężnych, i na których spuścić się mogę; idź ze mną, bracie! — Cóż to? ty się wahasz! Czyż już tyle mną pogardzasz, że wzdrygasz się przyjąć rękę, którą ci podaję.

— Drogi Ludwiku, nie mów mi tego. Z największą wdzięcznością, z czułością braterską przyjmuję twoją ofiarę, ale z niej korzystać nie mogę.

— Jakto? — tybyś chciał być straconym jako złoczyńca? tybyś odpychał ostatni środek ratunku! Kochany Michale, zaklinam ciebie na popioły naszego imienia, idź ze mną.

— Nie, bracie, od hańbiącego moją sławę wyroku, ucieczką się nie oczyszczę. A gdybym nawet ku temu się skłaniał, jedna okoliczność zawsze stanie temu na przeszkodzie: dałem słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że tajemnicą nie wyjdę z więzienia. Ciebie zapytuję, cobyś sam o mnie myślał, gdybym przez bojaźń śmierci tak haniebnie obciążył i moją cześć i moje sumienie?

— Żadna obietnica postawioną być nie może na szali z tem, cóś winien ojczyźnie; tyś dla jej ocalenia przeciw nam działał, i ja teraz przekonałem się o słuszności waszych zamiarów. Pójdę z tobą, obok ciebie walczyć będę, poprowadzę do Częstochowy mój hufiec, niewielki, ale nieustraszony: był on pod mojem dowództwem narzędziem zbrodni, odtąd niech będzie sprzymierzeńcem cnoty. Mam niejakie doświadczenie w rycerskiem rzemiośle; pokonamy nędzarzów, którzy zechcą nam się opierać. Między mną a królem już odtąd nie może być nic wspólnego. Pokrzepim w Częstochowie siły konfederacji, za honor i wiarę zawiązanej. Kto wie, ile ten krok mój przeciwważyć zdoła szale przeznaczenia. Czy

myślisz, że jak głowa gabinetu królewskiego do was się przyłączy, tysiące nie pójdą za jego przykładem? Więcej powiem: teraźniejszy minister, który we Francji zepchnął Choiseula, był moim najściślejszym przyjacielem; przewidzieć nie możesz, ile usług jestem w stanie oddać waszej sprawie. Nie opieraj się bracie! Śmiej dopełnić obowiązków nie urojonych, ale rzeczywistych, o to się domagam jako brat i obywatel. Idź ze mną, a obaczysz, jak niespodziewane szczęście zaniesiemy konfederacji.

— Ludwiku, jeżeli w sumieniu twojem widzisz, że strona, której dotąd służyłem, jest sprawiedliwszą, nie wahaj się do niej przystąpić, nie wchodząc, czy jej szczęście przyniesiesz, czyli z nią pospołu na wielkie cierpienia się narazisz; a co do mnie, śmiercią tylko jedną mogę jej służyć. Nie umiem tego przed sobą wytłumaczyć, ale mam przekonanie niezłomne, że tylko przyzwoleniem na to co mnie teraz czeka, mogę w zupełności wywiązać się z moich obowiązków. Kiedy szczęście nas zawiodło, niechże przynajmniej nasza sława będzie ocaloną w przekonaniu ludzi poczciwych. Moje przeznaczenie cofnąć się nie może; zginę, ale zginę człowiekiem poczciwym, bojącym się BOGA, a nie śmierci. A gdybym zgwałcił obietnicę, którą dałem, gdybym zawiódł cnotliwego męża, który na niej polega, byłbym najpodlejszym z ludzi, a nawet możebym swojego życia nie ocalił.

— Wszakżeś ty nie przysięgał, bracie; jakąż wagę możesz przywiązywać do obietnicy naprędz-

ce wymówionej, i z której każdy roztropny człowiek ciebie rozgrzeszy.

— Obietnica chrześcijańska i szlachecka jest przysięgą, a ten, który na niej polega, inaczej jej nie rozumie; dowiódł tego postępowaniem swojem ze mną; zdradzonym nie będzie.

— Ty nie masz prawa, Michale, sobą rozrządzać; ty nie możesz sumiennie pociągać innych do twojej ofiary. Kto tobie dał prawo pozbawiać pomocy stronnictwo, w którem widzisz ojczyznę? kto ci dał prawo okrywać hańbą twojego brata, twoje imię? Do sumienia twojego się odwołuję.

— Jeżeli zasłużyłem na karę śmierci, czy ta kara będzie spełnioną czy nie, postępek już zhańbił moję imię; jeżeli jestem niewinny, sława moja będzie ocaloną. U nas jest wiara ścisła, że jeżeli nawet był występek, zadośćuczynienie zań przed prawem zupełnie go maże; a bądź gwałtem, bądź ucieczką usuwać siebie od wykonania wyroku, jest największą hańbą dla szlachcica. Prawodawcy nasi tak dalece spuszczali się na tę wiarę, że nie obmyślili środków naglących do spełnienia wyroków prawnych. Gdybym uciekał, dopierobym zhańbił moje imię.

— A wszakże dostawszy się w niewolę pod Stołowiczami, nie wahałeś się ratować ucieczką.

— Wtedy był czas walki, a teraz nadeszła chwila ofiar. Zresztą byłem jeńcem wojennym, żadną obietnicą nie ewinkowałem mojej niewoli, nie byłem osądzonym za żaden występek.

— Jakiż to sąd, któremu sam zadałeś niewłaściwość?

— Byłem obrońcą, ale nie jestem sędzią mojej sprawy. Jeżeli wyrok na mnie zapadły jest zbrodniczym, niechże ta zbrodnia ich, a nie moje sumienie obciąża. Nasz Zbawiciel podał się pod sąd bardziej jeszcze nieprawy; ja chcę iść za jego przykładem, i u niego tylko szukam sławy i nagrody. Już mu zaofiarowałem i życie moje i wszystkie cierpienia tego życia; przeczuwam, że ta moja nędzna ofiara przyjętą została. Nie chciej mnie, bracie, odbierać nagrody, której za tę ofiarę oczekuję.

— Bracie — rzekł Ludwik w największem uniesieniu, padając mu do nóg — to być nie może, byś poszedł na rusztowanie! BÓG podobnej ofiary od ciebie wymagać nie może; to są marzenia melancholicznego umysłu. Przed nikim jeszcze kolan moich nie ugiąłem, a teraz u nóg twoich błagam ciebie, nie zabijaj brata twojego, nie skazuj jego na rozpacz.

— Bracie, co czynisz? — odparł wojski, podnosząc starostę. — Czemuż ostatnie chwile życia mojego zatruwasz, rozdzierając serce moje? Cześć, sumienie, wiara, nie pozwalają mnie zadość uczynić woli twojej; jakże możesz mnie nakłaniać do czynu, na którego wspomnienie dusza moja się wzdryga? Zostaw mnie, bracie! Znasz mnie przynajmniej tyle, byś wiedział, że od postanowienia mojego nigdy nie odstąpię; wszakże, jeżeliby mi się nawet godziło zawieść ufność godnego męża, którego straży jestem powierzony, czy ty myślisz, że pomoc którą mi ofiarujesz nie jest zbrodnią? Czyż tem nie zdradzasz króla, które-

mu służysz, i czy możesz przypuścić, bym chciał być wspólnikiem zdrady, jedynie dla ocalenia mojego?

— Już przestałem być sługą królewskim; wczoraj jszcze złożyłem szefostwo gabinetu, jestem jak ty obywatelem, i mam prawo iść drogą, jaką mi przekonanie wskazuje.

— Nie, Ludwiku, łudzisz siebie! Przekonanie ciebie nie prowadzi; czułość twoja dla mnie i dla tego bożyszcza, co go honorem nazywacie, strąca ciebie z gościńca powinności. Ty w niczem nam nie oddajesz sprawiedliwości: dziś, gdyby na wstawienie się twoje król chciał mnie ocalić, nie wahałbyś się przeciwko nam działać. Ty zrywasz z królem jedynie dlatego, że, mało względny na zasługi twoje, odrzucił zaniesione prośby; nie interes publiczny ciebie prowadzi, ale interes, jakkolwiek zaszczyt przynoszący czułości twojej braterskiej, wszakże zawsze jednak osobisty. Opamiętaj się, bracie! Bądź wiernym twoim obowiązkom dla króla, tem tylko dowiedziesz, że szedłeś za głosem przekonania; a mnie zostaw, niech z BOGIEM przepędzę ostatnie chwile nędznego żywota, niech się przygotuję na podróż, co ją wkrótce mam odbyć. Moje przeznaczenie dopełnić się musi, BÓG tak rozkazał, a ja z jakąś wewnętrzną radością na ten rozkaz przyzwalam. Gdybym się okazał słabym, i siebie i ciebiebym zhańbił w obliczu BOGA i ludzi poczciwych, a bądź pewnym, że dlategobym mojego przeznaczenia nie odmienił. Żegnam cię po raz ostatni, Ludwiku; do końca miłuję ciebie, i proszę BOGA, by Jego

łaska ciebie oświeciła, a ty, żebyś się tej łasce nie opierał. Proszę cię, odejdź, drogi bracie, i w tym uścisku przyjmij moje ostatnie pożegnanie.

— Okrutny Michale! Ty dla wrażeń zabobonnych poświęcasz życie, sławę brata, wszystko coby ciebie ze światem pogodzić mogło. Żegnam cię więc, ale nie na długo, wkrótce się zobaczymy: pomimo króla, pomimo twoje straże, pomimo ciebie samego, muszę cię wyratować, albo zginę. — I wyszedł z więzienia.

. . . . . .

Kiedy dekret ogłoszono, mnóstwo było osób skupionych w sali sądowej. Zauważano tak wielkie współczucie dla wojskiego w narodzie, iż zaczęto się obawiać tumultu w dniu egzekucji, która wedle brzmienia wyroku miała nastąpić 1-go grudnia; postanowiono więc o jeden dzień ten wyrok przyśpieszyć.

XIX.

Zdarzenie niespodziewane.

Jak łatwo źle robić, jak trudno uskutecznić zbawienny zamiar! Lada obojętna czynność, lada słówko niebacznie rzucone, udręczyć może bliźniego; wieleż to zabiegów, wieleż usilności potrzeba nato, aby mu rzeczywiście pomóc! Ogromna siła dana jest człowiekowi do gnębienia innych; szczęśliwy u BOGA, kto jej nigdy nie użył: Święci Pańscy go nawiedzają, Aniołowie piastują na rękach swoich, oni mu podają zbawienne myśli, oni przed nim usuwają przeszkody; a jeżeli niewinnie cierpiał, jeżeli zdołał być cichym dobroczyńcą głośnych i zawziętych nieprzyjaciół, tem samem został najwyrazistszym obrazem jedynego i prawdziwego BOGA. Jego potęga staje się tak wielką, że tylko własna skromność jej granice położyć zdoła. Takich tu ludzi BÓG obiera za narzędzie dobroczynnych swoich widoków; oni balsam leją na rany, które pycha i samolubstwo zadają ludzkości; jakaś siła lecząca jest ich udziałem. Ale tym, co ludziom źle robili, rzadko kiedy jest pozwolono wynagrodzić to złe, którego sami byli sprawcami; bo każda dobroczynność o tyle jest korzystną dla odbierającego, o ile jest ofiarą

od BOGA błogosławioną[1]), a BÓG nie przyjmuje żadnej ofiary z rąk zbroczonych krwią lub łzami istot na jego obraz stworzonych.

Starosta odszedłszy brata, o niczem nie myślał, tylko o jego wybawieniu. Jako nawykłego oddawać siebie bez rozwagi i oporu wszystkim pociągom, jakich doświadczał, żadna przeszkoda wstrzymać nie mogła: chciał zebrać chorągiew swoją, z nią napaść na więzienie, brata odbić i z nim pójść choćby na krańce świata. Ale jego budowa nie mogła wytrzymać tych walk między wszystkiemi jego uczuciami; kiedy wrócił do swojego pałacu, gdzie tylko chwil kilka miał się zatrzymać, tak gwałtownie był poruszony, takie pomieszanie wyrażało się na jego twarzy, że starościna wybiegłszy naprzeciwko męża przestraszyła się jego widokiem. Wszystko jej było wiadomem i wielka boleść przeszywała jej serce, ale ona tej boleści żadną powierzchowną oznaką nie zdradzała; czuła albowiem, że miała powołanie do spełnienia. Nierzetelna w dotrzymaniu obietnicy kochanka, umiała być wzorem małżonek; wiedziała, że do niej jednej należy goić rany męża. Rzuciła się w jego objęcia; starosta ją przycisnął

[1]) Często słyszymy: „Od tego człowieka nic na rękę nie idzie; zrób z nim najkorzystniejszą robotę, zawsze nakoniec źle na niej wyjdziesz.“ Albo: „Ten majątek jakby krwią psią polany; zdaje się, że ma wszystko, a ktokolwiek się jego dotknął zginął.“ Czy przyszło komu na myśl zgłębić to co jest ukrytego w tych wyrazach? Wszakże wszystkim wiadomo, że mądrość narodu nie spoczywa w jego książkach, ale żyje w przypowieściach gminu.

do łona, ale nic powiedzieć nie mógł, tylko, że czuje dreszcz i cierpi ból głowy, jakiego dotąd nigdy nie doświadczał, i położył się na sofie. Zosia wyszła na chwilę, wróciła mając na ręku swoją Ludwisię, i usiadłszy przy leżącym mężu, podała mu dziecię, a rękę położyła na jego czole. Głowa tak była gorąca; iż zdawało się, że wszystkie wulkany tej ognistej duszy w niej się skupiły. Starosta pieścił nadobną dziecinę, obrócił ku żonie oko suche, w którem jakieś przerażające uczucie się wyrażało, ale nic wyrzec nie mógł, tylko palcem pokazywał na czoło. — Mężu — odezwała się Zosia tym głosem srebrzystym, co zawsze tak słodkie wrażenia w nim pobudzał — ty jesteś cierpiący, połóż się w łóżku! — Starosta chciał jej coś powiedzieć, jakieś bełkocące wyrazy stłumiły się w ustach jego; wziął rękę żony, położył ją na sercu gwałtownie bijącem, potem chciał się podnieść, ale zaraz opadł. Zaczął coś mówić niezrozumiale; Zosia śledziła każde poruszenie męża: niestety, poznała, że wszystkie zdolności umysłowe już były zawieszone, strapiona posłała po lekarza.

Przybył Sio, doktor jego królewskiej mości, z Francji przed kilką laty sprowadzony, biegły w swoim kunszcie, a wielce zaufany staroście, którego był i zwykłym lekarzem, i przyjacielem. Sio[1]) zastał pacjenta w gorączce nadzwyczajnej

[1]) Sio był rzeczywiście doktorem królewskim przez lat więcej dwadzieścia. Dopiero w roku 1789 rewolucja francuska, której był gorliwym stronnikiem, przywabiła go do własnej ojczyzny, gdzie jego brat

i w stanie bardzo niebezpiecznym; starosta już go nie poznał. Krew mu puszczono, żadnych środków zaradczych nie zaniedbano; wszakże więcej dwóch tygodni leżał bez przytomności i nadziei życia. Żona go o krok nie odstąpiła, przepędzała nocy bezsenne pilnując męża. Kiedy niekiedy, gdy w dziennej porze natura znużona do snu krótkotrwałego ją skłaniała, wtedy jej głowa schylona ku piersiom chwil kilka zdawała się zasypiać; ale wkrótce się budziła, by wzrok utapiać w oblicze męża, śledząc jakiejś iskierki przytomności; albo klęcząca przy łóżku jego podnosiła do Matki Miłosierdzia gorące swoje modły.

Sio po całem mieście z uniesieniem roznosił te cuda wytrwałości i przywiązania najpiękniejszej kobiety; iskry życzliwości dla starosty, pokryte w sercach dworzan popiołem zawiści i samolubstwa, zdawały się wydobywać z siebie jakiś płomyczek; zaczęto przynajmniej dowiadywać się o jego zdrowiu. Jednak, lubo starosta wielu paniczom wielkiego świata powyrabiał rozmaite łaski od króla, chociaż przed kilku tygodniami jeszcze oni mu zaprzysięgali dozgonną wdzięczność, wszakże niewiele karet widać było przy pałacu starosty. Ale zato dziedziniec jego był napełnio-

---

był członkiem ciała prawodawczego. On miał ścisłe stosunki z najświetniejszymi członkami konwencji narodowej, wszakże nigdy nie przestał być poczciwym człowiekiem. Widziałem go w Paryżu r. 1819, w wieku już podeszłym, ale jeszcze czerstwym; nie zapomniał języka polskiego i lubił nim rozmawiać z przybyłymi tam Polakami.

ny rzemieślnikami i ubogimi, bo oni jedni pamiętali o jego dobroczynności i o tych wrodzonych cnotach, w które obfitował. Słudzy jego łzami się zalewali; bo jakkolwiek względem równych był nieubłaganym, skoro jego duma była rozdrażnioną; dla sług swoich był dobrym i wyrozumiałym, dla wszystkich niższych łagodnym i wspaniałym. Nawet u zagniewanego króla dawna skłonność dla starosty zdawała się obudzać. Jak tylko się dowiedział, że już podwoje grobowe przed nim się otworzyły, kazał siebie zawieźć przed jego bramę, gdzie sam zapytał o stanie w jakim zostaje; starościna zeszła ze schodów do karety króla, żeby mu podziękować za jego łaskawą pamięć o mężu. Bezsenność i zgryzoty takie ślady zostawiły na jej twarzy, że król przeraził się widokiem tej kobiety, jeszcze przed kilku dniami tak świeżej, tak zachwycającej pięknością; gdzie indziej z trudnościąby ją poznał. Oczy króla zwilgotniały czułością. Ta łaska królewska rokowała staroście powrót do dawnych faworów na przypadek powrotu jego do zdrowia, i można sobie łatwo wyobrazić, iloma nawiedzinami jego pałac odtąd był zaszczycony.

Kiedy starosta pasował się z śmiercią, wojskiego męczeństwo się dopełniało; ostatniego listopada, tego miesiąca zawsze dla niego złowrogiego, był wyprowadzonym na stracenie, razem z pułkownikiem Łukawskim. Ksiądz Białobrzeski towarzyszył im aż na rusztowanie, żeby pokrzepić ich odwagę pociechami religijnemi. Ale nie miał potrzeby tego czynić: Łukawskiego odwagę trze-

ba było miarkować, a nie pokrzepiać, a Michał już był uzupełnił ofiarę życia.

W wigilję śmierci wręczył księdzu Białobrzeskiemu dwa listy, prosząc, żeby były oddane stosownie do ich przeznaczenia; jeden był do Ludwika, drugi do Wazgirda. Brata zaklinał, żeby nigdy sobie nie wyrzucał, iż stał się przyczyną jego śmierci, gdyż to było zupełnie niezawisłe od jego woli; przypominał mu obowiązki dla żony i córki, której posłał stryjowskie błogosławieństwo. Nakłaniał go z gorliwością wyznawcy, żeby nigdy nie stawił swojego rozumu naprzeciw wiary objawionej, żeby miłował BOGA nad wszystkie rzeczy ziemskie, i zawsze był gotów wszystko dla niego poświęcić; a jeżeli w ciągu życia jakiego upokorzenia doświadczy, żeby je ofiarował BOGU za przewinienia swoje, a nigdy do osobistej zemsty się nie odwoływał; że on sam w młodości swojej, zostawszy niewinnie wyzwany na rękę, a to wyzwanie przyjąwszy, poszedł do spowiedzi i wyznał przed kapłanem zamiar swój potykania się nazajutrz; że spowiednik dał mu rozgrzeszenie, ale pod warunkiem, że wycofnie siebie od przyjęcia bitwy potępionej przez prawa kościelne i krajowe, że jednak bojaźń, by go nie posądzono o lękliwość, przemogła nad powinnością chrześcijanina i obywatela, a więc bił się nazajutrz i zwycięstwo otrzymał; a chociaż życia nie odebrał przeciwnikowi, chociaż niesprawiedliwie był napastowany, chociaż uległ prawu poniekąd obowiązującemu każdego szlachetnie urodzonego, wszakże to jego nieposłuszeństwo przez całe życie nie

przestawało trapić jego sumienia, i to jedno utrudzało mu ostatnią podróż. Ten list oddany był zaraz starościnie; ona go skryła z zamiarem oddania go mężowi, ale jak będzie zupełnie zdrowym. Wazgirda, między innemi wynurzeniami serca, które bić wkrótce miało przestać, zaklinał, żeby o żadnej zemście za jego zgon nie myślał; że nikt nie był rzeczywiście sprawcą jego śmierci; że w tem było wyraźne rozrządzenie Boskie, a więc z tą najwyższą wolą zgodzić się winien; że ma nadzieję przyjąć go kiedyś w królestwie wieczności szczęśliwej, a prosi go, jako najlepszego swojego przyjaciela, żeby póki nie skończy swojego pielgrzymstwa, o jego duszy nie zapomniał. Przez całą podróż od więzienia aż do placu kaźni odmawiał z kapłanem modlitwy konających; na rusztowaniu pocałował kata na znak pokory, i zegarek złoty zostawił mu na pamiątkę; ostatni raz przeżegnał się, oczy podniosłszy ku niebu, i najspokojniej szyję pod miecz poddał.

Kiedy się to dopełniało, starosta, chociaż nie okazywał najmniejszej oznaki przytomnego umysłu, chociaż nikogo nie poznawał, wszakże to wszystko przed nim wewnętrznie się wyrażało. W tej chwili właśnie, kiedy jego brata prowadzono, jego delirjum nadzwyczajnie było ocechowane. Krzyczał przeraźliwie, wołając ratunku; imię Michała powtarzał, to żałośnym, to znowu wściekłym głosem; zrywał się z łóżka machając rękami i tak się szamotał, że kilku ludzi ledwie go wstrzymać mogli. Poczem znużony padł bez siły, leżał nawznak nieruchomy, ustami tylko ruszając, ale ża-

den głos z piersi nie mógł się wydobyć. To pewna, że jak potem wrócił do przytomności, o nic pytać nie potrzebował; wszystkie szczegóły śmierci brata tak tkwiły w jego umyśle, jakby rzeczywiście na nie patrzał; co więcej, upominał się o oddanie mu listu od brata, twierdząc, że widział jak pisał do niego. Sio zastanawiał się nad tym fenomenem psychologicznym, ale go wytłumaczyć nie umiał; zalecał tylko, żeby mu się nie sprzeciwiano, żeby go ułagadzano, czyniąc ile możności zadość wszystkim jego chociażby najdziwaczniejszym wymysłom, przekładając, że chociaż już wyszedł z niebezpieczeństwa, systemat nerwowy chorego jest tak natężonym i drażliwym, że lada gwałtowne wzruszenie może go na zawsze pozbawić rozumu. Zosia miała w niezmordowanem baczeniu, by powolnością swoją osładzać cierpkość jego humoru: usiłowała go rozweselać to muzyką, to przyniesieniem mu dziecka, to własnemi pieszczoty, szczęśliwa, jeżeli uśmiech choć krótkotrwały zabłądził do ust jego; jak to spostrzeże, ma siebie za sowicie wynagrodzoną.

Ocknął się nakoniec Ludwik, jakby ze snu twardego, w którym mary i okropne widziadła go dręczyły; przemówił do żony przytomnie, i pierwsze jego słowa były miłości i wdzięczności dla niej; wszakże wymówiwszy tych słów kilka, wpadł w jakieś otrętwienie. Zdawało się, że wszystkie sprężyny, któremi duch porusza ciało, były w nim porwane; całkowite godziny leżał nieruchomy i milczący. Czasem głębokie i przeraźliwe wydobywał westchnienia, czasem łez kilka zawieszało

się na jego jagodach: wtedy jakiejś ulgi zdawał się doświadczać. Na wszystko okazywał się obojętnym, nawet znakiem nie dawał poznać chęci zaspokojenia jakiej bądź potrzeby. W umówionych godzinach przynoszono mu strawę; Zosia własną ręką go karmiła, jak dziecię; on kilka łyżek polewy przełknie, poczem tylko od żony zrozumianym znakiem oświadcza wdzięczność, ale sam o nic nie prosi; jak niemowlę był podwładnym wszystkiemu co go otaczało. Od dni kilku Zosia próbowała znajomych więcej z nim zażyłych przybliżać do jego łóżka, ale jakkolwiek Ludwik nie pokazywał, by te nawiedziny jemu były ciężące, ona poznała, że mu nie były miłe; odtąd już ich nie przypuszczała do męża. Książę Waragin i cześnikowa litewska byli jedni, których przybycie zdawało mu się przyjemne; im tylko dłoń podawał z uśmiechem przyjacielskim; oni też całkowite godziny przy jego łóżku siedząc, starali się go rozerwać opowiadaniem tych zdarzeń miejskich i dworskich, które go wprzódy tak zajmowały. On tego słuchał obojętnie; ale gdy cześnikowa, w chęci go pocieszenia wspomniała, że król z czułością prawdziwie przyjacielską wszystkich codziennie zapytuje o stopnie, jakiemi powraca do zdrowia, i że dotąd wakującego po jego dymisji miejsca nikomu oddać nie chce, z czego mu rokowała powrót do dawnych względów, zauważono, że na te słowa głowę odwrócił z niewypowiedzianym wyrazem wstrętu; i już odtąd nic podobnego przed nim nie wspominano. Lecz co było najboleśniejszem dla Zosi, to, że myśl jego żadną prze-

lotną nawet oznaką nie okazywała chęci powrotu do uczuć religijnych. Wzrok jego po wszystkich przedmiotach błądzący, tylko ku niebu nigdy się nie podnosił. Umyśliła nakoniec uprosić księdza Ghicciotti, kanonika warmińskiego, Włocha, słynnego z nauk i słodyczy w obcowaniu, by raczył nawiedzić jej męża, z którym go wiązały stosunki wzajemnego szacunku: ale zaledwie ujrzał Ludwik zbliżającą się ku niemu duchowną sukienkę, ten człowiek, głośny w kraju i za krajem osobistą odwagą, taki przestrach okazał, że roztropny kapłan natychmiast się oddalił; jednak, że chory już był wyszedł z niebezpieczeństwa, przypisywał to niezwyczajne jego uczucie wielkiej drażliwości nerwowej.

Razu jednego siedząc przy mężu, jak zwykle, a widząc go w smutku pogrążonym, wszakże znacznie zdrowszym, Zosia próbowała go rozerwać rozmową swoją; on ją raptownie przerwał, mówiąc: — Aniele mój drogi, każ mnie przynieść zwierciadło, ciekawy jestem obaczyć się z sobą. — Zosia kazała mu przynieść co żądał; ale jak się spojrzał w zwierciadło, zadrżał: w samej rzeczy, zarosły, wyłysiały, wybladły, trudno było w nim poznać tego świetnego kawalera, wzniecającego wszędzie albo zapał miłości, albo udręczenie zawiści; a co dziwniejsza, co i nawet żona zauważyła, rysy jego obnażone z świeżości i zadowolnienia, dawały mu wielkie podobieństwo do Michała, jakiego dawniej nie miał. — Ach, mój aniele drogi — wykrzyknął Ludwik — jakże mogłaś ludziom pokazywać podobne straszydło? — To wyrzekłszy kazał natychmiast siebie ogolić, głowę

opustoszałą kupną pokryć czupryną, a nawet bladość swoją usiłował pokryć kłamanym rumieńcem. Zosia na to patrząc uczuła wielką radość, gdyż w tym zwrocie ku dawnej próżności upatrywała rękojmię powrotu do zdrowia.

I w rzeczy samej, Ludwik wracał stopniami do dawnej siły i rzeźwości, chociaż wyraz głębokiego smutku jeszcze nie opuszczał jego czoła. Starościna z wymową przywiązanej żony razu jednego zaczęła przed nim kreślić obraz szczęścia, jakie może ich spotkać zagranicą; wystawiała mu środki, jakiemi ich wspólną fortunę przenieść można do Francji, krainy zawsze od niego ulubionej.

— Ludwiku drogi — rzekła — kupimy zamek w okolicach Paryża; latem żyć będziemy na wsi, w zimie mieszkać będziemy w Paryżu; tam odnowisz dawne twoje stosunki, tam mieszka nasze braterstwo. Jak mnie i naszą Ludwisię tam zawieziesz, cóż tu pozostanie, za czem miałbyś tęsknić? a co do mnie, byleś mnie zawsze kochał, z tobą, z mojem dzieckiem, wszędzie będę szczęśliwą. — Tu płomyk błogości zabłysnął na obliczu Ludwika.

— Dobrze mówisz, aniele drogi, nam w Polszcze już nie mieszkać; w Paryżu, w Wersalu, odnowię jestestwo moje. Odtąd czując się pokrzepionym na sile, zajmę się wyłącznie wyprzedaniem naszych majątków. Tak, pragnę wynieść się do Francji, żeby już nie mieć potrzeby nigdy wracać do Polski.

Przywykły oddawać się z popędem niczem niewstrzymanym wszystkim pociągom swojej

woli, starosta, raz powziąwszy zamiar opuszczenia na zawsze swojej ojczyzny, ze zwykłym sobie zapałem oddał się temu przedsięwzięciu na nic się nie oglądając, a Zosia się cieszyła, gdyż w tem znalazł jakąś energję, która mu rozejm przynosiła z jego zgryzotami. W Polsce stan rzeczy już się był odmienił. Po tych ostatnich nieszczęśliwych wypadkach, konfederacja barska, ten pamiętny epizod konającego narodu, już się była rozwiązała. Oprócz trzech mężów, którzy woleli siebie na dobrowolne wygnanie wskazać, niż przeprosić króla, wszyscy wodzowie recesowali od tego związku i pogodzili się z królem, który już był niezaprzeczonym i prawym panem Polaków. Stanisław August zaczął szczerze przemyśliwać o wyniesieniu krwi swojej nad równość narodu; pragnął nabyć dla ulubionego synowca, młodego księcia Stanisława, znaczną nieruchomą posiadłość. Jak się więc dowiedział, że obaj małżonkowie Strawińscy szukają kupca na majątki swoje, zalecił synowcowi, by je nabył dla siebie, ofiarując mu wszystkie ku temu środki. Pan Ancuta, umocowany księcia, a bliski krewny pani Strawińskiej, umówiwszy się z nią i z jej mężem o cenę, zawarł z nimi tranzakcje, a cały ich majątek został przelany na księcia Stanisława. Majątek był znaczny, bo chociaż państwo Strawińscy różne zrobili przekazy dla sług i ubogich krewnych, przeszło sto tysięcy czerwonych złotych w wekslach najpewniejszych na Hamburg, Paryż i Londyn zostało ich własnością. Nie pozostało nic Ludwikowi, jak ułatwić się ze zbyciem swojego

pałacu i starostwa, i złożyć tę chorągiew, przy dowództwie której niedawno obstawał tak uporczywie. Co do pierwszego, książę Waragin, świeżo zostawszy ambasadorem swojego dworu w Warszawie, i potrzebując pałacu dla ambasady na wielką stopę utrzymywanej, rad był z zaspokojeniem potrzeby niezbędnej połączyć dogodność dla ścisłego przyjaciela. Nabył więc pałac ze wszystkiemi jego ruchomościami, dozwalając staroście go zajmować aż do wyjazdu. Pułkownictwo swoje odstąpił za zezwoleniem królewskiem, wyrobionem mu od pana Gintowta, cześnika litewskiego, panu Obuchowi, chorążemu tejże chorągwi, którego wielce szacował, i od którego ciągłe dowody przywiązania odbierał. A co się tyczy starostwa wieluńskiego, wywiązał się pani cześnikowej za tyle dowodów jej przyjaźni, za karetę bardzo wygodną, w której miał podróż odbyć do Francji, i kilka makat, odstępując jej mężowi starostwo do trzydziestu tysięcy intraty przynoszące, na które cześnikowa, za wstawieniem się ambasadora, otrzymała dla siebie jus communicativum[1]).

Tak wszystko ułożywszy, zdawał się być zupełnie spokojnym, bo zajmował się wyłącznie podróżą: rozpuścił dwór swój, każdego sługę obdarzywszy i wymówiwszy sobie jego usługi aż do dnia wyjazdu, kilku z nich tylko mając zabrać

[1]) Jus communicativum, tak nazwane prawo dożywotnie, zapewnione żonie po zejściu męża na wszelkie królewszczyzny.

z sobą do Francji. To zajęcie zdawało się ożywiać Ludwika. Ciągle rozwijał przed żoną plany ich przyszłego życia we Francji; rozpływał się nad przyjemnościami, co ich tam spotkać miały. Przyjaźń jego dla Bertranda zdawała się być podwojoną, z niewypowiedzianem uniesieniem powtarzał, że już się z nim nigdy nie rozstanie. Często zdradzał jakieś żądne wyniosłości: wszakże — mawiał — niech nie myślą, bym nie mógł jeszcze coś znaczyć na świecie: nie przestałem być pułkownikiem francuskim, prawo jeżdżenia w karetach króla chrześcijańskiego[1]), nie jest mi odjęte. Powrócę do tej ziemi, której poświęciłem moją młodość, nie jako ubogi szlachcic potrzebujący wsparcia, ale jako człowiek możny, który do zasług osobistych przydać może zamki, dobra, zaszczyty zagraniczne, a nadewszystko żonę, która rozumem i wdziękami niepoślednie miejsce zajmie na dworze wersalskim. Minister, który zastąpił nieżyczliwego dla mnie Choiseula, jest moim dawnym przyjacielem; zdołam przekonać tutejszego króla, że nie jemu jednemu przyporuczone rozdawnictwo wziętości i znaczenia. I to mówiąc, wyraz zadowolnionej dumy ożywiał jego lica schorzałe. Jeszcze nie wychodził z domu, ale już jego żona odbywała pożegnalne nawiedziny. Książę Waragin i cześnikowa codziennie bywali u niego, i czasem całkowite wieczory z nim przepędzali. Ta ścisła przyjaźń

[1]) Tytuł, który królowie francuscy brali we wszystkich aktach dyplomatycznych.

z ambasadorem najpotężniejszego mocarstwa niemało wagi dodawała Ludwikowi; jej przypisywano powszechnie ułagodzenie gniewu króla, a nawet te nawiedziny, któremi był zaszczycony. Nieprzyjaciele Ludwika nie śmieli przeciw niemu się odzywać; owszem, bywając u niego, kłamaną przyjaźnią i czułością usiłowali otrzymać od niego zalecalne słowa do ambasadora; ale Ludwik ich przyjmował z dumną i lodowatą grzecznością.

Jednak, jakkolwiek nadzieja często się przed starostą uśmiechała, smutek nie na długo opuszczał jego duszę. Kiedy sam zostawał, często coś podobnego do bojaźni doświadczał, jakieś złowieszcze przeczucia go przerażały. Czasem przebudzał się raptownie, czuł niespokojność, serce albo biło w nim gwałtownie, albo wydawało się jemu jakby zlodowaciałe; wtedy przechadzał sie krokiem szybkim po obszernych salonach pałacu. Sen nawet niezawsze mu przynosił wypocznienie; często przez sen wołał Michała, chociaż w przebudzeniu nigdy nie mówił ani o nim, ani o żadnej rzeczy, któraby go przypomnieć mogła. Zosia to widząc, także niknęła w smutku; tem tylko się pocieszała, że te wszystkie wewnętrzne walki opuszczą go, jak tylko przestąpi granicę ojczystej ziemi, gdzie jakieś nieprzewidziane zdarzenia ciągle mu przypominały to, coby rada była kosztem własnego zdrowia wygluzować z jego pamięci.

I tak Ludwik, gdy złożył swojej chorągwi dowództwo w ręce chorążego Obucha, zwykłą

wspaniałomyślnością powodowany, na pamiątkę kilkoletniego koleżeństwa każdemu towarzyszowi darował konia wierzchowego, a każdemu lokajowi kazał odliczyć po trzy czerwone złote. Cała chorągiew przyszła z nim się pożegnać, i stanęła na jego dziedzińcu: on, że całą noc prawie przepędził bezsennie, nie mógł wyjść na dziedziniec, ani jej nawet przyjąć w pokojach swoich, ile że Sio zalecił mu, ażeby troskliwie unikał wszystkiego, coby go zbytnio poruszyć mogło; ale kazał prosić nowego jej dowódcy, żeby w imieniu chorągwi przyjął jego pożegnanie. Pan Obuch był człowiek poczciwy, prosty, bez najmniejszego zastanowienia to mówił, co miał w sercu, a któremu te wszystkie kołowania wyższego wychowania były obcemi. Stanąwszy przed dawnym wodzem, oświadczył mu żal całej komendy z powodu rozstania się z tak dobrym, tak wspaniałym naczelnikiem, a przytem rozgadawszy się, powiedział: — Ja, chociaż z łaski jaśnie wielmożnego pana mam stopień, który mi los stanowi, a do którego nigdybym się nie dochrapał, będąc chudym pachołkiem, a jednak jak BÓG BOGIEM wolałbym zostać przy mojem chorąstwie a być i nadal JW. panu posłusznym. JW. pan bez potrzeby i nas i ręce opuściłeś. Kaduk wiedział, że jak JW. pan z nami zapędziłeś się za konfederatami, między nimi znajdziesz i brata swojego. Jeżeli sąd marszałkowski go dekretował, tać to miecz nie szubienica, hańby imieniowi nie robi. Prawda, że głos powszechny mówi (bo ja nie miałem zaszczytu być mu zna-

nym), jakoby nieboszczyk pan wojski miał być wielce cnotliwym i godnym mężem; ale jego krew przez żaden sposób na jaśnie wielmożnego pana spaść nie może; a że kto z tego powodu język rozpuszcza, jeżeli to za oczyma, drwić z tego, a jeżeli w oczy, to gębę mu zapluć, i kwita. Tać to onegdaj, zaszedłszy na raki do Piskowej, zastałem tam jednego kapitana z gwardji koronnej, którego znałem, ale zdaleka; on przywitał się ze mną, a potem ni stąd ni zowąd, mówi mi: — Winszuję panu tak wielkiego podniesienia w stopniu, a jeszcze więcej, że przestałeś służyć z takim, co krew braterską zaprzedał. A ja na to: — A durniu jakiś, co to do ciebie należy? kawalerzyście narodowemu choćby się i noga pośliznęła, zawsze on będzie lepszy od gwardjackiego piechura, a tem więcej, że pan starosta wieluński i był praw, i będzie praw. Pojechaliśmy potem do Służewca, bo już tam nie znają juryzdykcji marszałkowskiej; to ja mu od ucha do gęby taki dałem szram, że Wisła wiele wody do Gdańska dostawi, nim się z czem podobnem naprzeciw JW. panu odezwie. — Ludwik nic nie odpowiedział, tylko duże krople potu spadały mu z czoła na twarz. Tak się czuł zmęczonym wizytą pana Obucha, że pierwszy raz od choroby swojej próbował zażyć świeżego powietrza; kazał zawieźć siebie do pani cześnikowej litewskiej, ale wkrótce powrócił więcej jeszcze zasmucony, niż kiedy z domu wyjechał, bo tam zastał pana Zarembę, któremu niedawno ułatwił był pojednanie z królem. Myślał, że w nim

znajdzie obowiązanego przyjaciela, i do niego zbliżył się z wielką uprzejmością; ale ten, nisko się skłoniwszy i najgrzeczniej z nim się przywitawszy, zaraz się wysunął, dając jawnie do poznania, że nie życzy sobie z nim zostawać w towarzystwie.

Zosia, patrząc na te wszystkie alternaty świetnych nadziei i gwałtownych wzruszeń, wyglądała niecierpliwie chwili wyjazdu. Już wszystkie przygotowania były ułatwione; już kilka bryk naładowanych srebrem, bogatemi sprzętami i garderobą tego zamożnego stadła, wyprawionych zostało z Korendowiczem i Laflerem, i miały na nich czekać we Wrocławiu. Wszystkie klejnoty starościny, któreby już stanowiły fortunę dostateczną, były złożone w dużej szkatule pod jej kluczem; już był naznaczony dzień wyjazdu, dzień, któryby rada jeszcze przyśpieszyć, jako mający koniec położyć tym wszystkim pasowaniom wewnętrznym męża. Za trzy dni mieli wyjechać; Ludwik zdawał się być spokojnym, nawet, co najwięcej pocieszało Zosię, powracał do dawnej łagodności i dworności. Wieczorem przybyli do nich pani cześnikowa i książę Waragin; gdy zaczęto mówić o wyjeździe gospodarstwa, pani cześnikowa odezwała się: — Ludwiku, wszakże będziesz u króla z pożegnaniem? — Ja — odpowiedział — wcale o tem nie myślę; nadto źle odpłacił nakoniec moje zasługi, żebym się do tego stopnia uniżył. — Mój Ludwiku — odrzekła cześnikowa — zastanów się! Czy człowiek takiego znaczenia jak ty,

może się ukradkiem oddalać. Król jest zawsze królem.

— Ale już nie moim; jestem poddanym króla francuskiego.

— Zapytajże się księcia, nie masz nadeń ściślejszego przyjaciela; on ci powie, coby sam o tobie myślał, gdybyś się tak dalece ominął z prawidłami dobrego wychowania, przyzwoitości.

— Ja nie uważam tego, co mówi nasz starosta — odezwał się ambasador — inaczej, jak za wyskok żalu, który na jego postępki wpływu mieć nie może. Jeżeliby i miał słuszny żal do króla, troskliwość, jaką N. Pan okazał w czasie jego choroby, nawiedziny, któremi go zaszczycił, powinnyby już ten żal umitygować; ale ja to zostawuję na stronie; bo tu nie idzie o zadośćuczynienie skłonnościom serca, lecz o dopełnienie powinności; aż nadto jestem pewny, że mój przyjaciel starosta, wzór dobrego tonu i świetnego wychowania, nie zechce splamić siebie postępkiem, któregoby się nie dopuścił na wsi wychowany, a który w Wersalu wszystkichby zgorszył; pewnie bowiem i tam rychło o temby się dowiedziano. Nie tracę nadziei, że jutro będę go oglądał na audjencji u króla, i gdyby w tem się wahał, nieoszacowana jego żona potrafi go nakłonić, żeby był zawsze sobie równym.

— Kochany książę — rzekł starosta biorąc go za rękę — dziękuję za naukę, na którą zasłużyłem; będę jutro u króla, złożę mu uszanowanie moje, nawet wdzięczność moją; w istocie mam wiele powodów czuć dla niego wdzięczność.

Pożegnam Najjaśniejszego Pana, usłyszę jak mi powie, że życzy mnie od BOGA wszelkich pomyślności, i poproszę go, żeby mnie zaszczycić raczył jakim rozkazem do Paryża. Może zechce mnie powierzyć jaką ważną negocjacją dyplomatyczną, naprzykład kupno jakiego gustownego fermuaru dla pani krajczynej.

Ambasador rozśmiał się serdecznie, ale był rad, że jego przyjaciel postąpi, jak istotnie sama przyzwoitość tego wymagała.

Kiedy go mili goście odjechali, Ludwik okazał się wesołym, i rozmawiał z żoną o mającej się odbyć pożegnalnej audjencji, a że nazajutrz przychodził fest Najświętszej Panny Gromnicznej, Zosia postanowiła przystąpić do tajemnic Pańskich na intencję szczęśliwej podróży i dziękczynienie za wyzdrowienie męża. Ludwik przepędził noc spokojnie; dopiero o dziesiątej zrana się obudził, co mu się oddawna nie zdarzyło. Kiedy Zosia wybierała się do domu Bożego, on starannie się zajmował, żeby przed królem raz ostatni stanąć. Żadna kobieta więcej starania nie przykładała do swojego ubioru: że włosy były mu oblazły, głowę najgustowniej okrył peruką; nawet nie zaniedbał bielidła i gotowalnianego rumieńca, żeby pokryć żółtość i zwiędłość lica wyniszczonego kilkoniedzielną niemocą. Kazał przynieść mundur pułkownika wojsk francuskich, który od lat tylu spoczywał między jego szatami; bo w tym mundurze chciał się stawić przed królem, by jemu i wszystkim pokazać, że już siebie nie ma za Polaka. Uważano nawet, że z jakąś przesadą

unikał mówić po polsku od chwili, w której postanowił opuścić kraj na zawsze. Kiedy żona wychodziła do kościoła, on, który dopiero rozpoczynał swoją toaletę, odprowadził ją do drzwi, ucałował ją kilkakrotnie z zapałem kochanka, i powiedział jej kilka żartobliwych rzeczy o przyszłej audjencji, do której się gotował.

Starościna po odbytem nabożeństwie wstąpiła na czekoladę do cześnikowej, mieszkającej niedaleko Ś-go Krzyża; tam z nią się rozgadała o przyszłym wyjeździe swoim, zasilając się radami kuzynki, przywykłej podróżować zagranicą. W ciągu ich rozmowy przybył pan cześnik litewski prosto z pokojów królewskich i zdał damom relację o przyjęciu starosty. — Powiem paniom moim, że pan starosta, pomimo choroby tak długiej, bardzo dobrze i świeżo wyglądał; nikt nie poznał, że był w peruce. Pierwszy raz widziano go w orderze orła białego, a wstęga błękitna pięknie odbijała granatową barwę munduru francuskiego: król wymówił mu łaskawie, że w zagraniczną barwę tak śpiesznie się przystroił, kiedy mu abszyt nie odejmuje prawa noszenia polskiego munduru; pan Strawiński na to nisko się skłonił, zapytując króla, czy nie ma jakich rozkazów do Paryża? Król odpowiedział: — Żadnych rozkazów, ale prośbę, byś Wpan o nas nie zapominał. Spodziewam się i tam mieć z Wpana przyjaciela; a co do osoby jego wiem, że dla siebie niczego nie żądasz; ale jeżeli interesujesz się za kim w czemkolwiek, proszę powiedzieć, a miło mi będzie dowieść publicznie, ile mam dla

Wpana szacunku. — Nie uwierzycie panie, jakie wrażenie te słowa królewskie zrobiły na wszystkich przytomnych. Potem król zaprowadził go do gabinetu ośmiokątnego, który wychodzi z audjencjonalnej sali na taras. Uważaliśmy wszyscy, że więcej godziny rozmawiali z sobą, i że rozmowa była żwawa. Dość, że pożegnawszy się z królem, mąż pani powracał przez salę z miną triumfującą; każdy z przytomnych zbliżał się do niego z uniżoną uprzejmością, lecz on na nikogo ani patrzał, tylko mnie raczył ścisnąć za rękę, i kilka minut rozmawiał z księciem Waraginem, tak jednak cicho, że z ich rozmowy nic nie transpiruje dotąd u dworu.

Zosia śpiesznie wróciła do męża, żeby mu powinszować przyzwoitego rozstania się z królem, pochlebiając sobie, że to pożegnanie zatrze w nim ostatki smutku i niespokojności; ale jakież było jej zadziwienie, kiedy po powrocie pierwsza rzecz, co jej oznajmiono, była, że starosta powróciwszy od króla, znowu zapadł. Zawalidroga, kozak faworyt, rodem z Granowa, darowany staroście od księcia generała Ziem Podolskich, jej to opowiedział ze wszystkiemi szczegółami. — Mój pan wysiadł z karety w najweselszym humorze, kiedy przy drzwiach pałacu jakiś człowiek nieznajomy podał mu list opieczętowany czterema pieczęciami; pan, idąc po schodach, otworzył kopertę i wyjął z niego jakiś papier drukowany i czytając co w nim było, zaszedł do swego gabinetu, a ja za nim. To pan tak się zgryzł, że mało głową nie bił o ścianę, i kazał mnie pójść

precz, a ja na dół poszedł szukać tego człowieka, co tak zmartwił naszego pana, żeby mu za to podziękować, ale BÓG wie, gdzie się on zadział. Potem zawołał mnie i powiedział: Rozbieraj mnie, bo chory jestem. Uważałem po oczach pańskich, że bodaj czy nie płakał, a teraz położył się, może i zasnął.

Zosia na palcach poszła do męża, i ucho przystawiła do szpary, bo drzwi były tylko przymknięte; usłyszała jęki, weszła. — Mężu drogi - - przemówiła — cóż to nowego się zrobiło? jakież to pismo zatruwa ledwo odzyskaną twoją spokojność? otwórz serce najlepszej twojej przyjaciółce, pozwól jej z tobą razem zapłakać.

— Ach, mój aniele — odpowiedział Ludwik - - jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Moja gwiazda już się na zawsze zaćmiła. Dowiesz się później, do jakiego stopnia podłość i złość ludzka prześladują twojego męża; ale tak się czuję chorym, że nie mam dość siły, bym się wynurzył z tego, co mnie teraz spotkało; radbym od tego myśl moją odwrócił; później o wszystkiem wiedzieć będziesz. Wszak wiesz, że dla ciebie nie mam nic skrytego. Ach! gdybyś mnie mogła już wywieźć z tej przeklętej Warszawy; jak te dwa dni wydają mi się długie! Aniele drogi, poszlij zaraz po doktora, niech Sio mnie ratuje, bo tak mi duszno, tak coś ściska piersi, że lękam się na nowo zapaść. Jak przybędzie powiedz mu, żeby mi co dał na sen, bo takiego stęsknienia doświadczam, że tego znieść nie mogę. — Zosia natychmiast posłała jeszcze nie wyłożoną karetę po doktora.

Sio zastał go wielce wzruszonym, ale nie znalazł nic niebezpiecznego. Przepisał mu ułagadzający napój, nazajutrz zalecił mu wziąć kąpiel letnią, i obracając się do Zosi: — Madame la comtesse, niech pani będzie spokojna; nikt lepiej ode mnie nie zna temperamentu jej męża; każda rzecz na nim robi gwałtowne wrażenie, ale nie na długo: to prawdziwa natura francuska. Wielkie jest w nim wzruszenie, lecz to się już zaczyna uspokajać. Monsieur le comte pojutrze wyjedzie, a jeżeli pozwoli, ja sam odprowadzę go aż do Paryża.

— Ach mój kochany Sio — wykrzyknęła Zosia — biorę cię za słowo. Największy możesz dać dowód przyjaźni mojemu mężowi, a bądź pewny, że potrafimy odwdzięczyć się za tę ofiarę.

— Żadna ofiara, comtesse. Zaraz stąd pójdę do króla prosić go o urlop trzymiesięczny. Jak mu powiem, że stan zdrowia de mon cher comte wymaga mego starania, zaręczam, że nie odmówi, bo król zawsze go szacuje i kocha.

Ludwik podał mu rękę i ścisnął go z czułością.

— No — dodał Sio — rzecz umówiona: jutro rano kąpiel, po obiedzie przenoszę się do państwa z mojem zawiniątkiem, a pojutrze, o dziesiątej zrana, pal z bicza woźnico! Zaręczam, że go w całości dowieziemy, a choć ma zgryzoty, zaledwie na niego zawieje wietrzyk francuski, o nich zapomni, jakby się napił wody letejskiej.

Starościna wyszła na chwilę, ale wróciła trzymając w ręku ładunek złota.

— Mój kochany Sic, może masz jakie wydatki do opędzenia przed wyjazdem, oto na ich załatwienie. Rachuję na ciebie z zupełną ufnością.

— I comtesse na niej się nie zawiedziesz; słowo Francuza jest przysięgą. Pojutrze tedy wyjeżdżamy; a jak comtesse pozna brzegi naszej Sekwany, zapytam ją wtedy, czy jeszcze pamięta o swojej ojczyznie. Każdy kraj ma swoją piękność, ale Francją trzeba koniecznie widzieć.

Ludwik po zażyciu mikstury zdawał się być spokojniejszym; kazał przynieść dziecię swoje i z niem się bawił więcej godziny: kolejno pieścił córeczkę i całował ręce żony. Czasem łzy czułości zraszały mu źrzenice, czasem wdzięczny uśmiech odpłacał dowody przywiązania córeczki; bo Ludwisia już wyraźnie wymawiała papa, mama, umiała całować i brać za szyję. Wszakże wkrótce jakiś dziwny wyraz smutku zaległ rysy Ludwika; widać było, że ta rodzicielska czułość go zmęczyła. Jeszcze raz pocałował dziecinę i oddał ją matce, mówiąc: — Może trochę wypocznę, jestem zmęczony, a do podróży pokrzepić się trzeba. Zosia odeszła z dzieckiem, które jeszcze rączki wyciągało do ojca. Po dwóch godzinach Ludwik kazał żonę zaprosić do siebie; ta znalazła go znacznie polepszonym; nawet dostrzegła w nim jakąś wesołość. Mówił jej przelotnie o różnych zdarzeniach młodości swojej, sięgając pamięcią owych chwil, kiedy jeszcze zostawał w szkole rycerskiej w Lunewilu; i dodał: — Mój aniele drogi, już i ja starzeję, bo zaczynam dawne czasy przenosić nad teraźniejsze. Ale tak jest w istocie, dawniejsi ludzie

byli lepsi od dzisiejszych; naprzykład Stanisław Leszczyński — jaki to był dobry, jaki wspaniały król, a wszystkie jego cnoty opierały się na wielkiej pobożności. Ona go pocieszała w tych niefortunnych kolejach przez jakie przechodził, nim został ojcem najpotężniejszego monarchy, a wkrótce potem samowładnym panem ludu, który go czcił i kochał jak ojca.

Po kilku chwilach milczenia dodał: — Jak ty, mój aniele, i wy wszyscy co wierzyć możecie, jesteście szczęśliwi!

— A ty, Ludwiku? czyż słowa naszej wiary na tobie żadnego wrażenia nie robią?

— I owszem, mój aniele, jej słowa są nadzwyczajnie piękne; ale jakże się przekonać, że są prawdziwe, że są czem innem jak wytworem wyższego i głębszego od innych moralisty? Usiłowałem nakłonić mój rozum, żeby wierzył, tak jak wy wierzycie; bo w złych przygodach, czy może być coś więcej pocieszającego, jak ta myśl, że zostajemy pod rozporządzeniem najmędrszej, najlepszej, najdoskonalszej istoty, która nas miłuje nad wszystko...

— Ludwiku drogi, nie opieraj się tym pociągom, co czasem doświadczasz; może to są natchnienia zesłane od BOGA, któremi przenika do twojego serca. Uczyń sobie przymus, uczęszczając do kościoła, podzielając nasze nabożeństwa, a BÓG nagrodzi twoje usilności, że bez trudności uwierzysz w jego słowa.

— Nie, mój aniele, to być nie może; nic mnie nie powiesz takiego, czegobym sam sobie nie mówił.

Przez ręce twoje posyłam jałmużny klasztorom, cierpiącego bliźniego nigdy od siebie nie odepchnąłem, obrazek, coś mi go dała, nosić nie przestaję; cóż więcej uczynić mogę? Ale jak wejdę do waszego kościoła, im więcej pragnę zjednoczyć myśl moją z myślą tych, co się w nim zbierają, tem więcej wszystkie niedorzeczności waszej wiary napełniają mnie wstrętem. Czy podobieństwo wyzuć siebie z własnego rozsądku? jakby w nas była jakakolwiek zdolność wyższa od niego? Całe rusztowanie, na którem się wznosi gmach religji, niczem innem nie jest, tylko obawą śmierci; a właśnie zastanowienie się nad śmiercią przekonywa, że to, co mówią o następnem jakiemś życiu, jest ułudą bojaźni i pychy. Jakże przypuścić, że po utracie wszystkich zmysłów, będę sądził, czuł, cierpiał i miał przekonanie mojego jestestwa? Jest w tem niedorzeczność, sprzeczność w wyrazach; wolno nazwać śmierć życiem, ale rzeczywiście śmierć jest śmiercią. Śmierć jest wiecznym snem, ale bez marzeń; śmierć jest ostatecznym końcem wszystkich rozkoszy i wszystkich udręczeń.

— Przestań, Ludwiku, tak mówić; patrz, jak cała drżę z bojaźni ciebie słuchając. Pamiętaj, że mamy dziecię, w którem skupiamy wszystkie nasze nadzieję; nie ściągaj na nie Boskiego gniewu. — I jakby żałując, że mu się nazbyt cierpko odezwała, zawiesiła się jemu na szyi, mówiąc: — Ludwiku najdroższy, oddalaj podobne myśli od siebie; nieprzyjaciel twojego szczęścia tobie te myśli podaje. Ty masz zgryzoty nowe, których przenikać nie chcę, czekam aż je sam wynurzysz na

łono najwierniejszej twojej przyjaciółki; ty nie umiesz znosić przeciwności i bierzesz szemrania niecierpliwości za głos rozsądku. Jak opuścisz ten kraj, który smutnemi przypomnieniami rozdziera serce twoje, jak się zupełnie uspokoisz, inaczej będziesz na wszystko spoglądał. Bądź mężnym, Ludwiku! umiej znieść złe przygody! Większe to jest zwycięstwo, niż to, które z bronią w ręku się otrzymuje. — I nowe pieszczoty usiłowały wstrzymać tę duszę osłabioną, chorowitą, schylającą się naoślep ku przepaści.

Około czwartej po południu przyniesiono mu potrawkę z jarząbków, ulubiony jego specjał. Zosię to wielce ucieszyło, że zjadł całego jarząbka i wypił spory kieliszek bordo; to go tak orzeźwiło, że kiedy Sio przybył z uwiadomieniem, że król nietylko mu pozwolił jechać z nimi, ale zalecił mieć szczególne staranie o zdrowiu Ludwika, ten okazał się nawet rozweselony. Wkrótce potem cześnikowa przyjechała do nich na wieczór; nadzwyczajna wesołość Ludwika ją nieco zastanowiła, bo zbliżała się do dziecinności. Naprzykład, opowiadał różne anegdotki koszar francuskich, czasem dość śliskie, on, którego rozmowa zawsze była nacechowana najdelikatniejszą przyzwoitością; potem, co także nigdy nie bywało, opowiadał ze wszystkiemi szczegółami romans swój z margrabiną de Pompadour. Między innemi, jak król do niej przyszedł tak niespodzianie, że nie miał innego sposobu ukrycia się, tylko wdrapał się w komin, gdzie więcej godziny bez najmniejszego poruszenia musiał wisieć w najniewy-

godniejszem położeniu, i że o mały włos się nie udusił. Dopiero po wyjściu króla spuściwszy się z komina, tak był obrudzony, obdarty, włosy tak rozczochrane, że margrabina na jego widok na całe gardło śmiać się zaczęła, a nie mogąc ani się u niej przebrać, ani wyjść na ulicę, musiał w jej gabinecie czekać nocy, pod której dopiero płaszczem dostał się do swojego mieszkania, gdzie sługi poprzestraszał swojem zjawieniem. A potem dodał: — Człowiek pod koniec zawodu swojego lubi przypominać sobie wypadki młodości, bo post mortem nulla voluptas, nieprawda, mój doktorze? — I to wszystko mówił tak prędko, mowę swoją przerywał śmiechem tak głośnym, że cześnikowa cicho powiedziała doktorowi:

— Czy nie uważasz, że on się zdaje być w stanie gorączkowym?

Ale Sio jej odszepnął: — Nic to! są to wyskoki umysłu niesłychanie wrażliwego. Jak się wyśpi, a jutro się wykąpie, wszystkie humory się zrównoważą; je się cieszę, że się rozgaduje, tem wzbrania przystępu smutnym myślom.

I to zauważyła cześnikowa, że on, zawsze wstrzemięźliwy w jedzeniu i napoju, jadł ledwo nie z żarłoctwem wieczerzę, wypił kilka kieliszków wina, i co chwila czerpał w tabakierze doktora, on, który przedtem zapachu tabaki znieść nie mógł.

Było już dobrze po północy, kiedy to małe towarzystwo się rozeszło, bo ile razy, czy cześnikowa, czy Sio chcieli go pożegnać, Ludwik ich nie puszczał, aż póki sam nie uczuł gwałtownej potrzeby spoczynku. Cześnikowa wychodząc

oparta na doktorze, powiedziała mu spuszczając się ze schodów: — Mów co chcesz, doktorze, a ja jestem niespokojną o Ludwika; obaczysz, że on zapadnie znowu, on był cały ten wieczór jakby w obłąkaniu; jutro rano do nich przyjadę.

Ludwik szybko zrzucił co miał na sobie i położył się na łóżku żony; natychmiast zasnął i tak twardo, że już było po dziesiątej zrana, kiedy się ocknął. Gdy oczy otworzył, pierwszy przedmiot co go uderzył, była Zosia siedząca przy łóżku i oczekująca jego przebudzenia. Jak wiadomo, dzień jutrzejszy był naznaczony do wyjazdu. Ludwik rzucił szlafrok na plecy, zbliżył się do żony i powiedział jej:

— Dawno nie czułem się tak dobrze.

Jednak zauważyła, że był bladszym niż wczoraj.

— Moja droga — rzekł do niej — miałem dziś rano pójść do kąpieli, czy kazałaś mi ją przygotować?

— Wanna czeka na ciebie w twoim gabinecie, jak kazałeś.

— Mój aniele drogi, pamiętasz, że kiedy mi zawiesiłaś na szyi obraz blaszany, dałem ci słowo, że oprócz ciebie samej, nikt go nie zdejmie; weźże go droga Zofjo, a jak wyjdę z wanny, ty znowu na mnie go włożysz.

Zosia zdjęła obrazek i machinalnie zawiesiła go na sobie.

Ludwik przycisnął jej czoło do ust swoich, i wychodząc ukłonił się jej nisko. Coś wtedy było tak dziwnego w jego spojrzeniu, że Zosia prze-

lękła się, sama nie wiedząc czego; przez kwadrans ruszyć się z miejsca nie mogła, ale potem pobiegła do gabinetu męża, zastała Ludwika przy kantorku swoim, właśnie układał jakieś papiery, podczas gdy słudzy chłodzili mu wodę, która mu się wydała zbyt gorącą.

Kiedy weszła, Ludwik rozśmiał się głośno, mówiąc: — Wiesz, mój aniele drogi, co mi przyszło na myśl? Poczciwa cześnikowa ma męża tak stratnego, że to starostwo, co im odstąpiłem, nie będzie owsem, który konia podkarmi, ale tylko ostrogą, która go popędzi kilka minut, a żal mi jej, bo choć u niej głowa pusta, ale ta kobieta ma serce; na wypadek nieszczęścia ona ci może być bardzo pomocną.

Wtem dał się słyszeć turkot pojazdu; Ludwik zbliżył się do okna. — A! oto właśnie kareta cześnikowej! idźże ją przyjąć, a ja jak wyjdę z kąpieli, do was przyjdę. Mój aniele, wywołaj za sobą mojego Medora, on tylko mnie i tobie jest posłuszny; bo jak mnie zobaczy w wannie, do niej zechce wskoczyć i wszystko mnie zabryzga w gabinecie. Do zobaczenia, kochana żono!

Zosia nie bez trudności zabrała z sobą Medora, bo z uporem nie chciał opuścić pana swojego. Zosia zeszła do swojego apartamentu, gdzie już zastała cześnikowę. Po odżyczeniu sobie dnia dobrego: — Wiesz, moja Zosiu — rzekła cześnikowa — że tak byłam niespokojna o twojego męża, że nie wyspawszy się, do was przybiegłam. Wczora wieczór on gadał wyraźnie jakby z gorączki; a teraz jak idzie jego zdrowie?

— Bardzo dobrze, moja siostrzyczko; kąpie się, i jak wyjdzie z wanny, zaraz do nas przyjdzie.

Tu Medor zaczął wyć przeraźliwie, Zosia zadzwoniła, wszedł lokaj. — Wyprowadź tego psa — powiedziała.

Wtem silny wystrzał dał się słyszeć w samym domu; obie damy zerwały się z miejsc swoich.

— Co to jest? — krzyknęła Zosia.

Po chwilach kilku drzwi się otworzyły ze stukiem. Kozak starosty wpadł i powiedział tylko te słowa: — Już po naszym panu!

Zosia padła bez przytomności.

XX.

Ostatni.

Kobiety pani starościny zaczęły ratować panią, a pani cześnikowa czem prędzej pobiegła do gabinetu jej męża. — Przebóg! jaki widok przedstawił się jej oczom: Ludwik siedział w wannie nieżywy, a twarz jego była krwią zbroczona, a jego mózg obił się o pułap. Pokazało się, że Ludwik, wszedłszy do wanny, wypalił sobie w gębę z kieszonkowej krucicy. Kantorek jego stał otworem; na nim leżały weksle, wszystkie indosowane na imię jego żony. Przy tych wekslach był papier własną jego ręką zapisany i jeden numer gazety lejdejskiej; w gazecie doczytano się artykułu, który był przyczyną tego nieszczęśliwego wypadku. Oto jest jego wyjątek:

Lille, 10 stycznia.

„To miejsce było przed kilku dniami świadkiem nader smutnego zdarzenia. W restauracji tutejszej Pod Jeleniem zbierają się oficerowie regimentu Nawarry, tu konsystującego, nikt prawie z osób cywilnego stanu, a żaden przejezdny gość jej nie omija. Zaczęto mówić o świeżem ocaleniu króla polskiego; bo cała nasza publiczność teraz jest tem zajęta. Pospolicie to ocalenie przypisują

hrabi Strawińskiemu, który po kilkunastoletniej zaszczytnej służbie w wojsku francuskiem, na wezwanie króla polskiego opuścił ojczyznę swoją przybraną i we własnej został sekretarzem stanu. Mówią, że dla lepszego wysłużenia się królowi, zobowiązał się zrobić mu ofiarę z rodzonego brata, za co król obiecał zrobić go senatorem. Ten brat był jednym z najzawziętszych przeciwników królewskich i dał siebie zamieszać do spisku w Częstochowie zawiązanego, by króla gwałtem wywieźć z Warszawy i dostawić go do konfederacji. Obaj bracia, acz służąc przeciwnym sobie stronnictwom, żyli z sobą w stosunkach ścisłej przyjaźni; nawet przeciwnik królewski, powodowany afektem braterskim, nie chciał korzystać z testamentu ojca, którym całkowity majątek jemu odkazywał z zupełnem wydziedziczeniem brata; on owszem brata do równego działu z sobą przypuścił. Wszakże sekretarz stanu, mimo siebie puszczając pamięć takowej wspaniałomyślności, przywabił brata i wydał go królowi, który go rozkazał dekretować na śmierć jako królobójcę. Wyrok spełnionym został ostatnich dni listopada. Ten brat wyrodny nie otrzymał jednak spodziewanej nagrody; senatorowie mieli przyjść do króla, prosząc go o cofnięcie obietnicy swojej, gdyż oni tej krzywdy sobie nie uczynią, by mieli z bratobójcą zasiadać. Z tego powodu król ze swoim sekretarzem stanu dość źle się rozstali. Piszą z Warszawy, że ów człowiek spodlony opuszcza Polskę i chce na nowo osiąść we Francji, gdzie jednak dobrego przyjęcia spodziewać się nie może.

„Kiedy o tem za stołem mówiono, głos wzgardy dla pana Strawińskiego dał się słyszeć powszechnie od wszystkich siedzących, a najgłośniej odzywali się dwaj bracia Montigny, potomkowie świetnego rodu, obaj oficerowie w pułku Nawarry, których jedność i wzajemne ku sobie przywiązanie było przytaczane powszechnie jako wzór do naśladowania. Na nieszczęście hrabia Mycielski, kapitan gwardji królewskiej, bliski krewny pana Strawińskiego, przejeżdżając przez Lille, poszedł był do tejże restauracji i słyszał tę rozmowę. Nie mogąc znieść obelg miotanych na krewnego od tych dwóch młodych oficerów, powiedział im w najgwałtowniejszem uniesieniu, że tylko podli ludzie mogą potępiać człowieka zasłużonego, nie wysłuchawszy tego, co on na swoją obronę powiedzieć może.

„Pojedynek nastąpił, którego rozwiązanie, że obaj bracia Montigny polegli, a hrabia Mycielski ranny bardzo niebezpiecznie. Żal powszechny, jaki się dał widzieć w publiczności na pogrzebie tych zacnych młodzieńców, najlepiej przekonywa o ich cnotach".

Papier własną ręką Ludwika zapisany, był list do żony w następującej treści:

„Przebacz, najdroższa kobieto, ten cios co go zadaję sercu twojemu. Jest to ofiara, którą dla ciebie i naszego dziecka uczynić musiałem; życie moje, przepełnione goryczą i hańbą, byłoby dla ciebie niewyczerpanem źródłem upokorzenia, a naszemu dziecku zawadą do pomyślnego losu. Wytykanoby was palcami, jako żonę i córkę czło-

wieka, który cześć utracił; nie mam prawa do tego, żeby istoty niewinne, a dla mnie tak drogie, pogrążać w mojej niedoli.

„Odczytaj gazetę obok tego listu położoną, a z niej przekonasz się, jakieby nadal było moje przeznaczenie. Już nie można okazywać dla mnie życzliwości bez narażenia swojego zdrowia; i Bertrand może już życiem przypłacił nieszczęście być moim bratem. Przyszedłem do tego kresu, że za mną się ujmują, jakby za niedołężną istotą, która od wszystkich potrzebuje wsparcia. Honor nie pozwala mi dłużej zostać w podobnem położeniu: życie moje dla mnie samego ciężarem, dla wszystkich mnie bliskich jest nieszczęściem; i siebie i ich wyswobodzę. Gdybym ciebie nie znał, lękałbym się śmierci, myśląc, że mnie nie przeżyjesz; ale znam twoje przywiązanie dla naszego dziecka, ono potrzebuje troskliwej matki; poruczam tobie dziecię i umieram spokojnie, bo wiem, że na podwójne sieroctwo ją nie wskażesz.

„Cały nasz wspólny majątek jest teraz twoją własnością. Opuść ten kraj nieszczęśliwy i przenieś się z naszą córką w jakąś ziemię oddaloną, gdzieby moje imię nie było tak często wspominanem, jak w Polsce lub Francji. Nim nasza córka wyrośnie, wszędzie zapomną o jej nieszczęśliwym ojcu, a z majątkiem twoim nie będzie ci trudno znaleźć dla niej odpowiedniego męża. Jej ojciec nie był nigdy zbrodniarzem, był tylko igrzyskiem nieprzyjaznego losu, a jeżeli ciężyła na nim jaka wina, umiał za nią sam siebie ukarać. Bądź szczęśliwą, droga żono, żegnam cię i jeszcze

raz polecam twojej pieczy dziecię nasze. Oczekuję spokojnie przyszłości, jaka mię spotkać może".

Był także pakiet opieczętowany dla króla; dowiedziano się później, że w nim żadnego listu nie było, tylko insygnia orderów, które był z jego łaski otrzymał.

* * *

Taki był koniec obu braci Strawińskich: żadnych uwag nad tym ich końcem nie pozwolę sobie; zostawię to czytelnikowi, a jeżeli obrok duchowny sam dla siebie z niniejszego pisma zdoła wyczerpnąć, moja praca aż nadto będzie nagrodzoną.

XXI.

Epilog.

Pani starościna zniosła swoje nieszczęście z wytrwałością i odwagą, jakie tylko religja dać może. Zwłoki męża wywiozła na Szląsk i tam okazały pogrzeb im sprawiła, gdyż w Polsce znalazła nieprzełomne trudności do złożenia tych zwłok na poświęconem miejscu. Następnie zajęła się wyłącznie swoją córką. Wszakże jakkolwiek pogoda nie zdawała się opuszczać jej lica, musiała jednak uczuć swoje nieszczęście, kiedy nagle osiwiała, i bladość na zawsze wygnała różę młodości z jej twarzy. Przeniosłszy się do Włoch, nabyła znacznych posiadłości w okolicach Loretu, i w nich osiadła, pod pieczą N. Panny, której zawsze była gorliwą zwolenniczką. Dotąd w skarbcu loretańskim pokazują te bogate klejnoty, które jej kiedyś przysłał Ludwik, kiedy to jeszcze miała być żoną jego brata. Najgruntowniejsze wychowanie dała swojej córce, która w siedemnastym roku życia swojego poszła za hrabiego Bevilacqua, patrycjusza bonońskiego, znakomitego młodzieńca; a tak ubezpieczywszy los swojej Ludwiki pani starościna osiadła w Rzymie w klasztorze panien ursulinek, którego została dobrodziejką, i wszystkie swoje żądze do BOGA tylko

obróciła. Przyjmowała u siebie nawiedzających ją przyjaciół, i dla przejezdnych rodaków, którzy u niej bywali, zawsze była wielce uprzejmą. Roku 1819 jeszcze ją zastałem żyjącą, i często ją widywałem; podziwiałem jej starość tak piękną; twarz blada ale bez zmarszczek, oko granatowe, którego żywość wiek jeszcze nie był zagasił, nigdy mnie nie wyjdą z pamięci. Ojczystej mowy nie zapomniała, owszem lubiła po polsku rozmawiać, i córka jej, lubo w niemowlęctwie opuściła rodzinę, lubo na obcej ziemi i wzrosła i zestarzała, tak dobrze mówiła po polsku, że pokąd żyła, w tym języku pisywała do matki i od niej odbierała listy. Litwa nie przestała nigdy tkwić w pamięci pani starościny, i rada była przysłuchiwać się szczegółom, które jej przynosiłem o różnych tamecznych domach. Raz zapytałem jej, czy nie tęskni czasem za naszą Litwą; ona pokazując palcem niebo, odpowiedziała mnie poważnie: — Tam jest moja ojczyzna i za nią jedynie tęsknię. — Już jej córka wtedy nie żyła, ale jej wnukowie często ją nawiedzali w Rzymie. Otrzymałem z jej rąk dar, który zachowuję z największą troskliwością: jest to portret księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w pierścionku oprawny; był to spadek po generale Kunickim. Moje częste rozmowy z tą zacną staruszką posłużyły mnie wiele do układu tego pisemka. Kiedy drugi raz przybyłem do Rzymu w dziesięć lat potem, już jej nie zastałem; uczciłem tylko jej zwłoki, w pięknym grobowcu złożone w kościele ursulinek, gdzie ostatnie trzydzieści lat życia przepędziła.

Hrabina Bevilacqua, ile o niej wiadomości zasięgnąć mogłem, bo jej osobiście nie znałem, była kobieta pobożna, światła, wzorowych obyczajów, a chociaż nie wzięła w spadku czarującej urody swoich rodziców, była jednak miła i powabna. Jej mąż w czasie pierwszych zamieszań włoskich był z liczby stronników Francji: kiedy się utworzyła Rzeczpospolita Cyzalpińska, został mianowany prefektem w Forli. Roku 1798 generał Dąbrowski, dowódca legjonów polskich, przechodząc przez Forli, z korpusem oficerów nawiedzał prefekta; ten ich przyjął w obszernym salonie, gdzie między innemi obrazami wisiały dwa portrety: jeden młodzieńca w sukni dworskiej z orderem św. Stanisława, drugi wyrażał starca w kontuszu mundurowym kawalerji narodowej. Pierwszy obraz musi być znany czytelnikowi, drugiego następna historja: — Ksiądz Nowochacki był odmalował generała Kunickiego pendzlem zwyczajnie swoim, ale dziwnie schwycił podobieństwo; pani starościna, wywiozłszy do Włoch ten obraz, kazała go przekopjować przez jednego z najpierwszych tamecznych malarzy, i tak został ozdobą salonu. Zastanawiali się i generał i oficerowie nad temi obrazami, przypominającemi im Polskę; ale jakież było ich zadziwienie, kiedy gospodyni domu, wyszedłszy na ich przyjęcie, zaczęła do nich najczystszą polszczyzną i nauczyła ich, że to są portrety jej ojca i jej dziada.

Hrabia Mycielski wyleczył się z otrzymanej rany, kiedy to tak szlachetnie piersią swoją zasłaniał sławę brata; jednak i on pory swojej nie

dożył. Postępując w zawodzie rycerskim, byłby niezawodnie doszedł do najwyższych zaszczytów, ale na wojnie wszczętej między Francją i Anglją o niepodległość Amerykanów, będąc już pułkownikiem, poległ w zwycięskiej wyprawie na wyspie Tabago, żadnego potomka nie zostawując.

Państwo cześnikostwo litewskie nierządem strwonili cały majątek lubo często pomoc odbierali od króla. Pani cześnikowa, pomimo swojej lekkomyślności zawsze najlepsza kobieta, zachowała do końca listowne stosunki z panią starościną: nawet około roku 1788, kiedy córkę wydawała za hrabię Bevilacqua, cześnikowa zjechała na to wesele aż na brzeg morza Adrjatyckiego, żeby po raz ostatni widzieć cioteczną siostrę, i cały rok z nią przepędziła. Jej związki z księciem Waraginem statecznością swoją przybrały niektóre cechy, uprawniające takowe związki w przekonaniu wielu osób światowych; to pewna, że przynajmniej nie chciała dłużej zostać z mężem w fałszywem położeniu. Bez rozwodu, bez kłótni, owszem zachowując dla siebie wzajemną życzliwość, najspokojniej rozeszli się z sobą. Kiedy król Poniatowski przeniósł swoje mieszkanie do Petersburga, cześnikowa była z małej liczby osób jego dworu, które go opuścić nie chciały. Król jej naznaczył pensję dożywotnią sześćset czerwonych złotych na rok, którą po śmierci króla rząd nowy najakuratniej jej wypłacał. Jeszcze pamiętają, jak w pierwszych latach XIX-go wieku zbierali się u niej na wieczory rodacy z prowincji przybyli dla interesów; żadnemu z nich nie szczędziła pomocy i wstawie-

nia się, a babeczka miała swoje stosunki w stolicy. Książę Waragin tak jak i ona już był zestarzał, ale ich miłość wzajemna przemieniła się w najstalszą przyjaźń i tę dochowali do śmierci. Cześnikowa w ostatnich latach życia wpadła w dewocję, i można było u niej spotkać mnóstwo księży, starających się w stolicy o beneficja duchowne. Do ostatniego dnia zachowała swój wesoły dowcip i pobłażanie na słabości ludzkie, stąd powszechnie była żałowana. W Kronsztacie w kościele łacińskim można widzieć pomnik jej, wystawiony kosztem księcia.

Jej mąż, po upadku kraju, już nie mogąc żyć bez dworakowania, osiadł w Puławach pod opieką książęcej purpury generała Ziem Podolskich. Mała kompensacja, co ją od rządu pruskiego pobierał za starostwo wieluńskie i szczodrota księcia były jedynym jego funduszem aż do śmierci. Pan Gintowt był do końca przedstawicielem, a raczej relikwją dawnej dworszczyzny; głowę miał zawsze ufryzowaną, silnie upudrowaną, długą suknię francuską, najczęściej krzyczącego koloru. Wstęga błękitna na sukni zarzucona, sprzączki od trzewików kameryzowane, i na każdym palcu po kilka pierścionków. Prosto się trzymał, i co wieczór jakby ex officio prawił komplementa wszystkim damom, a najwięcej samej księżnie. Na wieczorach puławskich bawił towarzystwo biegłością swoją dans les jeux d'esprit[1]), jako to: homonimy, zapisane pytania

[1]) Gry dowcipu, które już i prowincja przysposobiła zaniechawszy gotowalnie i cenzurowanego.

i odpowiedzi, kreślenie rebusów i zapychanie bouts rimés, to jest naciąganie sensu do końcówek gotowych, co w owym czasie uchodziło za poezję. Do tego był laureatem w wynajdywaniu kalamburów, a słowo szarady choćby najzawilszej odrazu schwytywał. Do tych szermów dowcipowych, przykładał największe znaczenie, i był ich wielkim promotorem. Oprócz tego był purystą w mowie francuskiej. Kiedy po upadku kraju, zaczęto się brać szczerze do ożywienia literatury ojczystej, pan Gintowt poszedł za tym popędem i ostatnie lat dziesięć swojego żywota poświęcił na wytłumaczenie wierszem poematu Saint-Lamberta Czterech pór roku: często robił lekturę pieśni tego utworu. Przynoszono mu szklankę wody z cukrem, on zasiadał poważnie, w czytaniu przypominał słuchaczom, żeby zauważali harmonję naśladowniczą niektórych okresów, zwracał ich uwagę na trudności dobieranych rymów, jak w jego końcówkach często rzeczownik spotykał się z słowem; a nadewszystko, że najzawistniejsze ucho w całym jego przekładzie cienia makaronizmu upatrzyć nie zdoła. Nawet mnóstwem nowych wyrażeń wzbogacił naszą literaturę; i tak on pierwszy powiedział: nocena, zamiast księżyc, chronoblask zamiast parasol, zeszyt zamiast sekstern, światłomiot zamiast luminarz, łysinochron zamiast peruka; ale co mu się najszczęśliwiej udało, zastarzały i nadto ogólny wyraz dworka, zastąpił utworzeniem wyrazu dogodnica, co już i filozofja narodowa przysposobiła. Książę generał pozwalał sobie czasem

drwinkować z tych wielkich wynalazków, ale prócz niego wszyscy podziwiali trafność i śmiałość jego inowacyj; i jak tylko zawiązało się w Warszawie towarzystwo ludzi uczonych, został skwapliwie zaproszonym do braterskiego związku. Wszakże dziesięć lat nie wystarczyło do wygładzenia Czterech pór roku: skończył trzy pieśni, i dogładzał ośmnasty wiersz czwartej, kiedy śmierć go zaskoczyła; ale te trzy pieśni były wydrukowane jako dzieło pośmiertne, z przedmową autora i krótkim rysem jego życia przez wydawcę. W przedmowie zwycięsko dowodził, że dobre tłumaczenie ma nierównie więcej zalet, niż pismo oryginalne, czyli jak on je nazywał, bezwzorne, gdzie się spostrzegać nie daje ani twórczości, ani talentu; że mowa polska, lubo co do swoich kształtów gramatycznych zbliża się do łacińskiej, wszakże duchem swoim więcej ma styczności z językiem francuskim; że Stanisława Augusta panowanie potomność uzna za najświetniejsze w Polsce, gdyż on otrętwiałe ukształcenie w niej obudził; że on we wszystkiem przypominał Ludwika XIV, a chociaż nie sprostał jemu w szczęściu, wielce go przewyższył w zasługach. I dowodził to tem, że lubo za natchnieniem chrześcijańskiego króla, Boileau wyszydził w swoim „Pulpicie“ ludzi kościelnych, wszakże był tylko świeckim, a król Stanisław tak dalece cywilizację posunął, że biskup i książę kościelny na publiczne pośmiewisko wystawił mnichów przez swoją nieśmiertelną Monachomachją. Dalej przekładał ziomkom, żeby zamiast zaimka ty, nadto gminnego,

i wyrazów w p a n d o b r o d z i e j, nadto rozwlekłych i uniżonych, wzwyczaili się mówić do siebie przez w y, nie tracąc nadziei, że cywilizacja coraz wzrastająca, pod pieczołowitem skrzydłem Towarzystwa Przyjaciół Nauk rozpowszechni ten tok w narodzie. Jakkolwiek bądź, wiersze jego przekładu niemałe zrobiły wrażenie w ówczesnej publiczności. A co się tyczy stylu i głębokich uwag jego przedmowy, powiem tylko, że jeden ze świetniejszych członków Towarzystwa w pochwale jego, czytanej na posiedzeniu uczonego areopagu, oświadczył, że jako przekład „Świątyni w Knidos", jest najświetniejszym pomnikiem poezji narodowej, tak przedmowa do przekładu „Czterech pór roku" jest najważniejszem świadectwem potęgi języka polskiego w prozie, że, lubo w obrębie swoim to dzieło zdaje się być niewielkiem, doskonałością swoją olbrzymie przybiera rozmiary, i że on, mając w swoim gabinecie oddzielną szafkę, gdzie zamyka sam dobór książek, w tej szafie nadał indygenat i pana Gintowta pisemku.

Wazgird po uspokojeniu kraju powrócił na Litwę, bywał na pokojach u księcia wojewody, ale już to nie był ten wesoły i dowcipny szlachcic, dusza nieświeskich zabaw. Ponury, milczący, opryskliwy, poznał nakoniec, że jako jemu towarzystwo ludzi ciążyło, tak i on musiał być dla niego nieznośnym. Czas niejaki zakopał się na wsi ze swoim Skołubą, nie bywając u nikogo, a często nawet chowając się od tych, co przybywali go nawiedzać. Nawet namiętność do po-

lowania go opuściła, co niemało wszystkich, i samego Skołubę zadziwiało; nakoniec napasowawszy się z czarnemi myślami około dwóch lat, niespodzianie pojechał do Wilna, i tam wstąpił do ojców bernardynów pod kierunkiem wielce od niego szacowanego ojca Kleofasa, który od lat trzech był magistrem novitiorum. Po odbytym nowicjacie uczynił profesję zakonną, i dano mu imię Michała, co przyjął z niemałą radością. W studjach nie odznaczał się wielką zdatnością; nawet wymówił sobie, żeby nigdy nie wymagano od niego kazania; ale zato dziwnie pięknie kantu się wyuczył. Zresztą duch jego tak się przejął zakonnością, że wkrótce na kapłana wyświęconym został. Rzecz trudna do uwierzenia, a jednak wątpliwości nie ulega, że ledwo się związał ślubem zakonnym, śledziona przestała mu dokuczać, tetryczność go opuściła, i został prawdziwym bernardynem, pobożnym, ale wesołym aż do rubaszności. Kiedy chodząc za kwestą, ojciec Michał pierwszy raz zawitał do Nieświeża, książę Panie Kochanku zrazu go nie poznał, ale potem nie posiadał się z radości, przez cały tydzień nie puścił go od siebie, dał sowitą jałmużnę na klasztor wileński, i pokoju nie dał ojcu prowincjałowi, póki mu nie dał obedjencji do Nieświeża. Uważano, że ojciec Michał, ile razy odmawiał Mszę Świętą, przy memento łzami się zalewał; ale w pożyciu był trefnym, dowcipnym, i równie wesołym, jak kiedy był w świeckim stanie, wszakże zawsze z troskliwością unikał mówić o tem wszystkiem, co się odnosić mogło do

jego życia na świecie. Dawna jego porywczość miejsca ustąpiła najcierpliwszej łagodności, z którą się tylko raz ominął, od chwili kiedy się uroczyście zaparł świata. Gdy w początkach swojego zawodu zawitał do jednego możnego domu, jeśpan pewny, ostrzelany z nauką, alias półmędrek, klęska towarzyska na jakiej u nas nigdy nie zbywało, a który był rezydentem w tymże domu, wyzwał go na dysputę religijną i zaczął siepać bernacha bluźnierstwami, otynkowanemi jakąś pozorną uczonością. Ojciec Michał nie był bardzo silnym w teologji, ale miał gorącą wiarę: jak mu więc panicz dopiekł zuchwałością swoich argumentów, on, przypomniawszy sobie świecką naturę, antagonistę niemiłosiernie wychłostał ogórkami. Ale to była ostatnia reminiscencja starego człowieka; odtąd podobnej niecierpliwości nigdy nie okazał. Jednak zawód zakonny ojca Michała nie ścieśniał się wyłącznie w praktykach klasztornego życia. Roku 1792 poszedł na kapelana do ósmego pułku litewskiego, i pod Sałantami, przypomniawszy sobie czasy konfederacji, z krzyżem w ręku wysunął się naprzód przed żołnierzami. Zaraz obsypany został gradem kul nieprzyjacielskich, habit wyglądał jak rzeszoto, jedna tylko kula trafiła go w miękisz od uda, i musiano go zostawić w Cytowianach u bernardynów tamecznych, gdzie leżał kilka niedziel. Umarł in odore sanctitatis gwardjanem konwentu nieświeskiego, ostatniego roku zeszłego stulecia.

Ksiądz Prosper bardzo silnie uczuł wszystkie wypadki niewodowskie, i niemało łez uronił nad

śmiercią swojego krewnego. Opuścił Litwę i osiadł w świeżo erygowanem Królestwie Galicji, gdzie miał stosunki familijne, a nawet majątek nieruchomy. Właśnie wtedy cieplice karlsbadzkie zaczynały być w modzie; tam się udał pokilkakrotnie i odzyskał zdrowie, a z niem jednostajność humoru i tę cierpliwość w obcowaniu, która uprzyjemniając stosunki, dopuszcza nauce i wysokiemu światłu być pożytecznemi. Przy zdrowiu odzyskanem opuściły go i te dziwaczne skrupuły, któremi dotąd i siebie dręczył, i naprzykrzał się drugim. Uprzyjemniona tym sposobem jego pobożność więcej dusz pozyskała BOGU, niż te wszystkie rozprawy i przytaczania teologiczne, któremi szafował bez przestanku, a których już zupełnie zaniechał. Cesarzowa rzymska wyniosła go na biskupstwo, do którego od lat kilku powszechna opinja go powoływała: w tym nowym swoim zawodzie, poświęciwszy się zupełnie życiu czynnemu, okazał w osobie swojej wzór stateczny dla wszystkich pasterzy. Bywał w Rzymie ad limina apostolorum, dla pokrzepienia siebie w powołaniu, ale zostawszy dostępniejszym dla duchowieństwa ojczystego, przestał myśleć, że tylko w Rzymie kapłani są zupełnie cnotliwi i uczeni; poznał, że i między swoimi byli ludzie zewszechmiar wzorowi i takimi się otoczył.

Skołuba, obdarzony od pana swojego i od nieboszczyka wojskiego, mógłby sobie żyć biorąc w dzierżawę cudzą rolę, jak zwyczajnie

szlachcic nieźle się mający; ale już i jemu życie stargane, nietyle wiekiem, ile złemi przygody, ciężyć zaczęło. Zaraz po odbytej metamorfozie Wazgirda, jak go tylko usadowił w Nieświeżu, Skołuba ulokował swój kapitał u księcia wojewody, a sam założył blich przy klasztorze bernardynów nieświeskich i tam osiadł, blisko dawnego swojego pana. Co niedziela występował na pokoje zamkowe, w porządnym kontuszu, w litym pasie, i z karabelą w jaszczur oprawną, którą mu dał na pamiątkę pan chorąży Chłusowicz, wykupując tym sposobem swój sygnet herbowny. Książę wojewoda był mu rad, bo go lubił, i często z nim rozmawiał; ale resztę tygodnia, w kapocie sierakowej, zajmował się swoim blichem. Wszakże to zatrudnienie nie przeszkadzało mu wymykać się na hulankę do oficerów milicji nadwornej księcia, z którymi, pomimo napomnień ojca Michała, nadto często używał miłej rozrywki. Ta jedna pozostała mu słabość, że nie umiał wzgardzić kuflem, z dobrem sercem w jego ręce wypróżnionym; ale oprócz tego był zawsze jednym z najpoczciwszych i najpobożniejszych ludzi. Zachował do końca jakąś wziętość między szlachtą i niejeden obywatel karmazynowy, zawitawszy do Nieświeża, nawiedzał Skołubę blicharza, jeszcze niedawno zawołanego konfederata. On lubił rozmawiać de praeteritis; miło mu było, kiedy kto mu przypomni potyczki, na których dokazywał. Wtedy już mu się gęba nie zamyka; ale w przyszłość nie lubił

sięgać[1]). Zresztą nigdy się szczerze nie pogodził z królem Poniatowskim. Wszakże, lubo silnie zbudowany, nie doczekał się starości późnej. Pojechał był na Pobereże za kupnem wosku do swojego blichu; w ciągu tej podróży zajechał do jednego tamecznego obywatela, i u niego kupił wosku za kilkaset złotych; obywatel zatrzymał go na wieczerzę i nocleg. Było to zimową porą: na wieczerzy nakarmiono go wieprzowiną, widać nieświeżą, i napojono tym dżałaczem z Mołdawji sprowadzonym, który przywłaszczał sobie nazwisko wina, a jeszcze na dobitkę ulokowano go w kwaterze oczeretem ogrzanej. Poczciwe Litwinisko znieść nie mogło tej próbki życia pobereskiego; oczadział nieborak i dostał niestrawności; a choć to nazajutrz niby przeszło, choć uciekł z tego domu przy pierwszych brzaskach poranku, i skwapliwie z transportem swoim zdążył do naszej Litwy, odtąd ciągle cherlał. Skoń-

[1]) Wielkie są stosunki między prawdziwie wysokiem ukształceniem, a rodzimą prostotą rozsądku poczciwego. Ani rozsądny prostak, ani człowiek uczony nie lubią przesądzać o przyszłości, ale lubią mówić o rzeczach przeszłych, bo nadto są przywykli wędrować po szlakach im świadomych, żeby się odważyli puszczać w krainy nieznane, gdzie co kroku zbłądzić mogą. Przeciwnie, dla półmędrków, dla półgłówków, rozmawiać o przyszłości jest rajem; rozumie się, nie o tej przyszłości, co ją nam wiara objaśniła, lecz o przyszłości doczesnej, a niczem nie objaśnionej. Ale o czemże będą mówili? Przeszłości nie znają; bez obawy być zawstydzonymi, o niej odezwać się nie mogą. Najwygodniej rozprawiać o rzeczach nikomu niewiadomych, żeby bezkarnie o nich bredzić.

czył w pierwszych początkach czteroletniego sejmu, i miał tę pociechę, że dawny pan dysponował go na śmierć.

Fliez ożenił się z owdowiałą po Kieściu szynkarką. Wedle jej planu kupili sobie kamieniczkę w Warszawie, i gosposia bawić się zaczęła lichwą, ale co ona zarobi, mąż nierównie więcej przepije. Tak się nakoniec rozłajdaczył, że z szynkowni prawie nie wychodził, tylko do domu, gdzie bywało porywa pierwsza rzecz co znajdzie pod ręką, i to wynosi do swojej głównej kwatery. Przyszło do tego, że kufer żony odbijał; mnożyły się o to częste swary w małżeństwie, a te się na tem zwykle kończyły, że Kubuś niemiłosiernie Jewkę obije. Nakoniec runął ten gmach wyniesiony niegodziwym przemysłem. I mąż i żona przyszli do ubóstwa. Fliczowi zapaliła się gorzałka w żołądku, że go nie można było odratować, a Jewka zupełnie zdrowie straciwszy, do śmierci, która wkrótce potem nastąpiła, żyła z małej pensji, co ją król kazał jej wypłacać.

Cesław Buńczukiewicz, przy dobrym zapisie od swojego pana, dobrawszy sobie porządną gospodynię za małżonkę, a biorąc majątki w dzierżawę, przy statku, staranności i pracy dorobił się grosza. Ale że mu było markotno w Litwie, gdzie nazywano go „pan szatny", wyniósł się na Ukrainę, gdzie trzymając znaczniejsze dobra, coraz lepiej mu szły interesa; szczególnie po zaborze się wzbogacił, bo kupił tanio wielkie dobra, które wzrost Odesy podniósł do wysokiej ceny. Jego potomkowie, są możni teraz obywa-

tele; jakem słyszał, mają gruntowne dowody, że im tytuł hrabiego przynależy, i to promowują, a może im BÓG pomoże. Jeszcze się nie podpisują hrabiami, ale już na biletach wizytowych, co je w obieg puszczają w Berdyczowie na święty Onufry, i w Humaniu na święty Piotr, widzieć można koronę hrabiowską nad ich nazwiskiem. Są to ludzie godni; rej wodzą silnej partji na wyborach, i wyćwiczeni w Krzemieńcu, mają być bardzo uczeni i wielce wymowni. Ojciec Kleofas, satiatus annorum, już dawno umarł; toż samo i ksiądz Nowochacki, toż i inni; bo, jak powiedział ksiądz Narwojsz w kazaniu pogrzebnem przy zwłokach księżniczki Taidy Wiśniowieckiej: „Świat jest kopalnią, gdzie pokolenia leżą warstwami, aż póki na głos trąby to wszystko nie powstanie".

KONIEC.

Spis rozdziałów tomu drugiego.

		Str.
I.	Przedwstęp do konfederacji	1
II.	Objawienie	19
III.	Katastrofa	43
IV.	Sługa dawnych czasów	63
V.	Uwolnienie	85
VI.	Spotkanie się kolegów	108
VII.	Wyjazd do Warszawy	123
VIII.	Wielki świat	146
IX.	Król Stanisław August	167
X.	Częstochowa	187
XI.	Wyprawa do Warszawy	202
XII.	Przeczucie	220
XIII.	Wieczór na wielkim świecie	238
XIV.	Karczma pod Marymontem	273
XV.	Majestat królewski	298
XVI.	Zwycięstwo starosty	312
XVII.	Posłuchanie u króla	328
XVIII.	Więzienie	344
XIX.	Zdarzenie niespodziewane	367
XX.	Ostatni	399
XXI.	Epilog	404

Tekst niniejszego przedruku „Listopada“ opiera się na drugiem wydaniu — z roku 1848 („Listopad. romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku, przez Autora Pamiątek Starego Szlachcica Litewskiego. Wydanie nowe poprawne we 2-ch tomach, ozdobione portretem na stali Xięcia Karola *(Panie Kochanku)* Radziwiłła“).

DILECTA

WYBÓR NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW LITERATURY POWSZECHNEJ.

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

1. **FR. R. CHATEAUBRIAND.** ATALA. RENÉ. OSTATNI Z ABENSERAŻÓW. TŁUMACZYŁ BOY.
2. **O. GOLDSMITH.** PLEBAN Z WAKEFIELDU. TŁUM. HAJOTA.
3. **J. W. GOETHE.** CIERPIENIA MŁODEGO WERTHERA. TŁUMACZYŁ L. STAFF. 4 i 5. **MAKSYM D'AZEGLIO.** NICOLO DE'LAPI. TŁUMACZYŁ J. KORZENIOWSKI 6 i 7. **J. H. RZEWUSKI.** LISTOPAD. :-:

W PRZYGOTOWANIU:

A. LAMARTINE. RAPHAËL. :-: **J. COOPER.** SZPIEG. :-: **J. U. NIEMCEWICZ.** JAN Z TĘCZYNA. :-: **W. SCOTT.** ROB-ROY. :-: **K. M. WIELAND.** DZIEJE ABDERYTÓW. :-: **A. DAUDET.** PRZYGODY TARTARINA W ALPACH. :-: **J. W. GOETHE.** POWINOWACTWA Z WYBORU. :-: **W. SCOTT.** KENILWORTH.

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ, PLAC WOLNOŚCI 1.